

PRZEDMOWA.

Oddajemy do rąk młodzieży książkę nigdy nie zapomnianą i stale świeżą. Tłumaczenie Dr. L. Sternklara jest bardzo udostępniające, przez co czyni lekturę miłą: Nie mogliśmy niestety dokonać pewnych przeróbek odnośnie samego tłumaczenia, albowiem nie znamy miejsca pobytu tłumacza, nie omieszkamy jednak poprawić pewnych błędów w druku następnego wydania po porozumieniu się z tłumaczem.

Wydawca.

PRZEDMOWA AUTORA.

Książka ta jest przede wszystkim poświęcona dzieciom szkół elementarnych, które mają dziewięć do trzynastu lat i można by ją zatytułować: Historia roku szkolnego, napisana przez ucznia trzeciej klasy jednej ze szkół miejskich —we Włoszech. — Jeżeli mówię, że jest napisana przez ucznia trzeciej klasy, nie chcę przez to powiedzieć, iż napisał ją właśnie tak, jak została wydrukowana. On notował od czasu do czasu w zeszycie swoim, jak tylko umiał najlepiej, to, co widział, czuł, przemyślał, w szkole i poza szkołą, a ojciec jego, z końcem roku, napisał z owych notatek te kartki, starając się nie zmieniać myśli i zachować, o ile możności, słowa swego syna. Syn zaś w cztery lata później, gdy już był w gimnazjum, przeczytał znów ten rękopis i dodał znów tam nieco swojego, pomagając sobie świeżą jeszcze pamięcią osób i rzeczy. A teraz czytajcie tę książkę, chłopcy, i spodziewam się, że będziecie z niej zadowoleni i że odniesiecie z niej korzyść.

O ŻYCIU I PISMACH EDMUNDA DE AMICIS.

Edmondo de Amicis (czyt. Amiczis) urodził się w Oneglia w Ligurii w r. 1846. Po ukończeniu liceum wstąpił do szkoły wojskowej w Modenie, opuścił ją w r. 1865 jako porucznik i brał udział w nieszczęśliwej dla Włochów bitwie z Austriakami pod Custozzą w r. 1866. Po wojnie redagował w Florencji czasopismo „Italia militare", w którym wydawał swe pierwsze literackie utwory tj. szkice z życia wojskowego (Bozetti della vita militare). Szkice te jak i wydane w r. 1872 nowele stały się wkrótce ulubioną lekturą włoskiej publiczności dzięki świeżości swego stylu i wysokim literackim zaletom. Po zdobyciu Rzymu w r. 1870 wystąpił Amicis z wojska i poświęcił się zupełnie literaturze. Przedsiębrał liczne i dalekie podróże po Hiszpanii, Holandii, Turcji, Anglii, Maroku, Francji i południowej Ameryce, opisując swe podróże w pięknych opisach, z których najlepszymi są: „Constantinopoli" i „Sull' Oceano" (Na oceanie). Poza tym pozostawił wiele szkiców literackich, poezji, historycznych nowel i powieści jak „Gli amici" (Przyjaciele), „Il romanzo d' un maestro" (Romans nauczyciela), „Il primo maggio" (Pierwszy maja). Dzieła Amicisa cechuje świeżość i żywość przedstawienia, jako też pewien literacki idealizm. Gdy mu krytycy zarzucali, że w jego utworach brak wewnętrznego życia i że czytelnikom swym nie umie wpajać głębokich myśli i uczuć, odpowiedział Amicis na ten zarzut napisaniem powieści „Il cuore" (Serce) w r. 1886. Książka ta miała największe powodzenie, jakie kiedykolwiek jakaś książka na świecie miała. Wystarczy nadmienić, że we Włoszech wybito jej dotychczas przeszło 1.500.000 egz. w 183 wydaniach. Zaraz w pierwszym roku po wyjściu przetłumaczono ją na wszystkie europejskie języki, a w Polsce wyszła dotychczas 15 (!!!) razy, to znaczy osiągnęła w Polsce taką ilość wydań, jaką poza „Panem Tadeuszem" prawie żadna polska powieść nie może się poszczycić.

Książka ta posiada nadzwyczajną wartość pedagogiczną. W właściwy sobie dobroduszny i przyjemny sposób, bez moralizatorstwa umie Amicis w niej wyrównywać wszelkie przeciwieństwa życia, wielkim wpajać zrozumienie potrzeb i miłość ku małym, tym zaś wyperswadować nienawiść z serc ku wielkim. Książka ta porusza najrozmaitsze tematy: mowa w niej o szkole, języku włoskim, przyjaźni, bohaterstwie, ale także o zdarzeniach z potocznego życia.

W r. 1908 umarł ten bardzo płodny pisarz, jako zasłużony syn swej pięknej ojczyzny, bo nie tylko że wzbogacił rodzimą literaturę, ale od razu wyrobił jej prawo obywatelstwa na całym świecie.

PAŹDZIERNIK.

PIERWSZY DZIEŃ W SZKOLE

17. poniedziałek.

Dziś pierwszy dzień szkoły. Szybko jak sen przeminęły owe trzy miesiące wakacyj na wsi! Matka zaprowadziła mnie dziś rano do sekcji Baretti, aby mnie zapisać do trzeciej klasy elementarnej: ja myślałem o wsi i szedłem dość niechętnie. Wszystkie ulice roiły się od chłopców i w obu księgarniach pełno było ojców i matek, którzy kupowali tornistry, papier i zeszyty, a przed szkołą cisnęło się tylu ludzi, że pedel i policjant miejski z trudem tylko zdołali opróżnić miejsce przed drzwiami i umożliwić dostęp do budynku.

Blisko drzwi uczułem, że ktoś się dotyka mego ramienia; był to mój nauczyciel z drugiej klasy, zawsze wesół, z rozczochraną rudą czupryną.

— No i cóż, Henryku, rzekł do mnie, śmiejąc się, rozłączyliśmy się na zawsze?

Wiedziałem o tym dobrze, a jednak słowa te uczyniły na mnie przykre wrażenie.

Z trudem weszliśmy do środka. Panie, panowie, kobiety z ludu, robotnicy, urzędnicy, baby, służące, wszyscy prowadząc chłopców jedną ręką, a niosąc w drugiej ręce książeczki z promocjami, wypełniali sień i schody, robiąc przy tym gwar taki, jak gdyby szli do teatru.

Ujrzałem znów z przyjemnością ową wielką salę parterową z drzwiami siedmiu klas, którędy przechodziłem przez trzy lata prawie codziennie. I tu panował ścisk, nauczycielki jedne wchodziły, drugie wychodziły.

Moja nauczycielka z wyższego oddziału pierwszej klasy, stojąc na progu klasy, powitała mnie skinieniem głowy i rzekła do mnie:

— Henryku, pójdziesz tego roku na wyższe piętro, nie będę cię już widziała tędy przechodzącego.

I spojrzała na mnie ze smutkiem.

Dyrektor stał wśród kobiet zasmuconych, ponieważ nie było miej-

sca dla ich synków i zdawało mi się, że broda jego jest bardziej siwa, aniżeli roku zeszłego. Widziałem też znajomych chłopców, którzy wyrośli i utyli.

Na dole, gdzie już rozdzielono uczniów, były bębny, które nie chciały iść do klasy i stawiały opór, jak młode osiołki: musiało się je przemocą wciągać do środka. Niektórzy chłopcy uciekali z ławek, inni widząc, że rodzice ich odchodzą, poczęli płakać i rodzice musieli znów wracać i pocieszać ich, albo brać ich ze sobą z powrotem i nauczycielki były w rozpaczy.

Mego małego braciszka umieszczono w klasie nauczycielki Delcati, ja zaś poszedłem do nauczyciela Perboniego, na pierwsze piętro.

O dziesiątej byliśmy wszyscy w klasie: było nas pięćdziesięciu czterech chłopców, ale zaledwie piętnastu lub szesnastu moich dawnych kolegów z klasy drugiej; między nimi Derossi, ten, który zawsze otrzymywał pierwszą nagrodę. Szkoła wydawała mi się tak mała i smutna, gdy myślałem o lasach i górach, wśród których spędziłem lato. Także i o moim dawnym nauczycielu z klasy drugiej myślałem, który był taki dobry i śmiał się zawsze z nami, a taki mały, że wydawał się naszym towarzyszem. Żal mi było, że go już więcej nie zobaczę z jego rudą rozczochraną czupryną. Nasz obecny nauczyciel jest wysokiego wzrostu, bez brody, ma siwe i długie włosy i prostą zmarszczkę na czole, głos ma gruby i mierzy nas wszystkich jednego po drugim, bystrym spojrzeniem, jak gdyby chciał nas na wylot przeniknąć, a nie śmieje się nigdy.

Mówiłem sobie w duchu: — oto pierwszy dzień. Jeszcze dziewięć miesięcy. Ile pracy, ile miesięcznych egzaminów, ile trudów!

Dobrze się stało, że spotkałem matkę przy wyjściu; pobiegłem co rychlej ucałować jej rękę. Rzekła do mnie: — Odwagi, Henryku! Będziemy się razem uczyli. — Wróciłem też zadowolony do domu. Ale nie mam już teraz mego dawnego nauczyciela, który się zawsze uśmiechał tak mile i tak wesoło i szkoła nie wydaje mi się już tak piękna jak dawniej.

NASZ NAUCZYCIEL.

18. wtorek.

Także i mój nowy nauczyciel podoba mi się po dzisiejszym poranku. Podczas wejścia, gdy już siedział na swoim miejscu, ukazywał się od czasu do czasu we drzwiach klasy któryś z jego dawnych uczniów zeszłego roku, aby mu się ukłonić; pojawiali się, przechodząc obok i kłaniali mu się:

— Dzień dobry, panie nauczycielu. — Dzień dobry, panie Perboni. — Niektórzy wchodzili, podawali mu rękę i znów wymykali się. Widać było, że go lubią i chcieliby chętnie powrócić do niego.

Odpowiadał im:

— Dzień dobry. — Ściskał ręce, które mu podawano, ale nie patrzył na nikogo; miał przy każdym powitaniu tę samą poważną minę, ze swą prostopadłą zmarszczką na czole; obrócony ku oknu, spoglądał na dach przeciwległego domu. Zamiast się cieszyć tymi pozdrowieniami, zdawał się cierpieć z tego powodu i smucić.

Później przypatrywał się nam z uwagą, jednemu po drugim. Dyktując, zszedł ze swego miejsca i jął przechadzać się między ławkami, a widząc, że jeden z chłopców miał na twarzy czerwoną wysypkę, przestał dyktować, ujął twarz jego w obie ręce i przypatrywał mu się; potem zapytał, co mu jest i położył mu rękę na czole, aby się przekonać, czy ma głowę gorącą.

Tymczasem jeden z uczni, siedzący w ławce za nim, podniósł się z swego miejsca i począł błaznować. Nauczyciel obrócił się szybko; chłopak usiadł natychmiast i pochylił głowę oczekując skarcenia. Ale nauczyciel położył mu rękę na głowie i rzekł spokojnie: — Nie czyń tego więcej. — Po czym powrócił do swego stolika i dalej dyktował.

Skończywszy dyktować, spoglądał na nas chwilę w milczeniu, po czym przemówił powoli swoim grubym ale dobrym głosem:

— Posłuchajcie mnie. Mamy rok spędzić razem. Starajmy się przeto, aby go dobrze spędzić, w zgodzie i pokoju. Uczcie się i zachowujcie się należycie. Ja nie mam rodziny. Moja rodzina to wy. Zeszłego roku miałem jeszcze matkę; umarła mi. Zostałem więc sam. Nie mam na świecie nikogo więcej prócz was, wy jesteście moim jedynym uczuciem, moją jedyną myślą. Macie być moimi dziećmi. Pragnę waszego dobra i wy powinniście mi również być życzliwi. Było by mi bardzo przykro, gdybym musiał karać którego z was. Pokażcie mi, że macie serce; nasza szkoła będzie tworzyła rodzinę, a wy będziecie moją pociechą i moją dumą. Nie żądam od was słownego przyrzeczenia, jestem pewny, że w sercu już powiedzieliście: tak. I dziękuję wam.

W tej chwili wszedł pedel, aby zadzwonić na „finis". Wyszliśmy wszyscy po cichutku z ławek. Chłopak, który przedtem chciał swawolić, przystąpił do nauczyciela i rzekł do niego drżącym głosem:

— Panie nauczycielu, proszę mi wybaczyć.

A nauczyciel pocałował go w czoło i odpowiedział:

— Idź w spokoju, synku mój.

NIESZCZĘŚLIWY WYPADEK.

21. piątek.

Rok rozpoczął się nieszczęśliwie. Idąc do szkoły dziś rano, powtarzałem właśnie ojcu owe słowa nauczyciela, gdy wtem ujrzałem na ulicy tłum ludzi, cisnących się do drzwi naszej sekcji. Ojciec mój rzekł natychmiast:

Stało się jakieś nieszczęście. Rok źle się zaczyna...

Z trudem weszliśmy do wielkiej sali. Pełna była rodziców i chłopców, których nauczyciele nie mogli w klasach utrzymać, a wszyscy mieli twarze zwrócone ku pokojowi dyrektora i słychać było głosy: — Biedny chłopiec! Biedny Robetti! — Ponad wszystkimi głowami, w głębi sali wypełnionej ludźmi, widać było hełm miejskiego policjanta i łysą głowę naszego dyrektora. Potem wszedł jakiś pan w cylindrze, a wszyscy szeptali: — to lekarz.

Mój ojciec zapytał jednego z nauczycieli:

— Co się tu stało?

— Koło przeszło chłopcu przez nogę — odpowiedział.

— Ma nogę złamaną, — dodał drugi.

Był to uczeń z drugiej klasy. Idąc do szkoły przez via Dora Grossa i widząc, jak malec z pierwszej klasy, oddziału niższego, wyrwał się swej matce i upadł na środku ulicy, tuż przed nadjeżdżającym omnibusem, przebiegł śmiało, podniósł malca z ziemi i ocalił go; sam jednak nie mógł dość szybko cofnąć swej nogi i koło omnibusu przeszło przez nią. To syn kapitana artylerii.

Gdy to opowiadano, wpadła do sali jakaś pani, jak szalona, przeciskając się przez tłum: była to matka Robettiego, po którą posłano; inna pani wybiegła naprzeciw niej i łkając zarzuciła jej ramiona na szyję: była to matka ocalonego malca. Obie wpadły do pokoju dyrektora i rozległ się stamtąd krzyk rozpaczliwy:

— O mój Julku! Moje dziecko!

W tej chwili zajechał powóz przed drzwi szkoły, a wkrótce potem pojawił się dyrektor, niosąc na ręku chłopca, który miał głowę zwieszoną przez ramię, twarz bladą i oczy zamknięte. Wszyscy umilkli, słychać było tylko szlochanie matki. Dyrektor zatrzymał się chwilę, a blady z wzruszenia i podniósł obiema rękami chłopca w górę, aby aby go pokazać tłumowi. A wtedy nauczyciele i nauczycielki, rodzice, chłopcy, wszyscy szeptali równocześnie: — Dzielny Robetti! — Dzielny chłopak! Biedaczek! — i posyłali mu od ust pocałunki; nauczycielki i chłopcy którzy go otaczali, całowali mu ręce i ramiona. On otworzył oczy i zapytał:

— A gdzie mój tornister?

Matka zaś ocalonego malca pokazała mu go płacząc i zawołała:

— Niosę ci go, drogi aniołku, niosę...

A równocześnie podtrzymywała matkę zranionego, która twarz ukryła w dłoniach. Wyszli, ułożyli chłopaka w powozie, powóz ruszył z miejsca. A wtedy my wszyscy weszliśmy w milczeniu do szkoły.

MAŁY KALABRYJCZYK.

22. sobota.

Wczoraj, podczas gdy nauczyciel mówił z nami o biednym Robettim, który jakiś czas będzie musiał chodzić o kuli, wszedł dyrektor do klasy z nowowpisanym uczniem. Był to chłopak o bardzo ciemnej twarzy, z czarnymi włosami, z dużymi czarnymi oczyma, nad którymi gęste brwi łączyły się na czole. Cały ciemno ubrany, przepasany był czarnym skórzanym pasem.

Dyrektor szepnął parę słów naszemu nauczycielowi do ucha i oddalił się, zostawiając przy nim chłopaka, który spoglądał na nas swymi czarnymi oczyma, jakby wystraszony. Wtedy nauczyciel ujął go za rękę i rzekł do klasy:

— Powinniście się cieszyć. Oto wstępuje dziś do naszej szkoły mały Włoch, rodem z Reggio w Kalabrii, oddalonego stąd więcej niż pięćset mil. Bądźcie życzliwi waszemu bratu, który przybył z tak dalekiej strony. Urodził się on na ziemi pełnej chwały, która dała Włochom znakomitych ludzi, wielu dzielnych pracowników i walecznych żołnierzy; w jednej z najpiękniejszych okolic naszej ojczyzny, gdzie się rozciągają rozległe lasy i wznoszą wysokie góry i gdzie mieszka lud pełen zdolności i odwagi. Bądźcie mu przyjaźni, tak, aby nie poczuł, że jest daleki od swego rodzinnego miasta; pokażcie mu, że chłopak włoski, w jakiejkolwiek szkole włoskiej stanie, wszędzie znajdzie braci.

To powiedziawszy, powstał z miejsca i naznaczył na mapie ściennej Włoch miejsce, gdzie leży Reggio di Calabria. Potem zawołał głośno:

— Ernest Derossi!

Był to uczeń, który otrzymywał zawsze pierwsze nagrody. Derossi powstał z miejsca.

— Pójdź do mnie, chłopcze, rzekł nauczyciel.

Derossi wyszedł z ławki i przystąpiwszy do stołu, stanął naprzeciw Kalabryjczyka.

— Jako pierwszy w klasie, rzekł do niego nauczyciel, uściskaj

na powitanie, w imieniu całej klasy, waszego nowego kolegę. Ty, który jesteś synem Piemontu, uściskaj syna Kalabrii.

Derossi uściskał serdecznie Kalabryjczyka i rzekł swym dźwięcznym głosem:

— Witaj nam kolego!

Kalabryjczyk ucałował go z impetem w oba policzki, a wszyscy koledzy poczęli głośno klaskać w dłonie.

— Spokój! — zawołał nauczyciel. — W szkole nie wolno dawać oklasków.

Ale znać było po nim, że jest zadowolony. Także i Kalabryjczyk był wielce uradowany naszym przyjęciem.

Nauczyciel wyznaczył mu miejsce i sam odprowadził go do ławki. Potem dodał jeszcze:

— Pamętajcie dobrze to, co wam mówię. O to, aby chłopiec z Kalabrii czuł się w Turynie, jak w domu, a chłopiec z Turynu czuł się jak u siebie w domu, w Reggio w Kalabrii, kraj nasz ojczysty walczył pięćdziesiąt lat, a trzydzieści tysięcy Włochów oddało swe życie w ofierze. Powinniście się wzajemnie kochać i szanować; gdyby który z was obraził tego kolegę za to, że nie pochodzi z naszej prowincji, stałby się niegodny podnieść oczy na nasz sztandar trójbarwny.

Zaledwie Kalabryjczyk siadł na swym miejscu, siedzący blisko niego koledzy obdarowali go piórami i pieczątką, a jeden chłopak z ostatniej ławki przysłał mu, za pośrednictwem innych kolegów, szwedzki znaczek pocztowy.

MOI KOLEDZY.

25. wtorek.

Chłopiec, który przysłał znaczek pocztowy Kalabryjczykowi, nazywa się Garrone i ja go lubię najlepiej. Jest najwyższy w całej klasie, ma blisko czternaście lat, dużą głowę i szerokie barki. Gdy się uśmiecha, ma na twarzy wyraz dobroci, ale jest zwykle poważny, jak człowiek dorosły.

Teraz znam już bliżej wielu z moich kolegów. Drugi, którego również bardzo lubię, nazywa się Coretti i nosi bluzę koloru czekoladowego i czapkę z kociej sierści. Zawsze wesół, jest synem handlarza drzewem, który walczył w wojnie w roku 1866, w oddziale księcia Humberta i jak powiadają, ma trzy medale. Mały Nelli, biedny garbusek, jest wątły i blady na twarzy. Jest także u nas jeden, który się zawsze wykwintnie ubiera i zostawia po sobie włoski ze swego ubrania; nazywa się Votini. W ławce przede mną siedzi chłopak, którego

nazywają murarczykiem, ponieważ ojciec jego jest murarzem; twarz ma okrągłą jak jabłko, z nosem jak kulka. Ma on szczególną zdolność do robienia zajęczego pyszczka, przeto wszyscy koledzy każą mu stroić taką pocieszną minę i śmieją się do rozpuku. Nosi mały kapelusz zniszczony, który zwija i chowa do kieszeni, jak chusteczkę do nosa.

Obok murarczyka siedzi Garoffi, niezgrabiasz wysoki i chudy, z nosem zakrzywionym, jak dziób krogulczy i z małymi oczyma. Ten handluje ciągle piórami, obrazkami, pudełkami od zapałek i wypisuje sobie lekcje na paznokciach, aby je odczytywać ukradkiem, gdy będzie pytany. Dalej siedzi panicz, Karol Nobis, mocno nadęty, między dwoma chłopcami, którzy mi są bardzo sympatyczni: jeden z nich syn kowala, w surducie, który mu sięga do kolan, blady i chorowity, wydaje się zawsze jak gdyby wystraszony i nie śmieje się nigdy: drugi zaś ma rude włosy i jedną rękę uschniętą, którą nosi na temblaku. Ojciec jego wyjechał do Ameryki, a matka chodzi po mieście i sprzedaje jarzyny. Oryginalnym typem jest także mój sąsiad z lewej strony, Stardi, niski i przysadkowaty, prawie bez szyi, mruk, który do nikogo nie mówi i zdaje się, że bardzo mało rozumie, słucha jednak uważnie nauczyciela, nie drgając powieką, ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi zębami, a gdy go ktoś o coś zapyta, kiedy nauczyciel mówi, za pierwszym i drugim razem nic nie odpowiada, a za trzecim razem daje szturchańca. Dalej siedzi chłopiec z twarzą zuchwałą i chmurną, nazwiskiem Franti, który już został wypędzony z innej sekcji szkolnej.

Są tu także dwaj bracia, jednakowo ubrani i tak do siebie podobni, jak dwie krople wody; obaj noszą kapelusze kalabryjskie z bażancim piórem. Ale najpiękniejszy ze wszystkich kolegów, obdarzony największym talentem, jest Derossi, który będzie niezawodnie i tego roku pierwszym w klasie. Nauczyciel poznał się już na nim i wywołuje go często do tablicy.

Ja lubię bardzo Precossiego, syna kowala, owego chłopaka w długim surducie, który wydaje się chorowity i mówią, że go ojciec bije i jest bardzo nieśmiały, a ile razy kogoś trąci albo o coś zapyta, dodaje zawsze: — Przepraszam bardzo — i patrzy swymi dobrymi i smutnymi oczyma. Ale Garrone jest największy i najlepszy ze wszystkich.

SZLACHETNY UCZYNEK.

26. środa.

Właśnie tego ranka miałem sposobność poznać bliżej Garrona. Gdy przyszedłem do szkoły, — a spóźniłem się nieco, albowiem zatrzymała mnie nauczycielka z pierwszej klasy wyższej, aby mnie za-

pytać, o której godzinie może nas odwiedzić, aby mnie zastać w domu — nauczyciela nie było jeszcze, a kilku chłopców dręczyło biednego Crossiego, tego, co ma rude włosy, rękę uschniętą i którego matka roznosi jarzyny na sprzedaż. Uderzali go liniami, rzucali mu w twarz łupiny od kasztanów i przezywali go kaleką i straszydłem, przedrwiwając go, że nosi rękę na temblaku. On zaś sam jeden, na końcu ławki, blady, nic nie odpowiadał i tylko spoglądał błagalnie na swych dręczycieli, aby mu dali spokój. Ale gdy tamci coraz bardziej się z niego naigrawali, począł drżeć na całym ciele i poczerwieniał z gniewu. Nagle Franti, ów z chmurną twarzą, wyskoczył na ławkę, udając, że nosi dwa kosze na ręku i małpując matkę Crossiego, która dawniej przychodziła oczekiwać syna koło drzwi szkoły, teraz zaś była chora. Wielu chłopców poczęło się głośno śmiać. Wtedy Crossi stracił głowę, chwycił kałamarz i rzucił go z całej siły w twarz Frantiego. Franti uchylił się jednak, a kałamarz ugodził w pierś wchodzącego nauczyciela.

Wszyscy uciekli na swe miejsca i milczeli przerażeni.

Nauczyciel przystąpił do stołu i zapytał zmienionym od gniewu głosem:

— Kto to uczynił?

Nikt nie odpowiedział.

Nauczyciel krzyknął powtórnie, jeszcze głośniej:

— Kto to był?

Wtedy Garrone, zdjęty litością dla biednego Crossiego, podniósł się szybko ze swej ławki i rzekł śmiało:

— To ja!

Nauczyciel spojrzał na niego, powiódł spojrzeniem po osłupiałych uczniach, po czym rzekł spokojnie:

— Winowajca nie będzie ukarany. Niech wstanie.

Crossi wstał z miejsca i rzekł z płaczem:

— Bili mnie i wyśmiewali się ze mnie, straciłem głowę i rzuciłem...

— Siadaj — zawołał nauczyciel. — Niech wstaną ci, którzy go zaczepiali i pobudzili do gniewu.

Wstało czterech chłopców, każdy miał głowę spuszczoną na piersi.

— Znieważyliście — rzekł nauczyciel — towarzysza, który nie szukał z wami zaczepki, wyszydzaliście nieszczęśliwego, biliście bezsilnego kalekę, który nie może się bronić. Popełniliście jeden z najnikczemniejszych, najohydniejszych uczynków, jakimi się może splamić istota ludzka. Jesteście podli!

To powiedziawszy, poszedł między ławki, ujął ręką za brodę Garrona, który stał z pochyloną głową, podniósł mu twarz, spojrzał w oczy i rzekł:

— Masz szlachetną duszę.

Garrone po chwili szepnął kilka słów niewyraźnych nauczycielowi do ucha, ten zaś, zwróciwszy się ku czterym winowajcom, zawołał nagle:

— Przebaczam wam.

MOJA NAUCZYCIELKA Z PIERWSZEJ KLASY WYŻSZEJ.

27. czwartek

Nauczycielka moja dotrzymała obietnicy; przyszła dziś do nas do domu, właśnie w chwili kiedy miałem wyjść z matką, aby zanieść bieliznę ubogiej kobiecie, którą polecała gazeta dobroczynności publicznej.

Prawie rok nie widzieliśmy jej w naszym domu. Cieszyliśmy się wszyscy z jej przybycia. Niskiego wzrostu, z zieloną woalką dokoła kapelusza, ubrana ubogo i źle uczesana, nie mająca nigdy czasu, aby wypocząć; była jednak jeszcze nieco bledsza, aniżeli zeszłego roku, przybyło jej kilka siwych włosów i ciągle pokaszliwała.

Matka zapytała ją:

— Jakże tam zdrowie, kochana pani? Pani, jak widzę, wcale na siebie nie uważa.

— Ej, to nic nie znaczy, — odpowiedziała ze swoim uśmiechem, na pół wesołym, na pół melancholijnym.

— Pani zanadto się natęża mówieniem, — mówiła dalej moja matka. — Pani zanadto się męczy tymi chłopakami.

To była prawda. Zawsze słychać jej głos w klasie; pamiętam to z czasów, gdy chodziłem do jej klasy. Mówi, ciągle mówi, ażeby chłopcy nie byli roztargnieni; ani chwili nie siedzi spokojnie. Byłem pewny, że przyjdzie do nas, ponieważ nie zapomina nigdy o swoich uczniach i pamięta ich nazwiska latami całymi, gdy nadejdą miesięczne egzaminy, i spieszy do dyrektora pytać się, jakie otrzymali stopnie; czeka na nich przy drzwiach i każe sobie pokazywać ich wypracowania pisemne, aby widzieć, czy uczynili jakie postępy. Wielu przycho-

dzi do niej jeszcze nawet z gimnazjum, którzy już noszą długie spodnie i mają zegarki.

Tego dnia właśnie wróciła znużona z galerii obrazów, dokąd poprowadziła swoich uczniów, jak w latach ubiegłych, kiedy to co czwartek prowadziła swoich chłopców do jakiegoś muzeum i wyjaśniała im wszystko. Biedna nauczycielka, wychudła jeszcze więcej! Ale jest zawsze pełna życia i zapala się zawsze, gdy mówi o swojej szkole. Chciała znów widzieć łóżko, w którym mnie widziała przed dwoma laty bardzo chorego i które teraz ma mój braciszek; patrzyła na nie chwilę i nie mogła słowa przemówić.

Spieszyła się, aby odwiedzić chłopca ze swej klasy, syna siodlarza, chorego na odrę; miała jeszcze ponadto całą paczkę zadań do przejrzenia, robotę na cały wieczór i oprócz tego, przed nocą, prywatną lekcję arytmetyki u jakiejś kupcowej.

— No i cóż, Henryku, — rzekła do mnie, żegnając się — czy kochasz jeszcze twoją dawną nauczycielkę, teraz, gdy już rozwiązujesz trudne zadania i piszesz takie długie wypracowania.

Uściskała mnie i ze schodów zawołała do mnie raz jeszcze:

— Nie zapominaj o mnie nigdy, Henryku!

O, moja droga nauczycielko, nigdy, nigdy nie zapomnę o tobie. Także gdy wyrosnę, będę pamiętał o tobie i pójdę cię odwiedzić między twoimi malcami. A każdym razem, gdy będę przechodził obok jakiejś szkoły i gdy usłyszę głos nauczycielki, będzie mi się zdawało, że to twój głos i będę myślał o owych dwóch latach, które spędziłem w twojej szkole, gdzie się nauczyłem tylu rzeczy. Gdzie ciebie widziałem tyle razy chorą i znużoną, ale zawsze gorliwie pracującą, zawsze pobłażliwą i zrozpaczoną, gdy któremu z twoich uczniów obierał palec, drżącą z trwogi, gdy nas pytali inspektorowie, szczęśliwą, gdyśmy się dobrze popisywali, zawsze dobrą i kochającą, jak matka rodzona. O, nigdy, nigdy nie zapomnę o tobie, moja nauczycielko.

NA PODDASZU.

28. piątek.

Wczoraj wieczorem poszliśmy z matką i siostrą moją Sylwią, aby zanieść bieliznę owej biednej kobiecie, którą polecono w dzienniku. Ja niosłem pakiet, Sylwia miała dziennik, gdzie był podany adres tej kobiety i wymienione początkowe litery jej nazwiska. Wyszliśmy aż pod sam dach wysokiego domu, gdzie był długi korytarz z wielu drzwiami. Matka moja zapukała do ostatnich drzwi. Otworzyła nam młoda jeszcze kobieta, o jasnych włosach i wynędzniałej twarzy, a mnie coś zdawało się zaraz, że ją już gdzieś widziałem, z tą samą chustką turecką na głowie.

— Czy to wy jesteście ta a ta kobieta z dziennika? zapytała moja matka.

— Tak jest, proszę panią, to ja.

— Otóż przynieśliśmy wam nieco bielizny.

A owa kobieta jęła dziękować i błogosławić, że nie było końca.

Tymczasem ja ujrzałem w kącie tej izby pustej i ciemnej jakiegoś chłopca, klęczącego przed stołkiem i odwróconego do nas plecami, który zdawał się coś pisać. I rzeczywiście pisał, zeszyt jego leżał na stołku, a kałamarz stał na podłodze. Jak mógł pisać w takiej ciemności? Gdy tak o tym myślałem, nagle poznaję rude włosy i kaftanik barchanowy Crossiego, syna handlarki jarzyn, tego, co ma rękę uschniętą.

Szepnąłem to cicho mej matce, podczas gdy kobieta składała bieliznę.

Cicho! odpowiedziała mi matka. — Może się zawstydzi, gdy zobaczy, że to my dajemy jałmużnę jego matce. Nie mów nic do niego.

Ale w tej chwili Crossi odwrócił się, ja stałem zakłopotany, on zaś uśmiechnął się. I wtedy matka trąciła mnie, abym poszedł go uściskać. Uścisnąłem go, on podniósł się i ujął mnie za rękę

— Oto zostałam tu sama z tym chłopcem, — mówiła tymczasem matka jego do mojej. — Mąż mój jest od sześciu lat w Ameryce, ja na domiar wszystkiego złego zachorowałam i nie mogę chodzić z jarzynami i zarabiać tych kilka soldów na życie. Nie został nam nawet stół dla mego biednego Ludwisia, aby mógł na nim pisać swoje zadania. Póki miałam jeszcze stragan w bramie, przynajmniej mógł pisać na tym straganie; teraz mi go zabrali. Nie mamy nawet na światło, aby mógł uczyć się, nie niszcząc oczu. Szczęście jeszcze, że go mogę posyłać do szkoły i że mu z urzędu gminnego dają bezpłatnie książki i zeszyty. Biedny Ludwiś, on tak pali się do nauki. O, ja nieszczęśliwa kobieta!

Matka moja, wzruszona, dała jej wszystko, co miała w sakiewce, ucałowała chłopca i omal nie płacząc, wyszła z izby. I miała słuszność, gdy mówiła do mnie:

— Patrz na tego biednego kalekę, jak on musi pracować. Ty zaś masz wszystkie wygody, a jednak nauka wydaje ci się ciężka. Ach, mój Henryku, więcej jest zasługi w jego pracy z jednego dnia, aniżeli w twojej pracy z całego roku. Takiemu uczniowi należało by przyznać pierwszą nagrodę!

SZKOŁA.

28. piątek.

„Tak, drogi Henryku. Nauka jest ci ciężka, jak ci mówi twoja matka; nie widzę jeszcze, abyś szedł do szkoły z ochotą pełną energii i z twarzą uśmiechniętą, jakbym tego pragnął. Masz jeszcze nieco wstrętu do szkoły. Ale posłuchaj mnie: pomyśl, jakie smutne, jakie marne byłyby dni twoje, gdybyś nie chodził do szkoły. Jeszcze przed upływem jednego tygodnia błagałbyś ze złożonymi rękoma, aby ci pozwolono znów do niej powrócić, trawiłaby cię nuda i wstyd, przejmowałyby cię wstrętem twoje zabawki i w ogóle całe twoje życie.

Wszyscy, wszyscy uczą się teraz, Henryku mój. Pomyśl o robotnikach, którzy uczęszczają do szkoły wieczorami, strudzeni całodzienną mozolną pracą; o kobietach, o biednych dziewczętach, chodzących do szkoły w niedzielę po ciężkich trudach całego tygodnia; o żołnierzach, którzy chwytają w ręce książki i zeszyty, gdy wracają wycieńczeni swoimi ćwiczeniami; pomyśl o dzieciach niemych i niewidomych, które także garną się do nauki; pomyśl na koniec o więźniach, którzy również uczą się czytać i pisać.

Rano, gdy wychodzisz z domu, wspomnij, że w tej samej chwili, w tym samym mieście, przeszło trzydzieści tysięcy dzieci idzie, tak samo jak ty, zamknąć się na trzy godziny w izbie szkolnej i oddawać się nauce. Co więcej, pomyśl o tych niezliczonych dzieciach, które, mniej więcej o tej samej porze, idą do szkoły we wszystkich krajach na całym świecie.

Wyobraź sobie, jak one idą przez zaciszne wioski, przez pełne gwar ulice miast, nad brzegami mórz i jezior, jedne pod skwarem słońca, inne wśród mgły, przeprawiają się w barkach, gdzie okolice przecięte są kanałami, jadą konno po rozległych płaszczyznach, sankami, po śniegu, przez wzgórza i doliny, poprzez lasy i potoki, przez ustronne ścieżki wśród gór. Idą pojedynczo, we dwoje, grupami, długim łańcuchem; wszyscy ci uczniowie mają książki pod pachą, ubrani są rozmaicie, mówią różnymi językami; od najodleglejszych szkół w Rosji, gubiących się wśród lodów i śniegów, do najdalej na południe wysuniętych szkół Arabii, ocienionych palmami, miliony i miliony dzieci uczą sę w najrozmaitszej formie tych samych rzeczy. Wyobraź sobie to rozległe mrowisko dzieci stu narodów, ten ogromny ruch, w którym i ty bierzesz udział i pomyśl sobie: — Gdyby ten ruch ustał, cała ludzkość popadłaby na powrót w barbarzyństwo; ruch ten jest postępem, nadzieją, chlubą świata.

A więc odwagi, ty mały żołnierzyku ogromnego wojska. Twoje książki są twoją bronią, twoja klasa jest twoim pułkiem, polem bitwy jest cała ziemia, a zwycięstwem twoim cywilizacja ludzkości.

Nie bądź żołnierzem bojaźliwym, mój drogi Henryku!

Twój ojciec.

MAŁY PATRIOTA Z PADWY.

(Opowiadanie miesięczne).

29. sobota.

Nie będę ja żołnierzem bojaźliwym, nie; ale chodziłbym o wiele chętniej do szkoły, gdyby nauczyciel opowiadał nam codziennie takie piękne rzeczy, jak dziś rano. Co miesiąc, mówił, będzie jedno takie opowiadanie i dostaniemy je na piśmie, a zawsze będzie treścią jego piękny i prawdziwy uczynek, dokonany przez jakiegoś chłopca. Dzisiejsze opowiadanie ma tytuł „Mały patriota z Padwy“. Oto treść jego.

Pewnego razu parowiec francuski odpłynął z Barcelony, miasta hiszpańskiego, do Genui; byli tam na pokładzie Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Szwajcarzy. Był także między innymi mały jedenastoletni chłopak, ubogo ubrany, sam jeden, który trzymał się ciągle na uboczu, zdala od innych, jak nieoswojone zwierzątko, spoglądając na wszystkich z pod oka. Przed dwoma laty ojciec jego i matka, wieśniacy z okolicy Padwy, sprzedali go dyrektorowi trupy linoskoków; tam wyuczono go wielu sztuk przy pomocy kułaków, kopnięć nogą i postów, po czym objechał z nimi całą Francję i Hiszpanię, zawsze bity i głodny.

Przybywszy do Barcelony i nie mogąc dłużej znosić tych prześladowań i tego głodzenia, w stanie godnym pożałowania, uciekł od swoich tyranów i udał się o opiekę do konsula włoskiego. Konsul zlitował się nad nim i wysłał go tym parowcem do Włoch, dawszy mu list do dyrektora policji w Genui, aby go odesłał do rodziców; do rodziców, którzy go sprzedali jak zwierzę. Biedny chłopak był cały obszarpany i chorowity. Dano mu kajutę drugiej klasy. Wszyscy na niego spoglądali; ten i ów go zagadnął, on jednak nic nie odpowiadał i zdawało się, że nienawidzi i gardzi całym światem, tak go rozgoryczyły; i zatruły mu życie te baty i to głodzenie. Trzem podróżnym jednak, którzy okazali się uporczywsi w swych pytaniach, powiodło się rozwiązać mu język i w kilku prostych słowach, mieszając język francuski, hiszpański i dialekt wenecki, opowiedział im swoją historię.

Nie byli to Włosi, ci trzej podróżni, ale rozumieli go i częścią wzruszeni jego niedolą, częścią podnieceni winem, dali mu kilka soldów, żartując i namawiając go, aby jeszcze dalej opowiadał. Gdy właśnie wtedy weszło do sali kilka pań, wszyscy trzej, aby zwrócić na siebie uwagę, dali mu jeszcze nieco pieniędzy, wołając: — „Bierz chłopcze! Bierz i to jeszcze! — pobrzękując srebrnymi monetami na stole.

Chłopiec chował wszystko do kieszeni, dziękując półgłosem, zawsze jednakowo mrukliwy, ale spojrzenie jego było po raz pierwszy uśmiechnięte i wdzięczne. Później udał się do swej kajuty, zaciągnął firankę i siedział cicho, dumając nad swoim losem. Za te pieniądze mógł sobie kupić teraz jakieś dobre przysmaczki na pokładzie, po dwóch latach, przez które łaknął suchego chleba; mógł także wylądowawszy w Genui, kupić sobie porządne ubranie, on, który przez dwa lata nosił łachmany; mógł, przywożąc ze sobą te pieniądze do domu, liczyć na lepsze, bardziej ludzkie przyjęcie ze strony swych rodziców, którzyby go zupełnie inaczej przyjęli, gdyby przybył z próżnymi rękoma. Te pieniądze stanowiłyby dla niego mały majątek.

O tym dumał, uradowany, za firanką swej kajuty, podczas gdy ci trzej podróżni głośno rozmawiali ze sobą, siedząc przy stole obiadowym, w pośrodku sali drugiej klasy. Pili i opowiadali o swoich podróżach i o krajach, które widzieli, a od słowa do słowa, zaczęli mówić o Włochach.

Jeden począł skarżyć się na hotele, drugi na koleje żelazne, a potem wszyscy naraz, zapalając się, jęli wygadywać na wszystko co włoskie. Ten twierdził, że wolałby podróżować po Japonii; inny znów mówił, że znalazł we Włoszech samych oszustów i rozbójników; trzeci, że urzędnicy włoscy nie umieją czytać.

— Naród nieuków! — powtórzył pierwszy.

— Sami niechluje! — zawołał drugi.

— To... — zaczął trzeci i chciał powiedzieć: złodzieje, ale nie mógł dokończyć słowa.

Grad soldów i monet półlirowych spadł na ich głowy i plecy, potoczył się po stole i na podłodze z piekielnym hałasem.

Wszyscy trzej zerwali się wściekli, patrząc w górę i otrzymali jeszcze w twarz garść monet.

— Bierzcie na powrót wasze pieniądze — zawołał z pogardą chłopiec, zdjąwszy firankę swej kajuty; nie przyjmuję jałmużny od tych, którzy ubliżają mej drogiej ojczyźnie.

KOMINIARCZYK.

1. listopada.

Wczoraj wieczorem udałem się do szkoły żeńskiej, tuż obok naszej szkoły, aby zanieść opowiadanie o chłopcu z Padwy nauczycielce Sylwii, która chciała je czytać.

Jest tam sześćset dziewcząt!

Gdy przyszedłem, zaczęły właśnie wychodzić, wszystkie uradowane, albowiem nadchodziły dwa wolne dnie, Wszystkich Świętych i Zaduszki. Oto, co tam zobaczyłem. Naprzeciw bramy budynku szkolnego, po drugiej stronie ulicy, stał oparty o mur mały kominiarczyk, czarny na twarzy, ze swoim workiem i skrobaczką. Twarz zasłonił ręką i głośno szlochał. Kilka dziewcząt z drugiej klasy przystąpiło do niego i zapytało go:

— Co ci się stało? Dlaczego płaczesz w ten sposób?

On jednak nic im nie odpowiadał, ale płakał głośniej jeszcze.

— Ale powiedz, co ci jest? Dlaczego płaczesz? dopytywały się dziewczynki.

Wtedy on podniósł twarz ku nim, twarz jeszcze zupełnie dziecinną i opowiadał płacząc, że czyścił w kilku domach kominy i zarobił trzydzieści soldów, a teraz je zgubił — wypadły mu przez dziurę w kieszeni — pokazywał podartą kieszeń — i bał się wracać do domu bez tych pieniędzy.

— Majster będzie mnie bił, — mówił szlochając i zasłonił twarz ręką, w największej rozpaczy.

Dziewczynki spoważniały i patrzyły w milczeniu na biednego chłopca. Tymczasem zbliżyły się inne uczennice, duże i małe, ubogie i strojne panienki z teczkami pod pachą, a jedna starsza, która miała niebieskie pióro w kapelusiku, wyjęła z kieszeni dwa soldy i rzekła:

— Ja mam tylko dwa soldy... zróbmy składkę.

— Ja mam także dwa soldy, — odpowiedziała inna w czerwonej sukience. — U wszystkich znajdzie się trzydzieści soldów.

I poczęły się zwoływać:

— Amalio! Ludwisiu! Anulko!... Solda!... Kto ma soldy? — Dajcie tu kilka soldów.

Niektóre miały soldy przeznaczone na zakupno kwiatów i zeszytów i ofiarowały je. Mniejsze dziewczęta dawały swoje centesimi; owa uczennica z niebieskim kwiatem w kapelusiku zbierała te drobne datki i liczyła głośno: — ośm, dziesięć, piętnaście! — Ale więcej nie było. Wtedy pojawiła się wyższa od nich wszystkich, która wyglądała pra-

wie na nauczycielkę i dała pół lira. Wszystkie dziewczynki uradowały się. Brakowało jednak jeszcze pięciu soldów.

— Teraz nadchodzą uczennice z czwartej klasy... One mają soldy — zawołała jedna.

Przyszła rzeczywiście czwarta klasa i posypały się soldy. Wszystkie cisnęły się dokoła kominiarczyka. I był to zaiste piękny widok, jak ten biedny chłopiec stał między tymi sukienkami różnych kolorów, między tymi pstrymi piórami, wstążkami... Trzydzieści soldów już było zebranych, a tu jeszcze wciąż napływały datki, a najmniejsze dziewczątka, które nie miały pieniędzy, przepychały się między większymi, ofiarując swoje bukieciki kwiatów, aby i one coś dały.

Wtem nadeszła odźwierna, wołając:

— Pani dyrektorka idzie!

Dziewczęta rozbiegły się na wszystkie strony, jak stado wróbli. I wtedy widać było małego kominiarczyka, samego wśród ulicy, jak ocierał sobie oczy, uradowany, rękoma pełnymi pieniędzy i miał przy bluzie w kieszeniach, przy kapeluszu mnóstwo kwiatów i pełno ich było na ziemi, u stóp jego.

DZIEŃ ZADUSZNY.

2. listopada.

...Ten dzień jest poświęcony pamięci zmarłych. Wiesz, Henryku, którym umarłym powinniście wszyscy poświęcić wspomnienie w ten dzień, wy uczniowie? Tym, którzy umarli za was, za chłopców, za dzieci. Jak wielu ich umarło i wielu ich ciągle umiera! Czy pomyślałeś kiedyś o tych ojcach, którzy się zamęczają w ciężkiej pracy, o tych matkach, które zstąpiły przedwcześnie do grobu, odmawiając sobie dobrowolnie wszystkiego, aby mieć na utrzymanie swoich synów? Czy wiesz, ilu ojców wbiło sobie nóż w serce z rozpaczy, widząc swe dzieci w nędzy, ile matek potopiło się, zginęło z boleści albo popadło w obłąkanie, z powodu utraty dziecka?

Pomyśl dzisiaj, Henryku, o tych wszystkich umarłych.

Pomyśl o tych nauczycielkach, które zginęły w młodym wieku wskutek suchot, wycieńczone ciężką pracą w szkole z miłości ku dzieciom, nie mogąc się z nimi rozłączyć.

Wspomnij o lekarzach, ofiarach chorób zakaźnych, których się nabawili, lecząc odważnie chore dzieci. Wspomnij o wszystkich tych, którzy podczas rozbicia się okrętu, w czasie pożaru, w czasie głodu, w chwilach największego niebezpieczeństwa, ustępowali dzieciom

ostatni kęs chleba, ostatnią deskę ratunku, ostatnią linę zbawczą i ginęli szczęśliwi, że ofiarą własnego życia udało im się ocalić życie niewinnego maleństwa.

Tych umarłych, Henryku, jest moc niezliczona. Każdy cmentarz zawiera setki tych świętych istot; gdyby ich prochy mogły na chwilę odżyć w mogile, zawołałyby imię dziecka, któremu poświęciły rozkosze młodości, spokój późnego wieku, swe uczucia, myśli, słowem całe życie. Spoczywają tam dwudziestoletnie kobiety, mężczyźni w pełni sił, osiemdziesięcioletnie staruszki, młodzieńcy, bohaterscy a nieznani męczennicy, którzy zginęli w obronie dzieci, tak wzniośli i tak szlachetni, że nie ma tylu kwiatów na ziemi, ile powinniśmy przynieść na ich groby.

Tak to was kochają, dzieci!

Pomyśl dziś o tych zmarłych z uczuciem wdzięczności, a staniesz się jeszcze lepszy i bardziej przywiązany do wszystkich tych, którzy cię miłują i którzy się trudzą dla ciebie, mój synu, gdyż jesteś tak szczęśliwy, że w Dzień zaduszny nie masz jeszcze do opłakiwania nikogo ze swoich.

Twoja matka.

LISTOPAD.

MÓJ PRZYJACIEL GARRONE

4. piątek.

Mieliśmy tylko dwa dni wolne od nauki, a mnie zdawało się, że już Bóg wie jak dawno, nie widziałem mego ukochanego Garrona. Im bliżej go poznaję, tym więcej go miłuję i tak samo wszyscy inni koledzy, z wyjątkiem tych, którzy chcą w klasie rej wodzić, a on im na to nie pozwala. Każdym razem, gdy któryś dryblas podniesie rękę na starszego kolegę, tenże woła: — Garrone! — a duży przestaje bić.

Ojciec Garrona jest maszynistą na kolei; on sam zaczął późno chodzić do szkoły, albowiem chorował dwa lata. Jest najwyższy i najsilniejszy w całej klasie, podnosi ławkę jedną ręką, dużo jada, jest bardzo dobry i uczynny. O co go kto poprosi, o ołówek, gumę, papier, scyzoryk, pożycza wszystko; nie rozmawia w szkole, ani nie śmieje się; siedzi zawsze nieruchomy w ławce za ciasnej dla niego, z plecami zgarbionymi i z głową wsuniętą między ramiona, a gdy spojrzę na niego, uśmiecha się do mnie, mrużąc oczy, jak gdyby chciał coś powiedzieć: — Wszak jesteśmy przyjaciółmi; Henryku, nieprawdaż? — Muszę się nieraz śmiać, gdy widzę, jak na nim, który jest wysoki i tęgi, wszystko jest za ciasne i za krótkie, kurtka, spodnie, mankiety i kapelusz mu nie włazi należycie na głowę, na której włosy ma całkiem krótko ostrzyżone; nosi grube buty, a krawatkę ma zawsze ściśniętą, jak postronek. Drogi Garrone, wystarczy raz spojrzeć mu w twarz, aby go pokochać.

Wszyscy mali pragnęliby siedzieć jak najbliżej jego ławki. Jest wybornym uczniem w arytmetyce. Nosi książki ściągnięte rzemykiem z czerwonej skóry. Ma nóż z rękojeścią i perłowej macicy, który znalazł zeszłego roku na placu ćwiczeń wojskowych i pewnego dnia skaleczył się nim w palec aż do kości, ale nikt w szkole o tym nie wiedział, a w domu również nie mówił o tym ani słówka, aby nie przestraszyć rodziców. Przyjmuje spokojnie żarty i dowcipy i nikomu ich za złe nie bierze, ale biada, jeżeli mu kto zarzuci kłamstwo, skoro

twierdzi, że coś jest prawdą: wtedy oczy jego ciskają błyskawice, a pięścią bije tak silnie o ławkę, że jej omal nie rozwali. W sobotę rano dał solda malcowi z pierwszej klasy wyższej, który płakał głośno wśród ulicy, ponieważ mu ktoś zabrał jego solda i nie miał za co kupić sobie zeszytu.

Teraz od trzech dni pracuje pilnie nad listem z ośmiu stron, które pięknie ozdobił piórkiem po bokach, na imieniny swej matki. Matka często przychodzi po niego; jest to kobieta, równie jak on wysoka i tęga, nadzwyczaj sympatyczna. Nauczyciel często spogląda na niego, a każdym razem, gdy obok niego przechodzi, klepie go ręką po karku, jak dobrego i spokojnego byczka.

Ja go kocham bardzo i rad jestem, gdy ściskam w swej dłoni jego wielką rękę, która wydaje się ręką dorosłego człowieka. Jestem przekonany, że naraziłby swoje życie na niebezpieczeństwo, aby ocalić kolegę, że dałby się zabić za niego; można to wyczytać w jego oczach, a chociaż często mruczy coś swoim grubym głosem, można jednak poznać, że głos ten pochodzi ze szlachetnego serca.

WĘGLARZ I PAN.

7. poniedziałek.

Garrone z pewnością nie powiedziałby nigdy tego, co wczoraj rano powiedział Karol Nobis Bettiemu. Karol Nobis jest nadęty i zarozumiały, ponieważ ojciec jego jest wielkim panem. Jest to mężczyzna wysoki, z długą czarną brodą, bardzo poważny, który przychodzi prawie codziennie odprowadzać swego syna.

Otóż wczoraj rano Nobis pokłócił się z Bettim, jednym z najmniejszych w klasie, synem węglarza, a nie wiedząc, co mu ma odpowiedzieć, albowiem nie miał słuszności, zawołał głośno:

— Twój ojciec jest obszarpańcem.

Betti poczerwieniał jak burak i nic nie odpowiedział, ale łzy stanęły mu w oczach i powróciwszy do domu, powtórzył to ojcu. I oto ten węglarz, mały człowieczek, cały czarny, zjawił się w klasie, w czasie nauki popołudniowej, trzymając za rękę chłopca, aby poskarżyć się przed nauczycielem. Właśnie gdy opowiadał nauczycielowi o tym przykrym zajściu, a myśmy wszyscy słuchali w milczeniu, ojciec Nobisa stał na progu klasy, zdejmując, jak zwykle, płaszcz synowi i usłyszał swoje nazwisko. Wszedł tedy do klasy i zażądał wyjaśnienia.

— Ten oto robotnik — odpowiadał nauczyciel — przybył tu ze

aby nie uderzyć którego. Zrazu traci cierpliwość, ale potem żal jej i pieści malca, na którego krzyczała; wypędzi któregoś swawolnika z klasy, to potem sama płacze i idzie kłócić się z rodzicami, którzy każą dzieciom za karę pościć.

Nauczycielka Delcati jest jeszcze młoda, wysokiego wzrostu, starannie ubrana, bardzo żywa brunetka, porywcza, która jednak lada co się wzrusza i mówi wtedy z wielką czułością.

— Ale przynajmniej dzieci panią kochają? — zapytała moja matka.

— Wiele dzieci mnie kocha, to prawda — odpowiedziała. — Ale gdy rok szkolny minie, większa część o mnie zapomina. Gdy już przejdą do nauczycieli, wstydzą się prawie, że byli w klasach, gdzie uczą nauczycielki. Po dwóch latach pracy, gdy się przywiązało do jakiegoś malca, smutno jest rozstać się z nim, ale się mówi: — O, co do tego chłopca jestem pewna, ten będzie mnie zawsze kochał. — Ale wakacje się kończą, wraca się do szkoły, spotykam malca i biegnę ku niemu: — Jak się masz, mój chłopcze? — On jednak odwraca głowę w inną stronę.

Tu nauczycielka przerwała.

— Ty tego nie zrobisz, mój maleńki? — rzekła wstając z miejsca, z wilgotnymi od łez oczyma i całując mego małego braciszka. — Ty nie odwrócisz głowy w inną stronę, nieprawdaż? Ty nie wyprzesz się twojej biednej przyjaciółki.

MOJA MATKA.

10. listopada, czwartek.

W obecności nauczycielki twego brata uchybiłeś twej matce. Niech to się nigdy więcej nie powtórzy, Henryku, nigdy więcej! Twoje uchybiające jej słowa przeszyły mi serce, gdyby ostrzem stali.

Myślałem o twojej matce, jak przed laty stała całą noc pochylona nad twoim małym łóżeczkiem, badając twój oddech, płacząc krwawymi łzami trwogi i dzwoniąc zębami z przerażenia, albowiem sądziła, że cię straci, a ja lękałem się o jej rozum. Wspomnienie to obudziło we mnie prawie wstręt do ciebie.

Ty obrażasz swoją matkę! Twoją matkę, która poświęciłaby rok własnego szczęścia, aby oszczędzić ci godziny bolu, która żebrałaby dla ciebie, która dałaby się zabić, aby ci ocalić życie!

Posłuchaj, Henryku i niechaj te słowa utkwią ci dobrze w pamięci. Wyobraź sobie, że jest ci w życiu przeznaczonych wiele dni okropnych: najokropniejszy ze wszystkich będzie ów dzień, w którym stracisz twoją matkę. Gdy już będziesz dorosłym mężczyzną, silnym, wypróbowanym we wszystkich burzach życiowych, to jednak tysiąc razy będziesz ją wspominał, albowiem ogarnie cię nieraz niezmierne pragnienie, by znów usłyszeć, choćby przez jedną chwilę, jej głos, by znów ujrzeć jej ramiona rozwarte i rzucić się w nie z łkaniem, jak biedne dziecko, bez opieki i podpory. I przypomnisz sobie wtedy ze smutkiem każdą gorycz, którą jej sprawiłeś; z wyrzutem bolesnym będziesz liczył wszystkie przykrości, jakie jej wyrządziłeś, nieszczęsny! Nie spodziewaj się dni pogodnych w życiu, jeżeli zasmuciłeś twoją matkę! Będziesz tego gorzko żałował, będziesz ją błagał o przebaczenie, będziesz czcił jej pamięć; to wszystko napróżno!... Sumienie nie da ci spokoju; jej twarz słodka i dobra będzie ci się zawsze ukazywała z wyrazem smutku i wyrzutów, które będą dręczyć duszę twoją.

Wiedz, Henryku, to jest najświętsze ze wszystkich uczuć ludzkich. Nieszczęsny ten, kto je podepce!

Morderca, który szanuje swoją matkę, ma jeszcze w swym sercu iskrę uczciwości i szlachetności i najsławniejszy z ludzi, który jej sprawia ból i obraża ją, jest już tylko nikczemną istotą.

Niechaj więc nigdy z ust twych nie wyjdzie znów przykre słowo dla tej, która ci dała życie. A gdyby się kiedyś raz jeszcze wymknęło, niechaj nie obawa przed twym ojcem, ale popęd własnego serca rzuci cię co rychlej do jej stóp, z błaganiem, aby pocałunkiem przebaczenia starła z twego czoła plamę niewdzięczności.

Kocham cię, mój synu; jesteś najdroższą nadzieją mego życia, — a jednak wolałbym cię widzieć raczej umarłym, aniżeli niewdzięcznym wobec twej matki. Bądź zdrów i przez jakiś czas nie zbliżaj się do mnie z pieszczotą, albowiem nie mógłbym z całego serca na nią odpowiedzieć.

Twój ojciec.

MÓJ KOLEGA CORETTI.

13. niedziela.

Ojciec mi już przebaczył, ale jestem jeszcze nieco smutny, matka tedy wysłała mnie z dużym już synem odźwiernego na przechadzkę.

W połowie alei, przechodząc blisko wozu, który stał przed jakimś sklepem, słyszę nagle, jak ktoś woła moje nazwisko, odwracam się w tamtą stronę: był to Coretti, mój kolega szkolny, w swojej bluzie koloru czekoladowego i w swojej czapce z kociej sierści, cały spo-

cony, ale z wesołym uśmiechem na twarzy. Na plecach dźwigał dużą wiązkę drzewa. Człowiek stojący na wozie podawał mu drzewo, on je brał i zanosił do sklepu swego ojca, gdzie je z pośpiechem rzucał na kupę.

— Co robisz, Coretti? — zapytałem go.

— Nie widzisz? — odpowiedział, wyciągając ręce po nowy ładunek; — powtarzam lekcję.

Zaśmiałem się. Ale on mówił zupełnie serio i wziąwszy drzewo, począł wygłaszać płynnie z pamięci:

— Nazywamy koniugacjami słowa... odmiany jego podług liczby i... podług liczby i osoby...

A potem, rzuciwszy drzewo na kupę, mówił dalej: — podług czasu... podług czasu, do którego się czynności odnosi.

A zwracając się do wozu, by wziąć nowy ciężar drzewa, dodał: — i podług sposobu, w jakim działanie jest wyrażone.

Była to nowa lekcja gramatyki na dzień następny.

— Cóż chcesz? — rzekł do mnie. — Korzystam z czasu, jak mogę. Ojciec mój ze służącym poszedł za interesami. Matka jest chora, muszę więc sam nosić drzewo. Równocześnie zaś powtarzam gramatykę. Dzisiejsza lekcja dość trudna... Nie może mi wleźć do głowy. Ojciec powiedział, że będzie tu o siódmej i wam zapłaci, — rzekł do woźnicy.

Wóz odjechał.

— Wejdź na chwilę do sklepu — rzekł do mnie Coretti.

Wszedłem: izba była pełna wiązek drzewa i chróstu, z boku stała waga.

— Dziś miałem trudny dzień, — mówił dalej Coretti. — Powiadam ci, musiałem odrabiać lekcje cząstkami. Gdy tylko zabrałem się do zadania, przychodzili ludzie kupować. Poczynam znów pisać, a oto nadjeżdża wóz z drzewem. Dziś rano byłem już dwa razu na targu drzewnym, który się znajduje na placu Weneckim. Nóg już nie czuję, a ręce mam spuchnięte. Ładniebym wyglądał, gdybym miał robić zadanie rysunkowe.

Mówiąc to, równocześnie wymiatał zeschłe liście i źdźbła słomy, które pokrywały podłogę kamienną w sklepie.

— Ale gdzież odrabiasz twoje zadania, Coretti? — zapytałem go.

— Z pewnością nie tutaj, odpowiedział. — Pójdź ze mną i zobacz.

I poprowadził mnie do małego pokoiku za sklepem, który służył im za kuchnię i zarazem za jadalnię; z boku stał stół, a na nim leżały książki, zeszyty i rozpoczęte zadanie.

— Patrz — rzekł — właśnie zostawiłem drugą odpowiedź w powietrzu: ze skóry sporządza się obuwie, rzemienie... Teraz dodam jeszcze: kuferki... walizy.

I wziąwszy pióro, jął pisać swoim pięknym pismem kaligraficznym.

W tej samej chwili dał się jednak słyszeć głos:

— Cóż to? Niema nikogo?

Była to kobieta, która przyszła kupić chrustu.

— Jestem! Idę! — odpowiedział głośno Coretti i pobiegł co rychlej do sklepu, odważył chrust, wziął pieniądze, poszedł do księgi z rejestrami, zapisał dokonaną sprzedaż, potem powrócił znów do swego zadania, mówiąc:

— Zobaczymy, czy mi się uda dokończyć zdanie. — I pisał dalej — ...torby podróżne, tornistry dla żołnierzy.

— Moja biedna kawa zbiegnie mi! — wykrzyknął nagle i pobiegł do piecyka, aby odstawić imbryk od ognia.

— To kawa dla mamy — dodał. — Musiałem się nauczyć robić ją. Zaczekaj chwilę, a zaniesiemy ją jej. Ucieszy się bardzo, gdy cię zobaczy; od siedmiu dni leży w łóżku... Do diabła! Zawsze sobie parzę palce tym imbrykiem. Co tu można jeszcze dodać po tornistrach dla żołnierzy? Szukam jeszcze czegoś i nie znajduję. Chodźmy do mamy.

Otworzył drzwi, weszliśmy do drugiej małej izby; matka Corettiego leżała w dużym łóżku, głowę miała obwiązaną białą chusteczką.

— Oto kawa, mamo — rzekł Coretti, podając jej filiżankę; a to jest mój kolega szkolny.

— O, co za dobry panicz — przemówiła do mnie kobieta. — Przyszedł odwiedzić chorą, nieprawda?

Tymczasem Coretti poprawił matce poduszki, ułożył należycie kołdrę na łóżku, rozdmuchał ogień na kominku i spędził kota z komody.

— Czy trzeba ci jeszcze czego, mamo? — zapytał potem, biorąc próżną filiżankę. — Czy wzięłaś dwie łyżki syropu? Gdyby już nie było lekarstwa, skoczę do apteki. Drzewo już złożone. O czwartej nastawię mięso na rosół, jak mi powiedziałaś, a gdy przyjdzie kobieta z masłem, dam jej osiem soldów. Niech się mama niczym nie kłopocze, wszystko będzie dobrze.

— Dzięki ci, mój synu, odpowiedziała chora. — Biedny chłopak, jak on o wszystkim pamięta, poczciwiec!

Poczęstowała mnie kawałkiem cukru, a potem Coretti pokazał mi mały obrazek w ramkach, fotografię ojca w mundurze żołnierza, z medalem waleczności, jaki otrzymał w roku 1866 służąc w oddziele księcia Humberta. Ta sama twarz, co u syna, te same oczy, tryskające życiem i ten sam uśmiech wesoły.

Wróciliśmy do kuchni.

— Znalazłem, czego szukałem — zawołał Coretti i dopisał w zeszycie: — ...robi się także uprząż na konie. — Resztę dokończę dziś wieczór, pójdę późno na spoczynek. Jesteś szczęśliwy, że masz cały czas wolny do nauki i możesz jeszcze chodzić na spacery.

I zawsze wesół i żwawy, powróciwszy do sklepu, począł układać kawałki drzewa na kozłach, przerzynał je wpół piłą i mówił:

— To jest moja gimnastyka! To co innego, aniżeli „ręce naprzód!" Chciałbym, aby ojciec, gdy wróci do domu, zastał to wszystko drzewo porżnięte: będzie zadowolony. Źle tylko, że jak rżnąłem drzewo, to piszę potem l i t, jak małe wężyki, jak powiada nasz nauczyciel. Cóż mogę robić? Powiem mu, że musiałem ćwiczyć się w szermierce... Ale to wszystko głupstwo, najważniejszą rzeczą jest, aby mama prędko wyzdrowiała. Dziś, Bogu dzięki, ma się lepiej. Gramatyki będę się uczył jutro rano, gdy zacznie świtać. Ale oto zajechał wóz z szczapami. Dalej do roboty!

Rzeczywiście stanął przed sklepem wóz naładowany szczapami. Coretti wybiegł, aby pomówić z woźnicą, potem powrócił i rzekł:

— Nie mogę ci niestety dłużej dotrzymywać towarzystwa. Do widzenia jutro. Dobrze zrobiłeś, że mnie odwiedziłeś. Życzę ci miłej przechadzki, szczęśliwcze!

I uścisnąwszy mi rękę, pobiegł zdjąć pierwszą szczapę, po czym uwijał się między wozem i sklepem, z twarzą świeżą jak róża, pod swoją czapką z kociej sierści, tak żwawo, że aż miło było patrzyć na niego.

Nazwałeś mnie szczęśliwym! O nie, Coretti, nie: ty jesteś o wiele szczęśliwszy ode mnie, albowiem uczysz się i oprócz tego pracujesz jeszcze, albowiem jesteś pomocny i użyteczny twemu ojcu i matce, albowiem jesteś lepszy, sto razy lepszy i więcej wart ode mnie, drogi mój kolego.

DYREKTOR.

18. piątek.

Coretti był dziesiejszego poranku wielce zadowolony, albowiem na egzamin miesięczny przyszedł jego nauczyciel z klasy drugiej, Coatti, wysoki mężczyzna z długimi włosami kędzierzawymi, z gęstą czarną brodą, z wielkimi czarnymi oczyma i głosem grubym, jak z armaty. Grozi zawsze chłopcom, że ich porąbie na kawałki lub że ich weźmie za kark i zaniesie do kwestury i przybiera miny okropne, ale nigdy nie karze nikogo, a nawet ukradkiem często uśmiecha się pod wąsem. Wraz z Coattim jest ośmiu nauczycieli, wliczywszy w to młodego suplenta, jeszcze bez wąsów, który sam wygląda na ucznia.

Jest nauczyciel z klasy czwartej, kulawy, owinięty grubym wełnianym szalikiem; zawsze go coś boli, a nabawił się tych cierpień, gdy był nauczycielem na wsi, w szkole pełnej wilgoci, gdzie woda marzła na ścianach. Drugi nauczyciel z klasy czwartej jest stary i już całkiem siwy; był niegdyś nauczycielem w szkole niewidomych.

Jest znów jeden wytwornie ubrany, w okularach, z jasnymi bokobrodami, którego nazywają adwokacikiem, ponieważ ukończył prawa, otrzymał dyplom i nawet napisał podręcznik do nauki pisania listów. Natomiast nauczyciel gimnastyki, to prawdziwy typ żołnierza; bił się pod Garibaldim i ma na szyi bliznę od rany, jaką otrzymał od cięcia szablą w bitwie pod Milargo.

Na koniec jest dyrektor wysoki, łysy, w złotych okularach, z siwą, spadającą mu na piersi brodą, cały czarno ubrany i zawsze podpięty aż pod szyję; dla chłopców dobry i łagodny; gdy który z nich wchodzi do kancelarii, by otrzymać naganę za jakieś przewinienie, cały drżący i strwożony, nie łaje go, nie krzyczy, lecz bierze go za rękę, tłumaczy mu, że nie powinien tak postępować, że powinien żałować swego uczynku i przyrzec poprawę, przemawia do niego w sposób tak łagodny, tak dobrym głosem, że każdy wychodzi z kancelarii z oczyma czerwonymi, bardziej zmieszany, niż gdyby otrzymał karę.

Biedny dyrektor, zawsze jest pierwszy na miejscu, już wcześnie rano oczekuje uczniów i udziela wyjaśnień rodzicom, a gdy po nauce nauczyciele rozeszli się już do domów, chodzi jeszcze dokoła budynku szkolnego i patrzy, czy chłopcy nie czepiają się dorożek, czy nie wałęsają się po ulicach, nie kłócą się ze sobą, nie napełniają tornistrów piaskiem lub kamykami. Każdym razem, gdy się nagle pojawi zza węgła jego postać wysoka i ciemna, gromady chłopców rozbiegają się na wszystkie strony, porzucając zabawę w piłkę lub latawca, on zaś

grozi im palcem z dala, ze swoim smutnym i łagodnym wyrazem twarzy.

Matka opowiadała mi, że nikt nie widział nigdy uśmiechu na jego twarzy, odkąd mu umarł syn, który był ochotnikiem w wojsku i że ma zawsze portret jego w kancelarii na stole, tuż obok siebie. Po owym nieszczęściu chciał ustąpić z posady, napisał już nawet podanie do magistratu, z prośbą o przeniesienie go w stan spoczynku i miał je na swym stole, odkładając z dnia na dzień wniesienie, albowiem żal mu było opuszczać swoją ukochaną dziatwę szkolną. Pewnego dnia jednak wydawał się już zdecydowany, a mój ojciec, który był u niego w kancelarii, rzekł do niego:

— Jaka szkoda, że pan nas opuszczarz, panie dyrektorze!

Wtem wszedł do pokoju jakiś pan, aby zapisać swego syna, który przenosił się z innej sekcji do naszej, albowiem jego rodzice zmienili mieszkanie. Na widok tego chłopca ogarnęło dyrektora zdumienie; przypatrywał mu się chwilę, spojrzał na portret syna na stoliku, potem przyglądał się znów chłopcu, wziąwszy go między kolana i podniósłszy mu twarz do góry. Chłopiec ten był nadzwyczaj podobny do jego zmarłego syna. Więc powiedział: — Dobrze. — Zapisał ucznia, pożegnał ojca i syna i pogrążył się w głębokiej zadumie.

— Jaka szkoda, że pan nas opuszczasz, powtórzył mój ojciec.

A wtedy dyrektor wziął ze stolika podanie swoje o przeniesienie go w stan spoczynku, rozdarł je na dwoje i rzekł:

— Zostanę.

ŻOŁNIERZE.

22. wtorek.

Syn dyrektora był ochotnikiem w wojsku, gdy umarł; dlatego dyrektor chodzi często na główną ulicę miasta, aby widzieć przechodzących żołnierzy, gdy my wychodzimy ze szkoły. Wczoraj przechodził pułk piechoty i pięćdziesięciu chłopców poczęło skakać dookoła muzyki wojskowej, śpiewając i bijąc w takt liniami o tornistry i o teczki.

My staliśmy w grupie na chodniku i przypatrywaliśmy się im. Garrone, w swoim zbyt ciasnym ubraniu, zajadał duży kawałek chleba; Votini, ów strojniś, który zostawia zawsze po sobie włoski ze swego ubrania, Precossi, syn kowala, w bluzie przerobionej z ojcowskiej, Kalabryjczyk, i „murarczyk", i Drossi ze swoją rudą czupryną, i Franti ze swoją zuchwałą twarzą i także Robetti, syn kapitana artylerii, ten sam, który uratował małego chłopaka spod kół omnibusu i teraz chodzi o kuli.

Franti zaśmiał się w twarz pewnemu żołnierzowi, który kulał. Ale natychmiast poczuł jakąś rękę na swoich plecach, obrócił się: za nim stał dyrektor.

— Wystrzegaj się — rzekł do niego — naigrawać się z żołnierza, gdy jest w szeregu, albowiem nie może ani się mścić, ani ci odpowiedzieć; jest to tak samo, jak znieważać człowieka skrępowanego: to nikczemność!

Franti zgromiony uciekł.

Żołnierze szli czwórkami, okryci kurzem i potem, a karabiny ich błyszczały w promieniach słonecznych. Dyrektor przemówił zaś do nas:

— Powinniście kochać żołnierzy, chłopcy. Są to nasi obrońcy, którzy pójdą za nas na śmierć, gdyby jutro obce wojska zagroziły naszej ojczyźnie. Są to jeszcze młodzieńcy, ledwie o kilka lat od was starsi; i oni uczęszczają do szkoły; są również między nimi, jak i między wami, ubodzy i panowie i pochodzą z różnych stron Włoch. Oto patrzcie, można ich prawie poznać po twarzy: przechodzą tędy Sycylijczycy, Sardyńczycy, Neapolitańczycy i Lombardowie. Jest to stary pułk, jeden z tych, które jeszcze walczyły w r. 1848. Żołnierze nie są już ci sami, ale chorągiew jest zawsze ta sama. Ilu to już padło, za naszą ojczyznę dookoła tego sztandaru, dwadzieścia lat pierwej, zanim wy przyszliście na świat!

— Oto on nadchodzi — zawołał Garonne.

I w istocie ukazał się wkrótce, w niewielkiej odległości, sztandar, który posuwał się naprzód, unosząc się nad głowami żołnierzy.

— Pamiętajcie chłopcy — rzekł dyrektor — złożyć ukłon, w formie przepisanej dla uczniów, ręką u czoła, gdy będzie obok nas przechodził sztandar trójkolorowy.

Sztandar, niesiony przez oficera, przeszedł obok nas, cały podarty i wypłowiały, z medalami przytwierdzonymi do drzewca. My wszyscy równocześnie przyłożyliśmy rękę do czoła. Oficer spojrzał na nas, uśmiechnął się i odpowiedział ręką na nasz ukłon.

— Brawo, chłopcy — zawołał jakiś głos za nami.

Obejrzeliśmy się; był to starzec, który miał w dziurce od guzika niebieską wstążeczkę z wojny krymskiej: oficer na pensji.

— Brawo — powtórzył — znaleźliście się bardzo pięknie.

A tymczasem muzyka pułkowa szła dalej ulicą, otoczona tłumem żaków i tysiączne radosne okrzyki wtórowały dźwiękom trąby, gdyby śpiew wojenny.

— Brawo, — powtórzył ów stary oficer, spoglądając na nas — kto, będąc małym, szanuje sztandar ojczysty, ten, gdy wyrośnie, potrafi go bronić mężnie.

OBROŃCA NELLEGO.

23. środa.

Także i Nelli przypatrywał się wczoraj żołnierzom; biedny garbusek miał jednak tak smutny wyraz twarzy, jak gdyby myślał sobie w duchu:

— Ja nie będę nigdy mógł być żołnierzem!

Jest to chłopak dobry i dobrze się uczy, ale bardzo wątły i blady i z trudem oddycha. Nosi zawsze długi fartuch z czarnego płótna.

Matka jego jest blondynką niskiego wzrostu, czarno ubrana i przychodzi zawsze po niego na „finis“, aby się nie pchał w tłumie i pieści go zawsze.

W pierwszych dniach wielu kolegów, z powodu jego kalectwa, wyśmiewało go, biło tornistrami po plecach; on znosił to jednak cierpliwie i nigdy nic matce nie opowiadał, aby nie sprawiać jej boleści, że syn jej jest przedmiotem pośmiewiska kolegów. Naigrawali się z niego, on zaś milczał i płakał, oparłszy czoło o ławkę.

Ale pewnego poranku Garonne skoczył ze swego miejsca i zawołał:

— Pierwszego, który dotknie się Nellego, tak poczęstuję, że wywróci trzy koziołki!

Franti nie zważał na tę groźbę, otrzymał tęgie uderzenie, wywinął trzy kozły w powietrzu i od tego czasu nikt już więcej nie tknął Nellego. Nauczyciel posadził go obok Garrona, w tej samej ławce. Zaprzyjaźnili się z sobą i Nelli przywiązał się szczerze do poczciwego chłopca. Gdy tylko wchodzi do klasy, szuka go natychmiast, czy już jest i nie odchodzi nigdy, nie pożegnawszy się z nim, a tak samo Garrone. Gdy Nelli upuści pióro lub książkę pod ławkę, Garrone szybko, aby mu oszczędzić trudu schylenia się, chyli się i podnosi z podłogi pióro lub książkę; później pomaga mu składać rzeczy do tornistra i wdziać płaszczyk.

Za to Nelli go bardzo kocha i patrzy na niego, jak w tęczę, a gdy nauczyciel pochwali Garrona, jest tak uradowany, jak gdyby sam otrzymał pochwałę. Nelli musiał w końcu opowiedzieć wszystko swej matce, i o tym, jak mu z początku dokuczali koledzy, co od nich musiał znosić, i o koledze, który go obronił i którego za to pokochał. Bo oto, co się dziś rano wydarzyło.

Nauczyciel posłał mnie, pół godziny przed końcem nauki, abym zaniósł dyrektorowi program lekcyj i byłem właśnie w kancelarii, gdy weszła jakaś pani, o jasnych włosach, w czarnym ubraniu. Była to matka Nellego. Rzekła do dyrektora:

— Panie dyrektorze, czy jest w klasie mego syna uczeń, który nazywa się Garrone?

— Tak jest, odpowiedział dyrektor.

— Czy byłby pan tak łaskaw zawezwać go na chwilę tutaj, albowiem chcę mu coś powiedzieć?

Dyrektor zawołał pedela i posłał go do naszej klasy, a za minuty zjawił się we drzwiach Garrone ze swoją dużą, gładko ostrzyżoną głową, zdziwiony, czego od niego żądają.

Pani owa, zaledwie go ujrzała, podbiegła ku niemu, objęła za szyję i całując go serdecznie w głowę, zawołała:

— A więc to ty jesteś Garrone, przyjaciel mego syna, obrońca mego biednego dziecka, a więc to ty jesteś tym zacnym, szlachetnym chłopcem!

Potem zaczęła szukać gorączkowo po kieszeniach i w woreczku, a nie znalazłszy nic, zdjęła z szyi łańcuszek z krzyżykiem, zawiesiła go Garronowi na szyi pod krawatką i rzekła:

— Weź i noś go na pamiątkę ode mnie, drogi chłopcze, na pamiątkę od matki Nellego, która ci jest wdzięczna i błogosławi cię.

PIERWSZY W KLASIE.

25. piątek.

Garrone zyskał sobie przywiązanie wszystkich; Derossi zaś podziw. Otrzymał pierwszy medal, jest zawsze pierwszy w klasie, będzie nim także w tym roku; nikt nie może mierzyć się z nim, wszyscy uznają wyższość jego we wszystkich przedmiotach.

Jest pierwszy w arytmetyce, w gramatyce, w wolnych wypracowaniach, w rysunkach, wszystko pojmuje w lot, ma pamięć nadzwyczajną, wszystko mu się udaje bez żadnego wysiłku, zdaje się, że nauka jest dla niego igraszką.

Nauczyciel rzekł mu wczoraj:

— Otrzymałeś od Boga wielkie dary, masz teraz tylko o to się starać, aby ich nie zmarnować.

Przy tym jest wysoki, piękny, ma jasne włosy kędzierzawe, jest tak zwinny, że przeskakuje przez ławkę, oparłszy się o nią tylko jedną ręką, umie się już nawet fechtować.

Ma lat dwanaście, jest synem przemysłowca, nosi zawsze niebieską bluzę ze złoconymi guzikami, zawsze pełen życia, wesół, uprzejmy dla wszyskich, ile może, pomaga przy egzaminach i nikt nie ośmielił się nigdy być dla niego niegrzeczny albo powiedzieć mu jakie złe słowo.

Tylko Nobis i Franti patrzą na niego z ukosa, a Votiniemu można zazdrość wyczytać z oczu. On jednak na to nie zwraca uwagi.

Wszyscy do niego się uśmiechają i biorą go za rękę lub za ramię, gdy idzie między ławki odbierać od kolegów zadania, z tym wdzięcznym ruchem, który go znamionuje. Rozdaje między kolegów dzienniki ilustrowane, rysunki, wszystko, co jemu dają w domu; wyrysował dla Kalabryjczyka małą mapę Kalabrii. A rozdaje wszystko z uśmiechem, bez namysłu, jak hojny magnat, bez wyróżnienia poszczególnych osób.

Jest to rzeczą niemożliwą nie zazdrościć mu, nie czuć się niższym od niego pod każdym względem.

I ja również jak Votini zazdroszczę mu. Czuję także gorycz, niekiedy nawet poniekąd niechęć przeciw niemu, gdyż z trudem odrabiam w domu lekcje, a myślę, że o tej porze on już w domu wszystko przerobił, jak najlepiej i bez żadnego natężenia. Ale później, gdy przyjdę do szkoły, gdy go widzę tak pięknego, uśmiechniętego, wesołego i triumfującego, gdy słyszę, jak odpowiada na pytania nauczyciela śmiało i pewnie, gdy widzę, jak jest grzeczny i uprzejmy, jak go wszyscy kochają, wtedy wszelka gorycz, wszelka niechęć znika mi z serca i wstydzę się nawet, że mogłem przez chwilę żywić takie uczucia. Chciałbym być zawsze blisko niego i chciałbym całą szkołę ukończyć wraz z nim; obecność jego, głos jego, dodają mi odwagi, ochoty do pracy, sprawiają mi niewymowną przyjemność.

Nauczyciel dał mu do przepisania opowiadanie miesięczne, które jutro przeczyta: „Mała wideta lombardzka"; przepisał je dziś rano i był głęboko wzruszony tym czynem bohaterskim; twarz mu płonęła, oczy były wilgotne a usta drżały. Patrzyłem na niego z podziwem, tak wydawał mi się piękny i szlachetny. Z jaką przyjemnością powiedziałbym mu w oczy całkiem otwarcie:

— Derossi, jesteś pod każdym względem więcej wart ode mnie! W porównaniu ze mną jesteś prawdziwym mężczyzną! Szanuję cię i podziwiam!

MAŁA WIDETA LOMBARDZKA.

(Opowiadanie miesięczne).

26. sobota.

Było to w roku 1859, podczas wojny o oswobodzenie Lombardii, w kilka dni po bitwie pod Solferino i San Martino, w której Francuzi i Włosi odnieśli nad Austriakami zwycięstwo. W piękny poranek czerwcowy jechał mały oddział konnicy z Salurro stępa samotną ścieżką w kierunku ku nieprzyjacielowi, rozglądając się bacznie po okolicy.

Oddział ten prowadzili oficer i wachmistrz i wszyscy spoglądali w dal przed siebie, wytężonym wzrokiem, milcząc, przygotowani na to, że lada chwila ujrzą bielejące między drzewami mundury nieprzyjacielskiej straży przedniej. Przybyli tak do małej chaty wiejskiej, otoczonej jesionami, przed którą stał dwunastoletni może chłopczyna, sam jeden, strugając nożem gałązkę, aby sobie z niej zrobić gładki kij. Przez okno chaty powiewał szeroki sztandar trójkolorowy; wewnątrz nie było nikogo: wieśniacy, wywiesiwszy sztandar, uciekli widocznie z obawy przed Austriakami.

Ujrzawszy jeźdźców, chłopiec odrzucił kij i zdjął czapkę. Był to piękny chłopczyna z odważną twarzą, z dużymi niebieskimi oczyma, z długimi jasnymi włosami, nie miał na sobie bluzki a przez otwartą koszulę widać było jego nagie piersi.

— Co tu robisz? — zapytał go oficer, zatrzymując konia. — Dlaczego nie uciekłeś wraz z twoją rodziną?

— Nie mam rodziny — odpowiedział chłopak. — Jestem podrzutkiem. Pracuję po trochu dla wszystkich. Zostałem tutaj, aby widzieć wojnę.

— Czy widziałeś przechodzących tędy Austriaków?

— Nie. Od trzech dni nie.

Oficer stał chwilę w zamyśleniu, potem zeskoczył z konia i zostawiwszy żołnierzy na miejscu, zwróconych w stronę nieprzyjaciela, wszedł do chaty i wydrapał się na dach... Chata była jednak niska; z dachu widać było tylko mały kawał najbliższej okolicy.

— Trzeba by wyleźć na któreś z tych drzew — rzekł oficer i zlazł z dachu.

Właśnie przed nimi sterczał bardzo wysoki i cienki jesion, którego wierzchołek kołysał się wysoko w przestworzu. Oficer stał chwilę w zamyśleniu, patrząc to na drzewo, to na żołnierzy, potem zapytał nagle chłopca:

— Czy masz dobre oczy, smyku?
— Ja? — odpowiedział chłopiec. — Widzę wróbla na odległość mili.
— Czy potrafiłbyś wydrapać się na szczyt tego drzewa?
— Na szczyt tego drzewa? Ależ za pół minuty jestem tam na górze...
— I mógłbyś mi potem powiedzieć, co widzisz stamtąd, czy są żołnierze austriaccy w tamtej stronie, czy widać tam tumany kurzu, błyszczące się bagnety, konie?
— Naturalnie, że mógłbym.
— Czego żądasz za wyświadczenie mi tej usługi?
— Czego żądam? — odpowiedział chłopak z uśmiechem. — Niczego. Cóż znowu? Zresztą, gdyby to było dla Niemców, nie uczyniłbym tego za żadne skarby świata, ale dla naszych! Jestem przecież Lombardczyk!
— Dobrze! A więc leź na drzewo!
— Chwilkę tylko, niech zdejmę buciki.
Zdjął buciki, ścisnął rzemyk u spodni, rzucił czapkę na trawę i objął pień jesionu.
— Ale miej się na baczności... — wykrzyknął oficer, czyniąc ruch, aby go powstrzymać, jak gdyby zdjęty nagłym jakimś strachem.
Chłopiec zwrócił się ku niemu i spojrzał nań pytająco swymi pięknymi oczyma niebieskimi.
— Nie, — odpowiedział oficer — leź dalej w górę.
Chłopak wydrapał się na drzewo z zwinnością kota.
— Wy patrzcie dobrze przed siebie, — krzyknął oficer do żołnierzy.
W kilka chwil chłopak był na samym szczycie drzewa, trzymając się pnia, nogi jego były w gęstwinie liści, ale pierś miał odkrytą, a promienie słońca zdawały się złocić jego jasną główkę. Oficer ledwie mógł go dojrzeć, tak mały wydawał się tam na górze.
— Patrz prosto przed siebie w dal! — krzyknął do niego oficer.
Chłopiec, aby lepiej widzieć, odjął prawą rękę z drzewa i przyłożył ją do czoła.
— Co widzisz? — zapytał go oficer.
Chłopczyna pochylił twarz ku niemu, przyłożył rękę do ust, aby głos jego był lepiej słyszany i zawołał:
— Dwóch ludzi konnych wśród białego gościńca.
— W jakiej odległości stąd?
— Pół mili.

— Czy ruszają się?
— Nie, stoją na miejscu.
— Co widzisz jeszcze? — zapytał go znów oficer po chwili milczenia. — Patrz na prawo.
Chłopczyna spojrzał w prawą stronę, potem rzekł:
— Blisko cmentarza, między drzewami, jest coś, co błyszczy się w słońcu... zdaje mi się, że to bagnety.
— Czy widzisz ludzi?
— Nie. Muszą być ukryci w zbożu.
W tej chwili dał się nagle słyszeć ostry świst kuli, który przeszył wysoko powietrze i skonał daleko poza domem.
— Złaź chłopcze na dół! — wykrzyknął oficer. — Zobaczyli cię. Nie chcę już nic więcej. Złaź natychmiast!
— Ja się nie boję — odpowiedział malec.
— Złaź — powtórzył oficer. — Co widzisz jeszcze z lewej strony?
— Z lewej strony?
Chłopiec odwrócił głowę na lewo; w tej chwili drugi świst, ostrzejszy i niższy od pierwszego, przeszył powietrze. Chłopiec wstrząsnął się cały.
— Do krocset! — zawołał. — Uwzięli się na mnie.
Kula przeleciała tuż obok niego.
— Złaź na dół! — krzyknął rozkazującym głosem zirytowany oficer.
— Już złażę — odpowiedział chłopczyna. — Ale drzewo mnie chroni, możesz pan być spokojny. Czy chcesz pan widzieć z lewej strony?
— Tak jest, z lewej, — rzekł oficer. Ale złaź co rychlej.
— Z lewej strony — odpowiedział chłopiec, wychylając głowę w tamtą stronę. — Tam gdzie jest kapliczka, zdaje mi się, że widzę...
Trzeci świst wściekle zaryczał w powietrzu i prawie w tej samej chwili ujrzano chłopaka spadającego w dół. Chwytał się pnia i gałęzi, a potem upadł głową na dół, z otwartymi ramionami.
— Przekleństwo! — wykrzyknął oficer, przybiegając do niego.
Chłopiec leżał na wznak, z rozpostartymi ramionami, nieprzytomny; krew sączyła się z lewej strony jego piersi. Wachmistrz i dwóch żołnierzy zsiadło już z koni; oficer pochylił się nad pacholęciem i rozpiął mu koszulę: kula karabinowa przeszyła mu lewe płuco.
— Zginął! — wykrzyknął oficer.
— Nie, żyje jeszcze! — odpowiedział wachmistrz.

— Ach, biedny chłopak, dzielny chłopak — wołał oficer. — Odwagi! Odwagi!

Ale gdy wymawiał to słowo i przykładał mu chustkę do rany, chłopiec zamknął oczy i opuścił głowę na piersi: już nie żył.

Oficer pobladł, spoglądał na niego chwilę, potem położył go głową na murawie, wstał i wciąż wpatrywał się w niego. Także wachmistrz i dwaj żołnierze stali nieruchomo, patrząc na martwe dziecko. Wszyscy inni żołnierze siedzieli na koniach, zwróceni przeciw nieprzyjacielowi.

— Biedny chłopak! — powtórzył ze smutkiem oficer. — Biedny, dzielny chłopak!

Potem zbliżył się do chaty, zdjął z okna sztandar trójkolorowy i owinął nim, gdyby całunem, małe ciało martwe, zostawiając tylko twarz odkrytą. Wachmistrz położył obok zmarłego jego buciki, czapkę, kij i nożyk.

Stali jeszcze chwilę w milczeniu, potem oficer zwrócił się do wachmistrza i rzekł do niego:

— Przyślemy po niego ambulans wojskowy; zginął jak żołnierz, pochowają go żołnierze.

To powiedziawszy, przesłał ręką od ust pocałunek zmarłemu chłopczynie i zawołał:

— Na koń!

Wszyscy skoczyli na siodła, oddział uszykował się i udał się w swoją drogę.

A w kilka godzin później mały poległy odbierał honory wojskowe.

O zachodzie słońca przednie straże włoskie pomknęły się całą linią ku nieprzyjacielowi i tą samą drogą, którą przebył rano oddział konnicy, postępował teraz dwoma szeregami wielki batalion bersalierów, którzy przed kilku dniami walczyli mężnie na wzgórzu San Martino. Wiadomość o śmierci chłopca rozeszła się już między żołnierzami, zanim jeszcze opuścili obóz. Ścieżka, ciągnąca się wzdłuż strumienia, była oddalona zaledwie kilka kroków od owej chaty.

Gdy pierwsi oficerowie batalionu ujrzeli małego trupa leżącego u stóp jesionu, owiniętego w trójkolorowy sztandar, oddali mu pokłon szablami; jeden z nich pochylił się nad brzegiem strumienia, który był cały pokryty kwiatami, zerwali parę kwiatków i rzucili je zmarłemu chłopcu. W kilka chwil był chłopak cały pokryty kwiatami, a oficerowie i żołnierze, przechodząc obok, żegnali go ukłonem, mówiąc:

— Dzielny mały Lombardczyk!

— Żegnaj, szlachetny chłopcze!

— Żegnaj, jasnowłosy!

— Niech żyje sława!

— Żegnaj nam!

Jeden z oficerów rzucił mu swój medal waleczności, inny przystąpił, by ucałować jego martwe czoło. Deszcz kwiatów padał ciągle na jego bose nogi, na pierś skrwawioną, na jasną główkę. A on leżał jak gdyby spał na murawie, owinięty w chorągiew, z twarzą bladą, gdyby uśmiechającą się, biedny chłopiec! Zdawało się, że słyszy owe pozdrowienia i że jest szczęśliwy, iż mógł oddać życie za swoją ukochaną Lombardię.

UBODZY.

29. wtorek.

Oddać życie za swoją ojczyznę, jak to uczynił ów mały Lombardczyk, to zaiste wielka zasługa, ale nie zaniedbuj i mniejszych cnót, synu mój. Dziś rano, gdyśmy wracali ze szkoły, idąc przede mną, przeszedłeś obok ubogiej kobiety, która trzymała na kolanach dziecko blade i wynędzniałe i która cię prosiła o jałmużnę. — Spojrzałeś na nią i nie dałeś jej nic, jakkolwiek miałeś soldy w kieszeni.

Posłuchaj mnie, drogi synu. Nie przyzwyczajaj się do tego, aby przechodzić obojętnie obok nędzy, która wyciąga ku tobie błagalnie rękę, a tym mniej obok matki, która prosi o solda dla swego dziecięcia. Pomyśl, że może to dziecko cierpi głód, pomyśl o katuszach tej nieszczęsnej matki. Wyobraź sobie rozpaczliwe łkanie twej matki, gdyby ci musiała pewnego dnia powiedzieć: Henryku, dziś nie mam nic dla ciebie, nawet kawałka chleba!...

Gdy dam drobną jałmużnę żebrakowi i gdy on mi powie: — Niech Bóg da zdrowie pani i jej dzieciom! — nie możesz pojąć, jaką rozkosz odczuwam w sercu po tych słowach, jaką wdzięczność dla owego żebraka. Zdaje mi się wtedy, że to życzenie żebraka doprawdy zachowa nam zdrowie na długi czas, wracam do domu zadowolona i myślę: Ten biedak dał mi o wiele więcej, aniżeli ja jemu.

Czyń tedy, moje dziecko, abym ja słyszała niekiedy to dobre życzenie, wywołane i zasłużone przez ciebie; wyciągaj niekiedy solda z twej małej sakiewki i upuść go w rękę starca bez opieki, matki bez chleba dla dzieci, dziecka, które nie ma matki...

Ubodzy cieszą się bardzo z jałmużny, jaką otrzymują od dzieci, ponieważ ich nie upokarza i ponieważ dzieci, które również nie po-

siadają nic swego, są do nich bardzo podobne; widzisz, ilu jest ubogich dokoła szkół.

Jałmużna osób dorosłych jest czynem miłosierdzia; ale jałmużna z rąk dziecka jest zarazem czynem miłosierdzia i pieszczotą, rozumiesz mnie? Jest to, jak gdyby z dłoni twej upadł równocześnie sold i kwiat. Pomyśl, że tobie nie brak niczego, im zaś brak wszystkiego, że gdy ty pragniesz być szczęśliwym, oni pragną jedynie, by nie umrzeć z głodu. Pomyśl, jaka zgroza, że wśród tylu pałaców, na ulicach, którędy przejeżdżają karety i przechodzą dzieci w aksamitach, można spotkać kobiety i dzieci, które nie mają co jeść. Nie mieć co jeść! Boże mój! Chłopcy, jak ty; dobrzy, jak ty; rozumni, jak ty, którzy wśród wielkiego miasta nie mają co jeść, jak dzikie zwierzęta w pustyni!

O, mój Henryku, nie przechodź nigdy więcej obok matki żebrzącej, nie włożywszy jej choćby jednego solda do ręki".

Twoja matka.

GRUDZIEŃ.

HANDLARZ.

1. czwartek.

Mój ojciec życzy sobie, abym każdego dnia wolnego od nauki, zapraszał do domu jednego z moich kolegów albo abym go odwiedzał, aby w ten sposób zwolna zaprzyjaźnić się z wszystkimi. W niedzielę pójdę na przechadzkę z Votinim, owym wykwintnisiem, który się zawsze stroi i który tak zazdrośc Derossiemu. Dziś zaś przyszedł do nas Garoffi, ten długi i chudy, z nosem zakrzywionym jak dziob krogulczy, z małymi chytrymi oczkami, które zdają się zawsze czegoś szukać.

Ojciec jego handluje ziołami leczniczymi i innymi lekarstwami, on zaś jest wielki dziwak. Ma zwyczaj liczyć soldy, jakie ma w kieszeni, umie rachować bardzo szybko na palcach i wykonuje każde mnożenie bez pomocy tabliczki. Zbiera grosz do grosza i ma już książeczkę oszczędności w naszej szkolnej kasie. Skąpiec, nie wydaje nigdy ani jednego solda, a gdy mu upadnie centesym pod ławkę, będzie go szukał całymi tygodniami. Czyni jak sroka, powiada Derossi. Wszystko, co znajduje: zużyte pióra, używane znaczki pocztowe, szpilki, resztki świec, wszystko chowa. Zbiera znaczki pocztowe dłużej, ani żeli dwa lata, ma już ich kilka setek z różnych krajów, w dużym albumie, który sprzeda potem księgarzowi, gdy będzie pełny. Tymczasem księgarz daje mu zeszyty darmo, aby mu sprowadzał chłopców do jego sklepu.

W klasie handluje nieustannie, urządza codziennie sprzedaż różnych przedmiotów, loterię losową, zamianę, potem żałuje, gdy się zamienił i żąda na powrót swoich rzeczy. Co kupi za dwa soldy, sprzeda za cztery; grywa w piórka i nie przegra nigdy; sprzedaje stare gazety handlarzowi tabaką i ma notatnik, w którym zapisuje wszystkie swoje interesy, cały wypełniony cyframi, dodawaniem i odejmowaniem.

W szkole uczy się najchętniej arytmetyki, a medalu pragnie głównie w tym celu, aby mieć bezpłatny wstęp do teatru marionetek.

Mnie podoba się i bawi mnie.

Bawiliśmy się w targ, z wagami i ciężarkami: on zna dokładnie cenę wszystkich rzeczy, rozumie się na ciężarkach i robi sztuczne tutki papierowe, zupełnie, jak prawdziwy kupiec. Mówi, że gdy tylko ukończy szkołę, założy sobie sklep, jakiś nowy handel, który sam wymyśli. Ucieszył się bardzo, gdy mu dałem zagraniczne znaczki pocztowe i powiedział mi dokładnie, po jakiej cenie się sprzedaje każdy z nich dla zbiorów. Mój ojciec udawał, że czyta dziennik, ale widziałem, że przysłuchuje się mu i że go to bawi.

Ma zawsze kieszenie napełnione swoimi drobnymi towarami, które pokrywa swym długim płaszczem czarnym i wydaje się ciągle zamyślony i zaaferowany, jak kupiec. Najbardziej leży mu na sercu jego zbiór znaczków pocztowych, to jego skarb prawdziwy i ciągle o nim mówi, jak gdyby miał na nim zrobić majątek. Koledzy nazywają go sknerą, lichwiarzem. Ja nie chcę wydawać o nim mego sądu. Lubię go, gdyż uczę się od niego wielu rzeczy i wydaje mi się już dorosłym mężczyzną. Coretti, syn handlarza drzewem, mówi o nim, że nie dałby swoich znaczków pocztowych, nawet gdyby szło o ocalenie życia matki. Ojciec mój jednak nie wierzy temu.

— Wstrzymaj się jeszcze z sądem o nim — rzekł do mnie. — Ma wprawdzie tę namiętność, ale ma i serce.

PRÓŻNOŚĆ.

5. poniedziałek.

Wczoraj udałem się na przechadzkę przez aleję Rivoli, wraz z Votinim i jego ojcem. Przechodząc przez ulicę Dora Grassa, ujrzeliśmy Stardiego, tego, co to daje szturchańce tym, którzy mu przeszkadzają w szkole. Stał nieruchomy przed oknem wystawowym księgarni, z oczyma utkwionymi w mapę geograficzną. Kto wie, jak długo był już na tym miejscu, albowiem on uczy się także na ulicy; ledwie się nam odkłonił, ten nieokrzesany prostak.

Votini był pięknie ubrany, nawet przesadnie wystrojony: miał safianowe buciki, czerwono wyszywane, haftowaną kurtkę z jedwabnym szamerowaniem, biały pilśniowy kapelusz i zegarek. A jak się nadymał. Ale próżność jego wyszła mu tym razem na złe.

Uszedłszy dobry kawałek alei i zostawiwszy daleko w tyle ojca Votiniego, który szedł bardzo powoli, zatrzymaliśmy się przy kamiennej ławeczce, obok chłopca skromnie ubranego, który wydawał się znużony i siedział zamyślony, z głową w dół spuszczoną. Jakiś pan, niezawodnie jego ojciec, chodził tam i na powrót pod drzewami i czytał gazetę. Usiedliśmy na ławeczce. Votini usiadł między mną a owym chłopcem. I zaraz przyszło mi na myśl, że jest tak pięknie ubrany i zapragnął obudzić podziw i zazdrość w owym nieznajomym chłopcu. Podniósł tedy nogę i zapytał mnie:

— Czy widziałeś moje buciki oficerskie?

Powiedział to umyślnie, aby tamten drugi się na nie popatrzył. Ale tamten nie zwracał uwagi.

Wtedy spuścił nogę i pokazał mi swoje jedwabne szamerowanie i rzekł do mnie, spoglądając spod oka na swego sąsiada, że to szamerowanie nie podoba mu się i że chce je zastąpić srebrnymi guzikami. Ale ów chłopak nie spojrzał nawet i na szamerowanie.

Tak samo i piękny biały kapelusz pilśniowy, którym Votini się chełpił z kolei, nie ściągnął na siebie spojrzenia owego chłopaka.

Votini począł się teraz niecierpliwić, wydobył z kieszeni zegarek, otworzył go i pokazywał mi kółka i sprężyny. Ale ów chłopak nie zwrócił ku nam głowy.

— Czy to pozłacane srebro? — zapytałem.

— Nie — odpowiedział mi — to złoto.

— Ależ cały nie może być ze złota — zauważyłem. Musi być w nim i nieco srebra.

— Nie — odpowiedział ponownie Votini. I aby zmusić nieznajomego chłopca do patrzenia, podsunął mu zegarek pod twarz i zapytał go:

— Spojrzyj i powiedz sam, wszak prawda, że jest cały ze złota?

Ale ów chłopiec odpowiedział krótko:

— Nie wiem.

— Ho, ho! — wykrzyknął Votini z gniewem. — Jaka pycha!

Gdy to mówił, zbliżył się tymczasem ojciec jego, który usłyszał te wyrazy; spojrzał chwilę bystro na owego nieznajomego chłopaka, potem rzekł porywczo synowi swemu: — Milcz! — a pochyliwszy się mu do ucha, dodał: — Ten chłopiec jest niewidomy!

Votini zerwał się z miejsca z przestrachem i spojrzał chłopcu w twarz. Miał źrenice szkliste, bez wyrazu bez spojrzenia.

Votini zawstydził się bardzo. Stał w milczeniu, z oczyma spuszczonymi ku ziemi. Potem wyjąkał:

— Żałuję bardzo... nie wiedziałem o tym.

Ale niewidomy chłopczyk, który zrozumiał wszystko, rzekł z łagodnym i smutnym uśmiechem:

— O, nic nie szkodzi.

Votini jest wprawdzie próżny, ale nie ma złego serca. Podczas całej przechadzki nie śmiał się już więcej.

PIERWSZY ŚNIEG.

10. sobota.

Żegnajcie mi, przechadzki na Rivoli. Oto piękny przyjaciel chłopców, oto pierwszy śnieg!

Już od wczorajszego wieczora pada gęstymi i dużymi płatkami, podobnymi do kwiatów jaśminu. Była to rozkosz, dziś rano w szkole, patrzeć, jak obsypywał szyby okien i gromadził się na gzymsach. Także i nauczyciel spoglądał nań i zacierał ręce i wszyscy byli zadowoleni, myśląc o kulach ze śniegu i o lodzie, który nam da ślizgawkę i o ogniu na kominku w domu. Tylko jeden Stardi nie zwracał nań uwagi, cały zatopiony w lekcji, podpierając głowę obydwiema rękoma.

A jaka to była piękność, jaka radość, gdyśmy wychodzili ze szkoły! Wszyscy biegli ulicą, krzycząc i hałasując, nabierając pełne garście śniegu, to znów zanurzając się w kupy śniegu, jak małe pieski w wodę.

Rodzice, którzy czekali na dworze, mieli parasole białe od śniegu, strażnik miejski miał hełm biały, wszystkie nasze tornistry w kilka minut były całe białe. Byliśmy wszyscy gdyby oszalali z radości; nawet Precossi, syn kowala, ów blady chłopiec, który się nigdy nie śmieje i Robetti, ten, co ocalił dziecko spod kół omnibusu, skakał biedak na swoich kulach. Kalabryjczyk, który nigdy nie miał śniegu w rękach, ugniótł z niego kulkę i począł ją jeść, jak brzoskwinię. Crossi, syn handlarki jarzyn, napełnił nim sobie tornister, a murarczyk pobudził nas do śmiechu, gdy mój ojciec go zaprosił, aby przyszedł do nas jutro; miał pełne usta śniegu, nie śmiał go wypluć, nie mógł połknąć, stał przeto, dusząc się i nie mógł odpowiadać, tylko patrzył na mego ojca.

Także i nauczycielki wybiegły szybko ze szkoły, śmiejąc się. I moja nauczycielka z pierwszej klasy wyższej biegła biedaczka wśród zawieruchy śnieżnej, kryjąc twarz zieloną woalką i pokaszlując. A tymczasem około sto dziewcząt wybiegło z przyległej sekcji żeńskiej i pędziło galopem, piszcząc i hałasując, po tym białym kobiercu, a nauczyciele, pedelowie i strażnicy miejscy krzyczeli: — Do domu! Do domu! —

Płatki śniegu bieliły im wąsy i brody, a oni sami śmieli się również z tej psoty uczniów, którzy tak radośnie witali nadejście zimy.

* * *

Wy się cieszycie z nadejścia zimy... Ale są chłopcy, którzy nie mają ani płaszczy, ani obuwia, ani ognia w domu. I są znów tysiące chłopców, którzy idą z wiosek daleką drogą do szkoły, niosąc w rękach, odmrożonych do krwi, polano, aby ogrzać szkolną izbę. Są setki szkół, prawie pogrzebanych w śniegu, nagich i ponurych jak jaskinie, gdzie chłopcy duszą się od dymu i szczękają zębami od zimna, patrząc z trwogą na białe płatki śniegu, które padają bez końca, które sypią się bez przerwy na ich oddalone chaty, grożąc lawinami. Wy radujecie się zimą, chłopcy. Pomnijcie, że są tysiące istot, którym zima niesie nędzę i śmierć.

Twój ojciec.

MURARCZYK.

11. niedziela.

Murarczyk przyszedł dziś do nas w odwiedziny, w ubraniu przerobionym z ubrania ojcowskiego, gdzieniegdzie poplamionym gipsem i wapnem. Mój ojciec życzył sobie tych odwiedzin jeszcze więcej ode mnie. Ucieszyłem się bardzo jego przybyciem. Gdy tylko wszedł, zaraz zdjął swój kapelusz zniszczony, cały skąpany w śniegu i schował go do kieszeni; potem szedł przez pokój swoim krokiem ociężałym strudzonego robotnika, zwracając to w tę, to w tamtą stronę twarz okrągłą, jak jabłko, z nosem podobnym do kulki; a gdy był w sali jadalnej, rzucił dokoła spojrzenie na meble i utkwił oczy na obrazie przedstawiającym Rigoletta, garbatego trefnisia, zrobił pyszczek zajęczy... Niepodobna wstrzymać się od śmiechu, gdy się widzi jak on robi pyszczek zajęczy.

Zaczęliśmy się bawić stawianiem klocków drewnianych: ma niezwykłą zręczność w stawianiu wież i mostów, które zdają się trzymać gdyby cudem i pracuje przy tym z powagą i cierpliwością dorosłego człowieka. Między jedną wieżą a drugą opowiadał mi o swej rodzinie: mieszkają na poddaszu, ojciec jego uczęszcza na naukę wieczorną, gdzie uczy się czytać.

Rodzice muszą go kochać, widać to, bo chociaż jest ubrany ubogo, ale dobrze zabezpieczony od zimna, ma ubranie starannie naprawione, na szyi ciepły szalik, zawiązany ręką matczyną. Opowiadał mi, że ojciec jego jest bardzo wysoki, istny olbrzym, który musi się chylić, aby przejść przez drzwi; ale jest dobry i nazywa zawsze syna „pyszczkiem zajęczym"; syn natomiast jest bardzo niski.

O czwartej dano nam na podwieczorek chleb z powidłami, który spożyliśmy siedząc, na kanapie a gdyśmy wstali, nie wiem dlaczego,

ojciec nie pozwolił, aby wyczyścił białą plamę, którą murarczyk zrobił na poręczy swoją zawapnioną kapotą: wstrzymał moją rękę i później sam ukradkiem wyczyścił poręcz kanapy.

Podczas zabawy murarczykowi urwał się guzik od kapoty i matka przyszyła mu go, on zaś zaczerwienił się i stał zdziwiony i zmieszany, patrząc na nią szyjącą i ledwie śmiał oddychać. Potem dałem mu do przeglądania album z karykaturami, a on bezwiednie naśladował wykrzywienia różnych twarzy tak wybornie, że nawet ojciec śmiał się. Był tak zadowolony z odwiedzin, że gdy wychodził, zapomniał wdziać na głowę swój podarty kapelusz, a gdy byliśmy już na podwórzu, aby mi pokazać swą wdzięczność, zrobił raz jeszcze pyszczek zajęczy. Nazywa się Antoni Rabucco i ma osiem lat i osiem miesięcy...

* *

Czy wiesz, mój synu, dlaczego nie chciałem, abyś czyścił kanapę? Bo gdybyś ją był czyścił w ten sposób, aby twój kolega to widział, mógłby to uważać za wyrzut, że ją splamił. A to nie byłoby dobrze z dwóch powodów: po pierwsze nie uczynił tego umyślnie, po drugie zabielił kanapę ubraniem swego ojca, który splamił je wapnem przy pracy. A to, co się z pracy przynosi, nigdy nie jest brudem: jest kurzem, wapnem, czymkolwiek chcesz, ale nigdy brudem. Praca bowiem nigdy nie brudzi. Nie mów nigdy o robotniku, który wraca z pracy: — Jest brudny. — Powinieneś powiedzieć: — Ma na ubraniu ślady swej — pracy. Pamiętaj o tym. I chciałbym, abyś tego murarczyka lubił, raz, że jest twoim kolegą, po wtóre dlatego, ponieważ jest synem robotnika.

Twój ojciec.

ŚNIEŻNA KULA.

16. piątek.

A śnieg pada bez ustanku.

Zdarzył się przykry wypadek ze śniegiem dziś rano, gdyśmy wychodzili ze szkoły. Gromadka chłopców, wypadłszy na Corso, zaczęła rzucać kulami ze śniegu, śnieg już topniał i kule z niego były twarde i ciężkie jak kamień.

Dużo ludzi przechodziło chodnikiem. Jakiś pan krzyknął: — Na bok urwisze! — a w tej samej chwili dał się słyszeć przeraźliwy krzyk po drugiej stronie ulicy i widać było starca, słaniającego się, któremu kapelusz spadł z głowy i który zakrył sobie twarz rękoma. Obok niego stał jakiś chłopiec i wołał:

— Na pomoc! Na pomoc!

Zbiegli się ludzie z różnych stron. Staruszka kula ugodziła w oko. Chłopcy w mgnieniu oka rozbiegli się jak strzały. Ja stałem przed sklepem księgarza, dokąd wszedł mój ojciec i widziałem, jak nadbiegło pędem kilku moich kolegów, którzy się zmieszali z innymi, stojącymi obok mnie i udawali, że także przypatrują się wystawie sklepowej. Byli to Garrone ze swoim zwykłym bochenkiem chleba w kieszeni, Coretti, murarczyk i Garoffi, ów zbieracz znaczków pocztowych.

Tymczasem dokoła starca zebrał się tłum, a policjant i inni ludzie biegli tędy i owędy, grożąc i zapytując:

— Kto to zrobił? Kto to był taki? Czy to ty? Powiedzcie kto to był — i spoglądali chłopcom na ręce, czy były mokre od śniegu. Garoffi stał tuż obok mnie; zauważyłem, że drży cały i ma twarz trupio bladą.

— Kto to zrobił? Kto rzucił kulę? — krzyczą dokoła nas ludzie.

Wtedy usłyszałem, jak Garrone szepnął do Garoffiego:

— Idź i przyznaj się otwarcie do czynu. Byłoby podłością z twej strony, gdybyś dopuścił, aby zamiast ciebie przytrzymali kogoś niewinnego.

— Ależ nie uczyniłem tego rozmyślnie, — odpowiedział Garoffi, drżąc jak liść osiki.

— To nic nie znaczy, spełnij twój obowiązek, powtórzył Garrone.

— Kiedy nie mam odwagi...

— Nie bój się, ja idę z tobą.

A tymczasem policjant i inni wołali coraz głośniej:

— Kto to zrobił? Kto to taki? Wbili mu w oko szkło z okularów! Oślepili go! Zbóje!

Myślałem, że Garoffi zapadnie się w ziemię.

— Chodź, — rzekł do niego tonem stanowczym Garrone — ja cię będę bronił.

I ująwszy go za ramię, popchnął go naprzód, podtrzymując go jak chorego.

Ludzie to zobaczyli, zrozumieli natychmiast wszystko i kilku przybiegło z podniesionymi pięściami. Ale Garrone zasłonił go sobą i krzyknął:

— Cóż to? Dziesięciu was rzuca się na jednego chłopca?

Wtedy się wstrzymali, a policjant ujął Garoffiego za rękę i poprowadził go przez tłum do sklepu z makaronem, gdzie opatrywano rannego. Gdy go zobaczyłem, poznałem natychmiast starego urzęd-

nika, który mieszka na czwartym piętrze naszego domu, wraz z swym synowcem. Siedział na wygodnym krześle i miał oczy zawiązane chusteczką.

— Nie uczyniłem tego rozmyślnie, — mówił szlochając Garoffi, na pół umarły ze strachu — nie rozmyślnie.

Kilka osób trąciło go gwałtownie do sklepu, krzycząc:

— Czołem do ziemi- Proś go o przebaczenie!

I rzucili go na podłogę. Ale w tejże chwili dwoje silnych ramion podniosło go i odezwał się głos pełen energii:

— Nie, moi panowie!

Był to nasz dyrektor, kóry był świadkiem całego zajścia.

— Skoro miał odwagę przyznać się, — mówił dalej — nikt nie ma prawa poniżać go.

Wszyscy stali w milczeniu.

— Proś o przebaczenie, — rzekł dyrektor do Garoffiego, który wybuchł płaczem i ucałował kolana starca. Ten zaś poszukawszy dłonią jego głowy, pogłaskał go po włosach.

Wtedy wszyscy powiedzieli z wzruszeniem:

— Idź, chłopcze, idź! Możesz wrócić do domu!

Mój ojciec pociągnął mnie z dala od tłumu i mówił do mnie w drodze:

— Henryku, powiedz mi, czy w podobnym wypadku miałbyś odwagę spełnić twój obowiązek, stanąć i przyznać się otwarcie do winy?

Odpowiedziałem, że tak.

A ojciec mówił dalej:

— Daj mi słowo szlachetnego i honorowego chłopca, że postąpiłbyś w ten sposób.

— Daję ci moje słowo, drogi ojcze.

NAUCZYCIELKI.

17. sobota.

Dziś rano oczekiwał Garoffi z wielką trwogą surowej kary od nauczyciela, ale nauczyciel nie zjawił się w szkole, a ponieważ suplenta również nie było, przyszła do klasy pani Cromi, najstarsza z nauczycielek, która ma już dwóch dużych synów i uczyła czytać i pisać niejedną panią, która teraz przychodzi po swego chłopca do naszej szkoły. Była dziś smutna, ponieważ syn jej jest chory.

Gdy tylko chłopcy ją zobaczyli, poczęli wyprawiać krzyki. Ale ona rzekła głosem cichym i spokojnym:

— Szanujcie moje siwe włosy: jestem nie tylko nauczycielką, ale także matką.

I wtedy nikt nie śmiał się już odzywać, nawet ów Franti ze śniadą twarzą, który poprzestał na tym, by ukradkiem błaznować.

Do klasy pani Cromi zaś posłano pannę Delcati, nauczycielkę mego brata, a na miejsce panny Delcati nauczycielkę, którą powszechnie nazywają „mniszką", ponieważ jest zawsze czarno ubrana, ma czarny fartuszek, twarz szczupłą i bladą, włosy gładko uczesane, oczy jasne i pogodne, a głosik tak cichy, że gdy mówi, zdaje się, jak gdyby szeptała pacierze.

A co jest najdziwniejsze, mówi moja matka: osoba taka cicha i bojaźliwa, z tym swoim słabym głosem, zawsze jednostajnym, który ledwie słyszeć można, osoba, która nigdy nie krzyczy ani się nie gniewa, umie jednak trzymać chłopców tak, że zachowują się bardzo spokojnie, a nawet najwięksi łobuzy pochylają w milczeniu głowę, gdy im pogrozi palcem; klasa jej wydaje się gdyby kościół i dlatego też nazywają ją mniszką.

Jest jeszcze inna nauczycielka, którą bardzo lubię; jest ona z pierwszej klasy niższej, nr 3. Młoda panna z twarzyczką jak róża, ma dwa piękne dołeczki w policzkach i nosi duże pióro czerwone na kapeluszu, a bursztynowy krzyżyk zawieszony u szyi. Jest zawsze wesoła i w klasie jest jej również wesoło. Ciągle się uśmiecha i krzyczy swoim srebrnym głosikiem, który brzmi jak śpiew; uderzą laseczką o stół i klaszcze w dłonie, aby nakazać malcom swoim milczenie; gdy zaś wychodzą ze szkoły, biegnie jak mała dziewczynka to za jednym, to za drugim, by ich ustawić w szeregu; temu poprawia kołnierz, tamtemu zapina płaszczyk, aby się nie przeziębił; idzie za nimi aż na ulicę, aby się nie pokłócili, wstawia się za nimi do rodziców, by ich nie karali w domu, zanosi pastylki tym, którzy kaszlą, pożycza zarękawek, gdy któremu zimno w ręce.

Ustawicznie dręczą ją najmniejsi uczniowie, ci którzy domagają się u niej pieszczot, ciągną ją za welon i za mantylkę; ale ona pozwala im na to wszystko i całuje ich, śmiejąc się i wraca do domu codziennie z włosami rozczochranymi, zdyszana, ale uśmiechnięta i zadowolona, ze swymi pięknymi dołeczkami na twarzy i ze swym czerwonym piórem na kapeluszu. Jest także nauczycielką w szkole dla dziewcząt i pracą swoją utrzymuje matkę i brata.

W DOMU ZRANIONEGO.

18. niedziela.

Przy nauczycielce z czerwonym piórem jest mały synowiec starego urzędnika, tego samego, którego Garoffi zranił w oko kulą śniegu i widzieliśmy go dzisiaj w domu jego stryja, którego tak kocha, jak rodzonego syna.

Skończyłem właśnie pisać opowiadanie miesięczne na przyszły tydzień, „Mały pisarczyk z Florencji", które nauczyciel dał mi do odpisania, a ojciec powiedział mi wtedy:

— Chodźmy na czwarte piętro zobaczyć, co się dzieje z okiem tego pana.

Weszliśmy do pokoju prawie całkiem ciemnego, gdzie ten stary pan leżał, a raczej siedział na łóżku, obłożony kilku poduszkami wysoko pod plecy. W głowie łóżka siedziała jego żona, a w kącie pokoju bawił się jego mały synowiec.

Stary pan miał zawiązane oko.

Ucieszył się bardzo z przybycia mego ojca, prosił go, aby usiadł i opowiadał mu, że ma się lepiej, że oko nie tylko nie jest stracone, ale za kilka dni będzie zupełnie wyleczone.

— Był to nieszczęśliwy wypadek, — dodał. — Bardzo mi żal, że ten biedny chłopak tak się przestraszył.

Potem mówił o lekarzu, który miał właśnie teraz przyjść i opatrzyć oko. Wtem odezwał się dzwonek u drzwi.

— To niezawodnie lekarz — rzekła pani.

Drzwi się otwierają... Kogo widzę?

Na progu stoi nieruchomy Garoffi, w swoim długim płaszczu, z głową pochyloną i nie ma odwagi wejść do pokoju.

— Kto tam? — pyta chory.

— To ów chłopiec, który rzucił kulę śnieżną — odpowiada mój ojciec.

A starzec odzywa się na to;

— Przybliż się, biedny chłopcze; przyszedłeś też zasięgnąć wiadomości o stanie zdrowia ranionego, wszak prawda? Mam się lepiej, bądź spokojny, mam się lepiej, jestem już prawie wyleczony. Chodź tu do mnie.

Garofffi tak był zmieszany, że ledwie mógł się zbliżyć do łóżka i z trudem wstrzymywał się od płaczu; starzec głaskał go i pieścił, on jednak nie mógł przemówić słowa.

— Dziękuję ci, — rzekł w końcu starzec — powiedz ojcu i matce, że wszystko jest dobrze i że nie mają się czego kłopotać.

Ale Garoffi nie odchodził, widoczne było, że chce jeszcze coś powiedzieć i że nie ma odwagi. Stary pan zapytał:

— Czy chcesz mi coś jeszcze powiedzieć? Czy masz jeszcze jakie życzenie?

— Ja... nie.

— A więc bądź zdrów, chłopcze, do widzenia, możesz być zupełnie spokojny.

Garoffi podszedł ku drzwiom, ale tam się zatrzymał, obrócił się do małego synowca, który szedł za nim i patrzył na niego ciekawie.

Nagle wydobył spod płaszcza jakiś przedmiot, włożył go chłopcu w rękę, mówiąc pośpiesznie:

— To dla ciebie, — i wybiegł na dwór.

Chłopczyna przyniósł ten przedmiot stryjowi; był to pakiet z napisem „Daruję ci to". Zaglądają do środka i wydają okrzyk zdumienia. Było to owo sławne album, zawierające zbiór znaczków pocztowych, ów zbiór, o którym zawsze mówił, na którym pokładał tak wielkie nadzieje i który go kosztował tyle trudów. Był to jego skarb, połowa jego życia, a jednak biedny chłopiec oddawał go, aby okupić w ten sposób swoją winę.

MAŁY PISARCZYK Z FLORENCJI.

(Opowiadanie miesięczne.)

Uczęszczał do czwartej klasy szkoły elementarnej. Był to piękny Florentyńczyk dwunastoletni, z czarnymi włosami i białą twarzą, najstarszy syn urzędnika kolejowego, który, mając liczną rodzinę a szczupłą pensję, żył w niedostatku.

Ojciec kochał go bardzo, był dla niego dobry i pobłażliwy: pobłażliwy we wszystkim, oprócz tego, co dotyczyło szkoły. W tym jednym względzie był surowy i wymagał wiele, ponieważ chłopiec musiał jak najprędzej kończyć nauki i objąć jakiś urząd, aby móc wspierać rodzinę. Aby zaś rychło dojść do czego, trzeba tęgo pracować i nie wolno marnować czasu. Chociaż więc chłopak sam uczył się pilnie, ojciec go jeszcze mimo to napędzał do nauki. Sam był już niemłody, a wskutek ciężkiej pracy postarzał się przedwcześnie.

Niemniej jednak, pomimo ciężkiej pracy w swoim urzędzie, aby nastarczyć potrzebom rodziny, przyjmował jeszcze tu ówdzie jaką

poboczną robotę, zwykle jakieś przepisywanie, nad którym spędzał nieraz znaczną część nocy przy stoliku.

W ostatnich czasach podjął się u pewnej firmy wydawniczej, która wydawała dzienniki i książki, zapisywanie na opaskach nazwiska i adresu abonentów i zarabiał po trzy liry za pięćset takich opasek, zapisanych pismem dużym i czytelnym.

Ale ta praca męczyła go bardzo i skarżył się na nią często przed swą rodziną przy obiedzie.

— Niszczę sobie wzrok, — mawiał — ta praca nocna dobija mnie.

Aż pewnego razu rzekł do niego ów syn najstarszy:

— Ojcze, pozwól mi, abym robił tę pracę za ciebie; wiesz, że mam pismo podobne do twego.

Ale ojciec odpowiedział mu:

— Nie, mój synu, ty musisz się przede wszystkim uczyć; twoja szkoła jest o wiele ważniejsza, aniżeli pisanie moich opasek. Miałbym wyrzuty sumienia, gdybym ci zabrał choćby tylko jedną godzinę. Dziękuję ci, ale nie chcę przyjąć twej ofiary i nie mówmy więcej o tym.

Syn wiedział, że w takich rzeczach ojciec jest nieustępliwy i wszelkie naleganie bezskuteczne nie nalegał więc.

Ale oto, co uczynił.

Wiedział, że ojciec dokładnie o północy przestaje pisać i idzie ze swej małej izdebki do sypialni. Kilkakrotnie słyszał to: gdy wybiła na wielkim zegarze ściennym godzina dwunasta, ojciec odsuwał krzesło od stołu, a potem słychać było jego powolne kroki.

Otóż pewnej nocy przeczekał, aż ojciec będzie w łóżku, ubrał się po cichutku, poszedł po omacku do izby ojca, zaświecił na powrót lampę naftową, usiadł przy biurku, na którym leżał stos białych opasek i lista adresów i począł pisać, naśladując dokładnie pismo swego ojca.

Pisał ochoczo, z zadowoleniem, chociaż się nieco obawiał, a opaski zapisane piętrzyły się przed nim. Od czasu do czasu odkładał pióro na bok, zacierał ręce, a potem znów rozpoczynał pracę z jeszcze większą gorliwością, nastawiając ucha i uśmiechając się z zadowoleniem.

Napisał już sto sześćdziesiąt adresów, zarobił lira.

Przestał pisać, odłożył pióro na swoje miejsce, zgasił lampę i powrócił na palcach do swego łóżka.

Tego dnia w południe ojciec zasiadł do stołu w wybornym humorze. Nie zauważył niczego. Wykonywał tę robotę machanicznie, mierząc ją godzinami i nie myśląc o niczym i dopie na drugi dzień liczył zapisane opaski.

Siedział tedy przy stole zadowolony i klepiąc syna po ramieniu, rzekł do niego:

— Wiesz, Julku, ojciec twój jest jeszcze lepszym pracownikiem, aniżeli myślałeś. W dwie godziny zrobiłem wczoraj wieczór o trzecią część więcej aniżeli zwykle. Ręka moja jest jeszcze żwawa i oczy, Bogu dzięki, jeszcze mi dopisują.

A Julek uradowany milczał i tylko myślał sobie w duchu:

— Biedny ojciec, nie tylko pomagam mu w zarobku, ale sprawiam mu także to zadowolenie, że się czuje młodszy i silniejszy. A więc, odwagi.

Zachęcony tym powodzeniem, następnej nocy, gdy wybiła dwunasta godzina, ponownie zabrał się do roboty. I tak czynił przez wiele nocy. A ojciec wciąż nic nie spostrzegał. Raz tylko, wychodząc po wieczerzy, rzekł z westchnieniem:

— Dziwna rzecz, ile nafty wypala się u nas od niejakiego czasu.

Julek drgnął, ale rozmowa na tym się urwała. A praca nocna szła dalej!

Jednak, przerywając sobie sen każdej nocy, Julek nie wypoczywał dostatecznie, rano wstawał znużony, a wieczorem, robiąc zadania do szkoły, z trudem miał oczy otwarte. Pewnego wieczora — pierwszy raz w życiu — zasnął nad zeszytem.

— Chłopcze wykrzyknął ojciec, klaszcząc w dłonie — co to jest, dalej do roboty!

Chłopiec wstrząsnął się i zabrał się znów do pracy.

Ale następnego wieczora i w następnych dniach powtórzyło się znów to samo i było gorzej jeszcze: drzemał nad książkami, wstawał później, aniżeli zwykle, uczył się lekcyj, aby się zbyć, wydawał się zniechęcony do nauki.

Ojciec począł na niego uważać, zastanawiać się, a w końcu czynił mu wyrzuty z powodu lenistwa. Nie wiedział, jakie one są niesłuszne!

— Julku, rzekł do niego pewnego poranku — nie poznaję cię. Nie jesteś już ten sam, co dawniej. To mnie bardzo martwi. Pomnij, że cała nadzieja rodziny polega na tobie. Jestem z ciebie bardzo niezadowolony. Rozumiesz mnie?

Ta nagana, po raz pierwszy wypowiedziana rzeczywiście surowym głosem, dotknęła mocno biednego chłopca.

— Prawda — pomyślał w duchu. — Tak dalej iść nie może. Trzeba, aby to złudzenie się skończyło.

Ale wieczorem tego samego dnia, po wieczerzy, ojciec, wychodząc z domu, rzekł z wielkim zadowoleniem:

— Wiecie, że w tym miesiącu, na zapisywaniu opasek, zarobiłem trzydzieści dwa lirów więcej, aniżeli w miesiącu ubiegłym.

To powiedziawszy, wydobył z szuflady paczkę cukierków, które kupił, aby sprawić dzieciom uciechę z powodu tak nadzwyczajnego zarobku i które wszyscy przyjęli klaskaniem w dłonie.

Wtedy Julek nabrał znów otuchy i rzekł sobie w duchu:

— Nie, biedny ojcze, nie przestanę cię dalej łudzić. Będę czynił większe wysiłki, aby się uczyć w dzień, ale będę dalej pracował w nocy dla ciebie i dla naszej rodziny.

Ojciec zaś mówił dalej:

— Trzydzieści dwa lirów więcej, to coś znaczy. Jestem uradowany... Ale ten oto chłopak — wskazał na Julka — sprawia mi zmartwienie.

A Julek przyjął tę naganę w milczeniu, wstrzymując łzy, które mu się do oczu cisnęły, równocześnie jednak czuł w sercu wielką słodycz.

I pracował dalej z natężeniem. Ale to ustawiczne męczenie się wyczerpywało jego siły.

Tak trwały te rzeczy dwa miesiące. Ojciec wciąż ganił syna i spoglądał na niego coraz bardziej gniewnym wzrokiem. Pewnego dnia poszedł do nauczyciela, aby zasięgnąć o Julku informacji, a nauczyciel odpowiedział mu:

— Owszem, przychodzi do szkoły przygotowany, bo to chłopak zdolny i inteligentny. Ale nie ma już tego zapału do nauki, co dawniej. Drzemie w klasie, poziewa jest roztargniony. Wypracowania jego są krótkie, pisane na prędce, pismo niestaranne. Przy dobrej woli, jestem tego pewny, mógłby o wiele więcej osiągnąć.

Tego wieczora ojciec wziął chłopaka na bok i rzekł do niego tonem jeszcze poważniejszym i surowszym:

— Julku, widzisz, jak ja pracuję, jak się męczę dla rodziny. Ty jednak nie chcesz mi pomagać. Nie masz serca dla mnie, ani dla twoich braci, ani dla matki.

— O, nie mów tego, ojcze, krzyknął Julek, wybuchając płaczem i już otwierał usta, aby wyjawić całą prawdę. Ale ojciec przerwał mu i rzekł:

— Znasz dobrze położenie naszej rodziny, wiesz, ile tu trzeba dobrej woli i poświęcenia ze strony wszystkich. Ja sam, widzisz, pragnąłbym podwoić moją pracę. Tego miesiąca liczyłem, że otrzymam od kolei gratyfikację stu lirów, dziś jednak dowiedziałem się, że nic z tego.

Na tę wiadomość, Julek powstrzymał w sobie wyznanie, które miało mu się wymknąć przez usta i rzekł do siebie w duchu stanowczo:

— Nie, ojcze, nic ci nie powiem; będę strzegł tajemnicy, aby móc pracować dla ciebie; tę boleść, jaką ci sprawiam, wynagradzam ci w inny sposób; dla szkoły będę się zawsze dość uczył, aby zyskać promocję. Najważniejszą rzeczą jest pomagać ci, abyś zarabiał na życie i ulżyć ci w pracy, która cię zabija.

Postępował tedy dalej w ten sam sposób i upłynęło znów dwa miesiące nocnej pracy i znużenia w dzień, rozpaczliwych wysiłków syna i gorzkich wyrzutów ze strony ojca. Ale najgorsze było to, że ojciec stawał się dla syna coraz oziębiejszy, rzadko tylko odzywał się do niego, jak gdyby to był chłopiec niepoprawny, po którym nie można było niczego się spodziewać, unikał nawet jego spojrzenia.

Julek zauważył to i cierpiał z tego powodu, a kiedy ojciec odwracał się od niego, przesyłał mu ukradkiem pocałunek od ust, nieśmiały, podnosząc ku niemu twarz z wyrazem tkliwego przywiązania i smutku; a wskutek tego zmartwienia i tej mozolnej pracy schudł i pobladł na twarzy i coraz bardziej był zmuszony zaniedbywać się w nauce. Zrozumiał wreszcie, że będzie musiał pewnego dnia skończyć tę tajemną pracę i co wieczór mówił sobie w duchu:

— Tej nocy już nie wstanę do pisania, wyśpię się...

Ale gdy wybiła dwunasta godzina, zamiast utwierdzić się stanowczo w swoim postanowieniu, odczuwał wyrzuty sumienia, zdawało mu się, że gdy zostanie w łóżku, uchybi swemu obowiązkowi, ukradnie lira ojcu i rodzinie.

Wstawał tedy cicho i myślał, że którejś nocy ojciec jego przecież się obudzi i zastanie go przy pracy albo też, że zauważy kiedyś jego podstęp, przeliczywszy z wieczora zapisane opaski i wtedy wszystko się wyda i skończy w sposób naturalny, bez aktu jego woli, na który nie miał odwagi zdobyć się. I tak ciągnęło się dalej.

Ale pewnego wieczora, przy kolacji, ojciec wyrzekł słowa, które wywarły na chłopcu wpływ stanowczy. Stało się to zaś w sposób następujący: Matka spojrzała na Julka, a widząc, że jest bledszy i wygląda mizerniej, niż zwykle, rzekła do niego:

— Julku, tyś chory, moje dziecko.

A potem, zwracając się do ojca, dodała z trwogą:

— Julek jest chory, spojrzyj jaki blady! Julku mój drogi, jak się czujesz?

Ojciec rzucił na niego przelotne spojrzenie i odpowiedział:

— Kto ma złe sumienie, nie może być zdrów. Było zupełnie inaczej, kiedy był pilnym uczniem i kochającym synem.

— Ależ on chory! — wykrzyknęła matka.

— Nic mnie to już nie obchodzi — odpowiedział ojciec.

Te słowa dotknęły boleśnie biednego chłopca, gdyby nożem w serce. Ojciec stał się dla niego obojętny, ojciec, który drżał niegdyś, gdy go słyszał kaszlącego, nie kochał go już teraz. Nie było wątpliwości, miłość ku niemu zgasła w sercu ojca...

— O, nie, drogi ojcze- — mówił sobie w duchu chłopiec, a serce jego ścisnęła niewysłowiona trwoga — teraz doprawdy wszystko się skończyło, gdyż bez twej miłości nie mogę żyć, czuję to w duszy. Wyjawię ci wszystko, nie będę cię więcej zwodził, będę się uczył, jak dawniej. Niech się dzieje, co chce, bylebyś znów mnie kochał, mój biedny ojcze. O, tym razem jestem pewny, że wykonam moje postanowienie.

Ale mimo to tej nocy znów wstał z łóżka, raczej już z siły przyzwyczajenia, aniżeli z innych powodów, a gdy wstał, poszedł raz jeszcze, aby powitać i zobaczyć na kilka chwil, wśród ciszy nocnej, po raz ostatni, ową zaciszną izbę, w której tyle pracował skrycie, a serce jego było pełne tkliwej radości. A gdy stanął przed stolikiem i zapalił światło, gdy ujrzał te białe opaski, na których już nie miał więcej pisać owych nazwisk osób i miast, które już umiał na pamięć, ogarnął go smutek niezmierny i nagłym ruchem pochwycił za pióro, by znów rozpocząć swą zwykłą pracę. Ale wyciągając rękę, mimo woli potrącił książkę, która upadła na ziemię. Krew uderzyła mu do głowy. Gdyby tak ojciec się obudził! Niewątpliwie nie przydybałby go na żadnym złym uczynku, wszak sam miał zamiar wyjawić ojcu wszystko. A jednak, gdyby słyszał zbliżające się kroki w ciemności, gdyby go tu zastano o tej porze, wśród tej ciszy... Matka jego zbudziłaby się lub przestraszyła... Myśl ta, że ojciec po raz pierwszy doznałby przed nim upokorzenia, gdyby się wszystko wykryło... to wszystko przerażało go.

Nadsłuchiwał, wstrzymując oddech, ale nie było nic słychać. Cały dom spoczywał, w głębokim śnie pogrążony.

Uspokoił się przeto i zabrał się znów z pośpiechem do pracy. Wkrótce piętrzyły się przed nim stosy opasek. Słyszał miarowe kroki strażników miejskich na pustej ulicy, później turkot powozu, który

nagle ustał, po chwili znów turkot całego szeregu wozów, posuwających się zwolna jeden za drugim. Potem nastała znów głucha cisza, przerywana od czasu dalekim szczekaniem psów.

A chłopczyna wciąż pisał i pisał. Tymczasem ojciec jego stał za nim. Zbudził go stuk upadającej książki, stał tam czas jakiś, turkot wozów przytłumił odgłos jego kroków i lekkie skrzypnięcie drzwi. Stał tam, siwa głowa jego wznosiła się nad czarną główką Julka, widział, jak pióro syna biegnie szybko po opaskach i w jednej chwili domyślił się wszystkiego, przypomniał sobie i zrozumiał wszystko; smutek i tkliwość niezmierna ogarnęły go i przykuły do miejsca; tłumiąc oddech, stał nieruchomy za plecami syna. Wtem Julek nagle krzyknął przeraźliwie; dwoje ramion objęło mu głowę.

— Ojcze, ojcze, wybacz mi, wybacz! — wołał chłopczyna, poznawszy swego ojca po płaczu.

— To ty wybacz mi! — odpowiedział ojciec, łkając i pokrywając czoło dziecka pocałunkami. — Zrozumiałem wszystko, wiem wszystko, to ja cię błagam o przebaczenie, moje święte dziecko. Chodź ze mną!

I zaniósł go do łóżka obudzonej matki i rzucił go w jej objęcia, mówiąc:

— Ucałuj twoje anielskie dziecko, które od trzech miesięcy nie sypia i pracuje dla mnie, a ja go jeszcze martwiłem, tego biednego chłopca, który zarabiał na chleb dla nas.

Matka przycisnęła go do piersi, nie mogąc ze wzruszenia słowa przemówić, potem rzekła:

— Spać teraz szybko, moje dziecko, idź spać i wypocząć! Zanieś go do jego łóżka!

Ojciec wziął go w ramiona, zaniósł do jego izdebki, położył go do łóżka, wciąż go całując i pieszcząc i poprawił mu poduszki i kołdrę.

— Dziękuję ci, ojcze — powtarzał wciąż chłopak — dziękuję, ale idź ty teraz do łóżka, ojcze.

Ale ojciec chciał być przy tym, jak on zaśnie; siadł obok łóżka, wziął go za rękę i rzekł do niego:

— Śpij, śpij, mój synku!

A Julek, znużony, usnął w końcu i spał kilka godzin, po raz pierwszy od wielu miesięcy, snem spokojnym, który uprzyjemniały wesołe marzenia senne. A gdy otworzył oczy, był już jasny dzień i najpierw uczuł, a potem ujrzał przy swoich piersiach, opartą o brzeg łóżeczka, siwą głowę ojca, który spędził tam noc i spał jeszcze, oparty czołem o ręce syna.

SILNA WOLA.

28. środa.

W naszej klasie jest pewien Stardi, który miałby siłę to samo uczynić, co zrobił ów mały Florentyńczyk.

Dziś rano zdarzyły się dwa ważne wypadki w szkole: Garoffi omal nie oszalał z radości, ponieważ mu odesłano jego album i dodano jeszcze trzy znaczki rzeczypospolitej Guatemali, których poszukiwał od trzech miesięcy, a Stardi otrzymał drugi medal. Stardi jest tedy pierwszym uczniem w klasie, zaraz po Derossim. Nas wszystkich ogarnęło niezmierne zdumienie. Ktoby był to pomyślał w październiku, gdy go ojciec przyprowadził do szkoły, odzianego w zielony płaszczyk i rzekł do nauczyciela wobec wszystkich:

— Proszę z nim mieć cierpliwość, ponieważ ma tępą głowę i z trudnością pojmuje.

Wszyscyśmy go nazywali z początku kapuścianą głową. On jednak rzekł sobie: — Albo zginę, albo dojdę do celu! — i począł się uczyć zapamiętale, w dzień i w nocy, w domu i w szkole, na spacerze, zaciskając zęby i pięści, cierpliwy jak wół, jak muł uparty. Tak tedy, nie zważając na szyderstwa kolegów i obdarzając kułakami i kopnięciami tych, co mu przeszkadzali, prześcignął wszystkich innych, oprócz Derossiego, ten uparty chłopak.

Nie rozumiał zrazu wcale arytmetyki, wypracowania jego były pełne niedorzeczności, nie potrafił zatrzymać w pamięci ani jednego okresu, a teraz rozwiązuje zadania, pisze poprawnie i wygłasza lekcję płynnie, jak z nut. Można po nim poznać tę żelazną wolę, widać, jak jest zbudowany, krępy, z głową kwadratową, prawie bez szyi, z krótkimi grubymi rękoma, można ją poznać po jego szorstkim głosie.

Uczy się z zapałem, nawet z kawałków gazet i afiszów teatralnych i kiedy tylko uzbiera sobie dziesięć soldów, kupuje sobie książkę. Posiada już małą bibliotekę, a w chwili dobrego humoru wymknęło mu się z ust, że zaprowadzi mnie do siebie do domu i że mi ją pokaże.

Nigdy z nikim nie rozmawia, nie bawi się żadnym kolegą, siedzi zawsze w ławce, z głową spartą na rękach i nieruchomy, jak kamień, słucha słów nauczyciela.

Ile go to musiało kosztować trudów, tego biednego Stardiego!

Nauczyciel, jakkolwiek był dziś rano niecierpliwy i w złym humorze, jednak, dając mu medal, przemówił do niego w ten sposób:

— Brawo, Stardi! Kto jest wytrwały, pokona wszystko!

On jednak nie wydawał się wcale dumny z tego odznaczenia, nie uśmiechał się i skoro tylko wrócił do ławki ze swym medalem, podparł znów głowę rękoma i siedział jeszcze bardziej nieruchomy i zatopiony w wykładzie nauczyciela, aniżeli poprzednio.

Ale najpiękniejsza scena była przy wyjściu, gdzie go oczekiwał jego ojciec, cyrulik, gruby i pękaty, jak on, z taką samą głową i takim samym szorstkim głosem. Nie spodziewał się wcale, że syn otrzyma medal i nie chciał wierzyć, dopiero nauczyciel musiał go zapewnić, że to prawda. Wtedy począł śmiać się z zadowolenia, poklepał syna po plecach i zawołał głośno:

— Dobrze się spisałeś, głuptasku!

I patrzył na niego zdziwiony, uśmiechając się. A wszyscy chłopcy dokoła uśmiechali się, z wyjątkiem Stardiego samego, który tymczasem powtarzał półgłosem jutrzejszą lekcję poranną.

WDZIĘCZNOŚĆ.

31. sobota.

...Twój kolega Stardi nie narzeka nigdy na swego nauczyciela, jestem tego pewny... „Nauczyciel był w złym humorze, był zniecierpliwiony“, powiedziałeś to z pewną niechęcią. Pomyśl jednak, ile razy ty okazujesz zniecierpliwienie i to wobec kogo? Wobec twego ojca i twej matki, wobec których twoje zniecierpliwienie jest już występkiem. Twój nauczyciel ma dość powodów do niecierpliwości. Pomyśl tylko, od wielu lat on się trudzi z uczniami i chociaż między nimi jest wielu grzecznych i przywiązanych do niego, są znów inni niewdzięczni, którzy nadużywają jego dobroci i nie mają uznania dla jego trudów; doznaje tedy od was wszystkich więcej goryczy, aniżeli zadowolenia.

Pomyśl, że i najświętszy człowiek na jego miejscu uniósłby się nieraz gniewem. A nadto, gdybyś wiedział, ile razy nauczyciel przychodzi na lekcje chory, jedynie z tego powodu, ponieważ choroba jego nie jest dość ciężka, by go uwolnić od obowiązków w szkole. Niecierpliwi się, gdyż cierpi i doznaje jeszcze większej boleści, widząc, że wy na to nie zwracacie uwagi lub nadużywacie jego osłabienia.

Szanuj przeto i witaj twego nauczyciela, mój synu. Miłuj go, albowiem twój ojciec go miłuje i szanuje; albowiem on poświęca swe życie dobru tylu chłopców, którzy kiedyś o nim zapomną; kochaj go, ponieważ rozwija i oświeca twój umysł, kształ-

ci twą duszę; ponieważ pewnego dnia, gdy będziesz dorosłym mężczyzną, a ani mnie, ani jego nie będzie już na świecie, obraz jego stanie ci nieraz przed oczyma duszy obok mojego i wtedy ujrzysz wyraz bólu i znużenia na jego poczciwej twarzy, na który teraz nie zwracasz uwagi i przypomnisz je sobie nawet po latach trzydziestu i doznasz uczucia wstydu i smutku, że nie byłeś dla niego dobry, że źle się zachowywałeś wobec twego nauczyciela.

Kochaj twego nauczyciela, ponieważ on należy do owej wielkiej rodziny pięćdziesięciu tysięcy nauczycieli elementarnych, rozrzuconych po całych Włoszech, którzy są gdyby duchowymi ojcami milionów chłopaków, twoich rówieśników. Są to pracownicy, nie znajdujący należytego uznania i nie należycie wynagradzani, którzy wychowują dla naszego kraju pokolenie lepsze od obecnego. Twoja miłość ku mnie nie będzie mnie cieszyła, jeżeli nie będziesz jej miał dla tych wszystkich, którzy się trudzą dla twego dobra, a między nimi twój nauczyciel zajmuje pierwsze miejsce, zaraz po twoich rodzicach.

Kochaj go więc, jak gdybyś kochał mojego brata; kochaj go, gdy cię pieści i gdy cię gani, gdy jest sprawiedliwy i nawet gdy ci się wydaje niesprawiedliwy, kochaj go, gdy jest wesół i miły, kochaj go jeszcze więcej, gdy go widzisz smutnym. Kochaj go zawsze. I wymawiaj zawsze z szacunkiem to słowo „nauczyciel", które, po słowie „ojciec", jest najszlachetniejszą, najmilszą nazwą, jaką człowiek może dać innemu człowiekowi.

Twój ojciec.

STYCZEŃ.

ZASTĘPCA NAUCZYCIELA.

4. środa.

Mój ojciec miał słuszność: nauczyciel był w złym humorze, gdyż nie był zdrów. Od trzech dni, w istocie, przychodzi na jego miejsce zastępca, ów mały człowiek bez wąsów, co wygląda na młodzieniaszka.

Przykra rzecz zdarzyła się dziś rano. Już pierwszego i drugiego dnia chłopcy hałasowali w klasie, ponieważ zastępca nauczyciela ma wiele cierpliwości i ciągle tylko powtarza:

— Bądźcie cicho, bądźcie cicho, proszę was!

To nie miało żadnego skutku. Ale dziś rano hałas przekroczył wszelkie granice. Był tak wielki, że nikt nie słyszał jego słów; zastępca nauczyciela upominał, prosił, lecz wszystkie jego usiłowania były bezskuteczne.

Dyrektor dwukrotnie stanął we drzwiach klasy i zaglądał do środka. Ale gdy tylko odszedł, hałas stawał się tak głośny, jak na jarmarku. Napróżno Garrone i Derossi zwracali się do kolegów, dawali im znaki, aby się uciszyli, że to wstyd tak dokazywać w klasie. Nikt na to nie zważał. Jeden tylko Stardi siedział spokojnie, wsparty łokciami na ławce, z głową opartą na rękach, myśląc może o swoim sławnym księgozbiorze i Garoffi, ów z nosem krogulca, zbieracz znaczków pocztowych, który był właśnie zajęty pisaniem biletów po dwa centesimi, gdyż puszczał na loterię swój kałamarz kieszonkowy.

Inni gwizdali i śmieli się głośno, uderzali piórami o ławki i rzucali na siebie kulkami papieru, posługując się, zamiast procy, gumowymi paskami od spodni. Zastępca nauczyciela wyciągał to jednego, to drugiego z ławki, trząsł nimi, postawił jednego za karę w kącie, wszystko jednak napróżno. Nie wiedząc w końcu, do jakiego świętego ma się zwrócić o pomoc, znów począł prosić:

— Dlaczego wy to robicie? Czy chcecie mnie zmusić, abym wam udzielił nagany?

Potem uderzył pięścią o stół i krzyczał głosem gniewnym i zarazem płaczliwym:

— Ciszej! Ciszej! Ciszej!

Doprawdy przykro było słuchać go.

Ale hałas stawał się coraz większy.

Franti rzucił w niego papierową kulkę, kilku zaczęło miauczeć jak koty, inni znów darli się za włosy, powstał zamęt nie do opisania, gdy wtem nagle wszedł do klasy pedel i rzekł:

— Panie nauczycielu, pan dyrektor pragnie z panem mówić.

Nauczyciel wstał i wyszedł spiesznie, uczyniwszy ręką ruch rozpaczliwy. A wtedy powstał w klasie iście piekielny hałas.

Ale nagle skoczył Garonne z twarzą od gniewu zmienioną i zacisnąwszy pięści, zawołał wściekłym głosem:

— Dość tego! Jesteście bydlęta! Nadużywacie jego dobroci. Gdyby was tłukł należycie, bylibyście pokorni, jak pieski. Jesteście tchórze nikczemni! Pierwszego, który będzie jeszcze dalej dokazywał, będę oczekiwał przy wyjściu i przysięgam, że go tak poczęstuję, że mu zęby wylecą, choćby jego rodzony ojciec był przy tym obecny!

Wszyscy umilkli natychmiast.

Ach, jak wtedy Garrone pięknie wyglądał, z oczyma, które ciskały błyskawice. Wydawał się, gdyby młody lew uniesiony gniewem. Spojrzałem na najbardziej krzykliwych kolegów, wszyscy mieli głowy w dół spuszczone. Gdy zastępca nauczyciela wrócił do klasy, z oczyma zaczerwienionymi, panował spokój głęboki, nie przerywany najdrobniejszym szmerem.

Stanął zrazu zdumiony. Później jednak widząc, że Garrone stoi jeszcze na miejscu z twarzą zarumienioną, drżący z gniewu, domyślił się wszystkiego i rzekł do niego z silnym wzruszeniem, jak gdyby mówił do brata:

— Dziękuję ci, Garrone.

KSIĘGOZBIÓR STARDIEGO.

Udałem się dziś do Stardiego, który mieszka naprzeciw gmachu szkolnego i ogarnęła mnie istotnie zazdrość, gdym ujrzał jego księgozbiór. Nie jest to chłopak wcale bogaty, nie może kupować wielu książek; ale przechowuje z wielką starannością swoje książki szkolne i te, które mu rodzice dają w podarunku, a wszystkie pieniądze, jakie

otrzymuje, chowa i niesie do księgarza. W ten sposób uzbierał już sobie małą bibliotekę, a gdy ojciec spostrzegł to jego zamiłowanie, kupił mu piękną szafkę z drzewa orzechowego z zieloną firanką i kazał mu oprawić prawie wszystkie książki w kolorach, które on przede wszystkim lubił. Tak tedy on pociąga sznurek, zielona firanka się rozsuwa i ukazują się trzy rzędy książek różnobarwnych, wszystkie ustawione w porządku, błyszczące, ze złoconym tytułem na grzbiecie; opowieści, opisy podróży, poezje; są między nimi także ilustrowane.

On zaś umie ślicznie dobierać kolory, stawia książki biało oprawne obok czerwonych, żółte obok czarnych, niebieskie obok białych, w ten sposób, że widać je z daleka i że przedstawiają piękny widok. A potem lubi zmieniać porządek, w jakim są ustawione. Sporządził nawet katalog, zupełnie jak prawdziwy bibliotekarz. Zawsze krząta się dokoła swoich książek, ociera je z kurzu, przegląda je, ogląda okładki; trzeba widzieć, z jaką troskliwością je otwiera swymi krótkimi, grubymi rękoma, dmuchając między kartki. Wydają się jeszcze wszystkie, jak nowe. A ja moje już dawno poniszczyłem.

Dla niego, gdy kupuje nową książkę, to prawdziwa uroczystość; gładzi ją, stawia na miejscu i znów bierze w rękę i przerzuca kartki i obchodzi się z nią, jak z prawdziwym skarbem. Przez całą godzinę nic mi innego nie pokazywał. Aż go oczy bolały od ciągłego czytania.

Potem wszedł do pokoju ojciec jego, gruby i krępy jak on, z taką samą dużą głową, poklepał go kilka razy po plecach i rzekł do mnie swoim grubym głosem:

— Cóż mówisz o tej twardej głowie? Ręczę ci, że głowa ta dojdzie jeszcze do czegoś.

Stardi zaś przymrużył oczy pod tą rubaszną pieszczotą, jak duży pies myśliwski.

Dziwne mi się to jakoś wydaje, ale nie śmiałem z nim żartować, ani bawić się; nie mogłem się jakoś oswoić z myślą, że on tylko o rok starszy ode mnie. A gdy mi przy wyjściu powiedział: „Do widzenia", ze swym poważnym wyrazem twarzy, omal mu nie odpowiedziałem: „Żegnam pana", jak gdybym mówił do dorosłego mężczyzny.

Opowiadałem potem memu ojcu w domu:

— Nie mogę sobie tego wytłumaczyć: Stardi nie ma zdolności, nie ma pięknego ułożenia, ma postać prawie śmieszną, a jednak imponuje mi.

Ojciec zaś mówił:

— Ponieważ jest to chłopak z charakterem.

Ja na to zauważyłem:

— Przez całą godzinę, którą spędziłem u niego nie wymówił może pięćdziesięciu słów, nie pokazał mi ani jednej zabawki, nie zaśmiał się ani razu, a jednak spędziłem z nim czas przyjemnie.

Ojciec mój zaś odrzekł:

— Ponieważ go szanujesz.

SYN KOWALA.

Tak jest, ale szanuję także Precossiego, a nawet jest to za mało powiedziane, że go szanuję; Precossi, syn kowola, ów mały blady chłopczyk, który ma łagodne i smutne spojrzenie i wyraz twarzy gdyby przestraszony. Jest taki nieśmiały, że mówi do wszystkich: „przepraszam"; ciągle choruje, a jednak uczy się bardzo pilnie. Ojciec jego wraca często do domu pijany i bije go bez najmniejszego powodu, rozrzuca mu książki i zeszyty, on zaś przychodzi do szkoły z siniakami na twarzy, nieraz z twarzą całą nabrzmiałą, z oczyma zaczerwienionymi od płaczu. Ale nigdy nie można od niego wydobyć wyznania, że ojciec go pobił w ten sposób.

— Ojciec cię bił! — mówią do niego koledzy.

On jednak krzyczy natychmiast:

— To nieprawda! To nieprawda!

Biedny chłopczyna nie chce, aby naruszono honor ojca jego.

— Tej kartki ty nie spaliłeś — rzekł do niego nauczyciel, pokazując mu zadanie w zeszycie na pół spalone.

— Owszem — odpowiedział chłopak drżącym głosem — to ja, opuściłem zeszyt przypadkiem na ogień.

A jednak wiemy wszyscy bardzo dobrze, że ojciec jego, pijany, kopnięciem nogi wywrócił stół z lampą podczas gdy on właśnie pisał swoje zadanie. Mieszkają oni w naszym domu, na poddaszu, na drugich schodach; stróżowa opowiada wszystko mojej matce; moja siostra, Sylwia, słyszała raz z ganku, jak on krzyczał, gdy go ojciec strącił ze schodów za to, że prosił o pieniądze, by kupić gramatykę. Ojciec jego, zamiast pracować, upija się, a rodzina cierpi głód. Jak często biedny Precossi przychodzi do szkoły na czczo i zjada tu ukradkiem bułkę, którą mu daje Garrone, albo jabłka, które mu przynosi nauczycielka z czerwonym piórem przy kapeluszu, która go uczyła w klasie niższej. Ale nigdy nie powie: jestem głodny, ojciec nie dał mi jeść.

Kowal wstępuje niekiedy po syna, gdy przechodzi przypadkiem obok szkoły, chwiejący się na nogach, z chmurną twarzą, z włosami w nieładzie i z czapką na bakier. Biedny chłopak drży cały, gdy go widzi na ulicy, ale biegnie zaraz naprzeciw niego z uśmiechem, a ojciec nawet go nie spostrzega, myśląc o czym innym.

Biedny Precossi! Sam sobie zszywa podarte zeszyty, wypożycza sobie książki do odrabiania lekcyj, spina szpilkami porozrywaną koszulę i aż żal patrzeć, jak się gimnastykuje w wykrzywionych bucikach, w owych spodniach, które spadają z niego i w zanadto długiej kurtce, z rękawami, które aż do łokci są zakasane. A jak się uczy, jak się wysila, byłby niezawodnie jeden z pierwszych w klasie, gdyby mógł w domu spokojnie pracować.

Dziś rano przyszedł do szkoły z podrapaną twarzą, a wszyscy poczęli wołać:

— To twój ojciec tak cię pokaleczył; nie możesz tym razem temu przeczyć... Powiedz to dyrektorowi, aby go kazał zawezwać do kwestury.

Ale chłopak zaczerwienił się i odpowiedział głosem drżącym z oburzenia;

— To nieprawda! To nieprawda! Ojciec nie bije mnie nigdy!

Ale później, w czasie lekcji, łzy kapały mu na ławkę, a gdy ktoś patrzył na niego, silił się na uśmiech, aby nie dał mu poznać po sobie. Biedny Precossi! Jutro mają przyjść do mnie w odwiedziny Derossi, Coretti i Nelli, ale poproszę także i jego, aby przyszedł. Zatrzymam go u siebie na podwieczorek, daruję mu kilka książek i włożę mu do kieszeni nieco owoców, będę się starał wszelkimi sposobami go zabawić, bo chcę choć raz przynajmniej widzieć go wesołym, tego biednego Precossiego, który jest taki dobry i taki mężny.

MIŁE ODWIEDZINY.

12. czwartek.

Dzisiejszy czwartek był dla mnie jednym z najpiękniejszych dni w całym roku. Punktualnie o drugiej przyszli do mnie Derossi i Coretti z garbuskiem Nellim; Precossiemu ojciec nie pozwolił przyjść. Derossi i Coretti śmiali się jeszcze, albowiem spotkali na ulicy Crossiego, syna zieleniarki, tego, co ma ramię bezwładne i rude włosy, niosącego na sprzedaż ogromną głowę kapusty; za pieniądze uzyskane ze sprzedaży miał później kupić sobie pióro. Był ogromnie ucie-

szony, ponieważ ojciec pisał z Ameryki, aby go oczekiwać, gdyż lada dzień powróci.

O, jak pięknie spędziliśmy dwie godziny razem! Derossi i Coretti są obaj najweselsi w całej klasie. Mój ojciec bardzo ich polubił. Coretti miał na sobie bluzkę koloru brunatnego i przyszedł w czapce z kociej sierści.

Jest to istny diabeł, który zawsze chciałby coś robić, zmieniać, czemś się zatrudniać. Przeniósł już z rana pół wozu drzewa na plecach do sklepu, a jednak biegnie po całym domu, wszędzie zaglądając i ciągle mówiąc, raźny i zwinny jak wiewiórka. Wszedłszy do kuchni, zapytał naszej kucharki, ile zapłaci za dziesięć kilogramów drzewa i oświadczył, że ojciec jego żąda za nie czterdzieści pięć centesimów. Zawsze opowiada o swoim ojcu, jak był żołnierzem w 49. pułku, w bitwie pod Custozzą, gdzie się znajdował w czworoboku księcia Humberta. Sam jest bardzo grzeczny i układny. To nic nie znaczy, że urodził się i wyrósł wśród wiązek drzewa, ma szlachectwo w krwi i w sercu, jak mówi mój ojciec.

Derossi także podobał się memu ojcu. Geografię umie tak dobrze, jak sam nauczyciel: zamykał oczy i mówił na pamięć: Oto ja widzę tutaj całt Włochy, Apeniny, które się przedłużają aż do morza Jońskiego; rzeki, które płyną tu i tam; widzę białe miasta, lazurowe zatoki, wyspy zielone.

I wymieniał właściwe nazwy, po porządku, bardzo szybko, jak gdyby je czytał na mapie, a gdy tak stał z głową wzniesioną do góry, okoloną jasnymi włosami, z oczyma zamkniętymi, w niebieskim ubraniu ze złoconymi guzikami, piękny jak posąg, patrzyliśmy na niego wszyscy z podziwem. W jednej godzinie nauczył się na pamięć prawie trzy strony, które miał wygłosić pojutrze, w rocznicę pogrzebu króla Wiktora Emanuela.

Także i Nelli patrzył na niego z podziwem, gładząc fałdy swego czarnego fartucha i uśmiechając się swymi jasnymi i smutnymi oczyma.

Odwiedziny te sprawiły mi wielką przyjemność, zostawiły mi w duszy i sercu gdyby złote iskierki. I podobało mi się także, że gdy odchodzili, obaj chłopcy, wielcy i silni, wzięli biednego Nellego w środek i nieśli go do domu na rękach, a on śmiał się i był taki wesół, jakim go jeszcze nigdy nie widziałem. Gdy wróciłem do sali jadalnej, zauważyłem, że niema tam już na ścianie obrazu, przedstawiającego Rigoletta, garbatego trefnisia. Ojciec mój usunął go, aby go Nelli nie widział.

POGRZEB WIKTORA EMANUELA.

17. stycznia.

Dziś o godzinie drugiej nauczyciel, skoro tylko wszedł do klasy, zawezwał Derossiego, który podszedł do stolika, stanął naprzeciw nas i przemówił głosem dźwięcznym, który stopniowo się podnosił i w którym drgało wzruszenie, widoczne także na jego twarzy:

— Cztery lata minęło, jak tego samego dnia, o tej samej godzinie, stanął przed Panteonem w Rzymie rydwan żałobny, na którym spoczywały zwłoki Wiktora Emanuela II. pierwszego króla Włoch, zmarłego po dwudziestu dziewięciu latach panowania. Za jego rządów wielka nasza ojczyzna włoska, podzielona na siedem odrębnych państw i uciskana przez cudzoziemców i przez tyranów, stała się jednym państwem, wolnym i niepodległym. Zmarł po dwudziestu dziewięciu latach panowania, które uwieńczył sławą i obdarzył męstwem, prawością, odwagą w niebezpieczeństwach, mądrością w chwilach triumfów, wytrwałością w czasie niepowodzenia.

Przybył rydan żałobny, ozdobiony koroną, przebiegłszy przez ulice Rzymu, pod deszczem kwiatów, wśród milczenia niezmiernych tłumów, przejętych boleścią, zebranych ze wszystkich stron Italii; przed nim kroczył legion generałów, tłum ministrów i książąt, za nim szły szeregi inwalidów, kołysał się las sztandarów, stąpali wysłańcy trzystu miast, zebrało się wszystko, co przedstawia sławę i potęgę narodu. I zatoczył się rydwan żałobny przed wspaniałą świątynią, gdzie oczekiwał grobowiec królewski. A w tejże chwili dwunastu kirasjerów zdjęło trumnę z rydwanu. W tejże chwili całe Włochy żegnały się poraz ostatni ze swoim starym monarchą, którego tak kochały, ze swoim żołnierzem, ojcem; po dwudziestu dziewięciu latach najszczęśliwszych i najbardziej błogosławionych w swoich dziejach.

Była to zaiste chwila wzniosła i uroczysta. Spojrzenia i dusze wszystkich zwracały się ku tej trumnie i ku pokrytym kirem sztandarom osiemdziesięciu pułków armii włoskiej, niesionym przez osiemdziesięciu oficerów i żegnającym po raz ostatni zmarłego króla. Albowiem te sztandary przypominały tysiące poległych, potoki krwi przelanej, naszą największą chwałę, najświętsze ofiary i najstraszliwsze bóle.

Trumna, niesiona przez kirasjerów, przeszła obok i wtedy pochyliły się wszystkie sztandary jednym ruchem pożegnania, sztandary nowych pułków i stare podarte chorągwie z pod Goito, Pastrengo, Santa Lucia, spod Novary, z Krymu, Palestro, San Martino, Castelfidardo.

Osiemdziesiąt czarnych zasłon spadło, sto medali zadzwoniło o trumnę, a ten brzęk zmieszany i donośny, który wzburzył krew w żyłach wszystkich obecnych, rozległ się gdyby dźwięk tysiąca głosów ludzkich, które wołały wszystkie razem: — żegnaj, dobry królu, królu mężny i prawy! Będziesz żył w sercach twego ludu, dopóki będzie błyszczeć słońce nad Italią!

Po czym sztandary wzniosły się znów dumnie ku niebu, a król Wiktor wstąpił do nieśmiertelnej chwały swego grobu.

FRANTI WYDALONY ZE SZKOŁY.

21. sobota.

Jeden tylko z nas mógł się śmiać, gdy Derossi mówił o pogrzebie króla, był nim Franti.

Nie mogę go znieść, to chłopak zły i niegodziwy. Gdy przychodzi do szkoły ojciec, aby udzielić synowi swemu nagany, on się tym cieszy; gdy ktoś płacze, on się śmieje.

Drży przed Garronem, a szturcha murarczyka, ponieważ jest mały, dokucza Crossiemu, ponieważ ma rękę uschniętą, gardzi Precossim, którego wszyscy szanują, naigrawa się niekiedy z Robettiego z drugiej klasy, tego samego, który uratował malca i teraz chodzi o kuli. Napastuje wszystkich starszych od niego, a gdy przyjdzie do bójki, staje się dzikim i nie dba, choćby kogo pokaleczył.

Ma coś odrażającego w swoim niskim czole, w tych oczach mętnych, które się prawie kryją pod daszkiem czapki ceratowej. Nie boi się niczego,śmieje się nauczycielowi w twarz, przywłaszcza sobie, co może, wypiera się z miną zuchwałą, zawsze się z kimś pokłóci, przynosi ze sobą do szkoły szpilki, aby kłuć sąsiadów w ławce, odcina guziki od ubrania sobie i innym i gra w nie, jego książki i zeszyty są zawsze pomięte, poplamione i podarte, linia do rysowania pocięta, pióra pogryzione, paznokcie brudne, ubranie pełne plam i podarte wskutek ciągłych bójek.

Mówią, że matka jego chora jest wskutek zmartwienia, jakie jej sprawia i że ojciec go już trzykrotnie z domu wyrzucił; matka przychodzi często do szkoły zasięgać o nim informacji i z płaczem zawsze wraca do domu.

Ten chłopiec nienawidzi szkoły, nienawidzi nauczyciela. Nauczyciel udaje niekiedy, że nie widzi jego szelmowskich wybryków, ale on wtedy dokazuje jeszcze gorzej. Próbował go zjednać sobie dobrocią, ale Franti szydzi sobie z niego; łajał go w sposób straszliwy, a on twarz

zakrywał rękoma, jak gdyby płakał, a tymczasem śmiał się. Był pewnego razu na trzy dni wydalony ze szkoły i powrócił do niej jeszcze bardziej niegodziwy i zuchwały, aniżeli poprzednio.

Derossi rzekł mu pewnego dnia:

— Przestań już raz, widzisz, że nauczyciel cierpi przez ciebie.

On jednak zagroził mu na to, że mu wbije gwóźdź w brzuch.

Ale dziś rano wyrzucono go przecież ze szkoły jak psa. Stało się to w sposób następujący: Podczas gdy nauczyciel dawał Garronemu do przepisania brulion „Młodego dobosza sardyńskiego" (jest to tytuł opowiadania miesięcznego na styczeń), Franti rzucił nagle na podłogę petardę, która wybuchła z hukiem, jak wystrzał z karabinu. Cała klasa się zatrzęsła. Nauczyciel zerwał się ze swego miejsca i krzyknął:

— Franti, precz ze szkoły!

— To nie ja! — odpowiedział i śmiał się zuchwale.

Nauczyciel powtórzył raz jeszcze — Precz!

— Ani myślę — odpowiedział niegodziwiec.

Wtedy nauczyciel stracił cierpliwość, rzucił się na niego, chwycił go za ramię i wyciągnął z ławki. Franti szamotał się, zgrzytał zębami, trzeba go było wlec przemocą. Nauczyciel prawie zaniósł go do dyrektora, po czym wrócił sam do klasy i usiadł przy swoim stoliku, podparłszy głowę na rękach, znużony, z takim wyrazem przygnębienia na twarzy, że aż przykro było patrzeć na niego.

— Pracuję już trzydzieści lat w moim zawodzie! — zawołał ze smutkiem, potrząsając głową. Nikt z nas się nie odezwał. Ręce trzęsły mu się z gniewu, a zmarszczka, jaką ma na czole, była tak głęboka, że wydawała się gdyby rana.

Biedny nauczyciel! Wszyscy żałowaliśmy go bardzo. Derossi zaś wstał z miejsca i rzekł:

— Panie nauczycielu, proszę się nie martwić, my pana bardzo kochamy.

Wtedy twarz jego nieco się wypogodziła i odpowiedział:

— Wróćmy znów do nauki, chłopcy.

MŁODY DOBOSZ SARDYŃSKI.

(Opowiadanie miesięczne).

W pierwszym dniu bitwy pod Custozzą, 24 lipca 1848, sześćdziesięciu żołnierzy jednego pułku piechoty naszego wojska, wysłanych na wzgórze, aby zająć samotny domek, zostało niespodziewanie napadniętych przez dwie kompanie austrackie, które ostrzeliwały ich z róż-

nych stron, tak, że zaledwie mieli czas schronić się i zabarykadować w owym domu, zostawiwszy na placu kilku rannych i zabitych.

Zabarykadowawszy drzwi, nasi rzucili się gwałtownie do okien w parterze i na pierwszym piętrze i rozpoczęli gęsty ogień przeciw napastnikom, którzy zbliżali się zwolna, ustawieni w półkole i odpowiadali równie silnym ogniem.

Oddziałem naszych żołnierzy dowodziło dwóch niższych oficerów i kapitan, wysoki starzec, chudy i surowy, z siwymi włosami i wąsami. Z nimi znajdował się mały dobosz, rodem z Sardynii, chłopak liczący mało co nad czternaście lat, a tak mały, że wydawał się ledwie na dwanaście lat, z twarzą ciemną, prawie oliwkową i z dużymi czarnymi oczyma, które zdawały się ciskać iskry. Kapitan z pokoju na pierwszym piętrze kierował obroną, rzucając rozkazy, gdyby strzały z pistoletu, a na mężnej twarzy jego nie było widać żadnego śladu wzruszenia.

Mały dobosz, nieco blady, ale żwawy w ruchach, wyskoczył na stół i wyciągnął szyję, trzymając się ściany, aby patrzeć przez okno. I ujrzał poprzez chmury dymu białe mundury żołnierzy austriackich, którzy się zwolna zbliżali przez pola.

Dom stał na szczycie stromego wzgórza i miał po stronie najbardziej spadzistej tylko jedno okienko, w izdebce pod samym dachem. Z tego też powodu Austriacy nie zagrażali domowi z tej strony i tam to miejsce było wolne od nieprzyjaciół, ogień prażył tylko front domu i oba jej boki.

Ale był to ogień iście piekielny, grad kul ołowianych, który zewnątrz dziurawił mury i kruszył dachówki, wewnątrz zaś rozbijał powały w pokojach, sprzęty, drzwi i ramy okien, rzucał w powietrze kawałki drzewa, chmury wapna, odłamy naczyń kuchennych i drzazgi szkła, świszcząc, skacząc i łamiąc wszystko z takim hałasem, że aż głowa pękała. Od czasu do czasu jeden z żołnierzy, strzelających z okien, upadał w tył na podłogę, a wtedy wynoszono go na bok. Niektórzy szli z trudem, chwiejnym krokiem z jednej izby do drugiej, przyciskając rękoma rany. W kuchni już leżał jeden zabity, z roztrzaskaną głową. Półkole nieprzyjaciół zacieśniało się coraz bardziej.

Wtem kapitan, który dotychczas zachował spokój niewzruszony, objawił niepokój i wyszedł dużymi krokami z izby, za nim zaś wyszedł sierżant.

W kilka minut później powrócił śpiesznie sierżant i zawołał małego dobosza, dając mu znak, aby za nim poszedł. Chłopiec pędem pobiegł za nim na drewniane schody i wszedł wraz z nim na puste

poddasze, gdzie ujrzał kapitana piszącego coś ołówkiem na kartce papieru obok owego małego okienka, u stóp zaś jego, na podłodze, leżał sznur od studni.

Kapitan zwinął papier, spojrzał chłopcu w twarz swymi szarymi, zimnymi oczyma, przed którymi drżeli wszyscy jego żołnierze i rzekł swym ostrym głosem:

— Doboszu!

Chłopczyna przyłożył rękę do czapki.

— Czy masz odwagę? — zapytał kapitan.

Oczy chłopca zabłysły.

— Mam panie kapitanie — odpowiedział.

— Spojrzyj tam — mówił dalej kapitan, pociągnąwszy go do okienka. — Tam w dole, blisko domów Villafranca, błyszczą się bagnety. Tam stoją nieruchome szeregi naszego wojska. Weź oto tę kartkę, chwyć się powroza, spuść się z okienka, przebiegnij przez wzgórze i pola, dobiegnij do naszych żołnierzy i oddaj tę oto kartkę pierwszemu oficerowi, którego spotkasz. Zostaw tu pas i tornister.

Mały dobosz szybko zdjął z siebie pas i tornister, włożył kartkę do kieszeni na piersiach, sierżant przerzucił przez okno powróz i trzymał silnie obydwiema rękoma górny jego koniec, kapitan zaś pomógł chłopcu przeleźć przez okienko.

— Miej się na baczności — rzekł do niego. — Ocalenie naszego oddziału zależy jedynie od twej odwagi i od szybkości nóg twoich.

— Proszę na mnie polegać, panie kapitanie, — odpowiedział dobosz, zwieszając się na powrozie za oknem.

— Schyl się, gdy będziesz schodził, — rzekł jeszcze kapitan, trzymając powróz wraz z sierżantem.

— Proszę być spokojny.

— Niech Bóg cię prowadzi.

W kilka chwil mały dobosz był już na ziemi, sierżant wyciągnął powróz w górę, kapitan zaś przyskoczył gwałtownie do okienka i widział małego dobosza, biegnącego w dół ze wzgórza. Spodziewał się, że uda się chłopcu przemknąć się niespostrzeżenie, gdy pięć lub sześć małych obłoków dymu, które się wzbiły przed chłopcem i za nim z ziemi, przekonało go, że dobosz został dostrzeżony przez Austriaków, którzy strzelają do niego ze wzgórza.

Mały dobosz biegł jednak dalej, na złamanie karku. Nagle upadł na ziemię.

— Zabity! — ryknął z rozpaczą kapitan, zaciskając pięści.

Ale w tej samej chwili mały dobosz zerwał się i pobiegł dalej.

— Upadł tylko — rzekł kapitan do siebie i odetchnął z uczuciem ulgi.

W samej rzeczy chłopak pędził, jak tylko mógł, ale utykał nieco.

— Wykręcił sobie nogę — pomyślał kapitan.

Jeszcze kilka małych obłoków dymu wzniosło się tu i ówdzie za za chłopcem, ale w coraz większej odległości.

Był ocalony.

Kapitan wydał okrzyk radości i triumfu. Ale wciąż jeszcze ścigał chłopca wzrokiem, lękając się, ponieważ każda minuta była droga. Jeżeli chłopiec nie dobiegnie jak najrychlej z jego kartką, w której żąda jak najprędzej pomocy, wszyscy jego żołnierze zginą, albo będzie musiał się poddać i dostanie się wraz z nimi do niewoli.

Chłopiec biegł tymczasem szybko, jak wiatr, później zwolnił nieco biegu, kulejąc mocno. Potem biegł znowu, ale widać było, że jest coraz bardziej zmęczony, gdyż coraz częściej przerywał bieg i zatrzymywał się.

— Może go kula zraniła — pomyślał kapitan i bacznym okiem śledził wszystkie jego ruchy, drżąc z niepokoju, podniecał go, przemawiał do niego, jak gdyby on go mógł słyszeć; mierzył ustawicznie gorączkowym spojrzeniem przestrzeń między biegnącym doboszem a błyskami bagnetów, które widać było w dolinie, wśród łanów pszenicy, ozłoconych światłem słonecznym.

A tymczasem słychać było świst kul i huk strzałów w dolnych izbach, głośne rozkazy oficerów i sierżantów, ostre jęki rannych, trzask niszczonych sprzętów i stuk odlatujących cegieł.

— Dalej! Śmiało! — wołał stary kapitan, śledząc spojrzeniem biegnącego w oddali dobosza — biegnij, jak tylko możesz! Co widzę? Staje! Przekleństwo! A! Znów biegnie!

Wtem wszedł oficer i oznajmił kapitanowi, że nieprzyjaciel, nie zaprzestając strzelać, wywiesił białą chorągiew i wzywa tym samym oblężonych do poddania się.

— Nie dać żadnej odpowiedzi! — krzyknął kapitan, nie odwracając oczu od biegnącego chłopca, który już był na równinie, ale teraz zwolnił biegu i zdawało się, że tylko z trudem wlecze się naprzód.

— Ależ prędzej! Śpiesz się! — wołał kapitan, zaciskając zęby i pięści. — Zgiń, przepadnij, łotrze, ale dobiegnij do celu!

Potem rzucił straszliwe przekleństwo.

— A, nikczemny tchórz, usiadł teraz!

W istocie bowiem chłopak, którego głowę widział dotychczas wystającą ponad łanem pszenicy, znikł, jak gdyby upadł. Ale za chwilę głowa jego znów ukazała się wzniesiona ponad pszenicą, aż w końcu znikła w oddali.

Wtedy kapitan zbiegł szybko na dół. Kule świstały bez przerwy, izby były pełne rannych; niektórzy z nich kręcili się w kółko, jak pijani, chwytając się sprzętów kurczowo; podłoga i ściany były krwią obryzgane; trupy leżały przed drzwiami. Porucznik miał prawe ramię zgruchotane kulą; wszystko było zasłonięte chmurą dymu i prochu.

— Odwagi! — zawołał kapitan. — Stać na swoich miejscach. Nadchodzą już posiłki. Odwagi!

Ale Austriacy jeszcze bardziej zbliżyli się pod dom. Już widać było po przez obłoki dymu ich wstrętne twarze, słychać było, wśród huku wystrzałów, ich dzikie okrzyki, którymi urągali załodze, wzywali ją do poddania się i grozili jej wycięciem w pień.

Kilku żołnierzy przestraszonych cofnęło się od okien, ale sierżanci popchnęli ich naprzód. Ogień oblężonych stawał się jednak coraz słabszy, na twarzach żołnierzy włoskich widniały zniechęcenie i rozpacz. Nie było już możliwe przedłużać obronę.

Nagle strzały Ausriaków zwolniały, a grzmiący głos wykrzyknął, zrazu po niemiecku, potem po włosku:

— Poddajcie się!

— Nigdy! — ryknął kapitan z okna.

I rozpoczął się ogień jeszcze silniejszy, jeszcze bardziej gwałtowny, z obu stron.

Padło znów kilku naszych żołnierzy.

Niektóre okna były już bez obrońców. Zbliżała się złowroga chwila, a kapitan wołał głosem, tłumionym rozpaczą:

— Nie przychodzą! Nie przychodzą!

I biegał po izbie jak szalony, ściskając kurczowo w dłoni szablę, gotów raczej zginąć, aniżeli się poddać. W tym wbiegł sierżant z poddasza, krzycząc na cały głos:

— Idą nasi! Idą!

— Idą! — powtórzył kapitan z niewysłowioną radością.

Na ten okrzyk wszyscy, zdrowi, ranni, sierżanci, oficerowie rzucili się do okien i opór stał się znów zaciętszy.

W następnej chwili można było zauważyć pewien niepokój, a potem zamieszanie w szeregach nieprzyjaciół.

Nagle kapitan, pełen zapału, zebrał oddział żołnierzy w izbie par-

terowej, aby zarządzić wycieczkę i bagnetami poczęstować Austriaków, po czym znów popędził na górę.

Ledwie wpadł do izby, kiedy dał się słyszeć gwałtowny tętent, któremu towarzyszyły przeraźliwe okrzyki i ujrzano z okien, wśród obłoków dymu, kapelusze dwurożne karabinierów włoskich, szwadron konnicy pędzącej galopem, tudzież piorunowe błyski szabel wywijanych w powietrzu i spadających na głowy i karki wrogów. A tejże samej chwili wypadł z domu oddział ochotników z najeżonymi bagnetami — szeregi nieprzyjacielskie zachwiały się, zmieszały i poczęły uciekać. Plac przed domem opróżnił się wkrótce, dom stał się wolny, niedługo potem dwa bataliony piechoty włoskiej i dwa działa zajęły wzgórze.

Kapitan wraz z żołnierzami, którzy pozostali przy życiu, połączył się ze swym pułkiem, walczył jeszcze mężnie i w czasie starcia na bagnety odniósł lekką ranę na lewej ręce od kuli zbłąkanej.

Dzień zakończył się zwycięstwem naszych. Ale nazajutrz, gdy bój rozpoczął się na nowo, Włosi pomimo bohaterskiego oporu musieli cofnąć się przed przeważającymi siłami Austriaków i z rana dnia 27-go rozpoczęli smutny odwrót ku rzece Mincio.

Kapitan, jakkolwiek ranny, odbywał drogę pieszo wraz z swymi żołnierzami, którzy szli znużeni, w ponurym milczeniu. Gdy przybyli pod wieczór do Goito nad Mincio, kapitan począł szukać natychmiast swego porucznika, który, jako ranny w ramię, wyjechał na wozie ambulansowym i musiał tu już przybyć przed nim. Wskazano mu kościół, w którym na prędce urządzono lazaret wojenny. Udał się tam. Kościół był przepełniony rannymi, których ułożono we dwa rzędy, w łóżkach lub na materacach, rozścielonych na podłodze. Krzątało się tu dwóch lekarzy i kilku posługaczy, znużonych ciężką pracą; tu i ówdzie dały się słyszeć jęki i tłumione krzyki.

Gdy tylko kapitan wszedł, zatrzymał się u progu i oglądał się dokoła, szukając swego oficera, gdy wtem usłyszał, jak ktoś zawołał do niego z bliska słabym głosem:

— Panie kapitanie!

Obejrzał się: był to mały obosz.

Leżał na tapczanie, podpartym kozłami, zakryty aż po pierś grubą fira ką z okna, z czerwonymi i białymi kwadratami, ramiona miał odkryte, był blady i wychudły, ale oczy jarzyły mu się zawsze, jak dwie czarne gemmy.

— Ty tu jesteś, chłopcze? — zapytał kapitan zdziwiony, swym zwykłym surowym głosem. — Brawo, spełniłeś twój obowiązek.

— Zrobiłem, co mogłem — odpowiedział mały dobosz.

— Byłeś ranny? — rzekł kapitan, szukając spojrzeniem swego oficera na sąsiednich łóżkach.

— Cóż robić? — odpowiedział chłopak, któremu dodawała odwagi do mówienia ta radość pełna dumy, że jest poraz pierwszy raniony, inaczej nie śmiałby nawet otworzyć ust wobec kapitana. — Na próżno pochylałem się w biegu, jak tylko mogłem, spostrzegli mnie zaraz. Byłbym przybył o dwadzieścia minut prędzej, gdyby mnie nie byli zranili. Na szczęście spotkałem zaraz kapitana ze sztabu generalnego i wręczyłem mu tę kartkę. Ale ciężko mi było schodzić w dół, po owej kulce. Umierałem z pragnienia, obawiałem się, że już nigdy nie dobiegnę do celu, płakałem z wściekłości na myśl, że za każdą minutę zwłoki jeden z naszych żołnierzy na górze odchodzi w inny świat... Ostatecznie, zrobiłem, co mogłem. Jestem zadowolony. Ale przepraszam pana kapitana, proszę spojrzeć na swoją rękę, znów krwawi.

W istocie ze źle owiniętej, ranionej ręki kapitana spływało kilka kropel krwi po jego palcach.

— Czy pozwoli pan kapitan, abym mu lepiej obwiązał ranę? Proszę mi podać na chwilę rękę...

Kapitan podał małemu doboszowi lewą rękę, a prawą wyciągnął, aby mu pomóc obwiązać zbyt luźny węzeł i lepiej związać bandaż.

Ale chłopak, zaledwie podniósł się nieco z poduszki, pobladł i znów opuścił głowę na poduszkę.

— Dość, dość, — rzekł kapitan, spoglądając na chłopca i usunął zawiązaną rękę, którą tenże chciał przytrzymać. — Uważaj lepiej na siebie, zamiast myśleć o innych. Pamiętaj, że nawet lekkie rany, gdy się je zaniedba, mogą mieć groźne następstwa.

Ale mały dobosz potrząsnął głową.

Kapitan spojrzał na niego uważnie i rzekł:

— Musiałeś niezawodnie utracić dużo krwi, że jesteś tak bardzo osłabiony.

— Straciłem dużo krwi? — odpowiedział chłopak z uśmiechem. — Gdyby tylko tyle! Proszę spojrzeć, panie kapitanie.

I zdjął z siebie pokrycie.

Kapitan cofnął się wstecz, przejęty zgrozą.

Chłopak miał już tylko jedną nogę; lewa noga została mu amputowana aż do kolana, zakrwawione szmaty owijały tę okropną ranę...

W tej chwili przechodził właśnie obok nich lekarz wojskowy niskiego wzrostu i otyły, bez surduta, w kamizelce tylko.

— A, panie kapitanie, — rzekł szybko, wskazując na małego dobosza, — to nieszczęśliwy wypadek. Noga ta mogłaby być z łatwością wyleczona, gdyby jej ten chłopak nie był natężył w tak szalony sposób. Wywiązało się fatalne zapalenie i trzeba było odciąć aż po kolano. Ale chłopak dzielny, co się zowie, zapewniam pana... Nie uronił ani jednej łzy, nie wydał ani jednego krzyku. Gdy go operowałem, słowo daję, przejmowało mnie uczucie dumy, że to chłopak włoski, do kroćset piorunów, to dobra rasa!

I oddalił się śpiesznie.

Kapitan zmarszczył gęste siwe brwi i utkwił spojrzenie w małym doboszu, naciągnąwszy na niego przykrycie; po czym zwolna, jakby mimowoli, nie odwracając od niego spojrzenia, podniósł rękę do głowy i zdjął czapkę.

— Panie kapitanie! — wykrzyknął chłopiec zdumiony. — Co pan robi?... Przede mną...

A wtedy ów szorstki żołnierz, który nigdy jeszcze nie wyrzekł łagodnego słowa do swoich podwładnych, odpowiedział głosem niezwykle słodkim i wzruszonym:

— Ja jestem tylko kapitanem... ale ty jesteś bohaterem!...

Po tym rzucił się z otwartymi ramionami na małego dobosza i ucałował go trzy razy w pierś, tam, gdzie bije serce.

MIŁOŚĆ OJCZYZNY.

24. wtorek.

Ponieważ opowiadanie o małym doboszu wzruszyło cię do głębi, powinno ci było być łatwo dziś rano napisać dobrze wypracowanie na egzamin „Dlaczego kochacie Włochy?"

Kocham Włochy, ponieważ moja matka jest Włoszka, ponieważ krew, która płynie w moich żyłach, jest włoska, ponieważ w ziemi włoskiej są pogrzebani ci, których moja matka opłakuje i których czci mój ojciec, ponieważ miasto, gdzie się urodziłem, język, którym mówię, książki, z których się uczę, ponieważ mój brat, moja siostra, moi koledzy i ten wielki naród, wśród którego żyję, ta piękna przyroda, która mnie otacza i wszystko to, co widzę, co kocham, czego się uczę, co podziwiam... jest włoskie.

Ale ty, mój synu, nie możesz jeszcze poznać całej głębi tego uczucia. Poznasz je dopiero wtedy, gdy będziesz dorosłym mężczyzną, gdy wracając z dalekiej podróży, po długiej nieobecności, opierając się pewnego poranku o bok statku, ujrzysz na widnokręgu wysokie sine góry twej ojczyzny; poznasz je wtedy po gwałtownej fali tkliwości, która napełni ci oczy łzami i wyrwie ci z serca krzyk radości.

Poznasz tę miłość w wielkim i dalekim mieście, po tym porywie twej duszy, który cię popchnie wśród obcego tłumu ku nieznanemu ci robotnikowi, jedynie z tego powodu, ponieważ, przechodząc obok niego, słyszałeś słowo wymówione w twym rodzinnym języku. Poznasz ją po tym bolesnym, pełnym dumy oburzeniu, które ci popędzi krew do głowy, gdy usłyszysz cudzoziemca, ubliżającego twemu krajowi. Poznasz ją w jeszcze wyższym stopniu, jeszcze wznioślejszą, owego dnia, gdy groźba wrogów wywoła burzę nad twoją ojczyzną, gdy zewsząd da się słyszeć szczęk broni, gdy młodzieńcy będą się gromadzili legionami, gdy ojcowie ucałują synów, mówiąc: — Odwagi — gdy matki będą się żegnały z młodzieńcami okrzykiem: — Zwyciężycie! —

Uczujesz tę miłość, jako boską radość, jeżeli będziesz miał to szczęście, że ujrzysz, wracając do twego miasta, pułki przerzedzone, wycieńczone, w łachmanach, straszne, ale z blaskiem zwycięstwa w spojrzeniach, gdy ujrzysz sztandary podziurawione kulami, a za nimi niezliczone szeregi walecznych, z wysoko podniesioną obwiązaną głową, kaleki bez ręki, a dokoła nich tłum szalejący z uniesienia, który ich obsypie kwiatami, błogosławieństwem, pocałunkami. Poznasz wtedy, Henryku, miłość ojczyzny, zrozumiesz, co to jest ojczyzna. Jest to coś tak wzniosłego i świętego, że gdybym cię widział pewnego dnia, wracającego zdrowo z bitwy, stoczonej w jej obronie, ciebie, któryś jest krew z krwi, kość z moich kości i gdybym wiedział, że ocaliłeś życie w ten sposób, iż ukryłeś się przed śmiercią, ja, twój ojciec, który cię witam okrzykiem radości, gdy wracasz ze szkoły, przyjąłbym cię łkaniem rozpaczy i nie mógłbym cię już nigdy więcej kochać i umarłbym z tym sztyletem w mym sercu.

Twój ojciec.

ZAZDROŚĆ.

25. środa.

Także i wypracowanie o ojczyźnie najlepiej w całej klasie napisał Derossi. A tymczasem Votini liczył na pewne, że otrzyma pierwszy medal.

Votini byłby mi dość sympatyczny, jakkolwiek jest nieco próżny i zanadto się stroi, ale jego twarz, gdy zasiaduję z nim w ławce, nie podoba mi się, gdy widzę, jak zazdrości Derossiemu. I chciałby z nim

iść w zawody, pracuje gorliwie, ale nie może mu dorównać w żadnym względzie, albowiem Derossi przewyższa go dziesięćkrotnie we wszystkich przedmiotach, a Votini aż palce gryzie. Także i Karol Nobis zazdrości mu, ale ma tyle dumy, że tego nie pokazuje po sobie.

Votini natomiast zdradza się, narzeka w domu, że zasłużył na lepsze stopnie i twierdzi, że nauczyciel jest niesprawiedliwy. A gdy Derossi odpowiada na pytania tak prędko i dobrze, jak zawsze, chmurzy się, pochyla głowę, udaje, że nie słyszy albo sili się na uśmiech, ale jest to uśmiech nieszczery. Wszyscy o tym wiedzą, to też gdy nauczyciel chwali Derossiego, wszyscy obracają się i patrzą na Votiniego, który wygląda, jakby połknął truciznę, a murarczyk robi mu pyszczek zajęczy.

Oto na przykład dziś rano... Wchodzi nauczyciel do klasy i oznajmia wynik egzaminów.

— Derossi, dziesięć dziesiątych i pierwszy medal.

Votini kiwnął głową, nauczyciel spojrzał na niego i zrozumiał wszystko.

— Votini, — rzekł do niego, — nie wpuszczaj do ciała twego węża zawiści. Ten gad toczy mózg i znieprawia serce.

Wszyscy spojrzeli na niego, z wyjątkiem Derossiego; Votini chciał coś odpowiedzieć, ale nie mógł słowa przemówić; pobladł tylko straszliwie i siedział jak skamieniały. Potem, gdy nauczyciel zajęty był lekcją, napisał na kartce papieru dużymi literami: „Nie zazdroszczę tym, którzy otrzymują pierwszy medal protekcją i niezasłużenie". Chciał tę kartkę posłać Derossiemu.

W tym spostrzegłem, że sąsiedzi Derossiego coś knują, szepcą sobie do ucha, po czym jeden z nich wyciął scyzorykiem duży medal z papieru, na którym wyrysowali czarnego węża. Votini wszakże tego nie zauważył. Nauczyciel wyszedł na kilka chwil.

Wtedy sąsiedzi Derossiego szybko wstali, wyszli z ławki i zbliżywszy się, ofiarowali uroczyście medal papierowy Votiniemu. Cała klasa czekała awantury. Votini drżał na całym ciele. W tym Derossi zawołał:

— Dajcie mi ten medal!

— I owszem, tym lepiej, — odpowiedzieli oni. — tyś sam powinien mu zanieść ten medal.

Ale Derossi pochwycił ten medal papierowy i podarł go na drobne kawałki. W tej samej chwili wrócił nauczyciel do klasy i rozpoczął znów lekcję. Nie spuszczałem oka z Votiniego, spłonął rumieńcem wstydu, wziął ową kartkę papieru zwolna, jak gdyby w roztargnieniu, zwinął ją ukradkiem, włożył do ust, żuł chwilę, a potem wypluł pod ławkę. Gdy wychodził z klasy i widział Derossiego, Votini, nieco zmieszany, upuścił na ziemię bibułę. Derossi, który jest zawsze uprzejmy, podniósł ją szybko, włożył mu ją do tornistra i pomógł mu zapiąć rzemienie. A Votini zawstydzony nie śmiał podnieść oczu.

MATKA FRANTIEGO.

28. sobota.

Ale Votini jest rzeczywiście niepoprawny. Wczoraj, na godzinie religii, w obecności dyrektora, nauczyciel zapytał Derossiego, czy umie na pamięć owe dwie zwrotki z naszych wypisów, które się tak zaczynają:

Gdzie tylko spojrzę dokoła,
Widzę Cię, Panie Wszechmocny.

Derossi odpowiedział, że nie umie, a wtedy Votini szybko zawołał:

— Ja je umiem, — i uśmiechnął się, rad, że choć raz będzie mógł zawstydzić Derossiego.

Ale doznał zawodu i nie mógł wygłosić tych wierszy, gdyż nagle weszła do klasy matka Frantiego zdyszana, z rozwichrzonymi siwymi włosami, cała osypana śniegiem, popychając przed sobą syna, który od tygodnia był wydalony ze szkoły. I nastąpiła zaiste smutna scena. Biedna kobieta upadła prawie na kolana przed dyrektorem i łamiąc ręce błagała go:

— Panie dyrektorze, proszę mi uczynić tę łaskę i przyjąć z powrotem mego chłopca do szkoły! Już od trzech dni jest w domu, ukrywałam go, jak mogłam, ale gdyby się, broń Boże, ojciec dowiedział o tym, zabiłby go. Zmiłuj się pan, panie dyrektorze, nie wiem sama, co mam robić, błagam cię z całej mej duszy, panie dyrektorze!

Dyrektor chciał ją wyprowadzić z klasy, ale nieszczęśliwa kobieta stawiała opór, wciąż płacząc i błagając za synem.

— O, gdyby pan wiedział, ile zmartwienia mi sprawia ten chłopiec, miałby pan litość nade mną! Spodziewam się, że się poprawi. Długo już żyć nie będę, panie dyrektorze, mam śmierć w sobie, ale pragnęłabym gorąco widzieć przed śmiercią, że się poprawił, gdyż... — tu wybuchła płaczem — to przecież moje dziecko, kocham go, umarłabym z rozpaczy. Proszę go jeszcze przyjąć tym razem, panie dyrek-

torze, aby nie stało się nieszczęście w rodzinie.... Uczyń pan to przez litość dla biednej kobiety.

I łkając, ukryła twarz w dłoniach.

Franti stał nieruchomy, z głową spuszczoną.

Dyrektor spojrzał na niego, stał chwilę w zamyśleniu, potem rzekł:

— Franti, idź na twoje miejsce.

Wtedy kobieta odjęła ręce od twarzy, uspokojona i poczęła gorąco dziękować dyrektorowi, nie dając mu przyjść do słowa, po czym zwróciła się do drzwi, ocierając oczy i mówiąc jedno przez drugie:

— Bądź zdrów, mój synu! Błagam panów o wyrozumiałość dla niego. Dziękuję ci, panie dyrektorze, że się nad nim zlitowałeś. Zachowaj się odtąd dobrze, mój synu. Dzień dobry, dzieci. Dzięki i do widzenia, panie nauczycielu. I proszę wybaczyć biednej matce.

Jeszcze raz od progu rzuciła błagalne spojrzenie na syna i wyszła poprawiając szal, który wlókł się za nią, blada, zgarbiona, z trzęsącą się głową i słyszeliśmy jeszcze, jak kaszlała na schodach.

Dyrektor spojrzał bystro na Frantiego i rzekł do niego głosem, który nas przejął dreszczem trwogi.

Twarze wszystkich zwróciły się wtedy ku Frantiemu, a ten niegodziwiec uśmiechał się.

NADZIEJA.

29. niedziela.

Piękne było twe uniesienie, Henryku, z jakim się rzuciłeś matce na szyję, powróciwszy do domu z lekcji religii. Tak, usłyszałeś od nauczyciela słowa wzniosłe i pełne pociechy. Bóg, który nas rzucił, jedno w objęcia drugiego, nie rozłączy już nas nigdy mój synu. Gdy będę umierała, gdy twój ojciec będzie umierał, nie powiemy do ciebie owych strasznych słów, pełnych rozpaczy: „Już cię nigdy więcej nie zobaczę“. Zobaczymy się w innym życiu.

Gdzie ten, który wycierpiał wiele na tym świecie, otrzyma nagrodę, gdzie ten, który wiele kochał na ziemi, odnajdzie drogie sobie duchy, na tym lepszym świecie, gdzie nie ma winy, nie ma płaczu i nie ma śmierci.

Ale musimy wszyscy stać się godni tego drugiego życia. Posłuchaj mnie, synu: każdy twój dobry uczynek, każdy popęd twego serca ku tym, którzy cię miłują, każdy krok uprzejmy wobec twych towarzyszów, każda twoja myśl szlachetna jest jak by wzniesieniem się w górę,

ku owemu lepszemu światu. I wznosi się tam także każde nieszczęście, każdy ból, albowiem każdy ból jest zmazaniem jakiejś winy, każda łza zmywa jakąś plamę.

Postanawiaj sobie codziennie stawać się lepszym, aniżeli byłeś wczoraj, miłować więcej, aniżeli miłowałeś dnia poprzedniego. Powiedz sobie każdego poranku tak: dziś chcę uczynić coś, za co mnie sumienie będzie chwaliło i mój ojciec będzie zadowolony, coś, za co mnie będzie więcej kochał ten lub ów kolega, nauczyciel, brat lub kto inny.

I proś Pana Boga, aby ci dał siłę do wykonania twego postanowienia. Panie, pragnę gorąco być dobry, szlachetny, odważny, uczciwy, szczery... Wesprzyj mnie! Spraw, abym każdego wieczora, gdy mnie matka ucałuje na dobranoc, mógł jej powiedzieć: — Mamo, całujesz dziś wieczór dziecko lepsze i godniejsze twego pocałunku, aniżeli wczoraj.

Miej zawsze na myśli tego drugiego Henryka, już nadziemskiego i wiecznie szczęśliwego, którym będziesz mógł być kiedyś, po tym życiu. I módl się. Nie możesz sobie wyobrazić, jakiej słodyczy doznaje, jak się czuje doskonalszą matka, gdy widzi swoje dziecko z rękoma do modlitwy złożonymi. Gdy widzę cię modlącego się, wydaje mi się niemożliwym, żeby cię ktoś nie widział i nie słyszał w niebie. I wierzę wtedy z jeszcze większą mocą, że istnieje Najwyższa Dobroć i Miłość bez granic, kocham cię jeszcze bardziej, pracuję z jeszcze większym zapałem, znoszę cierpienia z większą wytrwałoscią, przebaczam z głębszą miłością i myślę pogodniej o śmierci...

O, Boże wielki i dobry! Słyszeć znów po śmierci głos mej matki, ujrzeć znów moje dzieci, ujrzeć mego Henryka błogosławionego i nieśmiertelnego...; i objąć go w uścisku, który już nigdy nie będzie rozerwany, nigdy, przez całą wieczność!

O! módl się, synu, módlmy się, kochajmy się, bądźmy dobrzy i przechowujmy w duszy tę niebiańską nadzieję, moje najdroższe dziecko!

Twoja matka.

LUTY.

MEDAL ZASŁUŻONY.

4. sobota.

Dziś rano przybył rozdawać medale sam rektor, pan z siwą brodą, w czarnym ubraniu.

Wszedł wraz z dyrektorem, tuż zanim dzwonek szkolny oznajmił koniec nauki i usiadł obok nauczyciela. Zadał nam kilka pytań, po czym wręczył pierwszy medal Derossiemu, zanim zaś dał drugi medal, rozmawiał kilka minut półgłosem z nauczycielem i dyrektorem. Wszyscy czekaliśmy z naprężeniem i pytaliśmy się w duchu siebie, kto otrzyma drugi medal.

Rektor zaś rzekł głośno:

— Na drugi medal zasłużył sobie w tym tygodniu uczeń Piotr Precossi; zasłużył sobie zadaniami domowymi, lekcjami w szkole, staranną kaligrafią, dobrym zachowaniem się, słowem wszystkim.

Wszyscy obróciliśmy się, aby patrzeć na Precossiego; widać było, że wszyscy się tym cieszą.

Precossi wstał z miejsca swego i tak był zmieszany, że nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje.

— Przybliż się tu, chłopcze, — rzekł do niego rektor.

Precossi wyszedł szybko z ławki i przystąpił do stolika nauczycielskiego. Rektor spojrzał z uwagą na tę szczupłą twarzyczkę, żółtą jak wosk, na to drobne ciało w pozawijanym i źle leżącym odzieniu, na te oczy dobre i smutne, które unikały nieśmiało jego spojrzenia, ale w których można było wyczytać dzieje cierpień biednego chłopczyny, a potem, przypinając mu medal do ramienia, rzekł do niego głosem nadzwyczaj serdecznym:

— Precossi, daję ci ten medal. Nikt nie jest od ciebie godniejszy, by go nosić. Daję ci go nietylko dla twej inteligencji i twej pilności, ale także dla twego dobrego serca, dla twej odwagi, dla twego charakteru, ponieważ jesteś dobrym i poczciwym synem.

— Czy nie prawda? — dodał, zwracając się do klasy, — że zasługuje na ten medal także i z tego powodu?

— Tak, tak, — odpowiedzieli wszyscy jednogłośnie.

Precossi uczynił ruch szyją, jak gdyby chciał coś połknąć i spojrzał dokoła z wyrazem słodyczy i najżywszej wdzięczności.

— Idź więc, drogi chłopcze — rzekł do niego rektor — i niech cię Bóg ma w swej świętej opiece.

Była właśnie pora, kiedy się kończą lekcje. Nasza klasa wyszła przed innymi.

Zaledwie jednak wyszliśmy na korytarz, kogo widzimy tuż obok drzwi? Oto stoi tu ojciec Precossiego, ów kowal, blady jak zwykle, z błędnym spojrzeniem, z włosami spadającymi mu na oczy, z czapką na bakier, chwiejący się na nogach. Nauczyciel spostrzegł go natychmiast i szepnął kilka słów rektorowi, ten zaś poszukał pospiesznie wzrokiem Precossiego, ujął go za rękę i poprowadził do ojca. Chłopak trząsł się cały ze strachu. Także nauczyciel i dyrektor przystąpili, a wielu chłopców z naszej klasy otoczyło ich kołem.

— Pan jesteś ojcem tego chłopca, czy prawda? — zapytał rektor kowala tak wesoło, jak gdyby byli od dawna przyjaciółmi. I nie czekając odpowiedzi, mówił dalej — cieszę się wraz z panem. Proszę oto spojrzeć: chłopiec pański zasłużył sobie na drugi medal z pośród pięćdziesięciu czterech współuczniów; zasłużył sobie na ten medal dobrymi wypracowaniami, postępami w arytmetyce, wszystkim. Jest to chłopiec zdolny i pełen najlepszych chęci, który ma bardzo dobre widoki; poczciwe dziecko, które cieszy się ogólną sympatią i szacunkiem wszystkich. Zapewniam pana, że możesz pan być z niego dumny.

Kowal stał i słuchał z otwartą gębą, spoglądał na rektora i dyrektora, później zaś na swego syna, który stał drżąc przed nim, ze spuszczonymi oczyma. Potem, jak gdyby sobie przypomniał i zrozumiał po raz pierwszy w życiu wszystko, co ten biedny malec od niego wycierpiał, i całą jego dobroć i tę wytrwałość bohaterską, z jaką on znosił te udręczenia, okazał nagle na twarzy wyraz ogromnego zdziwienia, potem zaś ból przejmujący, a wreszcie czułość gwałtowną i pełną żalu i szybkim ruchem chwycił chłopca za głowę i przycisnął ją sobie do piersi.

A my wszyscy przybliżyliśmy się wtedy do niego; ja zaprosiłem go do siebie do domu na czwartek, wraz z Garronem i Crossim;

inni pozdrawiali go; ten go pogłaskał, drugi zaś dotknął się medalu, każdy powiedział mu coś miłego. Kowal zaś patrzył na nas ze zdumieniem, przyciskając wciąż do piersi głowę syna, który łkał ze szczęścia.

DOBRE POSTANOWIENIA.

5. niedziela.

Ten medal, który otrzymał Precossi, był dla mnie wyrzutem. Ja jeszcze nigdy nie zasłużyłem sobie na medal.

Od niejakiego czasu nie uczę się należycie i jestem sam z siebie niezadowolony, a także nauczyciel, ojciec i matka są ze mnie niezadowoleni. Nawet i zabawa nie sprawia mi już teraz takiej przyjemności, jak dawniej, kiedy pracowałem z ochotą, a później od nauki biegłem do moich zabawek z taką radością, jak gdybym ich nie był widział cały miesiąc. Także i do stołu z rodziną nie zasiadam teraz z takim zadowoleniem, jak niegdyś. Zawsze jest jak gdyby cień jakiś w mej duszy, a głos wewnętrzny mówi mi ustawicznie: — źle idzie, źle idzie.

Widzę wieczorem, jak idą przez plac, wśród gromady robotników, chłopcy wracający z pracy do domu; wszyscy strudzeni, ale weseli, przyspieszają kroku, aby prędzej przybyć do domu na wieczerzę, mówią głośno, śmieją się, uderzają się po plecach rękoma czarnymi od węgla lub białymi od wapna i myślę, że pracowali od wczesnego świtu do tej pory. Z nimi idą inni jeszcze mniejsi chłopcy, którzy cały dzień stali na dachach, koło pieców, wśród machin, w wodzie lub w podziemnych kopalniach, mając za całe pożywienie tylko kawałek chleba. Widząc ich, doznaję wstydu, że przez cały ten czas nic więcej nie zrobiłem, jak tylko napisałem niechętnie cztery strony zadania.

Ach tak, jestem bardzo z siebie niezadowolony! Widzę dobrze, że mój ojciec jest w złym humorze, chciałby mi powiedzieć, że go zasmucam, ale przykro mu to i czeka jeszcze... Mój drogi ojciec, który tyle pracuje. Ojcze mój, wszystko jest twoje, wszystko, co widzę w tym domu dokoła, wszystko, czego się dotknę. Wszystko, co mnie odziewa i co mnie żywi, co mnie kształci i co mnie zabawia, to wszystko jest owocem twej pracy, ja zaś nie pracuję. To wszystko skupiłeś myślami, przykrościami, trudem, odmawianiem sobie niejednego, ja zaś nie trudzę się niczym.

O nie! To zbyt wielka niesprawiedliwość i zanadto mnie boli. Dziś jeszcze zabiorę się do nauki, jak Stardi. Ścisnę pięści i zęby, wezmę się do pracy całą siłą mej woli i mego serca. Przezwyciężę senność wieczorem, będę wstawał wczesnym rankiem, będę sobie wbijał w mózg lekcje bez wytchnienia, będę zwalczał lenistwo bez litości, będę się trudził i nawet cierpiał, ale muszę raz skończyć życie rozlazłe i bezczynne, które poniża mnie a zasmuca moją rodzinę.

Dalej, do pracy! Do pracy całą siłą duszy i wszystkimi nerwami!

Do pracy! po której spoczynek będzie mi słodki, zabawa miła, obiad smaczny! Do pracy, która mi przywróci życzliwy uśmiech mego nauczyciela i drogi pocałunek mego ojca.

KOLEJ ŻELAZNA

10. piątek.

Precossi przyszedł do nas wczoraj z Garronem. Sądzę, że gdyby to nawet byli synowie książęcy, przyjęcie nie mogłoby być lepsze. Garonne był u nas po raz pierwszy, ponieważ jest nieco nieśmiały i wstydzi się, że jest taki duży chłop i chodzi jeszcze do trzeciej klasy. Poszliśmy wszyscy otwierać drzwi, gdy zadzwonili. Crossi nie przyszedł, ponieważ ojciec jego przyjechał wreszcie z Ameryki po sześciu latach nieobecności. Matka moja ucałowała zaraz Precossiego; ojciec przedstawił jej Garronego, mówiąc:

— Oto Garonne; jest to nietylko dobry chłopiec, ale rycerz i szlachcic w całym tego słowa znaczeniu.

On zaś pochylił swoją wielką głowę rozczochraną i uśmiechnął się do mnie ukradkiem.

Precossi miał na sobie swój medal i był szczęśliwy, ponieważ jego ojciec zabrał się znów do pracy i od pięciu dni już nie pił. Syna chce zawsze mieć przy sobie w kuźni i zdaje się, jak gdyby stał się zupełnie innym człowiekiem.

Wzięliśmy się do zabawy; ja wydobyłem wszystko, co tylko mam. Precossi spoglądał z zachwytem na moją kolej żelazną z lokomotywą, która sama idzie, gdy się ją nakręci, nie widział jeszcze nigdy czegoś podobnego, pożerał oczyma te małe wagony czerwone i żółte. Dałem mu klucz do nakręcania, aby się tą koleją bawił; ukląkł na ziemi, nakręcił i nie odrywał już oczu od tej zabawki. Nigdy go jeszcze nie widziałem tak zadowolonym.

— Przepraszam, przepraszam — powtarzał ustawicznie, zasłaniając rękoma lokomotywę, abyśmy jej nie zatrzymali, a wagoniki ustawiał z taką ostrożnością, jak gdyby były ze szkła, obawiał się

prawie oddychać koło nich, wycierał je co chwila, oglądał z dołu i z góry i uśmiechał się sam do siebie.

My staliśmy dokoła i patrzyliśmy na niego: patrzyliśmy na tę chudą szyję, na te biedne uszy, które pewnego dnia widziałem zakrwawione, na ten kubrak z pozawijanymi do łokci rękawami, z których widniały wątłe, chorowite ręce, które tyle razy się podnosiły, by osłaniać od uderzeń twarz bladą... O, w tej chwili byłbym mu oddał wszystkie moje zabawki i wszystkie moje książki, byłbym sobie odjął od ust ostatni kęs chleba, aby się z nim podzielić, ściągnąłbym z siebie ostatnie ubranie, aby go przyodziać, upadłbym nawet przed nim na kolana, by ucałować jego ręce.

— Daruję mu przynajmniej tę kolej — pomyślałem sobie w duchu. — Ale muszę przedtem prosić ojca o pozwolenie.

W tej samej chwili uczułem, że ktoś mi wkłada do ręki kartkę papieru. Spojrzałem; była zapisana przez ojca mego ołówkiem i zawierała następujące słowa:

— Precossiemu podoba się twoja kolej. Biedny chłopiec nie ma żadnych zabawek. Czy serce twoje nic ci nie mówi?

Natychmiast pochwyciłem obydwiema rękoma lokomotywę i wagony i włożyłem mu to wszystko w ręce, mówiąc:

— Możesz to wziąć, to jest twoje.

Spoglądał na mnie, ale mnie nie rozumiał.

— To twoje, — powtórzyłem. — Daruję ci to.

Wtedy spojrzał na mego ojca i na moją matkę z jeszcze większym zdumieniem i zapytał mnie:

— Ale dlaczego?

A ojciec mój odpowiedział mu:

— Henryk ci to daruje dlatego, ponieważ jest twoim przyjacielem, ponieważ cię kocha... i pragnie w ten sposób uczcić twój medal.

Precossi zapytał nieśmiało:

— I mogę to zabrać ze sobą... do domu?

— Ależ naturalnie, — odpowiedzieliśmy wszyscy.

Gdy miał odchodzić, stał już na progu, a nie śmiał jeszcze odejść. Był tak szczęśliwy! ciągle powtarzał „przepraszam“ ustami drżącymi i równocześnie śmiejącymi się.

Garrone pomógł mu owinąć kolej w chustkę, a gdy się schylił, zatrzeszczały obwarzanki, którymi miał wypchane kieszenie.

Precossi zaś rzekł do mnie:

— Przyjdź kiedyś do nas do kuźni, zobaczysz, jak mój ojciec pracuje. Dam ci kilka gwoździ...

Matka przypięła bukiecik do kurtki Garrona, aby go dał w jej imieniu swojej matce. Garrone rzekł swoim grubym głosem:

— Dziękuję. — I nie podniósł głowy od piersi ale w oczach jego błyszczała dusza dobra i szlachetna.

PYCHA.

11. sobota.

I pomyśleć, że Karol Nobis czyści sobie rękaw z przesadą, gdy Precossi, przechodząc obok niego, przypadkiem go się dotknie. Ten chłopiec jest pychą wcieloną, ponieważ ojciec jego jest bogaty. Ale ojciec Derossiego jest przecież także bogaty. On chciałby mieć ławkę sam dla siebie, boi się, że każdy dotknięciem swym zawala go, spogląda na wszystkich z góry na dół, ma zawsze na ustach uśmiech pogardliwy. A biada gdy go ktoś trąci w nogę, gdy wychodzimy ze szkoły parami! Za byle co rzuca w twarz słowa obelżywe lub grozi, że ojciec przyjdzie do szkoły, by się za nim ująć. A wiadomo przecież, że ojciec dał mu dobrą lekcję, gdy przezwał gałganiarzem syna węglarza.

Nigdy jeszcze nie widziałem takiego nadętego kolegi. Nikt z nim nie mówi, nikt nie żegna się z nim, gdy wychodzi z klasy, nawet pies mu nie podpowie, gdy nie umie lekcji. On zaś nie może cierpieć nikogo i udaje, że gardzi przede wszystkim Derossim, ponieważ jest pierwszy w klasie i Garronem, ponieważ wszyscy go kochają. Ale Derossi nawet się nie patrzy na niego, a Garrone, gdy mu donoszą, że Nobis go obmawia, odpowiada:

— Taka głupia pycha nie zasługuje nawet, aby zwrócić na nią uwagę.

A Coretti, gdy pewnego dnia śmiał się pogardliwie z jego czapki z kociej sierści, odpowiedział mu:

— Idź do Derossiego i ucz się od niego być panem!

Wczoraj znów Nobis skarżył się przed nauczycielem, że Kalabryjczyk trącił go nogą w udo.

Nauczyciel zapytał Kalabryjczyka:

— Czy uczyniłeś to rozmyślnie?

On zaś odpowiedział szczerze:

— Nie, panie, nieumyślnie.

A nauczyciel rzekł wtedy do Nobisa:

— Jesteś zanadto obraźliwy.

Nobis zawołał wtedy ze swoją dumną miną:

— Opowiem to memu ojcu.

Wtedy nauczyciel wybuchł gniewem i odpowiedział mu:

— Dobrze, powiedz. Ojciec ci nie przyzna słuszności, tak jak to już raz uczynił. A zresztą w szkole tylko nauczyciel jest powołany do tego, aby sądził i karał:

Potem jednak dodał łagodniejszym tonem:

— Posłuchaj mnie, Nobis, zmień twoje niemiłe obejście się, bądź dobry i grzeczny wobec twoich kolegów. Patrz, są tu synowie robotników i panów, bogatych i biednych, a wszyscy się kochają wzajemnie i żyją ze sobą po bratersku. Dlaczegoż i ty nie postępujesz tak, jak inni? Mógłbyś tak łatwo osiągnąć, aby cię wszyscy polubili, a sam byłbyś również o wiele węcej. Cóż? Nie masz mi nic na to do powiedzenia?

Nobis, który słuchał nauczyciela ze swym zwykłym pogardliwym uśmiechem, — odpowiedział chłodno:

— Nie, panie.

— Siadaj, — zawołał nauczyciel. — Jesteś chłopcem bez serca.

I zdawało się, że wszystko się na tym skończyło, ale murarczyk, który siedzi w pierwszej ławce, obrócił swą okrągłą twarz ku Nobisowi, siedzącemu w ostatniej ławce i zrobił mu pyszczek zajęczy, tak wyborny i tak śmieszny, że cała klasa wybuchła głośnym śmiechem.

Nauczyciel go zgromił, ale sam musiał zasłonić ręką usta, aby swój śmiech ukryć.

Nobis także się zaśmiał, ale był to śmiech przymuszony.

RANNI NA POLU PRACY.

13. poniedziałek.

Nobis mógłby razem z Frantim chodzić w parze; ani jeden, ani drugi nie wzruszyli się strasznym widokiem, na któryśmy dziś rano patrzyli.

Wyszedłszy ze szkoły, zatrzymaliśmy się na chwilę z ojcem i przypatrywaliśmy się, jak kilku malców z drugiej klasy rzuciło się na kolana i pocierało płaszczami i czapkami lód, aby mieć lepszą ślizgawkę, gdy wtem ujrzeliśmy w głębi ulicy tłum ludzi szybko idących, wszyscy z miną poważną, gdyby przerażeni i mówili do siebie półgłosem.

Wśród tłumu widać było trzech strażników miejskich; za nimi dwóch ludzi niosło nosze. Chłopcy biegli ze wszystkich stron, a tłum zbliżał się ku nam.

Na noszach leżał człowiek blady jak trup, z głową zwieszoną na ramię, z włosami rozwichrzonymi i zakrwawionymi, a z ust i uszu sączyła mu się krew. Obok noszów szła kobieta z dzieckiem na ręku, gdyby obłąkana i wołała od czasu do czasu:

— Nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

Za kobietą dreptał chłopak z książkami pod pachą i głośno szlochał.

— Co się stało? — zapytał mój ojciec.

Ktoś z obok stojących odpowiedział, że to murarz, który spadł przy budowie domu z czwartego piętra.

Ludzie niosący nosze zatrzymali się chwilę, a wiele osób odwracało oczy, nie mogąc znieść tego strasznego widoku. Ujrzałem tę małą nauczycielkę z czerwonym piórem przy kapeluszu, która podtrzymywała moją nauczycielkę z pierwszej klasy wyższej, napół omdlałą. Wtem poczułem nagle, że ktoś mnie trącił łokciem.

Był to murarczyk blady i cały drżący. Niewątpliwie myślał o swoim ojcu. Ja także o nim pomyślałem. Ja przynajmniej, gdy jestem w szkole, mogę być spokojny, albowiem wiem, że mój ojciec siedzi w domu przy swoim biurku, zdala od wszelkiego niebezpieczeństwa; wielu jednak z moich kolegów musi myśleć o tym, że ich ojcowie pracują na bardzo wysokim moście albo blisko kół maszyny i że jeden ruch, jeden fałszywy krok może ich przyprawić o śmierć. Można ich porównać z synami żołnierzy, których ojcowie biorą udział w bitwie.

Murarczyk patrzył, patrzył i drżał coraz silniej, a ojciec mój, który to zauważył, rzekł do niego:

— Idź, chłopcze, szybko do domu! Idź do twego ojca, przekonasz się, że jest zdrów i cały. Idź do domu, moje dziecko!

Murarczyk odszedł, oglądając się co chwila.

A tymczasem tłum począł znów iść, a kobieta wołała rozdzierającym głosem:

— Umarł! Nie żyje! Nie żyje!

— Nie, nie umarł! — mówili jej ludzie. Ale ona nie zważała na to i targała włosy w rozpaczy.

Wtem usłyszałem jak ktoś zawołał z oburzeniem:

— Śmiejesz się? — i w tej samej chwili ujrzałem jakiegoś brodatego pana, patrzącego w twarz Frantiemu, który uśmiechał się jeszcze.

Wtedy ów pan wymierzył mu silny policzek, tak, że czapka mu spadła z głowy i zawołał:

— Odkryj głowę, łotrze, gdy niosą rannego na polu pracy.

A tłum już przeszedł i tylko widać było w pośrodku ulicy długą krwawą smugę.

WIĘZIEŃ.

27. piątek.

Jest to niezawodnie najdziwniejszy wypadek w całym roku.

Ojciec mój udał się ze mną wczoraj z rana w okolice Moncalieri, aby obejrzeć willę, która była do wynajęcia na przyszłe lato, ponieważ tego roku nie jedziemy już do Chieri. I oto klucze tej willi miał jeden z nauczycieli, który był równocześnie sekretarzem właściciela. Oprowadził nas po całym domu, a potem zaprosił nas do swego pokoju i poczęstował orzeźwiającą lemoniadą.

Na stole, między szklankami, stał kałamarz drewniany, w kształcie stożka, w dziwny sposób rzeźbiony. Widząc, że mój ojciec spogląda nań z zajęciem, nauczyciel rzekł do niego:

— Ten kałamarz ma dla mnie nadzwyczaj wielką wartość. Gdybyś pan znał jego historię!

I jął nam opowiadać, jak następuje:

Przed laty był nauczycielem w Turynie i chodził przez całą zimę dawać lekcje więźniom.

Lekcje odbywały się w kaplicy więziennej, która jest budynkiem okrągłym, a dokoła, w ścianach wysokich i nagich, umieszczone są kwadratowe okienka, zakratowane dwiema żelaznymi sztabami na krzyż, a każde okienko wychodzi na zewnątrz na bardzo małą celę.

Nauczyciel wykładał, chodząc po tej kaplicy zimnej i mrocznej, a uczniowie jego stali za tymi oknami, trzymając przed sobą zeszyty i nie było nic innego widać, jak tylko ich twarze wśród tej ciemności, twarze wychudłe i ponure, siwe brody roztargane, nieruchome oczy morderców i innych zbrodniarzy. Był jednak między nimi jeden, oznaczony numerem 78, który przysłuchiwał się wykładom nauczyciela z większą uwagą, aniżeli wszyscy inni, uczył się z wielką pilnością i spoglądał na nauczyciela wzrokiem pełnym szacunku i wdzięczności.

Był to młody jeszcze człowiek, z czarną bródką, bardziej nieszczęśliwy, aniżeli zły, stolarz, który w chwili gniewu rzucił heblem na swego majstra, co go od niejakiego czasu nielitościwie prześladował, i zadał mu śmiertelną ranę w głowę. Za to został zasądzony na kilka lat więzienia.

W przeciągu trzech miesięcy nauczył się czytać i pisać i czytał nieustannie, a im więcej się uczył, tym stawał się lepszy i widoczne było, że żałuje swej winy. Pewnego dnia, po ukończeniu lekcji, poprosił nauczyciela, aby się zbliżył do okienka i oznajmił mu ze smutkiem, że nazajutrz rano ma wyjechać z Turynu, gdyż będzie wywieziony do Wenecji, aby odbyć resztę kary w tamtejszym więzieniu. Żegnając się, prosił nauczyciela głosem pokornym i wzruszonym, aby pozwolił dotknąć się jego ręki. Nauczyciel wyciągnął rękę, więzień ów ucałował ją, po czym wyszeptał — Dziękuję! Dziękuję! — I znikł w swej celi. Ręka nauczyciela była zwilżona łzami. Potem nie widział już więcej tego więźnia.

Upłynęło sześć lat.

— Nie myślałem już wcale o tym nieszczęśliwym, — odpowiadał nauczyciel — gdy przedwczoraj zrana wchodzi do mnie do domu jakiś nieznajomy, nędznie ubrany, z dużą brodą czarną, już nieco szpakowatą i pyta mnie:

Czy pan jesteś tym a tym nauczycielem?

— Tak jest, — odpowiadam. — A kto wy jesteście?

— Jestem więzień numer 78, — odrzekł. — Przed sześciu laty pan mnie nauczył czytać i pisać. Czy pamięta pan, jak po ostatniej lekcji pan mi podał rękę. Teraz ukończyłem moją karę i jestem tutaj... Przybywam prosić, aby pan wyświadczył mi tę łaskę i przyjął ode mnie mały upominek... tę oto drobnostkę, którą zrobiłem w więzieniu. Czy przyjmie ją pan ode mnie na pamiątkę, panie nauczycielu?

Ze zdumienia nie mogłem słowa przemówić. On zaś sądził, że nie chcę przyjąć jego podarunku i spoglądał na mnie, jak gdyby chciał mi powiedzieć: — A więc sześć lat katuszy i cierpień nie wystarcza, aby oczyścić moje ręce. — A w spojrzeniu i na twarzy jego była taka boleść, że wyciągnąłem natychmiast rękę i wziąłem jego podarunek. Oto stoi tu na stole...

Spojrzeliśmy z uwagą na kałamarz. Zdawał się być wyrzeźbiony ostrzem gwoździa z wielką cierpliwością; było na nim wyrzeźbione pióro leżące na zeszycie, a napis dokoła opiewał: „Mojemu nauczycielowi. Upominek numeru 78. — Sześć lat“. U dołu zaś drobnymi literami: „Praca i nadzieja“.

Nauczyciel umilkł wzruszony. Pożegnaliśmy się i odeszliśmy.

Ale przez całą drogę z Moncalieri do Turynu nie mogłem myśleć o niczym innym, aniżeli o owym więźniu, opartym o zakratowane okienko swej celi, o owym pożegnaniu jego z nauczycielem, o owym biednym kałamarzu, wykonanym w więzieniu, który mówił tyle rzeczy. To wszystko śniło mi się w nocy i myślałem o tym jeszcze dziś rano i nawet mi przez myśl nie przeszło, jaka niespodzianka czeka mnie dziś w szkole.

Zaledwie zająłem moje nowe miejsce w ławce obok Derossiego i napisałem zadanie z arytmetyki na miesięczny egzamin, opowiedziałem natychmiast swemu sąsiadowi całą historię o więźniu i kałamarzu i opisałem mu, jak ten kałamarz był zrobiony, że rzeźba na nim wyobrażała pióro na zeszycie i jak opiewał napis dokoła: sześć lat!

Derossi podskoczył na me słowa i zaczął patrzeć bystro, to na mnie, to na Crossiego, syna zieleniarki, który siedział w ławce przed nami, pochylony nad swoim zadaniem i cały w nim zatopiony.

— Cicho! — rzekł do mnie półgłosem, chwytając mnie za ramię. — Czy wiesz? Crossi opowiadał mi przedwczoraj, że widział ukradkiem w rękach swego ojca, który powrócił z Ameryki, kałamarz drewniany; w kształcie stożka, rzeźbiony ręcznie, z wyobrażeniem pióra i zeszytu i z owym napisem: sześć lat. Crossi mówił, że ojciec jego był w Ameryce, on zaś był w więzieniu. Crossi był jeszcze mały w owym czasie, gdy ojciec jego dopuścił się owej zbrodni, nie przypomina sobie. Matka ukrywała to przed nim, nie wie zatym o niczym. Pamiętaj, abyś się przed nim nie wymówił z niczym!

Ja milczałem zdumiony, ze wzrokiem utkwionym w Crossiego. I wtedy Derossi, który już skończył swoje zadanie arytmetyczne, podał je pod ławką Crossiemu i dał mu również kartkę papieru, a natomiast wziął od niego miesięczne opowiadanie, które nauczyciel dał mu do przepisania aby za niego robotę wykonać. Darował mu kilka piór stalowych, pogłaskał go po plecach, wziął ode mnie słowo honoru, że nikomu o tym nie wspomnę, a gdyśmy wychodzili ze szkoły, rzekł do mnie z pośpiechem:

— Ojciec jego był tu wczoraj, aby go odprowadzić... Niezawodnie przyjdzie i dziś rano. Uczyń to samo, co i ja robię...

Wyszliśmy na ulicę. Ojciec Crossiego stał już tam, nieco na uboczu. Był to człowiek z czarną brodą, już nieco szpakowaty, ubogo ubrany, z twarzą bladą i zadumaną.

Derossi ścisnął rękę Crossiego tak, aby to było widać i rzekł do niego głośno:

— Do widzenia, Crossi! — I pogłaskał go przyjaźnie po twarzy.

Ja uczyniłem to samo.

Ale czyniąc to, Derossi zaczerwienił się silnie; ja również. Ojciec Crossiego spojrzał na nas z uwagą, a w spojrzeniu jego, jakkolwiek przyjaznym, widać było taki wyraz podejrzliwego niepokoju, że nam mróz ścisnął serce.

U ŁOŻA „TATY“.

(Opowiadanie miesięczne).

Pewnego poranka, w słotny dzień marcowy, mały chłopak, odziany po wiejsku, cały przemokły i zabłocony, niosąc pod pachą zawiniątko, stanął przed odźwiernym „Szpitala pielgrzymów“ w Neapolu i pokazując list, który przyniósł z sobą, zapytywał o swego ojca. Miał piękną bladą twarz owalną, śniadą, oczy zamyślone, a przez grube wargi rozchylone widać było białe zęby. Przybywał z wioski leżącej w okolicy Neapolu. Ojciec jego, który wyjechał z domu zeszłego roku, aby szukać roboty we Francji, powrócił właśnie do Włoch i niedawno temu wylądował w Neapolu, gdzie nagle zachorował, tak, że zaledwie miał czas napisać kilka słów rodzinie, aby jej donieść o swoim powrocie i o tym, że leży w szpitalu.

Żona, zrozpaczona tą wiadomością, nie mogąc oddalić się z domu, ponieważ miała chorą córeczkę i najmłodsze dziecko na ręku, wysłała do Neapolu najstarszego syna i dała mu kilka soldów, aby był pomocny ojcu, swemu „tatusiowi“, jak w tamtych okolicach mówią. Chłopak odbył pieszo dziesięć mil drogi.

Odźwierny, rzuciwszy okiem na list, zawezwał dozorcę chorych i kazał mu zaprowadzić chłopca do ojca.

— Jak się nazywa twój ojciec? — zapytał dozorca.

Chłopak drżąc z trwogi, aby się nie dowiedzieć czegoś złego, wymienił nazwisko.

Dozorca jednak nie mógł sobie tego nazwiska przypomnieć.

— Stary robotnik, który powrócił z zagranicy? — zapytał.

— Tak jest, robotnik, — odpowiedział chłopak z coraz większą trwogą, — ale jeszcze nie tak bardzo stary... Przybył z zagranicy.

— Kiedy przyszedł do szpitala? — zapytał dozorca.

Chłopak rzucił okiem na list.

— Będzie temu około pięć dni.

Dozorca zamyślił się nieco, potem, jak gdyby sobie nagle przypomniał, zawołał:

— Aha! Czwarta sala, ostatnie łóżko.

— Czy bardzo chory?... Jak się ma? — zapytał chłopiec trwożliwie.

Dozorca spojrzał na niego i nie dał mu żadnej odpowiedzi. Potem rzekł:

— Chodź ze mną!

Wstąpili na schody, przeszli przez szeroki kurytarz i znaleźli się naprzeciw otwartych drzwi sali, w której widać było dwa długie rzędy łóżek.

— Chodź ze mną! — powtórzył dozorca, wchodząc do sali.

Chłopiec nabrał odwagi i wszedł za nim, rzucając lękliwie spojrzenia na prawo i na lewo, na blade i wynędzniałe twarze chorych. Jedni z nich mieli oczy zamknięte i wyglądali jak nieżywi, inni patrzyli przed siebie dużymi oczyma nieruchomymi, gdyby przerażeni. Niektórzy jęczeli, jak małe dzieci. Sala była mroczna, powietrze przesiąknięte ostrą wonią lekarstw. Dwie siostry miłosierdzia krzątały się dokoła, niosąc w rękach flaszeczki.

Przybywszy w głąb sali, dozorca zatrzymał się obok jednego z łóżek, rozsunął firankę i rzekł:

— Oto twój ojciec.

Chłopiec wybuchł płaczem, upuścił na ziemię zawiniątko, uchwycił rękę chorego, leżącą nieruchomo na kołdrze i przycisnął głowę do jego piersi. Chory nie poruszył się wcale.

Chłopak podniósł się, spojrzał na ojca i wybuchł ponownie płaczem. Wtedy chory rzucił na niego długie spojrzenie i zdawało się, że go poznaje.

Usta jego nie poruszyły się jednak. Biedny tatko, jakże był zmieniony! Syn nie byłby go nigdy poznał. Włosy mu posiwiały, broda wyrosła, twarz miał nabrzmiałą, zaczerwienioną, ze skórą silnie naciągniętą i połyskującą, oczy ledwie widzialne, wargi wydęte, jednym słowem cała twarz jego była zupełnie zmieniona, tylko czoło i łuki brwi pozostały te same. Oddychał z wielką trudnością.

— Tatku mój, tatku! To ja, twój syn, twój Ciecillo, czy nie poznajesz mnie? Przybyłem z naszej wioski... Mama mnie tu przysłała... Spojrzyj na mnie i przemów słowo...

Chory spojrzał na niego uważnie i zamknął oczy.

— Tatku mój! Co ci jest? To ja, twój syn, twój Ciecillo!

Ale chory nie poruszył się więcej i dalej oddychał z trudem.

Wtedy chłopak, płacząc, przysunął sobie krzesło, usiadł i nie odwracał oczu od twarzy swego ojca.

— Wkrótce zapewne przyjdzie lekarz, — pomyślał sobie w duchu — od niego dowiem się wszystkiego.

I pogrążył się w smutnej zadumie, przypominając sobie, jak jego dobry ojciec wyruszył w drogę, jak się z nim żegnał poraz ostatni na parowcu, nadzieje jakie rodzina przywiązywała do tej podróży i rozpacz matki, gdy nadszedł ów list nieszczęsny. Myśli jego były coraz

smutniejsze, widział swego ojca umarłym, matkę w żałobie, całą rodzinę w nędzy.

Tak siedział długi czas w zamyśleniu, wtem jakaś ręka dotknęła się lekko jego ramienia. Wstrząsnął się; była to zakonnica.

— Co jest memu ojcu? zapytał ją szybko.

— To twój ojciec? — zapytała łagodnie siostra miłosierdzia.

— Odwagi, moje dziecko, — odpowiedziała zakonnica. — Wnet przyjdzie lekarz.

I oddaliła się, nic więcej nie mówiąc.

W pół godziny potem usłyszał dzwonek i do sali wszedł lekarz wraz z swoim asystentem. Za nimi szła zakonnica i jeden z dozorców. Rozpoczęli przegląd chorych, zatrzymując się przy każdym łóżku. To czekanie zdawało się chłopcu wiecznością, a za każdym krokiem lekarza wzrastał jego niepokój.

Wkońcu przybyli do sąsiedniego łóżka. Lekarz był to starzec wysoki, nieco przygarbiony, twarz miał poważną. Zanim się oddalił od sąsiedniego łóżka, chłopak powstał z miejsca a gdy lekarz się zbliżył, począł płakać.

Lekarz spojrzał na niego.

— To syn chorego, — rzekła zakonnica. Przybył dziś rano ze wsi.

Lekarz położył chłopcu rękę na ramieniu, po czym pochylił się nad chorym, zbadał puls jego, dotknął się czoła i zadał kilka pytań siostrze miłosierdzia. Odpowiedziała:

— Niema żadnej zmiany.

Lekarz zamyślił się nieco i rzekł:

Należy dalej stosować te same środki.

Wtedy chłopak nabrał odwagi i zapytał głosem płaczliwym:

— Co jest memu ojcu?

— Bądź dobrej myśli, moje dziecko, — odpowiedział lekarz, kładąc mu znów rękę na ramieniu. — Ojciec twój ma różę na twarzy. Choroba to niebezpieczna, ale nie należy tracić nadziei. Zostań przy nim, twoja obecność może mu przynieść ulgę.

— Ależ nie poznaje mnie wcale! — wykrzyknął chłopak z rozpaczą w głosie.

— Być może, że pozna cię jutro. Miej nadzieję i nie trać odwagi.

Chłopak byłby jeszcze chętnie o co zapytał, ale nie śmiał. Lekarz poszedł dalej, on zaś rozpoczął swoje czuwanie przy łożu chorego

Nie mogąc robić nic innego, poprawiał mu kołdrę, dotykał się jego ręki, odpędzał muchy, pochylał się nad nim za każdym jękiem,

a gdy zakonnica przynosiła napój lub lekarstwo, brał jej z ręki szklankę lub łyżkę i zamiast niej podawał choremu.

Chory niekiedy spoglądał na niego, ale nie dawał żadnego znaku, że go poznaje. Ale spojrzenie jego zatrzymywało się coraz dłużej na chłopcu, zwłaszcza gdy tenże, płacząc, przykładał chusteczkę do oczu.

Tak upłynął pierwszy dzień.

W nocy chłopiec spał na dwóch krzesłach w kącie sali, a z rana rozpoczął znów swoją czynność przy chorym ojcu.

Tego dnia zdawało się, że oczy chorego zaczynają być przytomniejsze. Na pieszczotliwy głos dziecka błysnął w nich na chwilę gdyby jakiś niejasny wyraz wdzięczności, a raz poruszył nieco wargami, jak gdyby chciał coś powiedzieć.

Każdym razem, gdy po chwili snu znów otwierał oczy, zdawało się, że szuka wzrokiem swego małego dozorcy.

Lekarz, który owego dnia dwa razy odwiedził chorego, zauważył w stanie jego lekkie polepszenie. Wieczorem, gdy chłopak podawał mu lekarstwo, zdawało mu się, że na nabrzmiałych ustach ojca pojawił się lekki uśmiech. Wtedy nabrał znów otuchy i w sercu jego obudziła się świeża nadzieja. I spodziewając się, że chory może go chociaż częściowo zrozumie, jął mu opowiadać o matce, o małych siostrach, o powrocie do domu i dodawał mu odwagi słowami pełnymi gorącej miłości. A chociaż często wątpił, czy jest zrozumiany, mówił jednak dalej, ponieważ zdawało mu się, że chory, chociaż go nie rozumie, słucha z pewną ulgą i przyjemnością jego głosu, tego niezwykłego akcentu przywiązania i smutku.

W ten sposób upłynął drugi dzień, trzeci i czwarty, wśród nieznacznych polepszeń, to znów nagłych pogorszeń. Chłopiec był tak zajęty swymi czynnościami, że ledwie przełknął dwa razy dziennie kawałek chleba z serem, który mu przynosiła zakonnica i prawie nie widział, co się dzieje dokoła niego, ani umierających chorych, ani zakonnic, które nagle w nocy nadbiegały, nie słyszał rozpaczliwych płaczów osób, które przybywały odwiedzać swych bliskich i odchodziły bez żadnej nadziei. Nie widział wszystkich tych pełnych boleści i żałoby scen z życia szpitalnego, które w innym wypadku byłyby go przejęły smutkiem i zgrozą.

Upływały godziny i dnie, a on był zawsze obok swego tatka, uważny, troskliwy, drżący za każdym jego westchnieniem i za każdym jego spojrzeniem, naprzemian ożywiony nadzieją, która mu wzmacniała duszę, to znów miotany rozpaczą, która mu mroziła serce.

Piątego dnia nagle stan chorego pogorszył się.

Lekarz, zapytany, potrząsnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć, że już po wszystkim, a chłopak upadł na krzesło i wybuchł głośnym łkaniem. Ale jedna rzecz pocieszała go. Oto jakkolwiek chory miał się znacznie gorzej, małemu zdawało się jednak, że odzyskuje zwolna trochę przytomności. Spoglądał na chłopca coraz uważniej, z coraz większym wzruszeniem, nie chciał przyjmować napoju ani lekarstwa od nikogo innego, jak tylko od niego i coraz częściej czynił ustami ów ruch, jak gdyby chciał coś powiedzieć, a czynił to niekiedy tak wyraźnie i z takim wysiłkiem, że syn chwytał go gwałtownie za ramię, kołysany nagłą nadzieją i mówił prawie z radością w głosie:

— Odwagi, tatku, odwagi, wyleczysz się, wyzdrowiejesz. Wrócimy na wieś do mamy, jeszcze tylko nieco odwagi.

Była godzina czwarta po południu i chłopak właśnie znajdował się w przystępie takiego wzruszenia, pełnej radosnej nadziei, gdy nagle usłyszał za najbliższymi drzwiami sali odgłos jakichś kroków, a potem dwa tylko słowa, wymówione silnym głosem:

— Żegnam siostrę.

Chłopiec zerwał się z miejsca, a z gardła wydobył mu się tłumiony okrzyk:

W tej samej chwili wszedł do sali jakiś mężczyzna, z dużym zawiniątkiem w ręku, a za nim zakonnica.

Chłopiec krzyknął przeraźliwie i stał jak przykuty do ziemi.

Mężczyzna ów obrócił się, spojrzał na niego chwilę, krzyknął: — Ciecillo! — i rzucił się ku niemu. Z głośnym łkaniem upadł malec swemu ojcu w objęcia.

Zbiegli się, zakonnice, dozorcy, asystenci i stali na miejscu w osłupieniu. Chłopiec nie mógł przemówić ani słowa.

— O, mój Ciecillo! — wykrzyknął ojciec, spojrzawszy z uwagą na chorego, całując i ściskając syna. — Ciecillo, dziecko moje, co to wszystko ma znaczyć? Zaprowadzili cię do innego chorego. A ja byłem w rozpaczy, że ciebie niema, gdyż mama pisała, że cię tu przysłała do mnie. Biedny Ciecillo, jak długo jesteś już tutaj? Jak powstało to nieporozumienie? Ledwie wybrnąłem z tej choroby, ale teraz trzymam się już dobrze na nogach. A jak się ma Concetella i twój mały braciszek? Odchodzę już ze szpitala do domu. Chodźmy więc! O mój Boże, ktoby to był powiedział!

Ciecillo z trudem wybełkotał kilka słów, by dać wiadomość o losach rodziny, poczym rzekł:

— O, jak jestem szczęśliwy! Jak jestem zadowolony! Jakie ciężkie dnie spędziłem tutaj! — I nie przestawał całować swego ojca.

Ale nie ruszał się z miejsca.

— Chodźmy już — rzekł do niego ojciec. — Przybędziemy do domu jeszcze dziś wieczór. Chodźmy, — i pociągnął go ku sobie.

— Idziesz ze mną, czy nie? — zapytał go ojciec zdumiony.

Chłopak rzucił jeszcze jedno spojrzenie na chorego, który w tejże właśnie chwili otworzył oczy i bystro na niego spoglądał. Wtedy wypłynął chłopcu z głębi duszy potok słów na usta:

— Nie, tatku, zaczekaj... Oto... nie mogę. spojrzyj na tego starca. Jestem tu od pięciu dni. On zawsze na mnie patrzy. Ja myślałem, że to ty, przywiązałem się do niego. Spojrzyj, jak na mnie patrzy. Ja mu podaję lekarstwa, chce mnie zawsze mieć obok siebie, teraz ma się bardzo źle. Miej nieco cierpliwości, ja nie mam odwagi, nie mogę tak odejść od niego... Powrócę do domu jutro, pozwól mi tu zostać nieco przy nim, widzisz, jak ciągle na mnie patrzy... Nie wiem, kto to taki, ale przykro by mi było, gdyby tu umarł sam. Zostaw mnie tu jeszcze, drogi ojcze!

— Zacny chłopiec! — zawołał asystent.

Ojciec stał zdziwiony, patrząc na chłopca, potem spojrzał na chorego.

— Kto to taki? — zapytał.

— Wieśniak, jak wy, — odpowiedział asystent, który przybył z zagranicy i dostał się do szpitala tego samego dnia, co i wy. Przyniesiono go tu nieprzytomnego i nie można się było od niego niczego dowiedzieć. Może ma gdzieś daleko rodzinę, synów. Widocznie zdaje mu się, że wasz chłopak jest jego synem.

A chory wciąż spoglądał na chłopaka.

Wtedy ojciec rzekł do Ciecilla:

— Zostań jeszcze tutaj.

— Nie potrwa to zresztą długo — szepnął asystent.

— Zostań! — powtórzył ojciec. — Masz dobre serce. Ja pójdę jak najprędzej do domu, aby uspokoić mamę. Masz oto pięć lirów na twoje potrzeby. Bądź zdrów, mój poczciwy chłopcze. Do widzenia.

Pocałował go, spojrzał na niego, pocałował go powtórnie w czoło i wyszedł.

Chłopiec powrócił do łoża chorego, który wydawał się powrotem jego uspokojony. Ciecillo rozpoczął znów swą czynność dozorcy chorego starca, nie płacząc już teraz, ale z tą samą troskliwością i cierpliwością, co poprzednio, podawał mu znów napoje i lekarstwa, poprawiał kołdrę, głaskał dłoń jego i przemawiał doń łagodnymi słowami, aby mu dodawać odwagi. Był przy nim cały ów dzień, pozostał całą noc i jeszcze przez dzień następny.

Ale chory miał się coraz gorzej, twarz jego stawała się sina, oddech coraz trudniejszy, niepokój jego wzmagał się, z ust wydobywały mu się niezrozumiałe okrzyki, spuchlizna stawała się okropna.

Lekarz, podczas wieczornej wizyty, powiedział, że chory nie przeżyje nocy. A wtedy Ciecillo podwoił swoje starania i nie spuszczał z oczu starca ani na chwilę. A chory wciąż spoglądał na niego i poruszał jeszcze ustami od czasu do czasu, z wielkim wysileniem, jak gdyby chciał coś powiedzieć, a wyraz niezmiernej tkliwości pojawiał się wtedy w jego oczach, które stawały się coraz mniejsze i pokrywały się zasłoną.

I owej nocy chłopak czuwał przy nim aż do świtu i póki nie pojawiła się siostra.

Zakonnica zbliżyła się do łóżka, rzuciła okiem na chorego i szybko wybiegła. W kilka chwil później znów się pojawiła wraz z asystentem i dozorcą, który niósł latarnię.

— Kona, rzekł lekarz.

Chłopak ujął rękę chorego, ten otworzył oczy, spojrzał na niego i zamknął je na powrót.

W tej chwili zdawało się chłopcu, że czuje uścisk jego ręki.

— Uścisnął mi rękę! — zawołał.

Lekarz pochylił się chwilę nad chorym, po czym wyprostował się zwolna; zakonnica zdjęła krucyfiks ze ściany.

— Umarł! — wykrzyknął Ciecillo.

— Idź, mój chłopcze, — rzekł lekarz. — Twoja święta praca już wypełniona. Idź i bądź szczęśliwy, jak na to zasługujesz. Niech cię Bóg ma w swej opiece. Bądź zdrów.

Zakonnica, która odeszła na chwilę, powróciła z bukiecikiem fiołków wyjętych ze szklanki na oknie i podała go chłopcu, mówiąc:

— Nie mam nic innego dla ciebie, moje dziecko. Weź te kwiaty na pamiątkę ze szpitala.

— Dziękuję, — odpowiedział chłopiec, biorąc kwiaty jedną ręką, a drugą ocierając oczy, — ale mam odbyć tak daleką drogę piechotą, zgubiłbym je w drodze.

Rozwinął bukiecik, rozsypał fiołki i rzekł:

— Zostawiam je tu na pamiątkę memu biednemu umarłemu. Dziękuję panu doktorowi.

Po tym, zwracając się do zmarłego, zawołał:

— Żegnam cię...

Urwał, szukając w myśli, jakby go nazwać. Wtedy, wprost z serca, wypłynęło mu na usta słodkie imię, którym go nazywał przez pięć dni:

— Żegnam cię biedny tatku...

To powiedziawszy, włożył pod pachę swoje zawiniątko i powolnym krokiem, wyczerpany znużeniem, wyszedł ze sali szpitalnej.

Na dworze zaczęło świtać.

W KUŹNI.

18. sobota.

Precossi przybył do mnie wczoraj wieczór przypomnieć mi, abym odwiedził ich kuźnię, która jest poniżej, przy tej samej ulicy. Dziś rano zatem, wychodząc z ojcem, poszliśmy tam na chwilę. Gdyśmy się zbliżali do kuźni, wybiegł z niej pędem Garoffi, z paczką w ręku, a z wiatrem powiewały mu poły dużego płaszcza, pod którym ukrywa różne swoje towary.

Teraz wiem, gdzie on chodzi zbierać opiłki żelazne do polerowania, które potem mienia za stare dzienniki, ten handlarz Garoffi.

Wszedłszy do kuźni, ujrzeliśmy Precossiego, który siedział na kupie cegieł i trzymając książkę na kolanach, uczył się lekcji. Wstał natychmiast i przywitał się z nami.

Była to izba pełna pyłu węglowego, na ścianach widniały wszędzie młoty, obcęgi, sztaby i w ogóle żelaziwa różnego rodzaju, w kącie zaś palił się w piecu ogień, który rozdmuchiwał miechem pomocnik kowala.

Ojciec Precossiego stał przy kowadle, a drugi jego pomocnik trzymał sztabę żelazną w ognisku.

Kowal, gdy tylko nas ujrzał, zdjął czapkę na nasze powitanie i zawołał:

— A, oto ten zacny chłopak, co darowuje swym kolegom koleje żelazne! Przyszedł zobaczyć, jak to w kuźni się pracuje, nieprawda? Zaraz mu to pokażemy.

A mówiąc to, uśmiechał się i nie miał już tej zachmurzonej twarzy i nie spoglądał z ukosa, jak dawniej.

Chłopak podał mu długą sztabę żelazną, rozpaloną na jednym końcu, a kowal oparł ją na kowadle. Chciał z niej zrobić łuk żelazny dla poręczy balkonowej. Podniósł w górę ogromny młot i począł nim uderzać w rozpaloną część sztaby, obracając ją w różnych kierunkach. Miło było patrzeć, jak pod szybkimi i pewnymi uderzeniami młota żelazo się

gięło, zaokrąglało i powoli przybierało wdzięczny kształt pierzastego liścia kwiatu, zupełnie jak kawał ciasta, który by on ugniatał w rękach.

A tymczasem chłopak spoglądał na niego z wyrazem dumy, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Widzicie, jak mój ojciec pracuje?

— No i cóż, czy widział panicz, jak to się robi? — zapytał mnie kowal, gdy skończywszy robotę, pokazał mi sztabę, która wyglądała teraz jak pastorał biskupi. Po czym odłożył ją na bok i wsadził w ogień inną.

— Dobra robota, w istocie — rzekł na to mój ojciec. A potem dodał: — A więc znów się pracuje? co? wróciła wam ochota do pracy.

— Tak jest, wróciła — odpowiadał kowal, ocierając pot z czoła i wypoczywając chwilę. — A wiecie, panie, panu mam to zawdzięczać?

Ojciec mój udał jednak, że nie wie o niczym.

— Oto ten poczciwy chłopiec, — rzekł kowal, wskazując palcem na syna. — Ten poczciwy chłopak, który uczył się pilnie i przynosił zaszczyt swemu ojcu, gdy tymczasem ojciec jego... hulał po szynkach, a z synem obchodził się jak z psem. Gdy zobaczyłem ten medal... chodź tu, mój mały, nie większy od wróbla, niech się dobrze popatrzę na twoją gębę.

Chłopak przybiegł natychmiast, kowal podniósł go i postawił na kowadle, trzymając go wpół.

— Wyczyść nieco twarz twemu niegodziwymu ojcu — rzekł do syna.

A Precossi pokrył pocałunkami czarną twarz ojca, tak iż wkrótce twarz jego również poczerniała.

— Tak, dobrze, — rzekł kowal i postawił chłopca na ziemi.

— W istocie dobrze, Precossi, — zawołał mój ojciec z zadowoleniem.

Potem pożegnał się z kowalem i jego synem i wyszliśmy z kuźni. Ale mały Precossi pobiegł za mną, rzekł: „przepraszam" i włożył mi do kieszeni paczkę gwoździ. Zaprosiłem go, aby przyszedł do mnie zobaczyć z mego okna pochód karnawałowy.

— Darowałeś mu twoją kolej żelazną, — rzekł do mnie ojciec na ulicy — ale gdyby była cała ze złota i wysadzana perłami, byłby to jeszcze za mały dar dla tego świętego chłopca, który potrafił zmienić serce swego ojca

MAŁY PAJAC.

20. poniedziałek.

Całe miasto zostaje pod wrażeniem karnawału, który ma się ku końcowi; na wszystkich placach wznoszą się budy linoskoczków i kuglarzy, a pod naszymi oknami stoi też namiot z płótna, gdzie daje przedstawienia cyrkowe małe towarzystwo weneckie z pięciu końmi. Cyrk ten znajduje się na środku placu, w kącie zaś stoją trzy duże wozy, na których linoskoczkowie śpią i gdzie się przebierają. Są to gdyby trzy domki na kołach, każdy ma okienka i komin, z którego zawsze dym się unosi, a między okienkami są rozwieszone na sznurze sukienki dziecinne. Jest tam kobieta, która karmi dziecko, gotuje i tańczy na linie. Biedni ludzie! Mówi się nieraz „linoskoczek", jak gdyby coś ubliżającego, a oni przecież zarabiają uczciwie na chleb, bawią wszystkich i pracują ciężko.

Cały dzień biegają od cyrku do wozów i na powrót, odziani w lekkie trykoty, w takie zimno, jedzą byle co, na prędce, między jednym występem a drugim, a nieraz, gdy już jest pełno publiczności w cyrku, zrywa się nagle wiatr, potrząsa płótnem, gasi światło i przedstawienie nie może się odbyć. Muszą zwrócić pieniądze widzom i pracować cały wieczór, aby znów budę swą przywrócić do porządku. Mają dwóch chłopców, którzy też pracują. Ojciec mój poznał mniejszego, gdy szedł przez plac: jest to syn właściciela cyrku, ten sam, któregośmy widzieli, jak pokazywał zeszłego roku różne sztuki na koniu, w cyrku na placu Wiktora Emanuela. Wyrósł, ma około osiem lat, jest piękny chłopak, ma okrągłą śniadą twarzyczkę z figlarnym wyrazem i bujne czarne kędziory, które mu się wymykają spod spiczastego kapelusza.

Ubrany jest jak pajac, ma na sobie rodzaj worka z rękawami, biały, wyszywany czarno i białe buciki. Istny z niego diablik, podoba się wszystkim, zajmuje się wszystkim.

Widzimy go wczesnym rankiem, jak otulony w dużą chustkę, przynosi mleko do swego drewnianego domku; potem idzie po konie do remizy przy ulicy Bertola; to znów piastuje na rękach najmłodsze dziecko, przynosi obręcze, drążki, kozły, liny: czyści wozy, rozpala ogień, a w chwilach wolnych od pracy przebywa zawsze w pobliżu swej matki.

Ojciec mój zawsze spogląda na niego przez okno i mówi tylko o nim i o jego rodzicach, którzy wydają się być dobrymi ludźmi i kochać bardzo swoje dzieci.

Pewnego wieczora poszliśmy do cyrku; było zimno i bardzo mało publiczności, ale mały pajacyk wysilał się, aby rozweselić tę nieliczną garstkę widzów. Wywracał koziołki, wieszał się u ogonów końskich, chodził na rękach, trzymając nogi do góry, śpiewał, zawsze uśmiechnięty, ze swoją piękną śniadą twarzyczką. Ojciec jego miał kurtkę czerwoną i białe spodnie, buty z cholewami i szpicrutę w ręku i spoglądał na niego, ale był smutny.

Ojcu memu żal było tych ludzi i nazajutrz mówił o nich z malarzem Dellem, który przybył do nas w odwiedziny.

— Ci biedni ludzie pracują tak ciężko, a zarabiają tak mało. Ten chłopak taki milutki. Coby to można zrobić dla nich?

Malarz pomyślał i rzekł.

— Napisz o nich piękny artykuł w dzienniku, wszak umiesz tak ładnie pisać. Będziesz opowiadał cudowne rzeczy o małym pajacyku, ja wyrysuję jego portrecik, wszyscy będą to czytali i chociaż jeden raz zbierze się dużo publiczności w cyrku.

Tak też zrobili. Ojciec mój napisał artykuł piękny i pełen dowcipów, w którym opisywał wszystko cośmy widzieli przez okno i zachęcał, aby poznać i pieścić małego artystę; malarz narysował portret podobny i pełen wdzięku, a wszystko to pojawiło się w dzienniku w sobotę wieczorem.

I oto na przedstawienie niedzielne napłynęły tłumy do cyrku.

Było ogłoszone na afiszach: „Przedstawienie na benefis małego pajacyka". Tak go nazwali, jak mój ojciec napisał w dzienniku. Ojciec i ja siedzieliśmy w pierwszym rzędzie. Obok wejścia przybito na ścianie numer dziennika.

Cyrk był wypełnony publicznością; wielu widzów trzymało w ręku gazetę i pokazywali ją pajacykowi, który śmiał się i biegał od jednego do drugiego, pełen szczęścia i radości. Także właściciel cyrku był niezmiernie zadowolony. Proszę sobie wyobrazić! Jeszcze nigdy żaden dziennik go tak nie wystawiał, a w kasie było także dużo pieniędzy.

Ojciec siedział obok mnie. Między publicznością było bardzo wielu znajomych. W pobliżu drzwi, którymi wprowadzano konie, stał nauczyciel gimnastyki, który jeszcze służył pod Garibaldim; naprzeciw nas, na miejscach drugorzędnych, siedział murarczyk, ze swoją okrągłą twarzą,tuż obok swego ojca-olbrzyma, a zaledwie mnie ujrzał, zrobił do mnie pyszczek zajęczy. Nieco dalej stał Garoffi i liczył widzów, rachując na palcach, ile może mieć dochodu towarzystwo linoskoczków.

W pobliżu nas siedział także, na krzesłach w pierwszym rzędzie,

biedny Robetti, ten sam, co ocalił malca spod kół omnibusu, mając swe kule między kolanami, obok swego ojca, kapitana artylerii, który mu trzymał rękę na ramieniu.

Rozpoczęło się przedstawienie.

Mały pajacyk dokazywał cudów na koniu, na trapezie i na linie, a publiczność wszystkie występy jego nagradzała hucznymi oklaskami. Później popisywali się różni inni linoskoczkowie, kuglarze, jeźdźcy na koniach, ubrani w pstre kostiumy, błyszczące od srebra. Ale zdawało się, że gdy chłopiec nie występował, publiczność nudziła się. Wtem ujrzałem, że nauczyciel gimnastyki, który stał obok wejścia, którędy wprowadzano konie, szepnął coś do ucha właścicielowi cyrku, a ten natychmiast powiódł okiem po widzach, jakgdyby szukał kogoś. Spojrzenie jego zatrzymało się na nas.

Mój ojciec zauważył to, domyślił się, że nauczyciel gimnastyki wskazał go jako autora owego artykułu w dzienniku i aby uniknąć podziękowania, wyszedł, mówiąc do mnie:

Zostań, Henryku; będę na ciebie czekał na dworze.

Pajacyk, wymieniwszy kilka słów ze swym ojcem, wykonał jeszcze jeden popis i stojąc prosto na koniu, który pędził w galopie, przebierał się cztery razy, za pielgrzyma, za marynarza, za żołnierza, za akrobatę, a każdym razem, gdy obok mnie przejeżdżał, bystro na mnie spoglądał.

Gdy zsiadł z konia, począł obchodzić cyrk dokoła, z kapeluszem pajaca w rękach, a wszyscy wrzucali mu do kapelusza soldy i cukierki. Ja miałem przygotowane dwa soldy, ale gdy był obok mnie, zamiast nadstawić kapelusz, cofnął go, spojrzał na mnie i posunął się dalej. Byłem tym niemile dotknięty. Dlaczego sprawił mi tę przykrość?

Przedstawienie skończyło się. Właściciel cyrku podziękował publiczności i wszyscy wstali, cisnąc się ku wyjściu. Ja byłem w tłumie i miałem również wyjść, gdy nagle uczułem, że ktoś dotyka się mej ręki. Obróciłem się; był to pajacyk ze swoją piękną śniadą twarzyczką i czarnymi lokami, który uśmiechał się do mnie, a ręce miał pełne cukierków. Wtedy zrozumiałem.

— Czy przyjmiesz? — zapytał mnie — te cukierki od pajacyka.

Powiedziałem, że tak i wziąłem kilka.

— A teraz, — dodał — weź jeszcze całusa.

— Daj mi dwa — odpowiedziałem i nastawiłem policzek.

Otarł rękawem twarz umączoną, objął mi szyję ramieniem i wycisnął na policzkach dwa pocałunki, mówiąc:

— Oto jeden dla ciebie, a drugi dla twego tatka.

OSTATNI DZIEŃ KARNAWAŁU.

21. wtorek.

Byliśmy dziś, w czasie pochodu masek, świadkami bardzo smutnej rzeczy. Skończyło się dobrze, ale mogło nastąpić wielkie nieszczęście.

Na placu San Carlo, który był cały przystrojony w festony żółte, czerwone i białe, cisnął się wielki tłum ludzi. Krążyły tam różnobarwne maski, przejeżdżały wozy złocone i strojne w chorągwie, w kształcie pagód, małych teatrzyków i bark, pełne arlekinów, rycerzy, kucharzy, marynarzy i pasterek. Było takie zamieszanie, że nie widziało się, w którą stronę patrzeć; wrzask trąb, rogów tureckich i bębnów rozdzierał uszy; maski na wozach piły i śpiewały, zaczepiając pieszych i stojących w oknach, którzy odpowiadali, krzycząc na całe gardło i rzucali sobie zapamiętale pomarańcze i confetti. Ponad wozami zaś i całym tym tłumem, gdzie tylko oko tylko sięgać mogło, widziano powiewające chorągwie, błyszczące hełmy, chwiejące się pióropusze, papierowe czaka, ogromne czepce, wielkie trąby, dziwne stroje, bębenki, tamboryna, czerwone czapki i duże butelki; wszyscy wydawali się jak wariaci.

Gdy nasz powóz wjeżdżał na plac, wyjechał naprzeciw nas wspaniały wóz, zaprzężony w cztery konie, pokryte czaprakami, przetykanymi złotem, cały ozdobiony girlandami ze sztucznych róż; na nim było czternastu lub piętnastu panów w strojach dworzan francuskich, w świetnych jedwabiach, białych perukach, pod pachą mieli kapelusze z piórami, szpady u boku, a na piersiach zaś pęk wstążek i koronkowe żaboty. Wyglądali prześlicznie, śpiewali wszyscy chórem pieśni francuskie i rzucali cukierki publiczności, która klaskała w dłonie i krzyczała z radości.

Wtem ujrzeliśmy nagle, jak na lewo od nas jakiś człowiek podniósł nad głowami tłumu dziewczynkę pięcio- lub sześcioletnią; bierze dziecko, które płakało rozpaczliwie i wywijało rączkami, jak gdyby w konwulsjach. Człowiek ów utorował sobie drogę do wozu tych panów, jeden z nich pochylił się ku niemu, on zaś zawołał głośno:

— Weźcie panowie tę dziewczynkę, zgubiła swą matkę w tłumie. Podnieście ją na ręku; matka nie może być daleko i zobaczy ją. Niema innej rady.

Pan ów wziął dziecko na ręce, wszyscy inni przestali śpiewać, dziewczynka krzyczała i szamotała się. Pan ów zdjął maskę, a wóz posuwał się powoli naprzód.

W tymże samym czasie, na drugim końcu placu, jakaś biedna kobieta, napół szalona, przedzierała się przez tłum pięściami i łokciami, krzycząc przeraźliwie:

— Mario! Mario! Mario! Zginęła mi córeczka! Skradziono mi ją!... Zaduszono w ścisku moje dziecko!

I dłużej aniżeli kwadrans szalała w ten sposób i rozpaczała, idąc w różnych kierunkach, popychana przez tłum, który próbował otworzyć jej drogę.

A pan ów na wozie trzymał tymczasem dziecko przyciśnięte do piersi, szukając wzrokiem matki i starając się uspokoić biedną istotę, która zakryła twarz w rączętach, nie wiedząc, gdzie jest i szlochała tak gwałtownie, jakby jej serce pęknąć miało. Pan ów był silnie wzruszony, widać było, że owa rozpacz dziecka rani mu duszę; wszyscy inni panowie dawali dziecku pomarańcze i cukierki, ale dziewczynka odpychała wszystko coraz bardziej przerażona i coraz większym miotana niepokojem.

— Szukajcie matki! — wołał ów pan do tłumu, — szukajcie matki tego dziecka.

I wszyscy zwracali się na prawo i na lewo, ale matki nie było nigdzie widać. W końcu, przy wylocie ulicy Rzymskiej, ujrzano kobietę, która się rzuciła ku wozowi... O, nie zapomnę nigdy tego widoku!

Nie była podobna do istoty ludzkiej, miała włosy rozwichrzone, twarz wykrzywioną, ubranie podarte; rzuciła się naprzód z okrzykiem, o którym nie można było powiedzieć, czy to był okrzyk radości, trwogi, czy wściekłości i wyciągnęła ręce jak dwa szpony, aby pochwycić swoją córeczkę.

Wóz się zatrzymał.

— Oto wasza mała — rzekł ów pan, podając jej dziewczynkę, którą przy tym pocałował i włożył ją w ramiona matki, która ją chwyciła i przycisnęła do piersi jak furia. Ale jedna z rączek dziecka pozostała chwilę w rękach owego pana, ten zaś zdjął z palca prawej ręki złoty pierścień z dużym diamentem i włożywszy go szybkim ruchem na paluszek dziecka, rzekł:

— Weź, będziesz to miała na zaręczyny.

Matka stała jak wryta, tłum począł klaskać w dłonie pan ów włożył na powrót maskę na twarz, towarzysze jego zaśpiewali znów pieśń francuską i wóz oddalił się powoli wśród burzy oklasków i wśród radosnych okrzyków tłumu.

DZIECI NIEWIDOME.

24. czwartek.

Nasz nauczyciel jest bardzo chory i przysłano nam zamiast niego nauczyciela z czwartej klasy, który był dawniej nauczycielem w zakładzie dla niewidomych. Jest najstarszy ze wszystkich i tak siwy, że wydaje się jak gdyby miał na głowie perukę z bawełny, mówi zaś takim tonem, jak gdyby śpiwał jakąś pieśń melancholijną. Jest jednak dobrym człowiekiem i umie wiele.

Zaledwie wszedł do naszej klasy i zobaczył chłopca z zawiązanym okiem, zbliżył się do jego ławki i zapytał go, co mu jest.

— Uważaj dobrze na oczy, mój chłopcze, — rzekł do niego.

A wtedy Derossi zapytał go:

— Czy to prawda, panie nauczycielu, że pan uczyłeś dawniej w zakładzie dla niewidomych?

— Tak jest, przez wiele lat — odpowiedział.

A Derossi szepnął półgłosem:

— Proszę nam coś o tym opowiedzić.

Nauczyciel usiadł przy swoim stoliku.

Coretti zawołał głośno:

— Zakład dla ślepych, jest przy ulicy Nicejskiej.

— Mówisz ślepych, ślepych — rzekł nauczyciel, — tak samo, jak gdybyś powiedział chorych, ubogich lub co innego. Ale czy wiecie chłopcy, co ten wyraz oznacza?

Zastanówcie się tylko nieco. Być niewidomym! Nigdy nic nie widzieć! Nie odróżniać dnia od nocy, nie widzieć nigdy nieba, ani słońca ani własnych rodziców, ani nic z tego wszystkiego, co nas otacza i czego się dotykamy; być pogrążonym w wiecznej ciemności i gdyby pogrzebanym w wnętrznościach ziemi. Próbujcie na chwilę zamknąć oczy i pomyśleć, że macie tak zostać na zawsze.

Natychmiast ogarnie was trwoga i zgroza, będzie wam się zdawało, że nie potraficie tego wytrzymać, że musicie przyznać, że oszalejecie albo zginiecie.

A jednak, moje dzieci, gdy się wchodzi po raz pierwszy do zakładu dla niewidomych, w czasie przerwy między lekcjami, gdy się słyszy ze wszystkich stron dźwięki skrzypiec i fletu, gdy się słyszy, jak ci biedacy mówią głośno i śmieją się, idą po schodach w górę lub na dół szybkimi krokami, przechadzają się swobodnie po korytarzach i sypialniach, niktby nie powiedział, że są tak nieszczęśliwi, jakimi są w istocie.

Trzeba im się tylko dobrze przypatrzyć.

Są między nimi młodzieńcy szesnasto- lub osiemnastoletni, silni i weseli, którzy znoszą swoje kalectwo z pewną swobodą, jakby z pewną odwagą, ale poznać po wyrazie ich twarzy, pełnym dumy i goryczy, że musieli ogromnie dużo wycierpieć, zanim doszli do tej rezygnacji. Są znów inni o bladych twarzach, z łagodnym wyrazem, w którym widać wielką rezygnację, ale zarazem wielki smutek i można się domyśleć, że jeszcze niekiedy płaczą ukradkiem.

Ach, moje dzieci, pomyślcie, że niektórzy z tych nieszczęśliwych stracili wzrok w przeciągu kilku dni, że inni stracili go po latach męczeństwa, po wielu ciężkich operacjach chirurgicznych, że wielu urodziło się tak, urodzili się niewidomi, wśród strasznej nocy, której im nigdy żaden świt nie rozjaśni, że wstąpili w świat, jak gdyby do ogromnego grobu i że nie wiedzą, jak wygląda twarz ludzka.

Wyobroźcie sobie, ile musieli wycierpieć i ile muszą jeszcze teraz cierpieć, gdy pomyślą o tej strasznej różnicy, jaka zachodzi między nimi a tymi, którzy widzą i gdy się pytają siebie samych: — Dlaczego to nasze nieszczęście, skorośmy nie zawinili w niczym?

Ja, który byłem tyle lat między nimi, gdy sobie przypominam ową klasę, wszystkie owe oczy na zawsze zamknięte, wszystkie owe źrenice martwe i bez spojrzenia, a później gdy patrzę na was... wydaje mi się niemożliwem, abyście nie byli wszyscy szczęśliwi. Pomyślcie tylko, jest we Włoszech około dwadzieścia sześć tysięcy niewidomych. Dwadzieścia sześć tysięcy osób, które nie widzą światła, czy rozumiecie? Wszak to całe wojsko, które potrzebowałoby czterech godzin, aby przemaszerować pod naszymi oknami.

Nauczyciel umilkł. W klasie panowało głuche milczenie, nie było słychać nawet oddechu.

Po chwili zapytał Derossi, czy to prawda, że ślepi mają zmysł dotykania delikatniejszy, aniżeli ci, którzy widzą.

Nauczyciel odpowiedział:

— Tak jest, to prawda. Wszystkie inne zmysły stają się u nich doskonalsze, właśnie dlatego, ponieważ muszą im w pewnej mierze zastępować wzrok, są przeto lepiej wyćwiczone, aniżeli u osób, obdarzonych wzrokiem.

Z rana, w pokojach sypialnych, nieraz jeden zapytuje drugiego: czy świeci dziś słońce? A ten, który się prędzej ubierze, biegnie szybko na podwórze, wymachuje rękoma w powietrzu, aby czuć ciepło słoneczne i śpieszy z dobrą wiadomością: tak jest, słonko grzeje.

Po głosie pewnej osoby nabierają wyobrażenia o jej wzroście. My sądzimy o duszy człowieka po jego oczach, oni po jego głosie. Latami zachowują w pamięci dźwięk i brzmienie jakiegoś głosu. Umieją rozpoznać, czy w pokoju jest jedna osoba, czy więcej, nawet gdy tylko jedna osoba mówi, a inne zachowują się nieruchomo. Po dotykaniu poznają, czy łyżka jest dobrze, czy źle wyczyszczona. Dzieci umieją rozróżnić, czy wełna jest zabarwiona, czy też ma swój kolor naturalny. Gdy idą parami przez ulicę, mogą rozpoznać powonieniem prawie każdy sklep, nawet i ten, w którym my nie czujemy żadnego zapachu.

Puszczają krążek, a po brzęku, jaki wydaje tocząc się, wiedzą, w którą stronę iść, aby go wziąć i nie mylą się nigdy. Puszczają obręcze, grają w kręgle skaczą przez sznur, wyrabiają pudełka, zrywają fiołki, jak gdyby je widzieli, wyplatają rogóżki i koszyki zgrabnie i dobrze, przeplatając słomę różnymi kolorami, tak dalece mają wyrobiony zmysł dotyku. Zmysł ten jest ich wzrokiem i jest dla nich jedną z największych przyjemności dotykać się jakiejś rzeczy i odgadywać w ten sposób jej kształt zewnętrzny.

Wzruszenie budzi widok, gdy ich prowadzą do muzeum przemysłowego, gdzie im pozwalają dotykać się, czego chcą. Trzeba widzieć, z jaką radością rzucają się na modele domów, na figury geometryczne, na różne przyrządy, z jakim zadowoleniem dotykają się rękoma wszystkich przedmiotów, aby „widzieć“, jak są zrobione. Oni mówią, że „widzą“ je.

Garoffi przerwał opowiadanie nauczyciela, zapytując go, czy jest prawda, że niewidomi chłopcy lepiej uczą się rachunków od innych.

Nauczyciel odpowiedział:

— Tak jest. Uczą się rachować i czytać. Mają książki umyślnie dla nich wydane, z wypukłym drukiem; przesuwają po nich palcami, poznają litery i wymawiają wyrazy. Czytają płynnie. Trzeba widzieć, jak się biedacy rumienią, gdy się im zdarzy pomyłka.

Piszą także, bez atramentu. Piszą na papierze grubym i trwałym sztabką metalową, którą wydrążają punkciki, ugrupowane według osobnego alfabetu. Owe punkciki wychodzą wypukło odbite po przeciwnej stronie papieru, tak, że odwróciwszy kartkę i wodząc palcem po owych wypukłościach, mogą czytać to, co napisali, a także pismo innych osób. W ten sposób piszą zadania i listy między sobą, tudzież liczby i robią rachunki. Rachują z pamięci z nadzwyczajną łatwością, albowiem nie przeszkadza im w tem widok zewnętrznych przedmiotów, jak to u nas ma miejsce.

Edmund de Amicis: Serce

A gdybyście wiedzieli, jak namiętnie lubią słuchać, gdy im się głośno czyta. Z jaką uwagą przysłuchują się, jak zachowują wszystko w pamięci, jak między sobą rozprawiają, nawet mali chłopcy, o historii i gramatyce. Czterech lub pięciu, siedzą w tej samej ławce, nie obracają się ku sobie, rozmawiają pierwszy z trzecim, drugi z czwartym, głośno wszyscy razem, nie tracąc ani jednego słowa, tak i mają słuch wyborny. I zapewniam was, że przywiązują więcej wagi do egzaminów od was i przywiązują się więcej do swoich nauczycieli. Poznają nauczycieli po odgłosie kroków, po woni. Spostrzegają, czy jest w dobrym, czy w złym humorze po dźwięku jednego słowa, czy czuje się dobrze lub źle. Gdy nauczyciel ich zachęca i pochwala, proszą, aby się ich dotknął i głaszczą go po rękach i rękawach, aby wyrazić mu w ten sposób swoją wdzięczność.

Między sobą wzajemnie się kochają i są dobrymi kolegami.

W czasie rekreacji są prawie zawsze razem, w grupach, które żyją bliżej ze sobą. Dziewczęta na przykład tworzą grupy podług instrumentów, na których grają; skrzypaczki, fortepianistki, flecistki trzymają się razem i nie rozłączają się nigdy.

Gdy taki niewidomy przywiąże się do kogoś, już go nie opuszcza. Przyjaźń jest dla nich wielką ulgą i pociechą. Umieją się między sobą należycie oceniać. Mają jasne i głębokie pojęcie o tym, co dobre a co złe. Nikt nie unosi się tak żywo, jak oni, słysząc opowiadanie o jakimś szlachetnym, wzniosłym uczynku.

Votini zapytał, czy dobrze grają.

— Muzykę miłują gorąco, — odpowiedział nauczyciel. — Muzyka to ich szczęście, ich życie. Niewidomi chłopcy, gdy tylko przybyli do zakładu, są zdolni stać nieruchomo trzy godziny i słuchać muzyki. Uczą się jej z łatwością i grają z namiętnym zamiłowaniem. Gdy nauczyciel powie któremu z nich, że nie ma talentu do muzyki, sprawia mu to wielką boleść, ale poczyna się uczyć zapamiętale.

O; gdybyście słyszeli kiedy tę ich muzykę, gdybyście widzieli, jak grają z wzniesionym czołem, z uśmiechem na ustach, z wyrazem zachwytu na twarzy, drżąc z wzruszenia, jak się napawają tą harmonią, którą rozlewają wśród nieskończonej ciemności, która ich otacza, poznalibyście wtedy, jaką boską pociechę kryje w sobie muzyka. Cieszą się, promienieją szczęściem, gdy nauczyciel mówi któremu z nich: — zostaniesz artystą. — Dla nich ten, kto w muzyce jest pierwszy, kto najlepiej ze wszystkich gra na fortepianie lub na skrzypcach, jest gdyby królem i kochają go i poważają. Jeżeli wybuchnie spór pomiędzy dwoma z nich, idą do niego; gdy dwóch przyjaciół się

pozłości, on ich godzi. Najmniejsi, których uczy grać, szanują go jak ojca. Wieczorem, przed udaniem się na spoczynek, idą wszyscy powiedzieć mu dobranoc. Rozmawiają też ustawicznie o muzyce. Późno wieczorem, gdy już leżą w łóżkach, zmęczeni nauką i pracą, wpółsenni, rozmawiają jeszcze półgłosem o operach, o kompozytorach, o instrumentach, o orkiestrach. A jest to dla nich tak straszną karą, gdy są pozbawieni czytania nut i lekcji muzyki, doznają z tego powodu tak wielkiej boleści, że nauczyciel nie ma prawie nigdy odwagi ukarać ich w ten sposób.

Muzyka jest dla ich serca tym, czym światło jest dla naszych oczu...

Derossi zapytał, czy można kiedy pójść tam i zobaczyć ich.

— Można — odpowiedział nauczyciel — ale wy, dzieci, nie powinniście jeszcze teraz tam iść. Wybierzecie się tam kiedyś później, gdy będziecie zdolni pojąć cały ogrom tego nieszczęścia i odczuwać litość, na jaką ono zasługuje.

Zaiste, to widok bardzo smutny, moje dzieci.

Widzicie tam niekiedy chłopców, siedzących przy oknie otwartym i oddychających świeżym powietrzem. Siedzą ze wzrokiem nieruchomym i zdaje się, że patrzą na rozległą zieloną równinę i na piękne góry błękitne, które wy widzicie... I pomyśleć, że nic nie widzą, że nie zobaczą nigdy nic z całej tej niezmiernej piękności przyrody, czyż nie ściska wam się dusza bólem gwałtownym? Jeszcze ci, którzy są ślepi od urodzenia, którzy nigdy nie widzieli świata, nie opłakują niczego, ponieważ nie mają wyobrażenia o niczym, ci jeszcze mniej budzą litości. Ale są tam chłopcy, którzy utracili wzrok zaledwie przed kilku miesiącami, którzy sobie jeszcze wszystko przypominają, którzy rozumieją dobrze wszystko, co utracili. Otóż ci doznają ponadto boleści, gdy czują, że zwolna, z każdym dniem, zacierają się w ich duszy coraz bardziej najdroższe obrazy, że poniekąd umierają w ich pamięci najdroższe im osoby...

Jeden z tych nieszczęsnych chłopców rzekł do mnie pewnego dnia z niewysłowionym smutkiem:

— O, jak gorąco pragnąłbym odzyskać wzrok jeszcze raz, choćby tylko na chwilkę, aby ujrzeć raz jeszcze oblicze mej drogiej matki, którego już nie mogę sobie przypomnieć!

A gdy matka przychodzi do niego, kładzie jej ręce na twarz, wodzi dłonią od czoła do brody i do uszu, aby czuć jej drogie rysy i jak gdyby nie mógł uwierzyć, że nie może jej zobaczyć, woła ją

kilkakrotnie po imieniu, jak gdyby ją błagał, aby mu się chociaż jeszczecze raz ukazała.

Nawet ludzie twardego serca nie mogą na ten widok powstrzymać się od łez.

A gdy się stamtąd wychodzi, wydaje się nasze położenie wyjątkowe, jest to jak gdyby przywilej, na który nie zasługujemy, że możemy widzieć ludzi, domy, niebo.

O, jestem tego pewny, że nie ma takiego między wami, który, wychodząc stamtąd, nie byłby gotów oddać nieco ze swego własnego wzroku tym nieszczęśliwym dzieciom, dla których słońce nie ma światła, a matka nie ma oblicza!

CHORY NAUCZYCIEL

25. sobota.

Wczoraj wieczorem, wychodząc ze szkoły, poszedłem odwiedzić mego chorego nauczyciela. Zachorował od przemęczenia się pracą. Pięć godzin lekcji dziennie, potem godzina gimnastyki, potem jeszcze dalsze dwie godziny w szkole wieczornej, to znaczy mało sypiać, jeść na prędce i natężać się od rana do wieczora. To mu też podkopało zdrowie, tak mówi moja matka.

Matka czekała na mnie w bramie, ja sam poszedłem na górę i spotkałem na schodach nauczyciela z czarną brodą, Coattiego, który wszystkich straszy a nikogo nie karze. Zmierzył mnie srogim spojrzeniem i ryknął groźnym głosem jak lew, żartując, ale mimo to nie rozśmiał się. Ja śmiałem się jeszcze, gdy na czwartym piętrze pociągnąłem za dzwonek, ale natychmiast spoważniałem, gdy służąca wprowadziła mnie do ubogiej izby w pół ciemnej, gdzie leżał mój nauczyciel, na małym łóżku żelaznym. Był blady i miał brodę dłuższy czas niestrzyżoną. Przyłożył rękę do czoła, aby mnie lepiej widzieć i zawołał swoim przyjaznym głosem:

— To ty, Henryku!

Przystąpiłem do łóżka, położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

— Dobrze, moje dziecko, dobrze uczyniłeś, że przyszedłeś odwiedzić twego biednego nauczyciela. Jak widzisz, mój drogi Henryczku, nie dobrze mi się wiedzie. A cóż tam w szkole nowego? Jak się mają twoi koledzy? Wszystko idzie dobrze także i beze mnie, nieprawda? Nie brak wam waszego starego nauczyciela?

Chciałem mu zaprzeczyć, ale przerwał mi:

— Dobrze, dobrze, wiem, że jesteście mi życzliwi.

I westchnął. Spojrzałem na fotografie wiszące na ścianie. Zauważył to i rzekł do mnie:

— Widzisz, to są moi uczniowie, którzy mi dali swoje fotografie przed przeszło dwudziestu laty. Poczciwi chłopcy! To są drogie dla mnie pamiątki. Gdy będę umierał, rzucę na nie ostatnie spojrzenie, na tych chłopców, między którymi spędziłem życie. Dasz mi także twój portrecik, wszak prawda, gdy skończysz szkołę elementarną?

Później wziął pomarańczę ze stolika obok łóżka i podał mi ją.

— Nie mam cię czym innym poczęstować, — rzekł. — Jest to poczęstunek chorego.

Spoglądałem na niego i nie wiem sam, dlaczego smutek ścisnął mi serce.

— Posłuchaj mnie, chłopcze, — mówił chory dalej, — spodziewam się, że jakoś wyleczę z tej choroby. Ale gdybym nie miał już powrócić do zdrowia, postaraj się wzmocnić w arytmetyce, albowiem to twoja słaba strona. Zabierz się tego do pracy, gdyż idzie tu tylko o pierwszy wysiłek, albowiem nieraz, chociaż uczniowi nie brak zdolności, potrzeba mu jeszcze silnej woli i skupienia myśli.

Odetchnął ciężko, widać było, że cierpi.

— Mam gorączkę, — rzekł z westchnieniem — napół już nie żyję. A więc jeszcze raz zalecam ci, moje dziecko, pracuj dobrze nad arytmetyką i nad zadaniami z tego przedmiotu. Gdy ci będzie to z początku sprawiało trudności, wypocznij nieco i znów do pracy. Gdy znów się nie uda, wypocznij powtórnie i ponownie zabierz się do roboty. I zawsze tak postępuj, ale spokojnie, bez zbytecznego pośpiechu, bez zbytniego przemęczania się. Bądź zdrów, moje dziecko. Kłaniaj się mamie ode mnie. I nie chódź już do mnie po tych schodach, zobaczymy się znów w szkole. A gdybyśmy nie mieli się już nigdy widzieć w szkole, wspomnij kiedy o twoim nauczycielu z trzeciej klasy, który cię kochał....

Po tych słowach rozpłakałem się. On zaś rzekł:

— Schyl głowę.

Pochyliłem głowę ku poduszce; pocałował mnie we włosy. Potem dodał jeszcze:

— Idź, moje dziecko! — i odwrócił się twarzą do ściany.

Ja zaś zbiegłem jak najrychlej ze schodów, ponieważ pragnąłem jak najśpieszniej ucałować matkę moją.

ULICA.

25. sobota.

Patrzyłem na ciebie dziś wieczorem z okna, gdy wracałeś od nauczyciela: potrąciłeś jakąś kobietę. Uważaj lepiej, gdy idziesz przez ulicę. Bo i tam są pewne obowiązki, których przestrzegać należy.

Jeżeli zważasz na twoje kroki i na twoje ruchy w domu prywatnym, dlaczego nie miałbyś czynić tak samo na ulicy, która jest domem wszystkich? Pamiętaj, Henryku. Ile razy spotkasz starca stąpającego z trudem, ubogiego, kobietę z dzieckiem na ręku, kalekę idącego o kuli, człowieka dźwigającego jakiś ciężar, rodzinę, ubraną w żałobne szaty, powinieneś ustąpić przed nimi na bok z szacunkiem, albowiem naszym obowiązkiem jest szanować wiek sędziwy, nędzę, miłość macierzyńską, kalectwo, pracę i śmierć.

Ile razy zobaczysz, że na kogoś najeżdża powóz, usuń go na bok, jeżeli to jest dziecko; przestrzeż go, jeżeli to jest osoba dojrzała. Gdy widzisz, że dziecko jest na ulicy samo i płacze, zapytaj je, co mu jest; podnieś laskę starcowi, który ją upuścił. Gdy dwoje dzieci bije się ze sobą na ulicy, rozłącz je; jeżeli to są dorośli ludzie, oddal się stamtąd, nie bądź widzem scen gwałtownych i brutalnych, gdyż to obraża i zatwardza serce.

Gdy zaś spotkasz człowieka skrępowowanego, któremu towarzyszy dwóch strażników, nie przyłączaj się do pełnej okrucieństwa ciekawości tłumu; pomnij, że ten człowiek może być niewinny.

Przestań rozmawiać z twoim kolegą i uśmiechać się, gdy spotkasz lektykę szpitalną, na której być może niosą umierającego albo orszak żałobny, gdyż taki smutny pochód może któregoś dnia wyjść z twego domu.

Spoglądaj z szacunkiem na dzieci z różnych zakładów, idące parami, na niewidomych, niemych, rachitycznych, na sieroty i dzieci opuszczone. Pomyśl, że przechodzi obok ciebie nieszczęście i miłosierdzie ludzkie.

Udawaj zawsze, że nie widzisz, jeżeli ktoś jest dotknięty jakąś śmieszną lub odrażającą ułomnością.

Zgaś zawsze każdą palącą się zapałkę, którą napotkasz na drodze, albowiem może spowodować nieszczęście.

Odpowiadaj grzecznie przechodniowi, który cię zapyta o drogę.

Nie patrz na nikogo ze śmiechem, nie biegnij bez potrzeby, nie krzycz i nie hałasuj.

Szanuj ulicę. Kulturę narodu osądza się przede wszystkim podług

tego, jak się zachowuje na ulicy. Tam, gdzie znajdziesz prostactwo na ulicy, znajdziesz je niewątpliwie i w domach. Ucz się poznawać ulice, poznaj miasto, w którym żyjesz. Gdyby cię kiedyś los rzucił daleko od niego, będzie dla ciebie szczęściem mieć je żywo w pamięci, przebiegać w myśli to twoje miasto, twoją ojczyznę, to miasto, które przez tyle lat było dla ciebie całym światem, gdzie stawiałeś pierwsze kroki u boku twej matki, gdzie doznałeś pierwszych wrażeń, gdzie dusza twoja otworzyła się dla pierwszych pojęć, gdzie znalazłeś pierwszych przyjaciół.

To miasto było bowiem dla ciebie gdyby matką: wychowało cię, zabawiało, chroniło. Poznawaj je w jego ulicach i mieszkańcach, miłuj je, a gdy usłyszysz, że ktoś je znieważa, stań w jego obronie.

Twój ojciec.

MARZEC.

SZKOŁA WIECZORNA.

2. piątek.

Ojciec mój zaprowadził mnie wczoraj do wieczornej szkoły naszego okręgu, gdy już była cała oświetlona i gdy robotnicy zaczęli już się schodzić. Przybywszy, zastaliśmy dyrektora i nauczycieli w wielkim gniewie, albowiem przed chwilą ktoś wybił kamieniem szybę w oknie. Pedel wybiegł na dwór i przytrzymał przechodzącego chłopca, ale wtem nadszedł Stardi, który mieszka naprzeciw szkoły i rzekł:

— To nie on to uczynił. Widziałem na własne oczy, że Franti rzucił kamień w okno. Potem powiedział mi: Pamiętaj, abyś nic o tym nikomu nie mówił, bo zobaczysz! Ale ja się go nie boję.

Dyrektor oświadczył, że Franti będzie z tego powodu na zawsze wydalony ze szkoły.

Tymczasem przypatrywałem się robotnikom, którzy wchodzili w grupach po dwóch i trzech ludzi i było ich już więcej aniżeli dwustu.

Nie widziałem dotychczas, jak jest piękną taka szkoła wieczorna. Byli tam chłopcy, począwszy od lat dwunastu i mężczyźni brodaci, którzy wracali z roboty i przynieśli tu z sobą książki i zeszyty. Byli to stolarze, palacze z czarnymi twarzami, murarze z rękoma białymi od wapna, piekarze z włosami ubielonymi mąką, a w sali rozchodził się zapach lakieru, skór, smoły, oliwy; czuć było zapachy wszystkich rzemiosł.

Wszedł także oddział robotników artyleryjskich, w mundurach wojskowych, pod kierownictwem kaprala.

Zasiedli wszyscy w ławkach, podnieśli deski, na których my opieramy nogi i natychmiast pochylili głowy nad książkami. Niektórzy przystępowali do nauczycieli z otwartymi zeszytami i prosili o wyjaśnienia.

Ujrzałem też mego młodego nauczyciela, wytwornie ubranego, którego przezwaliśmy „adwokatem". Trzech lub czterech robotników otaczało jego stolik, a on piórem poprawiał im zadania.

I ten kulawy był także, śmiał się z jakimś farbiarzem, który mu przyniósł zeszyt, cały poplamiony farbą czerwoną i niebieską.

Był również i mój nauczyciel, już wyleczony, który już jutro przyjdzie do nas.

Drzwi od wszystkich klas były otwarte.

Zdumienie ogarnęło mnie, gdy zaczęły się lekcje, jak wszyscy przysłuchiwali się z uwagą, jak nie odwracali oczu od książki. A jednak wielu z nich, jak mówł dyrektor, aby się nie spóźnić do szkoły, przychodzi tu prosto z roboty i nie wstępują wcale do domu, aby się posilić i są głodni.

Mniejszym chłopcom wprawdzie, po półgodzinie lekcji, zaczęły się oczy kleić, niektórzy nawet zasnęli, oparłszy głowy o ławkę, nauczyciel zaś budził ich, trącając ich piórem w ucho. Ale dorośli słuchali wszyscy lekcji z otwartymi ustami i wytężoną uwagą, nie mrugnąwszy nawet oczyma. Dziwne mi się wydawało widzieć w naszych ławkach tych wszystkich brodaczów.

Poszliśmy także na piętro, a ja pobiegłem ku drzwiom mojej klasy i ujrzałem na moim miejscu mężczyznę z dużymi wąsami i obwiązaną ręką, którą być może skaleczył sobie przy maszynie, a jednak wysilał się, aby pisać powoli, powoli. Ale najlepiej podobało mi się to, że zobaczyłem na miejscu murarczyka, w tej samej ławce i w tym samym rogu, jego ojca, owego olbrzymiego murarza, który tam siedział skulony, oparłszy głowę na rękach, z oczyma utkwionymi w książce, cały zagłębiony w nauce.

Nie był to zwykły przypadek, albowiem on sam pierwszego wieczora, gdy przyszedł do szkoły, prosił dyrektora:

— Panie dyrektorze, proszę mi łaskawie pozwolić, abym mógł usiąść na miejscu mego „Zajęczego pyszczka". Albowiem tak zawsze nazywał swego syna.

Zostaliśmy tam z ojcem aż do końca lekcji, a gdyśmy wyszli na ulicę, ujrzeliśmy wiele kobiet z dziećmi na rękach, które czekały na swoich mężów. Przy wyjściu nastąpiła zmiana: robotnicy wzięli dzieci na ręce, kobiety zaś zabrały ze sobą książki i zeszyty i wszyscy wrócili do domu. Przez kilka chwil ulica była pełna ludzi i zgiełku.

A potem nastała cisza i widzieliśmy tylko długą, znużoną postać dyrektora, który się oddalał powoli.

WALKA.

5. niedziela.

Była to rzecz, którą można było przewidzieć.

Franti, wypędzony przez dyrektora ze szkoły, zapragnął się zemścić i ukryty na rogu ulicy, czekał na Stardiego, który, po wyjściu ze szkoły szedł zawsze po swoją siostrzyczkę na ulicę Wielkozłotą, po czym oboje razem wracali tędy do domu. Moja siostra Sylwia, wracając ze swej szkoły, widziała to wszystko i przerażona przybiegła do domu.

Oto co się stało. Franti w swojej ceratowej czapeczce, zasuniętej zawadiacko na ucho, pobiegł na palcach za Stardim i aby go zaczepić, szarpnął jego siostrzyczkę za warkocz tak silnie, że jej omal nie wywrócił na ziemię. Dziewczynka krzyknęła, brat jej odwrócił się. A wtedy Franti, który jest o wiele wyższy i silniejszy od Stardiego, zawołał:

— Bądź cicho, gdyż inaczej oberwiesz porządnie.

Ale Stardi nie namyślał się długo i chociaż jest mały i gruby, rzucił się jednym skokiem na owego wielkiego chłopca i począł go walić kułakami. Nie mógł mu jednak wiele zrobić; na ulicy były małe dziewczynki i nie było nikogo, ktoby ich mógł rozdzielić.

Franti rzucił swego przeciwnika na ziemię, ten zerwał się szybko, ale znów upadł, a Franti walił w niego jak w kłodę. W jednej chwili rozerwał mu ucho, podbił mu oko i uderzył go tak silnie, że mu się krew puściła z nosa. Ale Stardi trzymał się dzielnie, ryknął tylko:

— Zabijesz mnie, ale ja ci za to zapłacę!

I oto Franti leży na ziemi, a Stardi na nim, kopie go i okłada pięściami.

Jakaś kobieta krzyknęła z okna:

— Brawo, mój chłopcze!

Inne kobiety mówiły:

— On broni swej siostry! Odwagi!

— Bij go porządnie!

Do Frantiego zaś wołały:

— Tchórz, śmiały wobec słabszych!

Franti, rozwścieczony, podstawił Stardiemu nogę, ten upadł, a Franti rzucił się na niego, wołając:

— Poddaj się!

— Nie!

— Poddaj się!

— Nie!

W okamgnieniu Stardi zerwał się na równe nogi, pochwycił Frantiego wpół, z ogromnym wysiłkiem rzucił go na bruk i przycisnął mu piersi kolanem.

— A, nędzniku, ty masz nóż — wykrzyknął jakiś człowiek i przybiegł, aby rozbroić Frantiego, ale Stardi, uniesiony wściekłością, pochwycił mu już ramię obydwiema rękami i ukąsił go tak dotkliwie w pięść zaciśniętą, że nóż mu wypadł z dłoni i krew popłynęła.

Tymczasem jednak nadeszło kilka osób, które rozdzieliły walczących tak zawzięcie przeciwników; Franti powlókł się z trudem, porządnie wytłuczony, Stardi zaś pozostał na placu boju, podrapany na twarzy, z podbitym okiem, ale zwycięzca. Stał obok płaczącej siostry, kilka dziewcząt zaś zbierało rozrzucone po ulicy książki i zeszyty.

— Dzielny chłopak — odzywały się głosy dokoła niego, — stanął mężnie w obronie siostry.

Ale Stardi myślał więcej o swoim tornistrze, aniżeli o swym zwycięstwie, zebrał się więc szybko, aby przejrzeć książki i zeszyty, czy niczego nie brakowało i czy nie zostały uszkodzone, powycierał je rękawami, obejrzał piórnik, włożył każdą rzecz na swoje miejsce, a potem spokojny i poważny jak zawsze, rzekł do swej siostry:

— Chodźmy co prędzej do domu, mam robić zadanie z arytmetyki na wszystkie cztery działania.

RODZICE UCZNIÓW.

6. poniedziałek.

Dziś rano przyszedł gruby Stardi ojciec, oczekiwać syna przed szkołą, albowiem obawiał się, aby się nie spotkał ponownie z Frantim. Ale powiadają, że Franti już nie przyjdzie, gdyż wsadziliby go zaraz do więzienia. Dziś rano przyszło wielu rodziców. Był między innymi handlarz drzewa, ojciec Corettiego, zupełny portret swego syna, zwinny, wesół, ma tylko śpiczaste wąsy i dwukolorową wstążeczkę w dziurce od guzika. Znam wszystkich prawie rodziców, którzy przychodzą tu po swoje dzieci. Między innymi przychodzi tu także zgarbiona babka w białym czepcu. Bez względu na deszcz, śnieg lub burzę, zjawia się cztery razy dziennie, odprowadzając swego wnuczka z pierwszej klasy wstępnej, zdejmuje mu płaszczyk, to znów pomaga mu go wdziać, wiąże mu krawatkę, oczyszcza go z kurzu, przegląda jego zeszyty: poznać, że o niczym innym nie myśli, że nie widzi nic innego piękniejszego na świecie poza swoim wnukiem.

Przychodzi także często kapitan artylerii, ojciec Robettiego, tego

co chodzi o kulach, co ocalił dziecko spod kół omnibusu. Każdy z kolegów jego syna, przechodząc obok niego, głaszcze go z pieszczotą, ojciec zaś odpowiada wszystkim na pieszczotę i na ukłon, nie ma wypadku, aby kogoś pominął. Do wszystkich się pochyla, a im ktoś jest uboższy i w gorszej odzieży, tym bardziej kapitan wydaje się uradowany i tym więcej mu dziękuje.

Niekiedy jednak widać tu także i smutne rzeczy. Oto pewien pan, który nie przychodził tu już od miesięcy, albowiem umarł mu synek i który przychodził tu zawsze po drugiego syna z służącą, przyszedł tu znów wczoraj po raz pierwszy, a ujrzawszy klasę i kolegów swego małego zmarłego, poszedł do kąta i zakrywszy twarz rękoma, wybuchnął łkaniem. Dyrektor ujął go pod ramię i zaprowadził do swojej kancelarii.

Są ojcowie i matki, którzy znają po imieniu wszystkich kolegów swoich synów.

Niekiedy także przychodzą po braci dziewczynki z pobliskiej szkoły i uczniowie z gimnazjum.

Jest tu pewien stary pan, który był pułkownikiem, a gdy widzi, że jakiś chłopiec upuszcza na ulicy zeszyt lub pióro, podnosi mu je.

Widać także panie wytwornie ubrane, które rozprawiają o sprawach szkolnych z kobietami w chusteczkach na głowie i z koszykiem w ręku.

Jedna z nich mówi: — Zadanie było tym razem strasznie trudne.

Druga znów powiada: — Myślałam, że ta lekcja gramatyki dziś rano nie skończy się wcale.

A gdy ktoś w klasie jest chory, zaraz wszystkie wiedzą o tym; gdy chory ma się lepiej, wszystkie cieszą się tym. Właśnie dziś rano było ich osiem lub dziesięć, pań i robotnic, otaczały zieleniarkę, matkę Crossiego i wypytywały się ją o zdrowie jednego biednego chłopca, który uczęszcza do tej samej klasy, co mój brat. Mieszka na tym samym podwórzu co ona i ciężko zachorował.

Zdaje się, że szkoła wszystkich ze sobą równa i czyni przyjaciółmi.

NUMER 78.

8. środa.

Wczorajszego wieczora byłem świadkiem wzruszającej sceny.

Już od niejakiego czasu zieleniarka, ile razy przechodziła obok Derossiego, spoglądała na niego z wyrazem głębokiej wdzięczności. Albowiem Derossi, gdy odkrył ową tajemnicę kałamarza i więźnia numer 78, okazuje szczególną życzliwość dla jej syna Crossiego, tego, co ma rude włosy i martwe ramię, pomaga mu w wypracowaniach szkolnych, podpowiada, gdy jest pytany, daje mu papier, pióra, ołówki, jednym słowem, obchodzi się z nim jak z bratem, jak gdyby chciał go wynagrodzić za nieszczęścia, jakie dotknęły jego ojca i o których on nie wie.

Otóż kobieta ta już od niejakiego czasu tak patrzyła na Derossiego i zdawało się, że mu chce oddać swe własne oczy, albowiem jest dobrą matką, która żyje tylko dla swego syna, a Derossi, który się nim opiekuje i okazuje mu przychylność, Derossi, który jest paniczem i najlepszym uczniem w klasie, wydaje się jej jak królewicz, niemal jak święty. Zawsze spogląda na niego i zdawało się, że chce mu coś powiedzieć, ale że się wstydzi. Aż wczoraj rano nareszcie nabrała odwagi, zatrzymała go w bramie domu i rzekła:

— Proszę mi wybaczyć, paniczu, panicz jest taki dobry, taki życzliwy dla mego chłopca, proszę mi zrobić tę łaskę i przyjąć ten mały upominek od biednej matki.

I wydobyła z koszyka jarzyn szkatułkę z tektury białej pozłacanej.

Derossi zarumienił się i odpowiedział tonem stanowczym:

— Niech pani to da swemu synowi; ja nic nie przyjmę. Dziękuję.

Kobieta zmartwiła się i poczęła się usprawiedliwiać, bełkocząc:

— Nie chciałam panicza obrazić... to tylko karmelki.

Ale Derossi potrząsał głową na znak, że nie przyjmuje.

A wtedy biedna kobieta wyjęła nieśmiało z koszyka wiązkę młodych rzodkiewek i rzekła:

— Proszę przynajmniej przyjąć te rzodkiewki świeże i zanieść je mamie.

Derossi uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie, dziękuję, ale nie chcę niczego. Zawsze będę robił dla Crossiego, co będę mógł, ale nie mogę nic przyjąć. Jeszcze raz dziękuję serdecznie.

— Ale panicz się nie obraził? — pytała kobieta z trwogą.

Derossi powiedział, że nie, uśmiechając się i odszedł, ona zaś zawoła z radością:

Co to za zacny chłopak! Nie widziałam jeszcze nigdy w życiu takiego poczciwego dziecka.

I zdawało się, że rzecz się na tym skończyła. Ale popołudniu o czwartej, zamiast matki Crossiego, przyszedł po niego ojciec z tą swoją twarzą bladą i pełną smutku. Zatrzymał Derossiego, a po jego

spojrzeniu poznałem natychmiast, że domyśla się, iż Derossi zna jego tajemnicę. Spojrzał na niego bystro i rzekł do niego głosem smutnym i serdecznym:

— Panicz jest zawsze taki dobry dla mego syna... Dlaczego panicz go tak wyróżnia?

Derossi spłonął silnym rumieńcem. Byłby chętnie odpowiedział:

— Ponieważ jest nieszczęśliwy. Ponieważ i wy, ojciec jego, byliście więcej nieszczęśliwi, aniżeli winni, odpokutowaliście w sposób szlachetny waszą winę, ponieważ macie dobre serce.

Ale nie miał odwagi tego wypowiedzieć, ponieważ w głębi duszy odczuwał bojaźń i prawie wstręt do tego człowieka, który przelał krew swego bliźniego i siedział sześć lat w więzieniu. Ale ten domyślił się wszystkiego i zniżając głos, prawie z drżeniem, rzekł Derossiemu do ucha:

— Panicz jest życzliwy dla mego chłopca, ale i ojcem nie pogardza... Wszak prawda?

— O, nie, nie! Przeciwnie! — wykrzyknął Derossi z wybuchem.

I wtedy ów człowiek uczynił nagły ruch, jak gdyby chciał objąć Derossiego za szyję, ale nie miał odwagi i tylko dotknął się dwoma palcami jego jasnych włosów, potem przyłożył sobie rękę do ust i ucałował się w dłoń, spoglądając wilgotnymi oczyma na Derossiego, jak gdyby chciał mu powiedzieć, że ten pocałunek jest dla niego przeznaczony.

Potem ujął syna za rękę i oddalił się z nim szybkimi krokami.

MAŁY UMARŁY.

13. poniedziałek.

Ten chłopczyk, co mieszka na tym podwórzu, co zieleniarka, ten z pierwszej klasy, oddziału wyższego, kolega mego brata, umarł. Nauczycielka, panna Delcati, przyszła w sobotę wieczorem, głęboko zmartwiona, aby o tym donieść nauczycielowi i natychmiast Garrone i Coretti oświadczyli, że pomogą nieść trumnę.

Był to bardzo pilny chłopak, otrzymał medal w ubiegłym tygodniu, lubiał nadzwyczaj mego brata i podarował mu skarbonkę; matka moja pieściła go zawsze, ile razy go spotykała. Nosił czapeczkę z dwoma paskami z czerwonego sukna.

Ojciec jego jest posługaczem na kolei.

Wczoraj w niedzielę, o pół do piątej popołudniu, poszliśmy do nich do domu, aby go odprowadzić do kościoła. Mieszkają na parterze.

Na podwórzu było już dużo chłopców z klasy pierwszej, oddziału wstępnego, wraz ze swymi matkami, nieśli świece, było także pięć lub sześć nauczycielek i kilku sąsiadów.

Nauczycielka z czerwonym piórem i panna Delcati weszły do środka i widzieliśmy przez otwarte okno, jak płakały: słychać było, jak matka dziecka głośno szlochała. Dwie panie, matki kolegów szkolnych zmarłego, przyniosły dwa wieńce kwiatów. Dokładnie o piątej godzinie ruszyliśmy w drogę.

Na samym przedzie szedł chłopiec z krzyżem, potem kapłan, potem trumna, maleńka trumna. Biedne dziecko! Trumna była pokryta czarnym suknem, a okalały ją wieńce ofiarowane przez owe dwie panie. Do czarnego sukna był z jednej strony przyczepiony medal i trzy zaszczytne wzmianki, na jakie sobie ów chłopak w ciągu roku zasłużył. Trumnę nieśli Garrone, Coretti i dwóch chłopców z podwórza. Za trumną szła najpierw panna Delcati, która płakała, jak gdyby zmarły był jej dzieckiem; za nią szły inne nauczycielki; za nauczycielkami chłopcy; niektórzy między nimi, zupełnie jeszcze mali, nieśli w rękach bukieciki fiołków i spoglądali w osłupieniu na trumnę, matki prowadziły ich za ręce, niosąc za nich świece. Słyszałem, jak jeden z malców zapytał:

— A więc już teraz nie przyjdzie do szkoły?

Kiedy trumnę wynieśli z podwórza, dał się słyszeć rozpaczliwy krzyk w oknie: była to matka zmarłego chłopca; ale zaraz wprowadzono ją napowrót do pokoju. Gdyśmy wyszli na ulicę, spotkaliśmy chłopców z kolegium, którzy szli w dwóch rzędach, a ujrzawszy trumnę z medalem i nauczycielki, wszyscy natychmiast odkryli głowy. Biedny mały, poszedł spać snem wiecznym, ze swoim medalem. Nie zobaczymy już nigdy więcej jego czerwonej czapeczki.

Miał się dobrze, a w cztery dni umarł. Ostatniego dnia próbował jeszcze wstać z łóżka, aby uczyć się zadanych słówek i chciał mieć swój medal w łóżku, gdyż obawiał się, by mu go nie zabrali. Nikt ci go już nie zabierze więcej, biedny chłopcze. Żegnaj nam, żegnaj! Będziemy cię zawsze wspominali w naszej klasie. Śpij w spokoju, biedne dziecię.

WIGILIA 14-GO MARCA.

Dziś był dzień weselszy od wczorajszego. Trzynastego marca. Wigilia rozdawania nagród w teatrze Wiktora Emanuela, wielka i piękna uroczystość doroczna. Ale tym razem nie wybiera się już przypadko-

wo chłopców, którzy mają zanieść swe świadectwa i przedłożyć je panom, rozdającym nagrody.

Dyrektor przybył dziś rano na koniec nauki i rzekł: Chłopcy, dobra dla was wiadomość.

Potem zawołał: Coraci! — Był to ów Kalabryjczyk.

— Czy chcesz należeć do tych, którzy jutro w teatrze przedłożą władzy świadectwa do nagrody?

Kolabryjczyk dał odpowiedź potwierdzającą.

— Dobrze — odpowiedział dyrektor — a zatem będzie także przedstawiciel Kalabrii. Będzie to piękna rzecz. Municypium postanowiło w tym roku, że dziesięciu lub dwunastu chłopców, którzy ubiegają się o nagrody, mają pochodzić z różnych części Włoch i należeć do różnych oddziałów szkolnych.

Mamy dwadzieścia oddziałów z pięciu filiami: siedm tysięcy uczniów. W tak wielkiej liczbie nie trudno znaleźć jednego chłopca z każdej prowincji włoskiej. W oddziele Torquata Tassa jest dwóch przedstawicieli wysp naszych: jeden Sardyńczyk i jeden Sycylijczyk; szkoła Boncompagniego daje małego Florentyńczyka, synka snycerza; jest Rzymianin, rodem z Rzymu, w szkole Tommasea; również kilku Wenecjan, Lombardczyków, Romaniolów; szkoła Monviso daje Neapolitańczyka, syna oficera; my dajemy Genueńczyka i Kalabryjczyka, a mianowicie ciebie, Coraci. Wraz z Piemontczykiem będzie was dwunastu. Czy nie jest to ładnie? I przybędą tam wasi bracia ze wszystkich stron Włoch, aby wam rozdać nagrody.

Uważajcie: pojawią się na scenie wszyscy dwunastu razem. Powitajcie ich zatem głośnymi oklaskami. Są to wprawdzie dzieci, ale przedstawiają kraj, jak gdyby byli dorośli ludzie: wszak i mała trójkolorowa chorągiewka jest symbolem Włoch, tak samo jak i duża chorągiew, czy nie prawda? A więc oklaskujcie ich gorąco. Pokażcie, że także i wasze małe serca zapalają się, że i wasze dziesięcioletnie dusze unoszą się na widok świętego obrazu ojczyzny.

To powiedziawszy, wyszedł, a nauczyciel rzekł z uśmiechem:

— A więc ty, Coraci, jesteś deputowanym z Kalabrii.

A wtedy my wszyscy klasnęliśmy w dłonie, śmiejąc się, a gdyśmy byli na ulicy, otoczyliśmy Coraciego, podnieśliśmy go i nieśli w triumfie, wołając:

— Niech żyje deputowany z Kalabrii!

Był to żart, ale rozumie się, nie aby drwić z niego, lecz przeciwnie, aby go uczcić, w sposób serdeczny, bo tego chłopca wszyscy lubią; on zaś uśmiechał się. Zanieśliśmy go tedy aż na koniec ulicy, gdzieśmy się natknęli na jakiegoś pana z czarną brodą, który począł również się śmiać.

Kalabryjczyk rzekł: — To mój ojciec.

A wtedy chłopcy oddali mu syna w jego ręce i rozbiegli się na wszystkie strony.

ROZDANIE NAGRÓD.

14. marca.

Około drugiej godziny teatr był przepełniony. Parter, galeria, loże, balkon, wszystko było nabite ludźmi, tysiące twarzy, chłopcy, damy, nauczyciele, robotnicy, kobiety z ludu, dzieci; poruszały się głowy i ręce, kołysały się pióra, wstążki, kędziory włosów, szmer przeciągły i uroczysty zdradzał nastrój radosny.

Teatr był cały ozdobiony draperiami z sukna czerwonego, białego i zielonego. Z obu stron parteru zrobiono schody: schodami z prawej strony mieli ci, którym przyznano nagrody, wchodzić na scenę, lewą stroną zaś mieli schodzić na dół, otrzymawszy już nagrodę. Na przodzie sceny ustawiono szereg czerwonych foteli, a na poręczy środkowego był zawieszony wieniec z wawrzynu; w głębi sceny widniały trofea z chorągwi; po jednej stronie stał stół zielony, a na nim wszystkie świadectwa nagrodzonych, związane trójbarwnymi wstążkami. Orkiestra stała w parterze poniżej sceny; nauczyciele i nauczycielki zapełniali połowę pierwszej galerii, dla nich przeznaczoną; ławki i przejścia w parterze zajęło około stu chłopców, którzy mieli śpiewać chórem i trzymali w rękach nuty. W głębi widać było uwijających się nauczycieli i nauczycielki, którzy ustawiali w szeregu nagrodzonych, rodzice zaś przygładzali im włosy i poprawiali krawatki.

Gdy tylko wszedłem z rodzicami do loży, ujrzałem w loży na przeciwko nauczycielkę z czerwonym piórem, która się śmiała, ukazując piękne dołki na policzkach, obok niej zaś siedziała nauczycielka mego brata i ta, którą nazywają zakonnicą, cała czarno ubrana, i moja dobra nauczycielka z pierwszej klasy oddziału wyższego, ale była bardzo blada, wyglądała nędznie i kaszlała tak głośno, że ją słychać było z jednego końca sali na drugi.

W parterze ujrzałem natychmiast drogą twarz Garrona i małą jasnowłosą główkę Nellego, który stał przytulony do jego ramienia. Nieco dalej zobaczyłem Garoffiego z jego nosem, jak dziób jastrzębia, który zbierał drukowane spisy nagrodzonych i miał już w ręku dużą paczkę, prawdopodobnie, aby nimi handlować... Jutro przekonamy się.

Obok drzwi stał handlarz drzewa ze swoją żoną, oboje w świątecznych strojach, wraz z swoim chłopcem, który ma otrzymać trzecią nagrodę w drugiej klasie; ogarnęło mnie zdumienie, gdy nie widziałem jego czapeczki z kociej sierści, ani kurtki koloru czekoladowego: tym razem był wystrojony, jak jaki panicz. W jednej z galeryj ujrzałem przelotnie Votiniego w dużym koronkowym kołnierzu, potem jednak straciłem go z oczu. W loży obok sceny, pełnej publiczności, stał kapitan artylerii, ojciec Robettiego, tego, który chodzi o kuli i który ocalił małego chłopca spod kół omnibusa.

Z uderzeniem godziny drugiej zagrała orkiestra i równocześnie weszli po schodkach z prawej strony panowie: burmistrz, prefekt, asesor, inspektor szkolny i wielu innych, wszyscy czarno ubrani, po czym zajęli miejsca na owych czerwonych fotelach na przodzie sceny. Orkiestra przestała grać, a na przód wysunął się dyrektor szkoły śpiewu z laseczką w ręku. Na znak przez niego dany, wszyscy chłopcy w parterze powstali ze swych miejsc, na znak powtórny poczęli śpiewać. Było ich siedmset, zaśpiewali prześliczną pieśń, siedmset głosów chłopięcych, śpiewających razem; jak to było pięknie. Wszyscy słuchali nieruchomi, w skupieniu ducha, był to śpiew słodki, czysty, powolny, wydawał się, jak śpiew kościelny. Gdy chłopcy umilkli, wszyscy jęli oklaskiwać ich, a potem nastała cisza. Miało się zacząć rozdawanie nagród. Zjawił się już na scenie mój mały nauczyciel z drugiej klasy, ze swą rudą głową i żywymi oczyma, który miał czytać nazwiska uczniów nagrodzonych. Czekano tylko przybycia dwunastu chłopców, którzy mieli przedłożyć świadectwa.

Dzienniki już zapowiedziały, że będą to chłopcy ze wszystkich prowincji włoskich. Wszyscy wiedzieli o tym i oczekiwali ich, spoglądając z ciekawością w stronę, z której mieli wejść. Także burmistrz i inni panowie patrzyli tam, a w całym teatrze panowała głucha cisza.

Nagle wbiegli na proscenium i ustawili się rzędem, wszyscy dwunastu, z uśmiechem na twarzy. Cały teatr, trzy tysiące osób zerwało się z miejsca i rozległa się głośna burza oklasków. Chłopcy stali na miejscu chwilę, jak oszołomieni.

— Oto Włochy! — odezwał się jakiś głos z loży.

Poznałem natychmiast Coraciego, naszego Kalabryjczyka, który był, jak zawsze, czarno ubrany.

Pewien pan z municypium, który był w naszym towarzystwie i znał wszystkich tych chłopców, pokazywał ich mojej matce.

— Ten mały z jasnymi włosami jest przedstawicielem Wenecji. Ten wysoki, z włosami kędzierzawymi, to Rzymianin.

Dwóch lub trzech było wystrojonych, jak panicze; inni byli synami robotników, ale wszyscy byli ubrani porządnie i schludnie. Florentyńczyk, najmniejszy z nich, przepasany był niebieską szarfą. Przeszli wszyscy przed burmistrzem, który pocałował każdego z nich w czoło, zaś pan jakiś, stojący obok niego, wymieniał mu półgłosem, uśmiechając się, nazwy poszczególnych miast: — Florencja, Neapol, Bolonia, Palermo... — Każdego chłopca, gdy przeszedł cały teatr witał hucznymi oklaskami. Później pobiegli wszyscy do zielonego stolika po swoje świadectwo, nauczyciel począł odczytywać wykaz zawierający nazwy szkół, klasy i nazwiska nagrodzonych, a ci poczęli wstępować na scenę wolnymi krokami.

Zaledwie weszli pierwsi, gdy za sceną dała się słyszeć cicha muzyka skrzypiec, która nie ustawała przez cały czas defilady; melodia miła i zawsze jednostajna, gdyby szmer wielu przytłumionych głosów, głosów wszystkich matek, wszystkich nauczycieli i nauczycielek, którzy wszyscy razem dawali rady i troskliwe przestrogi.

Chłopcy nagrodzeni przechodzili jeden po drugim przed fotelami owych panów, którzy im podawali świadectwa i dla każdego z nich mieli życzliwe słowo lub pieszczotę. A w parterze i na galeriach chłopcy każdym razem klaskali w ręce, gdy przechodził jakiś bardzo mały albo któryś, co z ubrania wydawał się ubogi, lub taki, co miał długie kędzierzawe włosy lub ubrany był w kolorze czerwonym albo białym.

Szli uczniowie z pierwszej klasy oddziału wyższego, którzy przybywszy na miejsce, stali zmieszani i bezradni i nie wiedzieli, gdzie się mają obrócić, a cały teatr śmiał się. Szedł jeden wysoki na trzy cale, z dużą różową kokardą na plecach. Z trudem stąpał po schodach, a zaplątawszy się w dywan, upadł jak długi, prefekt podniósł go, a wszyscy się śmieli i klaskali w dłonie. Inny znów potknął się na schodach i upadł na dół, dały się słyszeć okrzyki, ale nic sobie złego nie zrobił.

Widać tam było różne twarze: jedne miały wyraz filuterny, inne wystraszony, niektóre były różowe jak wiśnie. Byli mali błazenkowie, którzy się każdemu w twarz śmieli, a zaledwie zeszli na dół, chwytali ich ojcowie i matki i brali z sobą do domu.

Ucieszyłem się, gdy wreszcie przyszła kolej na naszą szkołę. Szło wielu, których znałem. Przeszedł Coretti w nowym ubraniu od stóp do głowy ze swym pięknym, miłym uśmiechem, który odsłaniał jego

białe zęby. A jednak kto wie, ile centnarów drzewa nanosił się dziś rano. Burmistrz, dając mu poświadczenie, zapytał go, skąd pochodzi czerwony znak, jaki ma na czole i mówiąc do niego, położył mu rękę na ramieniu. Ja szukałem wzrokiem w parterze rodziców jego i widziałem, że się śmieją, zasłaniając ręką usta.

Potem przeszedł Derossi w niebieskim ubraniu, w błyszczących bucikach, ze swymi złotymi kędziorami włosów, wysmukły, swobodny, z czołem podniesionym, tak piękny i ujmujący, że byłbym go chętnie ucałował, a każdy z tych panów chciał z nim mówić i uścisnąć mu rękę.

Następnie nauczyciel zawołał: Juliusz Robetti! — I oto wysunął się synek kapitana artylerii na szczudłach. Prawie wszyscy chłopcy wiedzieli o jego wypadku, po całej sali poczęto natychmiast o tym szeptać, rozległy się huczne oklaski i krzyki tak głośne, że aż zatrząsł się od nich cały teatr, panowie powstali ze swych miejsc, panie powiewały chusteczkami, a biedny chłopak stanął wśród sceny, cały drżący i zmieszany... Burmistrz przyciągnął go do siebie, dał mu nagrodę i pocałował go w czoło, a zdjąwszy z poręcza fotelu przyczepiony tam wieniec wawrzynowy, zawiesił mu go na rączce od jego kuli... Potem odprowadził go aż do loży w proscenium, gdzie się znajdował ojciec jego, kapitan, ten zaś podniósł go i posadził obok siebie, wśród nie dających się opisać okrzyków: Brawo! Niech żyje! A tymczasem wciąż jeszcze rozlegały się tony owych skrzypiec, przyciszone i pełne uroku, chłopcy zaś szli nieprzerwanie...

Szli ze szkoły „Consolata“, prawie wszyscy synowie kupców, ze szkoły „Vanchiglia“, synowie robotników, ze szkoły „Boncompagni“, między którymi jest wielu synów wieśniaków; na samym końcu szli uczniowie ze szkoły „Rayneri“.

Ledwie się skończył ten pochód, siedmiuset chłopców w parterze zaśpiewało inną przepiękną pieśń; następnie wygłosił przemówienie burmistrz, po nim asesor, który rzekł na samym końcu do chłopców: Ale zanim wyjdziecie stąd, nie zapomnijcie przesłać pozdrowienia tym, którzy się dla was tyle trudzą i mozolą, którzy wam poświęcili wszystkie siły swej duszy i serca, którzy dla was żyją i umierają. Oto oni!

I wskazał ręką galerię nauczycieli.

A wtedy z galerii, z lóż, z parteru, wszyscy chłopcy powstali ze swych miejsc i wyciągnęli, krzycząc radośnie, ramiona ku nauczycielom i nauczycielkom, ci zaś odpowiadali im, wymachując rękoma, kapeluszami, chusteczkami, przejęci głębokim wzruszeniem. Potem orkiestra raz jeszcze zagrała i publiczność pozdrowiła raz jeszcze głośnymi oklaskami dwunastu chłopców z różnych prowincji włoskich, którzy stali w jednym szeregu na proscenium, trzymając się za ręce, zasypywani deszczem kwiatów.

SPÓR.

20. poniedziałek.

Nie było to przez zawiść, że otrzymał nagrodę, a ja nie, że pokłóciłem się dziś rano z Corettim. Nie, nie przez zawiść. Ale on nie miał słuszności. Nauczyciel posadził go obok mnie; ja pisałem na moim zeszycie kaligraficznym, on trącił mnie łokciem i nie tylko zrobiłem plamę na zeszycie, ale także na opowiadaniu miesięcznym „Krew romańska“, które miałem przepisać dla chorego murarczyka. Rozgniewałem się naturalnie i powiedziałem mu kilka ostrych słów. Odpowiedział mi z uśmiechem: — Nie zrobiłem tego umyślnie.

Powinien byłem mu wierzyć, ponieważ go znam, ale ów uśmiech nie podobał mi się i pomyślałem sobie w duchu: — Oho, teraz kiedy otrzymał nagrodę, urósł w pychę. — I po chwili, aby się zemścić, szturknąłem go tak silnie, że zamazał sobie całą stronę. Wtedy, cały czerwony od gniewu, zawołał: — Ale ty zrobiłeś to umyślnie! i podniósł na mnie rękę. Widząc jednak, że nauczyciel patrzy na nas, cofnął ją i dodał:

— Będę na ciebie czekał na dworze.

U mnie gniew już przeminął, czułem żal i wstyd. — Nie, pomyślałem sobie — Coretti nie mógł tego uczynić umyślnie, to dobry chłopiec. — I przypomniałem sobie, że go widziałem w domu jego, jak pracował, jak pomagał swej chorej matce, a potem, jak go serdecznie przyjmowałem u siebie w domu, jak bardzo się podobał memu ojcu. Dałbym był nie wiedzieć co, abym nie był powiedział tego słowa, abym nie był popełnił tego brzydkiego uczynku. I pomyślałem jeszcze o nauce, jaką mi dawał mój ojciec. — Jeżeli zawiniłeś, masz prosić o przebaczenie.

Nie śmiałem jednak tego uczynić, wstydziłem się, że się w ten sposób upokorzę. Spoglądałem na niego spod oka, widziałem, że ma kurtkę podartą no plecach, może dlatego, że nosił za wielką wiązkę drzewa, czułem, że go bardzo lubię i powiedziałem sobie w duchu: — Odwagi! — Ale to słowo „przepraszam“ utkwiło mi w gardle. On patrzył na mnie z ukosa od czasu do czasu i wydawał się więcej zmartwiony, aniżeli rozgniewany. A wtedy i ja patrzyłem na niego ostro,

aby pokazać, że się go nie boję. Powtarzał ustawicznie: — Zobaczymy się znów na ulicy. — A ja mówiłem tak samo: — Zobaczymy się znów na ulicy. — Ale myślałem o tym, co mi raz ojciec powiedział: — Jeżeli nie masz słuszności, możesz się bronić, ale nie uderzaj! — I mówiłem sobie w duchu: — Tak jest, będę się bronił, ale nie uderzę go. — Byłem jednak niezadowolony, smutny, nie słyszałem, co nauczyciel mówił.

Wreszcie nadeszła chwila, kiedyśmy mieli wyjść z klasy. Gdy byłem sam na ulicy, widziałem, że idzie za mną. Stanąłem na miejscu i czekałem na niego z linią w ręku; zbliżył się do mnie, podniosłem linię.

— Nie, Henryku, — zawołał ze swym dobrym uśmiechem, biorąc mnie za rękę z linią — bądźmy znów dobrymi przyjaciółmi, jak dawniej.

Stałem chwilę jak odurzony, potem zdawało mi się, jak gdyby jakaś ręka popchnęła mnie ku niemu i znalazłem się w jego objęciach. Pocałował mnie i rzekł:

— Nigdy już nie będzie żadnej kłótni między nami?

— Nie, nigdy! — odpowiedziałem.

I rozstaliśmy się zadowoleni. Gdy jednak przyszedłem do domu i opowiedziałem wszystko memu ojcu, sądząc, że mu sprawię przyjemność, zachmurzył się i rzekł do mnie:

— Ty pierwszy powinien byłeś wyciągnąć do niego rękę, albowiem ty zawiniłeś.

A potem dodał jeszcze:

— Nie powinien byłeś podnosić linii na kolegę twego, lepszego od ciebie, na syna żołnierza.

I wyrwawszy mi linię z ręki, złamał ją na dwa kawałki i z gniewem rzucił o ścianę.

MOJA SIOSTRA.

24. piątek.

Dlaczego, Henryku, już potem, gdy ojciec nasz skarcił cię za to, że sobie źle postąpiłeś wobec Corettiego, wyrządziłeś jeszcze i mnie tę przykrość? Nie wyobrażasz sobie nawet, jak mnie tym zmartwiłeś. Czy nie wiesz, że gdy byłeś jeszcze małym dzieckiem, stałam godzinami obok twej kołyski, zamiast się bawić z moimi rówieśniczkami i gdy byłeś chory, wstawałam w nocy z łóżka, aby się dotknąć twego czoła, czy nie jest gorące? Czy nie wiesz ty, który obrażasz twoją

siostrę, że gdyby nas dotknęło najstraszniejsze nieszczęście, zastępowałabym ci matkę i kochałabym cię jak matka? Czy nie wiesz, że gdy nie będzie już na świecie naszego ojca i naszej matki, ja będę twoją najlepszą przyjaciółką, jedyną, z którą będziesz mógł rozmawiać o naszych drogich zmarłych i o twoich latach dziecinnych i która, gdyby zachodziła potrzeba tego, pracowałaby dla ciebie, Henryku, aby zarobić na chleb dla ciebie i na koszta twej nauki? Czy nie wiesz, że cię będę zawsze kochała, gdy będziesz duży, że myśl moja będzie ci towarzyszyła, gdy będziesz daleko ode mnie, zawsze, albowiem wyrośliśmy razem i ta sama krew płynie w naszych żyłach? O Henryku, bądź o tym przekonany, że gdy będziesz dorosłym mężczyzną, jeżeli cię dotknie jakie nieszczęście, jeżeli będziesz osamotniony, bądź pewien, że będziesz mnie szukał, że przyjdziesz do mnie i powiesz mi:

— Sylwio, siostro moja, pozwól, abym został przy tobie, mówmy o czasach, kiedyśmy byli szczęśliwi. Czy przypominasz je sobie? Mówmy o naszej matce, o naszym domu, o owych pięknych dniach, tak odległych.

O Henryku, znajdziesz zawsze ramiona twej siostry otwarte dla ciebie. Tak, mój drogi Henryczku, wybacz mi także, że ci teraz czynię te wyrzuty. Nie będę pamiętała żadnej winy twojej i choćbyś mi nawet wyrządzał jeszcze inne przykrości, cóż mi na tym zależy? Będziesz zawsze tym samym moim bratem, nie będę nigdy pamiętała o niczym innym, jak tylko o tym, że cię dzieckiem piastowałam na rękach, że wraz z tobą kochałam naszego ojca i matkę, że widziałam, jak wzrastałeś, że byłam przez tyle lat twoją wierną towarzyszką.

Ale napisz mi jakieś serdeczne słowo na tym samym zeszycie, a ja przeczytam je jeszcze dziś przed wieczorem. Aby ci zaś dać dowód, że nie mam do ciebie żalu, widząc, że jesteś znużony, przepisałam dla ciebie opowiadanie miesięczne „Krew romańska“, które ty miałeś przepisać dla chorego murarczyka. Znajdziesz je w lewej szufladzie twego stolika; napisałam je całe tej nocy, w czasie gdy ty spałeś. Napisz mi jakieś dobre słowo, Henryku, proszę cię o to.

Twoja siostra Sylwia.

*

* *

Nie jestem godzien całować rąk twoich.

Henryk.

KREW ROMAŃSKA.
(Opowiadanie miesięczne).

Tego wieczora dom Ferruccia był jeszcze bardziej spokojny, aniżeli zwykle. Ojciec jego, który miał mały sklepik z artykułami żywności, udał się do Forli po zakupy, a matka towarzyszyła mu tamże, aby zanieść małą Ludwisię do lekarza, który miał jej operować chore oko. Mieli dopiero powrócić na drugi dzień rano.

Było już blisko północy. Kobieta, która przychodziła w dzień usługiwać, odeszła o zmroku. W domu pozostała tylko stara babka, sparaliżowana na obie nogi i Ferruccio, chłopak trzynastoletni. Był to mały domek parterowy, stojący przy gościńcu, w odległości wystrzału od Forli, miasto w Romanii. W sąsiedztwie jego znajdował się tylko dom niezamieszkany, zniszczony przed dwoma miesiącami pożarem, na którym widać było jeszcze napis „Osteria". Poza domkiem rozciągał się mały ogród okolony płotem, do którego prowadziła mała furtka wiejska; drzwi do sklepu, które służyły równocześnie jako wejście do domu wychodziły na gościniec. Dokoła zaś rozpościerała się okolica samotna, rozległe pola uprawne, zasadzone morwą.

Było już blisko północy, deszcz padał, dął silny wiatr. Babka i Ferruccio nie spali jeszcze, lecz siedzieli w jadalni, przedzielonej od ogrodu małym pokoikiem, zastawionym starymi sprzętami. Ferruccio powrócił do domu dopiero o jedenastej, po kilkugodzinnej nieobecności, a babka czekała na niego, nie zmrużywszy oka, pełna trwogi, siedząc na swym szerokim fotelu, na którym zwykła spędzać cały dzień, a często także całą noc, gdyż ciężka duszność nie pozwalała jej kłaść się do łóżka.

Deszcz padał coraz silniejszy, a wiatr bił nim o szyby okien, noc była bardzo ciemna. Ferruccio wrócił do domu strudzony, zabłocony, w podartej kurtce, na czole miał siniec od kamienia. Jak zwykle, on i koledzy jego rzucali na siebie kamieniami, potem przyszło między nimi do bójki, zaś na domiar złego grał i przegrał wszystkie swoje soldy i czapka upadła mu do rowu.

Jakkolwiek kuchnia była oświetlona jedynie małą lampką olejną, stojącą w kącie stołu, obok fotelu, jednak biedna staruszka zobaczyła natychmiast, w jakim opłakanym stanie wnuk jej się znajduje i częścią sama domyślała się, częścią skłoniła go do tego, że się przyznał do swoich sprawek.

Babka kochała tego chłopaka z całej duszy. Gdy się dowiedziała o wszystkim, wybuchła płaczem.

— O, nie, — rzekła znów po dłuższym milczeniu — nie masz serca dla twojej biednej babki. Nie masz serca, skoro korzystasz w ten sposób z nieobecności ojca i matki, aby mi sprawić tyle boleści. Cały dzień zostawiłeś mnie samą. Nie miałeś dla mnie ani odrobiny litości. Miej się na baczności, Ferruccio! Wstępujesz na złą drogę, która cię zaprowadzi do smutnego końca. Widziałam już wielu, którzy tak zaczynali, jak ty, a źle kończyli. Zaczyna się od wymykania się z domu, od kłótni z kolegami, od przegrywania soldów, a potem zwolna i stopniowo przechodzi się od rzucania kamieniami do walki na noże, od gry do coraz większych występków, a w końcu i... do kradzieży.

Ferruccio stał i słuchał w odległości trzech kroków, oparty o kredens. Głowę spuścił na piersi, zmarszczył brwi i był jeszcze cały rozgrzany tą bójką. Piękne jego włosy kasztanowate osłaniały mu czoło, a niebieskie oczy patrzały nieruchomo w dal.

— Od gry niedaleko do kradzieży — powtórzyła babka, nie przestając płakać. — Pamiętaj o tym Ferruccio. Przypomnij sobie to przekleństwo naszej okolicy, tego Vita Mozzoniego, który teraz włóczy się po mieście; ma zaledwie lat dwadzieścia cztery, a był już dwukrotnie w więzieniu, nieszczęśliwa matka jego, którą znałam, umarła ze zmartwienia, ojciec zaś z rozpaczy uciekł do Szwajcarii. Pomnij o tym nędzniku, któremu ojciec twój wstydzi się odpowiedzieć na jego ukłon, który zawsze wałęsa się z jeszcze większymi od niego zbrodniarzami, aż do dnia, kiedy dostanie się na galery. Otóż znałam go, gdy był jeszcze chłopcem; zaczął tak samo, jak ty teraz zaczynasz. Uważaj, abyś nie doprowadził twego ojca i matki do tego, do czego on przywiódł swoich rodziców.

Ferruccio wciąż milczał. Nie miał on złego serca, przeciwnie. Łobuzostwo jego wypływało raczej z nadmiaru życia i odwagi, aniżeli ze złych skłonności. Ojciec wiedział, że chłopiec ten w głębi duszy zdolny jest do najszlachetniejszych uczuć, a wystawiony na próbę, zdolny jest do czynu mężnego i wzniosłego. Nie hamował go przeto zanadto i czekał, aż sam dojdzie do dojrzałej oceny swego postępowania. Chłopak był dobry, ale krnąbrny i nawet gdy mu serce z żalu ściskało, nie mogły mu przejść przez usta słowa dobre, prośba o przebaczenie, jako to: — Tak jest, zawiniłem, ale nie uczynię tego więcej przyrzekam ci to, wybacz mi. — Dusza jego była nieraz pełna tkliwości, ale duma nie pozwala mu okazywać tego.

— Ach, Ferruccio! — mówiła dalej babka, widząc go tak niemym. — Ani jednego słówka skruchy nie mówisz mi. Widzisz, w ja-

kim stanie się znajduję i że wkrótce będą mnie mogli pogrzebać. Serce nie powinno ci pozwolić, abyś sprawiał mi tyle cierpienia, abyś zasmucał do łez matkę twej matki, twą starą babkę, która już niedługo żyć będzie na świecie. Wiesz, jak cię zawsze kochałam, gdy byłeś niemowlęciem, kołysałam cię całymi nocami, bawiłam cię i huśtałam, nie myśląc nawet o jedzeniu. Mówiłam sobie zawsze: — To dziecko będzie kiedyś moją pociechą.— A teraz ty śmierć moją przyśpieszasz. Oddałabym chętnie resztę mego życia aby widzieć cię na dobrej drodze, posłusznego, jak w owych dniach... gdy cię prowadziłam do kościoła, czy pamiętasz, Ferruccio? Napełniłeś mi wtedy kieszenie kamyczkami i trawą, a ja cię przyniosłam do domu na rękach, uśpionego. Wtedy kochałeś twoją biedną babkę. A teraz, gdy jestem sparaliżowana i gdy potrzebowałabym twego przywiązania, tak jak powietrza do oddychania, ponieważ nie mam nic innego na świecie, ja biedna kobieta, na pół umarła. A teraz, Boże mój!...

Ferruccio chciał się już rzucić swej babce do kolan, ogarnięty silnym wzruszeniem, gdy wtem zdawało mu się, że słyszy lekki szmer, jakieś skrzypienie w przyległej izbie, wychodzącej na ogród. Nie wiedział jednak, czy to wiatr porusza okiennicami, czy też było to co innego.

Nastawił uszu, nadsłuchiwał.

Deszcz padał gęsty. Szmer ów powtórzył się. Także i babka słyszała go.

— Co to jest? — zapytała po chwili z niepokojem.

— Deszcz, — szepnął chłopiec.

— A więc, Ferruccio, — mówiła staruszka, ocierając sobie oczy — przyrzekasz mi, że będziesz dobry? że już nigdy twoja biedna babka nie będzie przez ciebie płakała?

Ponownie dał się słyszeć ów lekki szmer.

— Ależ to nie deszcz! — wykrzyknęła staruszka. blednąc. — Idź, zobacz!

Wnet jednak dodała: — Nie, zostań tutaj! — i pochwyciła wnuka za rękę.

Oboje wstrzymywali oddech. Nie było słychać nic innego, jak tylko plusk deszczu.

A potem wstrząsnął nimi dreszcz zgrozy. Zdawało im się obojgu, że w przyległej izdebce słychać jakieś kroki.

— Kto tam? — zapytał chłopiec, odzyskując z trudem oddech.

Nikt nie odpowiedział.

— Kto tam? zapytał powtórnie Ferruccio, napół martwy ze strachu.

Ale zaledwie wyrzekł te słowa, gdy oboje wydali okrzyk trwogi. Do pokoju wpadło dwóch ludzi, jeden z nich pochwycił chłopca i zatkał mu usta ręką; drugi ścisnął staruszkę za gardło, pierwszy zawołał: — Cicho, jeżeli nie chcesz umierać! — Drugi krzyknął: — Milcz! — i podniósł groźnie nóż w górę. Obaj mieli twarze obwiązane czarnymi chustkami i tylko dla oczu były zrobione otwory.

Przez chwilę nie było słychać nic innego, jak tylko ciężki oddech tych czworga i silny plusk deszczu. Staruszka dyszała chrapliwie i oczy wylazły jej na wierzch.

Ów zaś, który trzymał chłopca, szepnął mu do ucha: — Gdzie ojciec twój chowa pieniądze?

Chłopiec odpowiedział cicho, szczękając zębami: — Tam.... w skrzyni.

— Chodź ze mną — rzekł ów złoczyńca.

I pociągnął go do izdebki, trzymając go silnie za gardło. Tam stała na podłodze ślepa latarka.

— Gdzię ta skrzynia? — zapytał.

Chłopak, ciężko dysząc, wskazał na skrzynię, Wtedy ów bandyta, aby być pewnym chłopca, rzucił go przed skrzynią na kolana, ścisnął mu silnie szyję swymi kolanami tak, że mógł go zadusić, gdyby krzyknął i trzymając nóż w zębach, a w jednej ręce latarkę, wydobył drugą ręką z kieszeni żelazo zaostrzone, podważył nim zamek, wyłamał i oderwał wieko i jął gwałtownie wszystko w skrzyni przewracać. Napełniwszy sobie kieszenie, zatrzasnął skrzynię na powrót, po czym pochwycił chłopca znów za gardło i zawlókł go do dużej izby, gdzie drugi złoczyńca trzymał jeszcze staruszkę na pół nieżywą, z głową wywróconą w tył i otwartymi ustami.

Tenże zapytał swego towarzysza z cicha: — Znalazłeś?

Towarzysz odpowiedział, że tak.

I dodał: — Pilnuj teraz wyjścia.

Ten, który trzymał staruszkę, pobiegł do furtki ogrodowej, aby zobaczyć, czy niema nikogo i rzekł z izdebki głosem, który podobny był do gwizdnięcia; — Chodź!

Zbój, który trzymał jeszcze Ferruccia, pokazał nóż chłopcu i staruszce, która znów otworzyła oczy i rzekł: — Pamiętajcie, abyście ani pisnęli, gdyż wracam na powrót i zabiję was oboje.

I zmierzył ich oboje złowrogim spojrzeniem.

Lecz w tejże chwili dał się słyszeć w oddaleniu, na gościńcu, śpiew kilku głosów.

Zbój zwrócił szybko głowę ku drzwiom, a wskutek tego gwałtownego poruszenia spadła mu chustka z twarzy.

Staruszka krzyknęła: — Mozzoni!

— Przeklęta! — ryknął poznany bandyta. — Musisz teraz umrzeć!

I przystąpił z podniesionym nożem do starej kobiety, która upadła zemdlona.

Bandyta wymierzył cios.

Ale Ferruccio, szybko jak błyskawica, z rozpaczliwym okrzykiem, rzucił się na babkę i zasłonił ją swym własnym ciałem.

Morderca wybiegł, potrąciwszy stół z lampą, która upadła i zgasła.

Chłopczyna zsunął się powoli z łona babki i padł na kolana, po czym pozostał tak, objąwszy ją ramionami i przytuliwszy głowę do jej kolan.

Upłynęło kilka minut; w izbie panowała ciemność; śpiew wieśniaków ginął w oddali. Staruszka odzyskała przytomność.

— Ferruccio! — zawołała ledwie zrozumiałym głosem, szczękając z trwogi zębami.

— Babko — odpowiedział chłopiec.

Stara siliła się, aby przemówić, ale strach paraliżował jej język. Milczała tedy chwilę, wstrząsana gwałtownym dreszczem.

W końcu zdołała zapytać:

— Nie ma ich już?

— Nie.

— Nie zabili mnie — szeptała staruszka stłumionym głosem.

— Nie... Babcia jest ocalona — mówił Ferruccio słabym głosem. — Droga babko, jesteś zdrowa. Zabrali z sobą pieniądze. Ale niewiele... ojciec miał prawie wszystko przy sobie.

Staruszka westchnęła z uczuciem ulgi.

— Babko — mówił Ferruccio, wciąż na kolanach, obejmując ją wpół rękoma. — Droga babko, kochasz mnie? Wszak prawda?

— O Ferruccio, mój biedny chłopcze — odpowiedziała stara kobieta, kładąc mu ręce na głowie — jak musiałeś się przestraszyć! Boże miłosierny!... Zaświeć lampę. Albo nie, zostańmy jeszcze w ciemności, boję się jeszcze.

— Babko — mówił chłopak — miałaś zawsze przeze mnie tyle zmartwienia....

— Ależ nie, Ferruccio, nie mów tego. Ja o tym już więcej nie myślę. Zapomniałam o wszystkim. Kocham cię tak bardzo, moje drogie dziecko.

— Miałaś zawsze przeze mnie tyle zmartwienia — mówił dalej Ferruccio z trudnością, drżącym głosem — ale... kochałem cię zawsze bardzo... Czy wybaczasz mi, babko?... Wybacz mi.

— Ależ tak, synku, przebaczam ci z całego serca. Czyż mogłabym się na ciebie gniewać? Podnieś się z kolan, moje dziecko. Nigdy ci już nie powiem przykrego słowa. Jesteś taki dobry, taki zacny chłopiec. Zaświećmy lampę, nabierzmy nieco odwagi. Wstawaj, Ferruccio.

— Dziękuję ci, babko — mówił chłopczyna coraz słabszym głosem. — Teraz... jestem szczęśliwy. Czy będziesz o mnie pamiętała, babko?... Wszak prawda, będziesz mnie zawsze wspominała... nie zapomnisz o swoim Ferrucciu?

— Ferruccio mój! — wykrzyknęła staruszka strwożona, kładąc mu ręce na plecach i pochylając głowę, jak gdyby mu chciała zajrzeć w twarz.

— Zachowaj mnie w pamięci, babko — szeptał jeszcze chłopak gasnącym głosem. — Ucałuj ode mnie matkę, ojca... Ludwisię... Bądź zdrowa, babciu.

W imię boskie, co ci jest? — wykrzyknęła staruszka, dotykając się z niepokojem głowy chłopca, która jej opadła na kolana. A potem zaczęła wołać rozpaczliwie z całej siły:

— Ferruccio! Ferruccio! Ferruccio! Moje drogie dziecko kochane! Ratujcie mnie, anieli niebiescy!

Ale Ferruccio nic nie odpowiedział. Mały bohater, wybawca matki swej matki, ugodzony nożem w plecy, oddał swą szlachetną, płomienną duszę Bogu.

MURARCZYK UMIERAJĄCY.

18. wtorek.

Biedny murarczyk jest ciężko chory; nauczyciel powiedział nam, abyśmy poszli go odwiedzić, umówiliśmy się więc, że pójdziemy razem. Garonne, Derossi i ja. Stardi byłby także poszedł z nami, ale ponieważ nauczyciel zadał mu jako wypracowanie, aby opisał pomnik Cavoura, oświadczył nam, że musi iść obejrzeć ten pomnik, aby opis jego był dokładniejszy.

Na próbę zaprosiliśmy także owego nadętego fanfarona Nobisa, ale odpowiedział nam krótko: Nie, nic więcej. Votini także się usprawiedliwił, być może z obawy, aby nie splamił swego ubrania wapnem.

Poszliśmy tam tedy w trójkę po wyjściu ze szkoły o godzinie czwartej- Deszcz padał ulewny. Na drodze Garonne się zatrzymał i rzekł, mając gębę zapchaną chlebem: Co mu kupimy? I zabrząkał dwoma soldami, które miał w kieszeni.

Każdy z nas dał po dwa soldy i kupiliśmy trzy duże pomarańcze. Potem weszliśmy na poddasze. Przed drzwiami Derossi zdjął medal i złożył go do kieszeni. Zapytałem go, dlaczego to czyni.

— Nie wiem, — odpowiedział, — aby się nie wydawało... zdaje mi się, że to jakoś delikatniej wchodzić bez medalu.

Zapukaliśmy. Otworzył nam ojciec, ów olbrzym. Na twarzy miał wyraz trwogi i niepokoju.

— Kto wy jesteście? — zapytał.

A Garonne odpowiedział: Jesteśmy koledzy szkolni Antosia i przynosimy mu trzy pomarańcze.

— Ach, biedny Tonino! — zawołał murarz, potrząsając głową, — obawiam się, że nie będzie już jadł waszych pomarańczy.

I otarłszy dłonią oczy, zaprosił nas do izby. Weszliśmy do ubogiej stancji na poddaszu i ujrzeliśmy murarczyka śpiącego w małym łóżku żelaznym. Matka stała pochylona nad łóżkiem i zakryła twarz w dłoniach, ledwie się obróciła, aby spojrzeć na nas. Na ścianie wisiały z jednej strony pendzle, oskard, sito do wapna; na nogach chorego była rozpostarta kapota ojca, pobielona gipsem. Biedny chłopak wychudł, nos mu się wydłużył, był blady jak trup i miał krótki oddech.

O drogi Tonino, ty, co byłeś zawsze taki dobry i taki wesoły, mały towarzyszu mój, jak mi żal ciebie, ile dałbym za to, by widzieć cię znów robiącego pyszczek zajęczy, biedny murarczyk!

Garonne położył mu pomarańczę na poduszce, tuż obok jego twarzy; zapach jej obudził go, wziął ją szybko do ręki, ale potem wypuścił ją i wlepił oczy w Garonna.

— To ja, — rzekł tenże, — ja, Garonne; czy poznajesz mnie?

Na twarzy chorego pojawił się ledwie widzialny uśmiech, podniósł z trudem z łóżka swą krótką rękę i wyciągnął ją do Garonna, który ją ujął w swoje obie dłonie i przytulił do twarzy, mówiąc: Odwagi, odwagi, murarczyku, wyzdrowiejesz wkrótce, wrócisz do szkoły, a nauczycitl posadzi cię koło mnie. Czyś zadowolony?

Ale murarczyk nic nie odpowiedział. Matka poczęła głośno szlochać.

— O, mój biedny Tonino, biedny Tonino! Taki dobry, taki poczciwy chłopak! A Bóg chce go nam zabrać!

— Bądź cicho! — wołał murarz z rozpaczą. — Na miłość Boga, bądź cicho, gdyż zwariuję.

Potem rzekł do nas, dysząc ciężko:

Idźcie, idźcie, moi chłopcy, dziękuję wam, idźcie do domu. Tu nie macie co robić, dziękuję wam.

A murarczyk zamknął znów oczy i leżał jak martwy.

— Czy mogę mu się może czym przysłużyć? — zapytał Garonne.

— Nie, mój dobry chłopcze, dziękuję — odpowiedział murarz — idźcie do domu.

I mówiąc to, popchnął nas ku sieniom i zamknął za nami drzwi. Ale ledwie zeszliśmy połowę schodów, gdy usłyszeliśmy jak wołał za nami:

— Garonne! Garonne!

Wróciliśmy na górę śpiesznie wszyscy trzej.

— Garonne! — wołał murarz ze zmienioną twarzą — synek mój zawołał cię po imieniu, dwa dni nic nie mówił, teraz wołał cię dwa razy, chce cię znów widzieć, chodź prędko! Święty Boże, może to dobry znak!

— Do widzenia — rzekł do nas Garonne — zostaję tutaj.

I wszedł szybko z ojcem chorego do izby. Derossi miał łzy w oczach. Zapytałem go: Czy płaczesz z powodu murarczyka? Wszak przemówił teraz, wyzdrowieje.

— I ja tak sądzę — odpowiedział Derossi — ale nie myślałem o nim. Myślałem o tym, jaki on dobry, nasz Garonne, jaką ma duszę szlachetną!

HRABIA CAVOUR.

29. środa.

Masz opisać pomnik hrabiego Cavoura. Potrafisz to zrobić. Ale kim był hrabia Cavour, tego nie możesz jeszcze teraz zrozumieć. Teraz wiesz o nim tylko tyle: był przez wiele lat pierwszym ministrem Piemontu; to on wysłał wojska piemontskie do Krymu, które zwycięstwem pod Czernają zmazało plamę klęski naszej pod Nowarą i rozniosło znów sławę oręża włoskiego; on sprowadził przez Alpy sto pięćdziesiąt tysięcy Francuzów, którzy wygnali Austriaków z Lom-

bardii, on rządził Ialią w najświetniejszej epoce rewolucji naszej, która dała w owych czasach najsilniejszą pobudkę do świętego dzieła zjednoczenia naszej ojczyzny. Był to człowiek obdarzony genialnym umysłem, niezwykłą wytrwałością; pracowitość jego była prawie nadludzka.

Wielu generałów spędzało straszne godziny na polu bitwy, on jednak przeżył jeszcze straszniejsze w swoim gabinecie, gdy olbrzymie dzieło jego mogło się każdej chwili rozpaść w gruzy, jak słaba budowla od trzęsienia ziemi. Były to godziny, całe noce pełne walki i trwogi, tak, że rozum mógł się po nich obłąkać a serce pęknąć. A ta ogromna praca burzliwa skróciła mu życie o dwadzieścia lat.

A jednak, trawiony gorączką, która go miała wtrącić do grobu, walczył jeszcze rozpaczliwie z chorobą, aby coś uczynić dla swego kraju. Dziwna rzecz — mówił z boleścią na łożu śmiertelnym — nie umiem już czytać, nie mogę już czytać. — Gdy mu krew puszczano i gorączka się wzmagała, myślał o ojczyźnie — mówił głosem rozkazującym: Wyleczcie mnie, umysł mój zaciemnia się, a potrzebuję wszystkich moich sił umysłowych, aby zajmować się ważnymi sprawami.

Gdy już był bliski śmierci, w całym mieście panował niepokój, a król stał nad jego łożem, on zaś rzekł z trudem: Mam ci wiele mówić, najjaśniejszy panie, wiele pokazać, ale jestem chory, nie mogę, nie mogę. I ogarnęła go rozpacz. Myśl jego gorączkowo zwracała się zawsze ku państwu, ku nowym prowincjom włoskim, które się z nami połączyły, ku tylu innym sprawom, które jeszcze czekały załatwienia.

Tracił już przytomność, a wołał jeszcze, ciężko dysząc: — Wychowujcie dzieci, kształćcie młodzież... Panujcie nad krajem wolnomyślnie!

Maligna się wzmagała, śmierć zawisła nad nim, a on wzywał płomiennymi słowami generała Garibaldiego, z którym się dawniej poróżnił, wspominał Wenecję i Rzym, które jeszcze nie były wyswobodzone. Miał ogromne wizje o przyszłości Włoch i całej Europy; śnił mu się jakiś najazd obcy, zapytywał, gdzie są korpusy wojska i generałowie, drżał jeszcze o nas, o swój naród.

Wielkim jego bólem było nie to, że czuł, iż mu życie ucieka, ale że musi opuścić ojczyznę, która jeszcze potrzebowała jego pomocy i dla której zużył w niewielu latach ogromne siły swego nadzwyczajnego organizmu. Umarł z okrzykiem wojennym na ustach, a śmierć jego była tak wielka, jak jego życie.

A teraz zastanów się, Henryku, czym jest nasza praca, która się nam wydaje takim ciężarem, czym są nasze boleści, nawet śmierć nasza, w porównaniu ze strasznymi trudami, z okropnym konaniem tych ludzi, którym cięży na sercu świat cały. Pomyśl o tym, mój synu, gdy przechodzisz obok tego posągu, wykutego z marmuru, pochyl się przed nim z szacunkiem i powiedz mu w sercu twoim: „Chwała“!

Twój ojciec.

KWIECIEŃ.

WIOSNA.

1. sobota.

Pierwszego kwietnia! Jeszcze tylko trzy miesiące. Dzisiejszy poranek był jeden z najpiękniejszych w całym roku. W szkole cieszyłem się bardzo, ponieważ Coretti powiedział mi, że pójdziemy pojutrze zobaczyć króla. Mamy tam iść wraz z jego ojcem, który zna króla. Prócz tego matka moja przyrzekła mi, że zaprowadzi mnie tego samego dnia do ochronki małych dzieci przy Corso Valdocco. Cieszyłem się także tym, że „murarczyk" ma się lepiej i że wczorajszego wieczora nauczyciel, przechodząc, rzekł do mego ojca.

— Dobrze, idzie dobrze.

A jaki to był piękny poranek wiosenny. Z okien naszej szkoły widać było błękitne niebo, drzewa w ogrodzie wszystkie pokryte zielenią, okna domów szeroko otwarte, na nich doniczki i skrzyneczki z kwiatami.

Nauczyciel nie śmiał się, albowiem nie śmieje się nigdy, ale był w dobrym humorze, tak dalece, że już prawie nawet nie było widać owej zmarszczki prostopadłej na jego czole i w sposób żartobliwy tłumaczył nam zadanie na tablicy. Można było po nim poznać, że z przyjemnością oddycha świeżym powietrzem, które wchodziło przez okna otwarte z ogrodu, przepojone rozkosznym zapachem ziemi i liści i budzące wspomnienie wycieczek na wieś.

Podczas gdy on miał swój wykład, słychać było w sąsiedniej ulicy kowala uderzającego o kowadło, a w domu na przeciwko jakaś kobieta śpiewała, usypiając dziecko. Zdala z koszar Czernai, dochodził odgłos trąb. Wszyscy byliśmy zadowoleni, nawet Stardi, w pewnej chwili kowal począł uderzać silniej, kobieta śpiewać głośniej. Nauczyciel przerwał wykład i nadstawił ucha. Potem rzekł zwolna, spoglądając przez okno:

— Niebo, które się uśmiecha, matka, która śpiewa, poczciwy człowiek, który pracuje, dzieci, które się uczą, oto zaiste piękne rzeczy.

Gdy wyszliśmy z klasy, ujrzeliśmy, że także i wszyscy inni szli weseli, chłopcy szli jeden po drugim, tupiąc nogami i nucąc pod nosem, jak przed czterodniowymi wakacjami; nauczycielki żartowały; ta z czerwonym piórem podskakiwała za swoimi uczennicami, jak gdyby sama jeszcze do nich należała; rodzice uczniów rozmawiali z sobą, śmiejąc się, a matka Crossiego, zieleniarka, miała w swoim koszu tyle bukiecików fiołków, że napełniały całą izbę swą wonią.

Nigdy jeszcze nie czułem się tak zadowolony, jak owego poranku, gdy zobaczyłem moją matkę, oczekującą mnie na ulicy. I powiedziałem jej, idąc ku niej:

— Czuję się taki szczęśliwy, mamo. Dlaczego ja jestem dziś taki uradowany?

A matka odpowiedziała mi z uśmiechem, że przyczyną tego jest piękna pogoda i czyste sumienie.

KRÓL HUMBERT.

3. poniedziałek.

Punktualnie o dziesiątej mój ojciec zobaczył przez okno Corettiego, który handluje drzewem, jak wraz z synem czekał na mnie na placu i zawołał do mnie:

— Oto już są, Henryku, idź zobaczyć twego króla.

Pobiegłem szybko, jak strzała. Obydwaj Coretti, ojciec i syn byli dzisiaj żwawsi aniżeli zwykle i nigdy jeszcze nie zauważyłem tak dobrze, jak owego rana, że są tak bardzo do siebie podobni. Ojciec miał na kurtce medal za waleczność i obok niego jeszcze dwa odznaczenia, a wąsy wyciągnięte i śpiczaste, jak szpilki.

Ruszyliśmy razem w drogę ku dworcowi kolejowemu, gdzie król miał przybyć o godzinie wpół do jedenastej. Ojciec Coretti palił fajkę i zacierał ręce z zadowolenia.

— Czy wiecie — mówił do nas, że nie widziałem jeszcze go od czasu wojny w roku sześćdziesiątym szóstym? Drobnostka, piętnaście lat i sześć miesięcy. Najpierw trzy lata we Francji, potem w Mondooi, a tu, gdzie mogłem go widzieć, zawsze się tak składało, że gdy przybywał, nie było mnie w mieście. Dobrze mówią, że przypadek rządzi nami.

Ojciec Coretti mówił o królu „Humbert", jak gdyby był jego kolegą. — Humbert miał dwadzieścia dwa lat i tyle dni, Humbert jeździł na koniu takiej a takiej maści.

— Piętnaście lat! — powtarzał głośno, idąc dużymi krokami. — Pragnę go bardzo znów widzieć. Zostawiłem go księciem, a teraz będę go oglądał królem. A i ja także się zmieniłem: z żołnierza stałem się handlarzem drzewa.

I zaśmiał się głośno.

A syn spytał go się:

— A jak król ojca zobaczy, czy pozna go?

— Jesteś głupcem — odpowiedział ojciec Coretti ze śmiechem. — To całkiem co innego. On, Humbert, był sam jeden, nas zaś było mnóstwo, jak muchy. Czyż miał się przypatrywać każdemu z nas?

Skręciliśmy na Corso Vittorio Emmanuele; było tam mnóstwo ludzi, dążących ku dworcowi, przechodziła kompania strzelców alpejskich z trąbami. Dwóch karabinierów pędziło galopem na koniach. Na niebie była pogoda niczym niezamącona.

— Tak jest — mówił ojciec Coretti, ożywiając się. — Cieszy mnie bardzo, że go znów będę widział, mego dawnego generała dywizji. Jak to się prędko człowiek starzeje. Zdaje mi się, że to zaledwie kilka dni temu, gdy nosiłem tornister na plecach, a karabin w rękach, w czasie owego strasznego zamieszania, dnia 24 czerwca rano, gdy miała się zacząć bitwa. Humbert przelatywał ze swoimi oficerami to tu, to tam, podczas gdy w oddali grzmiały działa; wszyscy spoglądali na niego i szeptali do siebie: — Oby tylko jego żadna kulka nie trafiła! — Nie myślałem nawet o tym, że za niewiele czasu znajdę się tak blisko lanc ułanów austriackich. Powiadam wam, moi chłopcy, ledwie o cztery kroki, nie więcej. Dzień był piękny, niebo zwierciadlane, ale upał! Zobaczymy teraz, czy można wejść.

Przybyliśmy na dworzec, stały tu już tłumy, powozy, strażnicy, karabinierzy, stowarzyszenia z sztandarami. Muzyka wojskowa grała. Ojciec Coretti próbował wejść do przedsionka, ale go nie wpuszczono. Postanowił tedy wepchnąć się w pierwszy rząd tłumu, który się tłoczył obok wyjścia i torując sobie drogę łokciami, popchnął także i nas przed sobą. Ale tłum falując, popychał nas to w tę, to w tamtą sronę. Handlarz drzewa oparł się o pierwszy pilastr przedsionka, gdzie strażnicy nie pozwolili stać nikomu.

— Chodźcie ze mną, dzieci — rzekł do nas nagle i ciągnąc nas za ręce, w dwóch skokach przebył próżną przestrzeń i stanął tam, oparty plecami o mur.

Nadbiegł szybko brygadier policji i rzekł do niego:

— Tu nie wolno stać.

— Jestem z czwartego batalionu 49-go pułku — odpowiedział Coretti, wskazując na swój medal.

Brygadier spojrzał na niego i rzekł:

— Zostańcie.

— A czy nie mówiłem? — wykrzyknął Coretti z triumfem. — To słowo magiczne, ten czwarty z czerdziestego dziewiątego! Abym ja nie miał prawa widzieć wygodnie mego generała, ja który stałem w czworoboku! Jeżeli go widziałem wtedy z bliska, sądzę, że słuszne jest, abym go i teraz widział z bliska. I co ja mówił generał. Był przez pół godziny moim komendantem batalionu, albowiem w owym czasie on dowodził batalionem, gdy ja się w nim znajdowałem, a nie major Ubrich, do kroćset!

Tymczasem można było zauważyć w sali poczekalnej i na dworze wielki ruch różnych dostojników i oficerów, przed bramą zaś stawały rzędem powozy ze służbą w czerwonej liberii.

Coretti zapytał swego ojca, czy książę Humbert miał szablę w ręku, gdy się znajdował w czworoboku.

— Rzecz jasna, że musiał mieć szablę w ręku — odpowiedział — aby odbić lancę, która mogła go trafić tak samo, jak każdego innego. Te diabły wcielone wpadły na nas, jak gniew boży. Grupy żołnierzy, czworoboki, działa, kręciły się, jak gdyby miotane huraganem, rozbijając wszystko na miazgę. Pomieszali się z sobą szwoleżerzy z Aleksandrii, ułani z Foggii, piechota, bersalierzy, powstało piekło, w którym nie można było niczego rozróżnić, ani rozumieć. Wtem słyszę krzyk:

— Jego wysokość! Jego wysokość! — Widzę włócznie spuszczone w dół, dajemy ognia z karabinów, obłok dymu zasłania wszystko... Kiedy dym się rozszedł, widzimy, że ziemia pokryta końmi i ułanami rannymi i nieżywymi. Obejrzałem się i zobaczyłem Humberta, w pośrodku naszego batalionu, na koniu: spoglądał dokoła spokojnie z takim wyrazem, jak gdyby się pytał: — Czy nikt tam nie jest zadraśnięty z moich chłopców? — A my poczynamy krzyczeć: — Niech żyje! — tak prosto mu w twarz, jak wariaci. To była chwila, święty Boże!... Ale oto już pociąg nadchodzi.

Muzyka zagrała, oficerowie przybiegli, publiczność stanęła na palcach.

— E, nie wyjdzie tak zaraz — rzekł jeden ze straży — teraz będą przemówienia.

Ojciec Coretti nie mógł powstrzymać swej niecierpliwości.

Gdy o tym myślę — mówił — widzę go zawsze takim, jakim

był wtedy. Gdy panuje cholera, gdy następuje trzęsienie ziemi lub zdarza się, Bóg wie, jakie inne nieszczęście, on okazuje zawsze męstwo i odwagę, ale ja go mam zawsze przed oczyma duszy takim, jakim go widziałem wtedy, wśród naszych szeregów, z owym spokojnym wyrazem twarzy. I jestem głęboko przekonany, że on także pamięta o czwartym batalionie pułku 49-go, także i teraz, kiedy jest królem i że byłoby mu miło mieć raz u siebie przy stole wszystkich tych razem, których widział w owych chwilach dokoła siebie. Teraz ma u siebie generałów, szambelanów, wielkich panów; wtedy miał tylko biednych żołnierzy dokoła siebie. Gdybym tak mógł z nim pomówić kilka słów w cztery oczy! Nasz generał dwudziestodwuletni, nasz książę, co się powierzył naszym bagnetom... Piętnaście lat go nie widziałem... Nasz Humbert! Ach, słowo daję, ta muzyka burzy mi krew.

Wtem przerwał mu wybuch okrzyków, tysiące kapeluszy podniosło się w górę, czterech panów czarno ubranych wsiadło do pierwszej karety.

— To on! — wykrzyknął Coretti i stał na miejscu, jak oczarowany. Potem szepnął z cicha: — Matko Boska, jak posiwiał! — Wszyscy trzej odkryliśmy głowy, kareta posuwała się zwolna naprzód, w pośród tłumu, który wznosił okrzyki i wywijał kapeluszami. Spojrzałem na ojca Corettiego. Wydawał mi się zupełnie zmieniony. Był gdyby wyższy, pełen powagi, blady, stał oparty o pilastr.

Kareta zbliżała się ku nam, tak, że była ledwie o krok oddalona od pilastra.

— Niech żyje! — wykrzyknęły liczne głosy.

— Niech żyje! — zawołał Coretti po innych.

Król spojrzał mu w twarz i zatrzymał przez chwilę spojrzenie na jego trzech medalach.

Wtedy Coretti stracił przytomność i ryknął: — Czwarty batalion 49-go pułku!

Król, kóry już patrzył gdzie indziej, zwrócił się znów ku nam i spoglądając bystro Corettiemu w oczy, wyciągnął ku niemu rękę z karety.

Coretti przyskoczył i ścisnął ją mocno. Kareta ruszyła, tłum począł się pchać i rozdzielił nas, tak, że straciliśmy z oczu ojca Corettiego. Ale trwało to tylko chwilę. Wnet odnaleźliśmy go na powrót Był zdyszany, oczy miał wilgone i wołał głośno po imieniu swego syna, wznosząc rękę do góry. Chłopak rzucił się ku niemu, ojciec zaś wołał: — Chodź tu prędzej mój mały, póki jeszcze moja ręka ciepła. — I pogłaskał nią syna po twarzy, mówiąc: — To jakby pieszczota od króla.

I stał tak zadumany, z oczyma utkwionymi w oddalającej się karecie, uśmiechnięty, trzymając w ręku fajkę, wśród grupy ciekawych, którzy go otoczyli.

— To jeden z czworboku 49-go pułku — mówili.

— To żołnierz, który zna króla.

— I Król poznał go także.

— Król wyciągnął rękę do niego.

— Dał królowi suplikę — odezwał się ktoś głośniej.

— Nie, odpowiedział Coretti, zwracając się szybko w tamtą stronę — nie dałem mu żadnej supliki. Dałbym mu co innego, gdyby tego ode mnie żądał...

Wszyscy wlepili w niego oczy, on zaś rzekł z prostotą: — Dałbym mu krew moją.

OCHRONKA DZIECIĘCA.

4. wtorek.

Matka moja zaprowadziła mnie, stosownie do swej obietnicy, wczoraj po śniadaniu do ochronki dziecięcej przy Corso Valdocco, chciała bowiem polecić przełożonej małą siostrzyczkę Precossiego. Nie widziałem jeszcze nigdy w życiu żadnej Ochronki. Bardzo mi się podobała. Między chłopcami i dziewczętami było może dwieście tak małych, że nasi uczniowie z pierwszej klasy oddziału niższego są wobec nich dorosłymi ludźmi.

Przybyliśmy właśnie w tej porze, gdy wchodzili rzędem do refektarza gdzie stały dwa bardzo długie stoły z mnóstwem okrągłych wgłębień, w każdym wgłębieniu zaś znajdowała się czarna miseczka napełniona ryżem i fasolą, obok zaś łyżka cynowa.

Wchodząc do sali, niektóre z tych dzieci przewracały się i pozostały na posadzce, póki nie nadbiegły nauczycielki i ich nie podniosły. Wiele dzieci zatrzymywało się przed miseczką, sądząc, że to ich miejsce i brały szybko łyżkę do ust, gdy wtem przybyła nauczycielka i mówi: — Naprzód! — A dzieci te idą znów trzy lub cztery kroki dalej, znów chwytają za obcą łyżkę i tak kilka razy, zanim dojdą na swoje miejsca, w miseczkach już tylko połowa zupy.

W końcu, z wielkim trudem, popychając je i wołając: — Prędzej! Prędzej! — zdołano je ustawić wszystkie w porządku i rozpoczęła się modlitwa. Ale wszystkie te dzieci, które stały w środkowych rzę-

dach i które do modlitwy musiały obrócić się tyłem do miseczek, obracały głowy w tył, aby mieć swe miseczki na oku, aby im nikt ich nie zabrał i tak modliły się, mając ręce złożone i oczy wzniesione ku niebu, ale w sercu ryż i fasolę.

A potem zaczęło się jedzenie. Co to za miły był widok! Jedno z nich jadło dwiema łyżkami, inne brało rękoma do ust, inne znów dzieci brały ziarnka fasoli i napychały sobie nimi kieszenie. Były i takie, które zawijały ziarnka fasoli w fartuszku i ugniatały je na ciasto. Niektóre z nich nie jadły, aby widzieć, jak muchy latają; inne znów kaszlały i rozpryskiwały dokoła siebie deszcz ryżu. Zdawało się, że to kurnik. Ale robiło to miłe wrażenie. Szczególnie pięknie wyglądały dwa rzędy dziewcząt, wszystkie miały włosy związane w czubek wstążkami czerwonymi, zielonymi, niebieskimi.

Jedna z nauczycielek zapytała osiem dziewczynek, będących w jednym rzędzie:

— Gdzie rośnie ryż?

Wszystkie osiem otworzyły szeroko buzie, pełne zupy i odpowiedziały równocześnie, tonem śpiewnym: — Rośnie w wodzie.

Potem nauczycielka wydała rozkaz: — Ręcę do góry!

I wtedy miło było widzieć, jak się w górę podniosły wszystkie te drobne ramiona, które niedawno jeszcze były w powijakach, jak się poruszały wszystkie te małe rączęta, niby motyle białe i różowe.

Potem wyszły dzieci na spacer, ale przedtem wzięły z sobą wszystkie swe koszyczki zawieszone na ścianach i zawierające ich śniadanie. Wyszły do ogrodu i rozbiegły się, wydobywając swe zapasy: chleb, suszone śliwki, kawał sera, twarde jajo, małe jabłuszka, garść gotowanego grochu, skrzydełko kurczęcia. W krótkim czasie cały ogród był pokryty okruszynami, jak gdyby je kto rozsypał tam umyślnie dla chmury ptactwa. Jadły zaś różnymi dziwnymi sposobami, jak króliki, jak myszy, jak koty, obgryzując, liżąc, wysysając. Jakiś malec przyciskał sobie do piersi kawał cienkiego chleba i pocierał go nieszpułką, jak gdyby czyścił szablę. Dziewczątka rozdrabniały w rękach miękki ser, który im się lepił do palców i jak mleko, spływał im do rękawów, a one tego wcale nie zauważyły. Biegały i goniły za sobą trzymając w zębach chleb i jabłka, jak pieski. Widziałem trzech malców, którzy dłubali patyczkiem w twardym jaju, sądząc, że tam odkryją skarby; a to, co spadało na ziemię, zbierali kawałeczkami, z wielką troskliwością, jak gdyby to były perły.

A jeżeli który miał w swym koszyku coś niezwykłego, otaczało go dokoła ośmiu lub dziesięciu z pochylonymi głowami i zaglądali do koszyka, jak gdyby patrzyli na księżyc w studni. Około dwudziestu stało dokoła małego pędraka, który trzymał w ręku tutkę cukru miałkiego; wszyscy prosili go, aby im pozwolił tam zanurzyć kawałek chleba; on jednym pozwalał, a innym, którzy go bardzo błagali, dawał swój palec, umaczany w cukrze, do oblizywania.

Tymczasem matka moja przyszła także do ogrodu i poczęła pieścić to jedno maleństwo, to drugie. Otoczyły ją dzieci i podnosiły w górę twarzyczki do pocałunku, jakby do trzeciego piętra.

Jeden malec ofiarował jej kawałek pomarańcza pogryziony, drugi kromeczkę chleba, jakaś dziewczynka dała jej liść. Inna maluśka pokazała jej z wielką powagą koniec paluszka, gdzie dobrze patrząc, można było zobaczyć malutki pęcherzyk, który się utworzył poprzedniego dnia, gdy się dotknęła płomienia świecy. Chłopcy podsuwali jej pod oczy, gdyby jakiś niewidziany cud, drobniutkie muszki, które nie wiem jakim sposobem mogli dojrzeć i zbierać, korki od flaszek, guziczki od koszuli, kwiatuszki wyrwane z wazoników.

Jakiś maluśki chłopak z obwiązaną głową, który chciał za wszelką cenę być słyszany, opowiadał jej jakąś historię o tym, jak upadł, z której nie można było zrozumieć ani słowa. Drugi chciał, aby moja matka się ku niemu schyliła i szeptał jej do ucha: Mój tatuś wyrabia szczotki.

A tymczasem zdarzały się tu i tam liczne nieszczęśliwe wypadki, do których przybiegały nauczycielki; dziewczęta płakały, albowiem nie mogły rozwiązać węzła w chusteczce, inne kłóciły się z wielkim hałasem o kawałek jabłka, drapiąc się wzajemnie paznokciami. Malec jakiś przewrócił się przez złamany stołek i szlochał na tej ruinie, nie mogąc się podnieść z ziemi.

Zanim odeszliśmy, matka moja wzięła na ręce, jedno po drugim, troje lub czworo tych małych dzieci i wtedy przybiegły ze wszystkich stron inne, aby się dać również wziąć na ręce, twarzyczki ich były zamorusane żółtkami jaj i sokiem pomarańczowym. Jeden czepiał się jej rąk, drugi brał ją za palec, aby widzieć pierścień; inny ciągnął za łańcuszek od zegarka, to znów za włosy.

— Proszę uważać — mówiły nauczycielki — poplamią pani suknię.

Ale matka moja nie troszczyła się wcale o suknię i całowała dalej dzieci, a te coraz bardziej się do niej cisnęły; te, co stały najbliżej, wyciągały ramiona, jak gdyby chciały, aby je wzięto na ręce; te, co były oddalone, starały się przepchać przez tłum, a wszystkie wołały: Addio! Addio! Addio!

W końcu udało jej się wymknąć z ogrodu. A wtedy wszystkie dzieciaki pobiegły do sztachet, przyłożyły swe twarzyczki do żelaznych prętów, aby ją widzieć przechodzącą, wymachiwały ramionami, aby ją pozdrowić, ofiarowując jej jeszcze kawałki chleba, nieszpułki i okruszyny sera. Wszystkie dzieci krzyczały:

— Addio! Addio! Addio! Proszę przyjść jutro znów do nas! Niech pani tu przyjdzie raz jeszcze!

Matka moja idąc szybko, jeszcze raz przeciągnęła ręką po tych wszystkich wysuniętych rączkach, tworzących gdyby girlandę żywych róż i wyszła w końcu na ulicę, cała poplamiona i pokryta okruszynami, pomięta i potargana, mając w rękach pełno kwiatów i oczy od łez nabrzmiałe, a taka zadowolona, jak gdyby wychodziła z jakiejś zabawy.

I słychać było jeszcze z wnętrza cienkie głosiki, jak szczebiot ptasząt, które wołały za nami:

— Addio! Addio! Proszę przyjść do nas jeszcze!

NA GIMNASTYCE.

5. środa.

Ponieważ pogoda była wciąż prześliczna, przeszliśmy z gimnastyki pokojowej do ogrodowej.

Garrone był wczoraj w kancelarii dyrektora, gdy weszła matka Nellego, owa pani o jasnych włosach, czarno ubrana, prosząc, aby dyrektor uwolnił jej syna od nowych ćwiczeń. Każde słowo kosztowało ją wiele wysiłku, a mówiąc, trzymała rękę na głowie swego chłopca.

— On nie może... — mówiła do dyrektora.

Ale Nelli był bardzo przygnębiony tem, że zostanie wykluczony od przyborów gimnastycznych, że czeka go jeszcze jedno upokorzenie...

Zobaczysz, mamo, — mówił — że potrafię robić to samo, co inni.

Matka spoglądała na niego w milczeniu, z wyrazem smutku i przywiązania, potem rzekła z wahaniem:

— Boję się, że jego koledzy...

Chciała powiedzieć, że boi się, by go nie wyśmieli. Ale Nelli przerwał jej, mówiąc, Co mi na tym zależy?... A zresztą jest Garrone. Wystarczy mi, że on nie będzie się śmiał.

Pozwolono mu tedy przyjść do nas.

Nauczyciel, ten, co ma bliznę na szyi i który służył pod Garibaldim, zaprowadził nas natychmiast do słupów, bardzo wysokich i musieliśmy wleźć na sam szczyt i stanąć prosto na poprzecznej belce na górze. Derossi i Coretti wdrapali się na wierzch ze zwinnością małp; także mały Precossi wydrapał się zwinnie na szczyt, chociaż mu przeszkadzała owa długa kapota, sięgająca mu aż do kolan. A nadto, gdy się wspinał po słupie, wszyscy, aby go rozśmieszyć, powtarzali jego przysłowie: Przepraszam, przepraszam.

Stardi zasapał się, poczerwieniał jak indyk, zaciskał zęby, tak, że wyglądał, jak pies wściekły, ale musiał dostać się na szczyt, choćby miał pęknąć i dostał się tam w istocie. Także i Nobis, a gdy był na górze, przybrał dostojną postawę, jak gdyby był cezarem. Ale Votini zsunął się dwa razy na dół, pomimo swego nowego, pięknego ubrania w niebieskie paski, które mu zostało umyślnie zrobione do gimnastyki.

Aby się łatwiej wdrapać na górę, smarowali sobie wszyscy ręce kalafonią, a przyniósł ją ze sobą naturalnie ten handlarz Garoffi. Sprzedawał ją w tutkach po jednym soldzie i tyleż zarabiał.

Potem przyszła kolej na Garrona, który wspiął się na słup, gryząc chleb w gębie, jak gdyby to była dla niego zabawka i sądzę, że byłby zdolny brać z sobą na plecy jednego z nas, gdyż jest barczysty i silny, jak wół. Po nim zaś Nelli. Gdy koledzy zobaczyli, jak się chwycił słupa długimi i cienkimi rękoma, wielu z nich poczęło się śmiać i nucić coś pod nosem, ale Garrone skrzyżował swe grubę ramiona na piersiach i rzucił dokoła spojrzenie tak wyraziste, dał tak jasno do zrozumienia, że gotów dać kilka potężnych kuksów nawet wobec nauczyciela, iż wszyscy w tej chwili przestali się śmiać. Nelli począł się wdrapywać. Męczył się biedny chłopiec, twarz mu posiniała, oddychał ciężko, z czoła spływay mu krople potu.

— Zejdź na dół — wołał do niego nauczyciel.

On jednak uparł się i lazł dalej w górę. Drżałem, że lada chwila ujrzę, jak spadnie na dół na pół nieżywy. Biedny Nelli! Myślałem, że gdybym był taki, jak on i gdyby mnie widziała moja matka, jakby cierpiała z tego powodu, moja biedna matka. Myśląc o tym, uczułem litość dla biednego Nellego, byłbym dał nie wiedzieć co, aby się mu udało wdrapać na szczyt... Byłbym go chętnie popchnął w górę, tak aby nikt tego nie widział. A tymczasem Garrone, Derossi, Coretti wołali: — Dalej, dalej, Nelli, w górę, jeszcze trochę... Odwagi! — I Nelli uczynił jeszcze jeden wysiłek gwałtowny, stęknął i znalazł się o dwie dłonie zaledwie od belki poprzecznej.

— Brawo! — zawołali tamci. — Odwagi! Jeszcze tylko odrobinę!

I oto Nelli pochwycił belkę. Wszyscy poczęli klaskać w dłonie.

— Brawo! — rzekł nauczyciel — ale teraz dość; złaź na dół.

Nelli jednak chciał dostać się na sam wierzchołek, tak jak inni i po krótkim wysiłku udało mu się położyć łokcie na belce poprzecznej, potem oparł tam kolana, nakoniec nogi i tak stał wyprostowany i spoglądał na nas, ciężko oddychając, ale z twarzą rozpromienioną uśmiechem. My nie przestawaliśmy klaskać w dłonie. on zaś spojrzał na ulicę. Zwróciłem się także w ową stronę i poprzez krzaki, rosnące obok sztachet ogrodowych, zobaczyłem matkę jego, która przechadzała się na chodniku, nie śmiejąc patrzeć na gimnastykę syna.

Gdy Nelli zlazł na dół, wszyscy mu składali życzenia, on zaś stał podniecony, z twarzą zarumienioną i błyszczącymi oczyma; wydawał się mi ten sam, co pierwej. Potem, przy wyjściu, gdy matka wyszła na spotkanie jego i zapytała go z niepokojem, jak mu się powiodło, całując go z czułością, wszyscy koledzy odpowiedzieli jednomyślnie:

— Dobrze się spisał. — Wdrapał się nie gorzej od nas. — Jest silny. — A jaki zwinny! — Popisuje się tak samo dobrze, jak inni.

Można sobie wyobrazić, jaka radość była owej pani. Chciała nam dziękować, a nie mogła, trzem lub czterem uściskała rękę, pogłaskała Garrona, zabrała syna i widzieliśmy, jak szli śpiesznie, rozmawiając i gestykulując z sobą, oboje zadowoleni, jak mało kto na świecie.

NAUCZYCIEL MEGO OJCA.

11. wtorek.

Jak piękną wycieczkę zrobiłem wczoraj z ojcem! Oto jak się to stało. Przedwczoraj przy obiedzie, czytając dziennik, ojciec mój wydał nagle okrzyk zdziwienia. Potem zawołał: — A ja myślałem, że już nie żyje od dwudziestu lat. Wiecie, że żyje jeszcze mój pierwszy nauczyciel ze szkoły elementarnej, Wincenty Crosetti, który ma osiemdziesiąt cztery lat? Dowiaduję się właśnie, że ministerium dało mu medal zasługi za sześćdziesiąt lat nauczania. Sześćdziesiąt lat, rozumiecie to? I dopiero od dwóch lat przestał nauczać. Biedny Crosetti! Mieszka o godzinę jazdy koleją stąd, w Condove, w miejscowości, z której pochodziła nasza dawna ogrodniczka z willi Chieri.

I po chwili dodał: — Wiesz co, Henryku? Pojedziemy go odwiedzić.

A potem przez cały wieczór nie mówił o niczym innym, jak tylko o nim. Nazwisko jego nauczyciela ze szkoły elementarnej przywoływało mu na pamięć tysiąc szczegółów z czasów, gdy był chłopcem, o jego pierwszych towarzyszach, o jego zmarłej matce.

— Crosetti! — zawołał. — Miał czterdzieści lat gdy byłem w jego klasie. Zdaje mi się, że go jeszcze widzę przed sobą. Niskiego wzrostu, nieco pochylony, z jasnymi oczyma, z twarzą zawsze ogoloną. Surowy był, ale miał bardzo dobre obejście się, kochał nas, jak ojciec, ale nie przebaczał nam żadnego przewinienia. Pochodził ze stanu wieśniaczego i wydobywał się na wierzch żmudną pracą i odmawianiem sobie wszystkiego. Zacny człowiek! Matka moja bardzo go lubiała, a ojciec uważał go za przyjaciela. Dlaczego osiedlił się na schyłek życia w Condove i nie został w Turynie? Niezawodnie nie pozna mnie wcale. To nic nie szkodzi, ja go poznam. Od tego czasu minęło lat czterdzieści cztery. Czterdzieści cztery lat, mój Henryczku! Odwiedzimy go jutro.

I wczoraj z rana o godzinie dziewiątej udaliśmy się na dworzec kolejowy Suza. Pragnąłem bardzo, aby i Garrone pojechał z nami; nie mógł jednak, ponieważ matka jego chora. Był prześliczny dzień wiosenny. Pociąg pędził wśród zielonych łąk i kwitnących żywopłotów, powietrze było przepojone balsamiczną wonią. Ojciec był w wybornym humorze, co chwila obejmował mnie za szyję i mówił ze mną, jak z przyjacielem, spoglądając na okolicę.

— Biedny Crosetti! — mówił. — To pierwszy po moim ojcu człowiek, który mnie kochał i wyświadczał mi dobrodziejstwa. Nigdy nie zapomniałem jego dobrych rad, a także pewnych jego suchych wymówek, które sprawiały, że wracałem do domu ze ściśnionym gardłem. Miał ręce krótkie i grube. Widzę go jeszcze, jak wchodzi do klasy, jak stawia w kącie laskę i wiesza płaszcz na wieszadle, zawsze tym samym ruchem. I zawsze jest w tym samym usposobieniu, zawsze sumienny, pogodny, uważny, jak gdyby codziennie pierwszy raz z nami klasę odbywał. Pamiętam także głos jego, jak gdybym go słyszał, kiedy spojrzał na mnie.

— Bottini, he Bottini! Palec wskazujący i środkowy na pióro wyżej! Musiał się bardzo zmienić po czterdziestu czterech latach.

Zaledwie przybyliśmy do Condove, udaliśmy się do naszej dawnej ogrodniczki z Chieri, która ma sklepik w małej uliczce. Zastaliśmy ją w domu wraz z dziećmi, przyjęła nas z wielką radością i opowiadała o swoim mężu, który ma wrócić z Grecji, gdzie pracuje od trzech lat i o swojej najstarszej córeczce, która znajduje się w zakładzie dla głuchoniemych w Turynie. Potem wskazała nam, jak mamy iść do starego nauczyciela, którego tu wszyscy znają.

Wyszliśmy z wioski i wstąpiliśmy na ścieżkę, wijącą się w górę wśród kwitnących krzewów. Ojciec był małomówny, wydawał się cały pogrążony w dawnych wspomnieniach i tylko od czasu do czasu uśmiechał się, to znów potrząsał głowę. Nagle zatrzymał się i rzekł: oto on! Założyłbym się, że to on.

Ścieżką szedł naprzeciw nas niski starzec z białą brodą, w szerokim kapeluszu, opierając się o lasce. Powłóczył nogami i ręce mu się trzęsły.

— To on — powtórzył mój ojciec, przyśpieszając krok.

Gdyśmy już byli blisko niego, zatrzymaliśmy się. Stary także zatrzymał się i spoglądał na mego ojca. Miał twarz jeszcze świeżą, oczy jasne i pełne życia.

— Czy to pan? — zapytał mój ojciec, uchylając kapelusza — nauczyciel Wincenty Crosetti?

Starzec również uchylił kapelusza i odpowiadał: Tak jest, ja nim jestem. Głos jego drżał nieco, ale był czysty i dźwięczny.

— Otóż — mówił dalej mój ojciec, biorąc go za rękę — pozwól pan swemu dawnemu uczniowi, aby panu uściskał rękę i zapytał się, jak się panu powodzi. Przybyłem umyślnie z Turynu, aby się z panem widzieć.

Starzec spoglądał na mego ojca ze zdumieniem. Potem odpowiedział: To za wiele zaszczytu dla mnie... Nie wiem doprawdy... Przepraszam bardzo, ale nazwisko pańskie, jeżeli łaska...

Ojciec wymienił swoje nazwisko: Albert Bottini, rok, w którym chodził pod nim do szkoły i gdzie to było i dodał: pan sobie mnie nie przypomina, to rzecz łatwo zrozumiała. Ale ja pana dokładnie poznaję.

Nauczyciel schylił głowę i patrzył zadumany w ziemię. Dwa lub trzy razy powtórzył szeptem nazwisko mego ojca, ten zaś wciąż spoglądał na niego bystro, z uśmiechem.

Nagle staruszek podniósł twarz, otworzył szeroko oczy i rzekł powoli:

— Albert Bottini? Syn inżyniera Bottiniego? Tego, który mieszkał przy placu Corso Consolota? — Tego samego — odpowiedział ojciec, podając mu ręce.

— W takim razie... — rzekł staruszek — pozwól mi pan, drogi panie, pozwól mi pan...

I mówiąc to, objął mego ojca. Biała jego głowa dochodziła ojcu zaledwie do ramienia. Ojciec pochylił się i przytulił twarz swą do jego czoła.

— Bądźcie łaskawi do mnie — rzekł nauczyciel.

I nie mówiąc nic więcej, zawrócił na ścieżce, wiodąc nas do swego domu. W kilka minut przybyliśmy na małe podwórze, przed niskim domkiem, o dwóch wyjściach. Dokoła jednego z nich wznosił się kawał wybielonego muru.

Nauczyciel otworzył drugie drzwi i wprowadził nas do izby. Cztery białe ściany: w jednym kącie łóżko z siennikiem i kołdrą w białe i niebieskie kwadraty, w drugim kącie stolik z małą biblioteczką; cztery krzesła i stara mapa przybita do ściany; w powietrzu rozchodził się miły zapach jabłek.

Siedliśmy wszyscy trzej. Ojciec mój i nauczyciel spoglądali na siebie kilka chwil w milczeniu.

— Bottini! — wykrzyknął wreszcie nauczyciel, utkwiwszy wzrok w ceglaną podłogę, którą słońce złociło swoimi promieniami. — O tak, przypominam sobie dokładnie. Matka pańska była tak dobrą i szlachetną kobietą. Pan, w pierwszym roku, siedział jakiś czas w pierwszej ławce na lewo, obok okna. Widzi pan, że sobie przypominam. Widzę jeszcze pańską głowę kędzierzawą.

Potem znów się zamyślił chwilę i mówił dalej:

— Był z pana żywy chłopak, bardzo żywy. W drugim roku zachorowałeś pan na krup. Pamiętam, jak pana znów przywieźli do szkoły, wychudłego, owiniętego szalem. Minęło czterdzieści lat, wszak prawda? I był pan taki dobry, że przypomniałeś sobie swego nauczyciela. Przychodzili tu także inni odwiedzać mnie, moi dawni uczniowie: pułkownik, dwóch kapłanów, inni panowie.

Spytał się mego ojca, jaki zawód wykonuje, a potem rzekł: cieszę się, serdecznie cieszę się i dziękuję panu. Już dłuższy czas nie widziałem tu nikogo. I obawiam się, że pan będzie ostatnim moim gościem, drogi panie.

— Co pan mówisz? — zawołał ojciec. — Pan, Bogu dzięki zdrów i szczęśliwy. Pan nie powinien mówić takich rzeczy.

Ej nie, — odpowiedział nauczyciel. — Widzisz pan to drżenie? — I pokazał ręce. — To zły znak. Pierwszy raz pojawiło się to u mnie przed trzema laty, gdy jeszcze wykonywałem mój zawód w szkole. Z początku nie zwracałem na to uwagi, myślałem, że przejdzie. Ale to zostało i stawało się coraz silniejsze. Przyjdzie wkrótce dzień, w którym nie będę mógł wcale pisać. O, ten dzień, kiedy ręka mi tak zadrżała poraz pierwszy, że zrobiłem plamę atramentu na zeszycie jednego z moich uczniów, był dla mnie tak bolesny, jak gdyby mi kto zadał ranę w serce, mój drogi panie. Wlokło się to jeszcze czas

jakiś, ale potem czułem, że już nie mogę dłużej. Po sześćdziesięciu latach nauczycielstwa musiałem się pożegnać ze szkołą, z uczniami, z pracą. Było mi to bardzo trudno. Gdy odbyłem w szkole ostatnią lekcję, odprowadzili mnie wszyscy do domu, składali mi życzenia, ale ja byłem smutny, albowiem czułem, że życie moje skończyło się.

Rok przedtem straciłem żonę i jedynego syna. Zostało mi się jedynie dwóch bratanków, wieśniaków. Żyję teraz z tych kilkuset lirów, które pobieram jako emeryturę. Nie mam żadnego zatrudnienia, dnie wydają mi się teraz okropnie długie, bez końca. Jedynym moim zajęciem, widzi pan, jest przeglądać moje stare szkolne podręczniki, czasopisma szkolne, tych kilka książek, które otrzymałem w podarunku. Oto — rzekł, wskazując na swoją małą biblioteczkę — tam są moje wspomnienia, cała moja przeszłość... Nic innego mi nie zostaje na świecie...

Potem zaś dodał głosem nagle rozweselonym: — Chcę panu zrobić niespodziankę, panie Bottini.

Wstał i przystąpiwszy do swego stolika, otworzył długą szufladę, która zawierała wiele małych paczek; każda z nich była związana sznurkiem i na każdej była wypisana data, złożona z czterech cyfer. Poszukawszy nieco, otworzył jedną z tych paczek, przerzucił kilka kartek, wyjął jakiś arkusz pożółkły i podał go memu ojcu. Było to jego zadanie szkolne pisane przed czterdziestu laty. Na górze widniał napis: Alberto Bottini, 3 kwietnia 1838.

Ojciec mój poznał naychmiast swoje grube pismo chłopięce i począł czytać z uśmiechem. Ale nagle oczy zwilżyły mu się. Powstałem szybko i zapytałem go, co mu jest.

Objął mnie w pół i tuląc do swego boku, rzekł: Spojrzyj oto na ten arkusz. Czy widzisz? To są poprawki mojej biednej matki. Zawsze mi pogrubiała litery. A ostatnie wiersze są całe z jej ręki. Nauczyła się naśladować pismo moje, a kiedy byłem znużony i śpiący, kończyła zadanie za mnie. Święta matka moja!

I ucałował kartkę...

— Oto — rzekł nauczyciel, wskazując na inne paczki, — oto są moje pamiątki. Corocznie odkładałem na bok jedno zadanie każdego z moich uczniów, wszystkie są tu poskładane i opatrzone numerem. Nieraz przerzucam je i czytam tu i ówdzie kilka wierszy i wtedy przypominam sobie różne szczegóły i zdaje mi się, że znów żyję w tych dawnych czasach. Iluż to ich przeszło, mój drogi panie! Zamykam oczy i widzę twarze przy twarzach, klasy za klasami, setki chłopców, z których Bóg wie ilu już zmarło. Wielu przypominam

sobie całkiem dokładnie. Najlepiej zachowałem w pamięci najlepszych uczniów i najgorszych, tych, którzy mi sprawili najwięcej zadowolenia i tych, przez których musiałem przebyć gorzkie godziny, albowiem wśród tak niezmiernej liczby uczniów są i węże, mój drogi panie. Ale teraz, rozumie pan, wydaje mi się, jak gdybym już był na drugim świecie i jestem wszystkim równo życzliwy.

Usiadł i ujął moją rękę w swoje dłonie.

— A o mnie? — zapytał mój ojciec, uśmiechając się, — czy nie przypomina pan sobie żadnego żakowskiego wybryku?

— O panu? odpowiedział staruszek, uśmiechając się również. — Na razie nie. Ale to nie znaczy bynajmniej, żebyś pan ich nigdy nie popełniał. Pan jednak byłeś rozsądny i poważny na wiek swój. Przypominam sobie serdeczne przywiązanie, jakie pan miałeś dla swej matki... Ale to bardzo ładnie z pańskiej strony, że przyszedłeś mnie odwiedzić. Porzuciłeś swoje obowiązki, aby odwiedzić starego, biednego nauczyciela!

— Posłuchaj pan, panie Crosetti — odpowiedział żywo mój ojciec. — Przypominam sobie dokładnie dzień ten, kiedy moja biedna matka przyprowadziła mnie po raz pierwszy do pańskiej szkoły. Było to pierwszy raz, że musiała się rozłączyć ze mną na dwie godziny i zostawić mnie poza domem, w innych rękach, aniżeli w rękach mego ojca, w rękach człowieka nieznanego. Dla tej zacnej istoty moje wstąpienie do szkoły było gdyby wstąpienie w świat, było to pierwsze z długiego szeregu koniecznych a bolesnych rozstań, których w życiu uniknąć nie można. Społeczeństwo wydzierało jej poraz pierwszy syna, by go jej nigdy całkiem nie zwrócić. Była głęboko wzruszona, a ja tak samo. Polecała mnie panu głosem drżącym, a potem odchodząc, pożegnała się ze mną raz jeszcze przez okienko we drzwiach, mając oczy łez pełne. A właśnie w tej chwili pan położył rękę na piersiach i uczynił drugą ręką gest taki, jak gdybyś jej chciał powiedzieć: — Proszę mieć do mnie zaufanie. — Otóż nie zapomniałem nigdy tego pańskiego gestu, tego spojrzenia, które mi mówiło, że pan zrozumiałeś wszystkie uczucia, wszystkie myśli mojej drogiej matki, tego spojrzenia, które jej pragnęło dodać odwagi, tego gestu, który przyrzekał w sposób szlacheny opiekę, dobroć, pobłażliwość, to wszystko pozostało w mym sercu na zawsze wyryte. To wspomnienie właśnie sprawiło, że przyjechałem tu z Turynu. I oto jestem tu, po czterdziestu czterech latach, aby powiedzieć panu: — Dziękuję ci, mój drogi nauczycielu!

Nauczyciel mi nie odpowiedział; gładził mi włosy dłonią, kóra drżała coraz silniej, opadała z moich włosów na czoło, z czoła na ramię.

A tymczasem ojciec mój spoglądał na te nagie ściany, na to biedne łóżko na kromkę chleba i dzbaneczek oliwy na oknie i zdawało się, że chce powiedzieć: Biedny nauczycielu, po sześćdziesięciu latach żmudnej pracy to jest twoja nagroda?

Ale poczciwy staruszek był zadowolony i począł znów rozmawiać z ożywieniem o naszej rodzinie, o innych nauczycielach z owych lat, o kolegach, czasach szkolnych mego ojca; ojciec mój jednych sobie przypominał, drugich nie i obydwaj udzielali sobie wiadomości to o tym, to o tamtym. Wtem ojcec mój przerwał nagle rozmowę i zaprosił nauczyciela, aby poszedł do wioski zjeść wraz z nami śniadanie.

Staruszek dziękował serdecznie, ale na twarzy jego znać było wyraz wahania się. Ojciec ujął go za obie ręce i ponowił swą prośbę. — Ale jakżeż będę mógł jeść — odpowiedział nauczyciel — tymi biednymi rękoma, które trzęsą się w ten sposób? Wszak to i dla drugich przykry widok.

— Pomożemy panu, panie profesorze — uspokajał go mój ojciec. Wtedy przyjął zaproszenie, potrząsając głową i uśmiechając się.

— Co za piękny dzień dzisiaj — mówił, zamykając drzwi z dworu — piękny dzień, drogi panie Bottini! Zapewniam pana, że będę o nim pamiętał do końca życia.

Ojciec podał ramię nauczycielowi, tenże ujął mnie za rękę i zaczęliśmy schodzić ścieżką ku wiosce. Spotkaliśmy dwie bose dziewczynki, które pędziły krowy i chłopaka, który biegł, niosąc dużą wiązkę słomy na plecach. Nauczyciel powiedział nam, że to są dwie uczennice i uczeń z klasy drugiej, że z rana pędzą bydło na paszę i pracują w polu boso, a wieczorem wdziewają obuwie i idą do szkoły. Było już prawie południe. Nie spotkaliśmy nikogo więcej. W kilka minut przybyliśmy do oberży, zasiedliśmy przy dużym stole, nauczyciel siedział w pośrodku i zabraliśmy się zaraz do jedzenia.

W gospodzie było cicho, jak w klasztorze. Nauczyciel był bardzo wesół, ale to wzruszenie sprawiało, że mu ręce drżały jeszcze silniej i że prawie nie mógł jeść. Ale ojciec krajał mu mięso, łamał chleb, sypał sól do talerza. Szklankę musiał do picia trzymać w obu rękach i jeszcze uderzał nią o zęby.

Ale mimo to rozmawiał z ożywieniem i zapałem o książkach do czytania z czasów jego młodości, o ówczesnych rozkładach jazdy, o pochwałach, jakie otrzymał od swoich przełożonych, o zarządzeniach szkolnych z ostatnich lat, zawsze z tą samą pogodną twarzą, nieco więcej zarumienioną, aniżeli poprzednio, głosem wesołym i ze śmiechem prawie młodzieńczym.

A mój ojciec wciąż patrzył na niego, z tym samym już wyrazem twarzy, jaki czasem spostrzegam u niego, gdy patrzy na mnie w domu, gdy się zamyśla i uśmiecha do siebie, pochyliwszy głowę na bok. Nauczyciel wylał nieco wina na siebie, mój ojciec powstał szybko i otarł go serwetą.

— Ależ nie, ależ nie, mój panie, nie pozwalam! — mówił staruszek i uśmiechał się. Potem dodał kilka słów po łacinie. W końcu podniósł szklankę, która mu trzęsła się w rękach i rzekł z wielką powagą: — A więc piję za zdrowie pańskie, drogi panie inżynierze, za zdrowie pańskich dzieci i za pamięć pańskiej dobrej matki.

— A ja piję za pańskie zdrowie, mój dobry panie profesorze — odpowiedział mój ojciec, ściskając mu rękę.

W głębi izby siedział oberżysta i kilka osób, wszyscy spoglądali na nas i uśmiechali się, widocznie zadowoleni, że się w ten sposób zaszczyca nauczyciela z ich wioski.

Było po drugiej, gdyśmy wyszli z oberży. Nauczyciel chciał nas koniecznie odprowadzić na dworzec. Ojciec podał mu znów ramię, a on ujął mnie znów za rękę; ja niosłem mu laskę. Ludzie stawali w drodze i patrzyli na nas, albowiem wszyscy znali go tutaj: niektórzy kłaniali się mu. Wtem usłyszeliśmy przez otwarte okno liczne głosy chłopców, którzy czytali razem, sylabizując. Staruszek zatrzymał się i twarz jego posmutniała.

— Oto, drogi panie Bottini — rzekł, to mnie martwi. Słyszę głos chłopców w szkole, a nie chodzę już do szkoły i myślę, że tam kto inny uczy. Przez sześćdziesiąt lat nasłuchałem się tej muzyki i pokochałem ją szczerze... A teraz jestem bez rodziny. Nie mam już dzieci.

— Nie, panie profesorze — odpowiedział mu ojciec i znowu iść zaczął — masz pan jeszcze wiele dzieci, rozprószonych po świecie, które o panu pamiętają, tak jak ja zawsze pamiętałem o panu.

— Nie, nie — odpowiedział nauczyciel ze smutkiem — nie mam już szkoły i nie mam dzieci. A bez dzieci nie mogę już długo żyć. Wkrótce wybije moja ostatnia godzina.

— Nie mów pan tego, panie profesorze, nie myśl pan o tym — rzekł mój ojciec. — Pomyśl raczej, ile zdziałałeś dobrego. Jaką szlachetną pracą wypełniłeś całe twoje życie!

Stary nauczyciel przytulił swą białą głowę do ramienia mego ojca, a mnie uścisnął rękę.

Weszliśmy na dworzec; pociąg stał gotów do odjazdu.

— Bądź pan zdrów, panie profesorze — rzekł mój ojciec, całując go w oba policzki.

— Żegnajcie mi... dziękuję wam... żegnajcie mi — odpowiedział nauczyciel biorąc drżącymi rękoma dłoń mego ojca i przyciskając ja do serca.

Potem ja go malowałem i czułem, że ma twarz we łzach skąpaną. Ojciec podsadził mnie do wagonu, a w chwili gdy miał sam wsiadać, wyjął szybko prosty kij z ręki nauczyciela i włożył mu natomiast w rękę swoją piękną laskę ze srebrną gałką i ze swymi inicjałami, mówiąc: — Weź ją pan na pamiątkę.

Staruszek chciał ją oddać i odebrać swoją, ale ojciec był już w przedziale wagonu i zamknął odrzwiczki.

— Bądź pan zdrów, mój drogi profesorze!

— Bądź zdrów, synku mój — odpowiedział stary nauczyciel, gdy pociąg już począł iść. — Niech Bóg cię błogosławi za pociechę i radość, jaką sprawiłeś biednemu starcowi.

— Do widzenia — zawołał ojciec wzruszonym głosem.

Ale nauczyciel potrząsnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć: — Już nie zobaczymy się więcej.

— Ależ tak, tak — powtórzył ojciec — do widzenia.

Starzec zaś odpowiedział, podnosząc drżącą rękę ku niebu:

— Tam, w górze.

I tak z wzniesioną ręką stojącego, straciliśmy go z oczu.

POWRÓT DO ZDROWIA.

20. czwartek.

Ktoby to był powiedział, gdy wracałem tak wesół z owej pięknej wycieczki wraz z moim ojcem, że przez dziesięć dni z rzędu nie będę widział ani pola, ani nieba. Byłem bardzo chory, znajdowałem się w niebezpieczeństwie życia. Słyszałem, jak matka płakała, widziałem ojca bladego, patrzał na mnie z niepokojem, siostra moja Sylwia i mały braciszek rozmawiali z sobą po cichu, a lekarz w okularach przychodził co chwila i ciągle coś mówił, czego nie rozumiałem. Rzeczywiście, nie wiele brakowało a byłbym się pożegnał ze wszystkimi.

Biedna moja matka! Przez trzy lub cztery dni nie wiedziałem wcale, co się ze mną dzieje i nie mogę sobie tego przypomnieć, jak

gdybym się wtedy znajdował w jakimś śnie ciężkim i męczącym. Zdawało mi się niekiedy, że widzę obok mego łoża moją dobrą nauczycielkę z pierwszej klasy oddziału wyższego, która siliła się chusteczką tłumić kaszel, aby mnie nie budzić. Przypominam sobie także nie jasno mego nauczyciela, który się pochylił, aby mnie pocałować i podrapał mi twarz brodą. Widziałem także gdyby we mgle rudą głowę Crossiego, jasne włosy Derossiego, Kalabryjczyka w czarnym ubraniu. Garrona, który mi przyniósł mandarynę z liśćmi i prędko się wymknął, albowiem matka jego była chora.

A potem doznałem uczucia, jak gdybym się obudził z długiego snu i poznałem, że mam się lepiej, widząc ojca i matkę uśmiechających się i słysząc, że Sylwia nuci jakąś piosenkę. O, jaki to był smutny sen! Potem z każdym dniem miałem się lepiej. Przyszedł murarczyk i pierwszy raz znów się zaśmiałem na widok jego zajęczego pyszczka, a jak go teraz wybornie robi, gdy twarz jego wydłużyła się z powodu choroby! Biedny chłopak! Przyszedł Coretti i potem Garoffi, który podarował mi dwa bilety swej nowej loterii, gdzie wygraną stanowił scyzoryk o pięciu ostrzach, który kupił u tandeciarza przy ulicy Bertola. Wczoraj, gdy spałem, przyszedł do mnie Precossi i przytulił twarz do mej ręki, nie budząc mnie, a ponieważ szedł prosto z kuźni swego ojca i miał twarz poczernioną węglami, zostawił mi czarny ślad na rękawie, który mi sprawił wielką przyjemność, gdy się obudziłem.

Jak pozieleniały drzewa w tych kilku dniach! I jak zazdroszczę chłopcom, których widzę biegających z książkami do szkoły, gdy mnie ojciec przynosi do okna. Ale wkrótce i ja tam pójdę. Pragnę już z taką niecierpliwością znów widzieć wszystkich tych chłopców, moją ławkę ogród, ulicę; dowiedzieć się o wszystkim, co się wydarzyło w tym czasie; zabrać się znów do moich książek i do mych zeszytów, iż zdaje mi się, że rok tego wszystkiego nie widziałem.

Biedna moja matka schudła i taka blada. Ojciec także źle wygląda. A moi poczciwi koledzy, którzy mnie odwiedzali i chodzili na palcach i całowali mnie w czoło. Smutkiem przejmuje mnie teraz myśl, że pewnego dnia będziemy musieli się rozstać. Z Derossim i z kilku innymi będziemy się jeszcze, być może, razem dalej uczyli; ale wszyscy inni? Gdy skończymy czwartą klasę, pożegnamy się i nie zobaczymy się więcej; nie ujrzę ich więcej obok mego łóżka, gdy będę chory, Garonna, Precossiego, Coriettiego, tylu innych poczciwych chłopców, tylu dobrych i drogich kolegów... Już nigdy!

PRZYJACIELE ROBOTNICY.

20. czwartek.

Dlaczego, Henryczku, już nigdy? To będzie zależało wyłącznie od ciebie. Gdy skończysz czwartą klasę, pójdziesz do gimnazium, a oni staną się robotnikami; ale zostaniecie w tym samym mieście, może przez wiele lat. Dlaczegóż więc nie mielibyście się widywać? Gdy będziesz uczęszczał na uniwersytet albo do liceum, będziesz ich odwiedzał w ich sklepach i warsztatach i sprawi ci wielką przyjemność, gdy odnajdziesz swych dawnych kolegów z lat dziecinnych mężczyznami przy pracy.

Chciałbym to widzieć, czybyś nie pośpieszył do Corettiego i Precossiego, gdziekolwiek będą. Pójdziesz do nich, spędzisz niejedną godzinę w ich towarzystwie i zobaczysz, poznawszy świat i życie, ile będziesz się mógł od nich nauczyć i to takich rzeczy, których byś się nie mógł nauczyć od nikogo innego, o ich rzemiosłach, o ich stosunkach społecznych, o twej ojczyźnie.

Pamiętaj, że gdybyś nie zachował tych przyjaźni, byłoby ci trudno w przyszłości zawrzeć podobne przyjaźnie, mianowicie poza klasą społeczną, do której należysz. I tak żyłbyś tylko wśród jednej klasy społecznej, człowiek zaś taki, który nie wychodzi poza obręb swej klasy, podobny jest do tego, który umie czytać tylko z jednej książki.

Postanów zatem już teraz dochować przyjaźni tym dobrym kolegom także i wtedy, gdzie się rozstaniecie i już teraz wyróżniaj ich i bądź dla nich szczególnie serdeczny, właśnie z tego powodu, że są dziećmi robotników.

Ludzie z klas wyższych są gdyby oficerami, robotnicy zaś żołnierzami w armii pracującej; ale w społeczeństwie, jak i w wojsku, żołnierz nie jest mniej szlachetny od oficera, ponieważ szlachectwo polega na pracy, a nie na zarobku, na męstwie, a nie na stopniu. Owszem, jeżeli gdzie jest wyższa zasługa, to raczej po stronie żołnierza i robotnika, którzy z własnej pracy ciągną mniejsze korzyści. Kochaj więc i szanuj między twymi kolegami, ponad innych, synów żołnierzy pracy; czcij w nich trud i ofiarność ich rodziców; gardź różnicami majątku i stanowiska, podług których tylko ludzie nikczemni stopniują swoje uczucia i swoją grzeczność; pomyśl, że to krew błogosławiona, która nam odkupiła naszą ojczyznę, popłynęła prawie cała z żył robotników, pracujących w warsztatach i na polach.

Kochaj Garonna, kochaj Precossiego, kochaj Corettiego, kochaj twego „murarczyka“, którzy w swoich piersiach małych robotników kryją serca książęce i ślubuj sobie samemu, że żadna zmiana losu nie będzie nigdy mogła wyrwać tych świętych uczuć przyjaźni z duszy twojej.

Przysięgnij mi, że jeżeli po czterdziestu latach, przechodząc obok jakiejś stacji kolejowej, poznasz w ubraniu maszynisty twego starego Garonna z twarzą okopconą od dymu... o, zresztą nie potrzeba, abyś przysięgał: jestem pewny, że wyskoczysz do niego na maszynę i rzucisz się w jego objęcia, choć byś był senatorem królestwa włoskiego.

Twój ojciec.

MATKA GARRONA.

29. sobota.

Gdy tylko wróciłem do szkoły, zaraz smutna wiadomość. Garrone już od niejakiego czasu nie przychodził, gdyż matka jego była ciężko chora. W sobotę wieczorem umarła. Wczoraj rano nauczyciel, wszedłszy do klasy, powiedział:

— Biednego Garrona dotknęło największe nieszczęście, jakie dziecko spotkać może. Umarła mu matka. Jutro powróci do klasy. Proszę was teraz, chłopcy: Szanujcie ten straszny ból, który mu rozdziera duszę. Gdy przyjdzie, powitajcie go z uczuciem i powagą; niech nikt nie żartuje, niech się nie śmieje, proszę was o to.

I oto dziś rano, nieco później od innych, wszedł do klasy biedny Garrone. Gdy na niego spojrzałem, uczułem ból w sercu, jak od rany nożem. Twarz miał bladą, oczy zaczerwienione od płaczu, ledwie się trzymał na nogach; wyglądał, jakby chorował cały miesiąc, zmieniony był nie do poznania, cały w żałobie, budził ogólną litość. Nikt z nas się nie odzywał, wszyscy spoglądaliśmy na niego. Gdy tylko wszedł do klasy i gdy znów zobaczył tę szkołę, gdzie matka prawie codziennie przychodziła po niego, tę ławkę, nad którą się pochylała tyle razy w dzień egzaminu, by mu jeszcze dać różne rady i wskazówki i gdzie tyle razy myślał o niej, z niecierpliwością pragnąc wyjść na jej spotkanie — wybuchł rozpaczliwym płaczem.

Nauczyciel przyciągnął go do siebie, przycisnął do piersi i rzekł: Płacz, płacz, biedny chłopcze, ale nie trać odwagi. Matki twej nie ma już tutaj, ale patrzy na ciebie, kocha cię jeszcze, żyje blisko ciebie, a kiedyś znów ją zobaczysz, albowiem masz duszę czystą i prawą, jak ona. Odwagi, mój chłopcze.

To rzekłszy, wprowadził go do ławki i posadził obok mnie. Nie śmiałem spojrzeć na niego. Wydobył swoje zeszyty i książki, któ-

rych nie otwierał od wielu dni, a otworzywszy wypisy, w których rycina wyobraża matkę, prowadzącą syna za rękę, wybuchł ponownie płaczem i spuścił głowę na ramię.

Nauczyciel dał nam znak, abyśmy go tak zostawili i rozpoczął naukę. Chciałem koniecznie mu coś powiedzieć, ale nie wiedziałem co. W końcu położyłem mu rękę na ramieniu i szepnąłem do ucha:

— Nie płacz, Garrone.

Nic mi nie odpowiedział i nie podnosząc głowy z nad ławki, włożył swoją rękę w moją i trzymał ją jakiś czas. Gdyśmy wychodzili z klasy, nikt do niego nie mówił, wszyscy obchodzili go z daleka, z szacunkiem, w milczeniu. Ujrzałem matkę, która na mnie czekała i pobiegłem, aby ją uściskać, ale odsunęła mnie zlekka od siebie i spojrzała na Garrona. Z początku nie zrozumiałem, dlaczego, spostrzegłem jednak, że Garrone stoi sam na uboczu i spogląda na mnie. W spojrzeniu jego zaś przebijał się wyraz niewysłowionego smutku; oczy jego mówiły: Całujesz twoją matkę, a ja mojej już nigdy nie będę całował. Ty masz jeszcze matkę, a moja już nie żyje! I wtedy domyśliłem się, dlaczego moja matka odsunęła mnie od siebie i wyszedłem, nie trzymając się jej ręki.

GIUSEPPE MAZZINI.

29. sobota.

Także i dziś rano Garrone przyszedł do szkoły blady, z oczyma spuchniętymi od płaczu i ledwie spojrzał na drobne podarunki, któreśmy mu położyli na ławce, aby go pocieszyć. Ale nauczyciel przyniósł z sobą kilka kartek z książki i dał mu do czytania, aby mu sprawić przyjemność. Wpierw jednak oznajmił nam, że nazajutrz udamy się wszyscy o godzinie pierwszej do municypium tj. do ratusza, aby widzieć, jak zostanie wręczony medal za odwagę cywilną chłopcu, który ocalił dziecko z nurtów Padu i że w poniedziałek podyktuje nam opis tej uroczystości, zamiast opowiadania miesięcznego. Później, zwracając się do Garrona, który stał z głową spuszczoną, rzekł do niego:

— Garrone, zapanuj nad sobą, napisz i ty, co wam podyktuję.

Wszyscy wzięliśmy pióra. Nauczyciel dyktował nam:

— Giuseppe Mazzini urodził się w Genui w roku 1805, umarł w Pizie 1872. Był to patriota o duszy szlachetnej, pisarz obdarzony niezwykłym geniuszem, twórca i pierwszy apostoł rewolucji włoskiej. Z miłości ku ojczyźnie, spędził on czterdzieści lat, jako biedny wygnaniec, prześladowany na tułaczce, ale niewzruszony bohatersko w swoich zasadach i postanowieniach. Giuseppe Mazzini, który ubóstwiał swą matkę i który odziedziczył po niej wszystko to, co w jego mężnej i szlachetnej duszy było najczystsze i najwznioślejsze, tak pisał do swego wiernego przyjaciela, aby go pocieszyć w największym nieszczęściu. Są to prawie jego własne słowa:

„Przyjacielu, nie ujrzysz już nigdy więcej matki twej na tej ziemi. Jest to straszna prawda. Nie przychodzę do ciebie, ponieważ ból twój jest jedną z tych boleści uroczystych i świętych, które człowiek musi sam przecierpieć i sam przezwyciężyć. Czy rozumiesz, co chcę wyrazić tymi słowami: Należy boleść przezwyciężyć? Oto należy przezwyciężyć to, co boleść ma w sobie mniej świętego, mniej oczyszczającego; to, co zamiast uszlachetniać duszę, osłabia ją i poniża. Ale druga część boleści, część szlachetna, ta, która duszę podnosi, ta powinna zostać w tobie i nigdy cię już nie opuszczać.

Tu nic ci nie zastąpi dobrej matki. W boleściach i radościach, jakie ci życie może jeszcze przynieść w udziale, nie zapomnisz o niej nigdy. Ale powinieneś wspominać ją, kochać ją, zasmucać się jej śmiercią w sposób jej godny. O przyjacielu mój, posłuchaj mnie. Śmierć nie istnieje, nie ma jej zgoła. To rzecz trudna do zrozumienia. Życie jest życiem i stosuje się do swego prawa, którym jest postęp. Wczoraj miałeś matkę tu na ziemi, dziś masz anioła w niebie. Wszystko, co jest dobre, żyje dalej poza życiem ziemskim, z większą siłą i potęgą. Tak samo i miłość twojej matki. Ona kocha cię teraz więcej, niż kiedykolwiek. A ty jesteś wobec niej odpowiedzialny za twoje uczynki bardziej, niż pierwej. Od ciebie zależy, od twoich czynów, czy spotkasz ją, czy znów ją zobaczysz w drugim życiu. Obowiązkiem twoim jest tedy z miłości i szacunku ku twej matce, stawać się lepszym i sprawiać jej tym przyjemność. Powinieneś odtąd, przy każdym uczynku, zapytywać sam siebie: — Czy moja matka pochwaliłaby to?

Przemienienie, jakie się w niej spełniło, stworzyło dla ciebie na świecie anioła-stróża, któremu powinieneś powierzać wszystkie twoje sprawy. Bądź mężny i dobry; staw opór boleści rozpaczliwej i pospolitej, miej spokój wielkich cierpień. Oto, czego ona pragnie“...

— Garrone! — zawołał nauczyciel — bądź mężny i spokojny, oto, czego ona pragnie. Czy rozumiesz?

Garrone skinął głową na znak potwierdzenia, a łzy wielkie, rzęsiste spływały mu z oczu na ręce, na zeszyt, na ławkę.

ODWAGA CYWILNA.

(Opowiadanie miesięczne).

O pierwszej stanęliśmy wraz z nauczycielem przed gmachem ratuszowym, aby widzieć, jak zostanie wręczony medal za odwagę cywilną chłopcu, który ocalił z nurtów rzeki Padu swego towarzysza.

Na terasie frontowym powiewała wielka chorągiew trójbarwna.

Wstąpiliśmy na podwórze, gdzie już było mnóstwo ludzi. W głębi znajdował się stół przykryty czerwonym dywanem, na nim papiery, a za stołem rząd pozłacanych foteli dla pana burmistrza i dla radnych miejskich. Woźni municypalni w niebieskich kurtkach i białych spodniach strzegli porządku. Po prawej stronie podwórza stał uszykowany oddział miejskiej straży, każdy z licznymi medalami na piersiach, a obok oddział straży celnej; po drugiej stronie strażacy ogniowi w paradnych mundurach i wielu żołnierzy stojących luźno, którzy przybyli, aby patrzeć: kawalerzyści, bersalierzy, artylerzyści.

Dokoła zaś panowie, ludzie z gminu, kilku oficerów, kobiety, dzieci, cisnące się z ciekawością.

Stanęliśmy w kącie, gdzie już było wielu uczniów innych szkół ze swymi nauczycielami; obok nas stała kupa wyrostków od lat dziesięciu do ośmnastu, śmieli się i rozmawiali głośno i można było poznać, że wszyscy pochodzą z przedmieścia nad rzeką Padem, prawdopodobnie znajomi i towarzysze tego, który miał otrzymać medal. We wszystkich oknach widać było głowy urzędników miejskich i balkon biblioteki był także napełniony ludźmi, cisnącymi się dokoła balustrady, na przeciwległym zaś balkonie, ponad bramą wchodową, stały uczennice ze szkół publicznych i liczne „Córki żołnierzy" w swoich pięknych niebieskich welonach.

Całe podwórze wyglądało jak teatr. Wszyscy rozmawiali z sobą wesoło, spoglądając co chwila ku czerwonemu stołowi, czy nikt się nie pojawia. Orkiestra przygrywała z cicha w głębi krużganka. Na mury wysokie padały promienie słoneczne. Było pięknie.

Nagle wszyscy poczęli klaskać w dłonie, na podwórzu, z balkonów, z okien. Stanąłem na palcach, aby lepiej widzieć.

Tłum, który cisnął się poza czerwonym stołem, rozstąpił się, a naprzód wysunęli się jakiś mężczyzna i kobieta. Mężczyzna ów prowadził za rękę chłopca. Był to właśnie ów chłopiec, który ocalił życie swemu towarzyszowi. Mężczyzna ów to był jego ojciec, murarz, odświętnie ubrany. Kobieta, matka jego, niska, o jasnych włosach, była

w czarnej sukni. Chłopiec, także blondyn niskiego wzrostu, miał na sobie popielatą kurtkę.

Gdy ujrzeli ten tłum ludzi i usłyszeli te głośne oklaski, wszyscy troje stanęli na miejscu i nie śmieli ani patrzeć nigdzie, ani uczynić żadnego poruszena. Woźny municypalny posunął ich zlekka ku stołowi, z prawej strony.

Na chwilę zapanowała głucha cisza, po czym znów wybuchły oklaski ze wszystkich stron. Chłopak spojrzał ku oknom, a potem ku balkonowi, gdzie stały „Córki żołnierzy", kapelusz trzymał w rękach, zdawało się, że nie wie dobrze, co się z nim dzieje. Z twarzy był nieco podobny do Corettiego, ale miał żywsze rumieńce. Ojciec jego i matka spoglądali wciąż ku stołowi.

Tymczasem wszyscy chłopcy z dzielnicy nadrzecznej, którzy stali obok nas, pochylili się naprzód, dawali znaki swemu koledze, aby zwrócić na siebie jego uwagę i wołali nań z cicha: — Pin! Pin! Pinot!

W końcu chłopiec usłyszał to wołanie, spojrzał ku nim i ukrył uśmiech, zasłaniając twarz kapeluszem.

Wtem wszystkie straże stanęły w służbowej pozycji. Wszedł burmistrz, otoczony licznym gronem panów. Był to już człowiek całkiem siwy, przepasany długą szarfą trójbarwną. Stanął przed stołem; wszyscy inni stanęli za nim i po bokach. Muzyka przestała grać, burmistrz dał znak, wszyscy umilkli.

Burmistrz rozpoczął przemówienie. Pierwszych słów jego dobrze nie rozumiałem; domyślałem się jednak, że opowiada czyn chłopca. Potem głos jego stopniowo się podnosił i rozchodził się wyraźny i dźwięczny po całym podwórzu, tak że słyszałem dobrze każde jego słowo.

— ...Gdy ujrzał z brzegu towarzysza swego, który walczył z falami rzeki, ogarnięty już trwogą śmierci, zrzucił z siebie co rychlej ubranie i pobiegł, nie wahając się ani cwili, na ratunek. Wołano do niego z brzegu: — Sam utoniesz! — Nic jednak nie odpowiedział. Chciano go powstrzymać, wyrwał się, wołano go po nazwisku, ale był już w wodzie.

Rzeka była wezbrana, niebezpieczeństwo bardzo groźne, nawet dla silnego mężczyzny. On jednak rzucił się przeciw śmierci całą siłą swego drobnego ciała i swego wielkiego serca; dosięgnął i pochwycił na czas nieszczęśliwego chłopca, który już był pod wodą i wyciągnął go na powierzchnię wody; walczył zawzięcie z falami, które go chciały pochłonąć z towarzyszem, który go się czepiał i utrudniał ruchy je-

go. Kilkakrotnie znikał pod wodą i wydobywał się znów na wierzch rozpaczliwym wysiłkiem; uparty, niezłomny w swoim świętym postanowieniu, nie jak chłopiec, który chce uratować swego rówieśnika, ale jak mężczyzna, jak ojciec, który walczy, by ocalić syna swego, co jest jego życiem i nadzieją.

W końcu Bóg nie dopuścił, aby tak szlachetne męstwo pozostało bez skutku. Młodociany pływak wydarł olbrzymiej rzece ofiarę i wysadził ją na brzeg i tam jeszcze wraz z innymi udzielił jej pierwszych starań, a potem powrócił do domu sam jeden, spokojny i z prostotą opowiadał o swoim uczynku.

Panowie! Piękną i czcigodną rzeczą jest bohaterstwo mężczyzny. Ale w dziecku, które jeszcze nie zna ambicji, ani żadnych pobudek osobistego interesu, w dziecku, które musi mieć tym więcej odwagi, im mniej ma siły, w dziecku, od którego niczego nie wymagamy, które do niczego nie jest jeszcze obowiązane, które nam się wydaje dobre i szlachetne, nietylko gdy samo wypełnia, ale już nawet, gdy rozumie i ocenia ofiarę drugiego bohaterstwo w takim dziecku jest czymś boskim.

Nie chcę więcej mówić, panowie. Nie chcę zbytecznymi pochwałami ozdabiać wielkości tak pełnej prostoty. Oto stoi przed nami ten dzielny i szlachetny wybawca. Żołnierze, powitajcie go jak brata, matki błogosławcie go jak syna; dzieci, zapamiętajcie sobie jego imię, wyryjcie w duszach waszych twarz jego, niech on nigdy się nie zatrze w waszej pamięci i w waszych sercach.

Przystąp bliżej chłopcze. W imieniu króla Włoch daję ci medal za cywilną odwagę.

A tłumy wydały tak głośny okrzyk, że aż się zatrzęsły mury dumnego gmachu.

Burmistrz wziął ze stołu medal i przypiął go chłopcu na piersiach. Potem uściskał go i ucałował.

Matka chłopczyny zasłoniła ręką oczy, ojciec spuścił głowę na piersi.

Burmistrz uścisnął rękę obojgu rodzicom, wziął dekret królewski, nadający to odznaczenie, związany wstążeczką i podał go kobiecie.

Potem zwracając się do chłopca rzekł: — Niechaj wspomnienie tego dnia, tak zaszczytnego dla ciebie, tak szczęśliwego dla twego ojca i twej matki, utrzymuje się przez całe życie na drodze cnoty i honoru. Bądź zdrów, mały bohaterze!

Burmistrz wyszedł, muzyka zagrała i zdawało się, że już wszystko się skończyło, gdy wtem odział strażaków rozstąpił się i chłopak ośmio- lub dziewięcioletni, popchnięty przez kobietę, która natychmiast się ukryła, rzucił się ku udekorowanemu chłopcu i pochwycił go w objęcia.

I znów rozległy się huczne oklaski i okrzyki po całym podwórzu; wszyscy zrozumieli od razu, że to był ów chłopiec uratowany z nurtów Padu, który przybył podziękować swemu wybawcy. Uściskawszy go, wziął go za ramię by mu towarzyszyć. Obaj szli naprzód, za nimi ojciec i matka i skierowali się ku wyjściu, torując sobie drogę wśród tłumu, który im się ustępował na bok, wśród straży, chłopców i żołnierzy, kobiet. Wszyscy pchali się naprzód i stawali na palcach, aby widzieć bohaterskiego chłopca. Ci, co stali obok niego, dotykali się jego ręki. Gdy przechodził obok uczniów ze szkół, wszyscy powiewali czapkami. Ci co byli z przedmieścia nad rzeką Padem, wznosili głośne okrzyki, ciągnęli go za ramiona i za kurtkę i wołali wciąż: — Pin! Niech żyje Pin! Brawo, nasz Pinot!

Widziałem go przechodzącego tuż obok mnie. Miał twarz zarumienioną, pełen radości; medal miał wstążkę białą, czerwoną i zieloną. Matka jego płakała i śmiała się na przemian; ojciec podkręcał wąsy ręką, która silnie drżała, jak gdyby miał febrę.

A z okien i balkonów wciąż leciały okrzyki i oklaski. Nagle, gdy już mieli wejść do krużganka, spadł z loży „Córek żołnierzy" istny deszcz bratków, bukieciki fiołków i stokrotek, które padały na głowę chłopca, ojca i matki i rozsypywały się na ziemi. Wielu poczęło zbierać je pośpiesznie i podawali je matce.

A muzyka w głębi podwórza grała zcicha prześliczną pieśń, jakby tysiące srebrnych głosów śpiewało, oddalając się zwolna nad brzegiem rzeki.

MAJ.

RACHITYCZNE DZIECI.

5. piątek.

Dziś nie poszedłem do szkoły, albowiem nie czułem się zupełnie zdrów i matka wzięła mnie z sobą do zakładu dla dzieci rachitycznych, dokąd się udała, aby polecić córeczkę odźwiernego, nie pozwoliła mi jednak wejść do ich szkoły...

*

* *

„Czy nie domyślasz się, Henryku, dlaczego ci nie pozwoliłam wejść? Oto, aby im nie stawiać na oczy, tym nieszczęśliwym dzieciom, tam w ich szkole, jak gdyby dla popisu, chłopaka zdrowego i czerstwego. Mają już i tak za wiele sposobności do bolesnych dla ciebie porównań. Co to za smutne rzeczy! Ile razy tam wchodzę, z trudem wstrzymuję się od płaczu.

Było ich około sześćdziesiąt, chłopców i dziewcząt... Biedne kostki wymęczone- Biedne ręce biedne nogi, skurczone i powykręcane! Biedne ciała ułomne! Widziałam nieraz twarze dość miłe, oczy pełne inteligencji i uczucia, to znów ukazywała się twarz dziewczynki z cienkim nosem i śpiczastym podbródkiem, która wydawała się starszą, ale miała uśmiech niebiańskiej słodyczy.

Niektóre dzieci, widziane z przodu, są piękne i wydają się, jak gdyby nie miały żadnej ułomności, ale gdy się obrócą... smutkiem przejmuje patrzeć na nie. Był tam lekarz, który je oglądał. Stawiał je na ławkach, podnosił im ubrania, aby opukiwać im ich nabrzmiałe brzuchy i zgrubiałe stawy, a te biedne istoty wcale się nie wstydziły, widać było, że to są dzieci przyzwyczajone do tego, aby je rozbierano, badano, obracano na wszystkie strony. A należy pamiętać, że teraz znajdują się w lepszym okresie swej choroby, że już prawie wcale nie cierpią.

Ale kto może wysłowić, ile wycierpiały w czasie, gdy ciało ich poraz pierwszy zaczęło się zniekształcać, gdy z wzrastaniem tej strasznej choroby widziały, że zmniejsza się miłość ku nim, biedne dzieci, często zostawiane same godzinami w kącie izby lub na podwórzu, źle odżywiane, niekiedy wyśmiewane albo dręczone całymi miesiącami bandażami lub aparatami ortopedycznymi, zupełnie bezużytecznymi!

Teraz jednak, dzięki troskliwej opiece, dobremu pożywieniu i gimnastyce, u wielu z nich stan polepszył się znacznie. Nauczycielka kazała im robić ćwiczenia gimnastyczne. Litość brała patrzeć, jak te dzieci, na komendę, wyciągały pod ławkami nogi obwinięte, ściśnięte w szynach, niekształtne; nogi, któreby się chciało okryć pocałunkami litości. Niektóre dzieci nie mogły podnieść się z ławki, pozostawały tak, z główkami przechylonymi na ramię, głaszcząc swoje szczudła. Inne, robiąc ruch ramionami, traciły oddech i opadały na ławkę blade, ale z uśmiechem na twarzy, aby ukryć to natężenie.

Ach, Henryku, wy nie cenicie należycie zdrowia i zdaje wam się, że to taka drobnostka. Myślałam o tych chłopcach, pięknych, silnych i kwitnących zdrowiem, których matki obnoszą dokoła, jak w triumfie, dumne z ich piękności i pochwyciłabym wszystkie te biedne główki, przycisnęłabym je do piersi z rozpaczą za ich dolę. I mówiłam sobie w duchu, że gdybym była sama na świecie, nie ruszyłabym się już stąd nigdy, ale poświęciłabym moje życie tym biednym dzieciom, służyłabym im, zastępowałabym im matkę aż do ostatniej mej godziny...

One tymczasem śpiewały. Głosy ich słabe, łagodne, smutne przenikały do duszy, a gdy nauczycielka je pochwaliła, były zadowolone. Gdy przechodziła między ławkami, całowały jej ręce i ramiona, gdyż taka jest w nich wdzięczność dla tego, kto im okazuje przywiązanie i takie mają dobre serca. A mają także zdolności, te małe aniołki i uczą się pilnie, zapewniała mnie nauczycielka. Nauczycielka młoda i miła, na której twarzy, obok wyrazu dobroci, widnieje także smutek, jakby odbłysk tych nieszczęść, które ona koi i pociesza. Drogie dziewczę! Ze wszystkich istot ludzkich, które pracą zarabiają na chleb, nikt nie czyni tego w sposób bardziej święty i bardziej ofiarny.

Twoja matka.

POŚWIĘCENIE.

9. wtorek.

Moja matka jest dobra, a moja siostra Sylwia ma, tak samo jak ona, serce wielkie i szlachetne. Wczoraj wieczorem przepisywałem właśnie część opowiadania miesięcznego „Od Apeninów do Andów", które nauczyciel kazał nam wszystkim przepisywać częściami, gdyż jest bardzo długie, gdy wtem weszła Sylwia na palcach i rzekła do mnie śpiesznie półgłosem:

— Chodź ze mną do mamy. Słyszałam dziś rano, jak rodzice rozmawiali ze sobą. Ojcu sprawa pewno źle poszła, był bardzo zmartwiony, a mama dodawała mu odwagi. Jesteśmy teraz w przykrym położeniu, rozumiesz? Nie mamy pieniędzy. Ojciec mówił, że trzeba będzie ponieść pewne ofiary, aby powrócić znów do równowagi. Otóż i my musimy to samo czynić, nieprawda? Czyś gotów do tego? Dobrze, pomówię z mamą, a ty musisz to potwierdzić i musisz jej przyrzec pod słowem honoru, że uczynisz wszystko, co ja powiem.

To rzekłszy, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do naszej matki, która szyła coś, pogrążona w głębokim zamyśleniu. Siadłem na jednym końcu kanapy, Sylwia na drugim, po czym ona nagle przemówiła:

— Mamo, chcę ci coś powiedzieć. Oboje chcemy z tobą o czymś pomówić.

Matka spojrzała na nas zdziwiona. Sylwia zaś mówiła dalej:

— Ojciec nie ma pieniędzy, wszak prawda?

— Co ty mówisz? — odpowiedziała matka, rumieniąc się zlekka. — To nieprawda. Skąd ty to wiesz? Kto ci mówił o tym?

— Wiem o tym — odpowiedziała Sylwia rezolutnie. — Otóż posłuchaj, mamo. My także musimy ponosić pewne ofiary. Przyrzekłaś mi na koniec maja wachlarz, a Henryk miał dostać szkatułkę z farbami. Nie chcemy jednak tych podarunków, nie chcemy, aby rodzice nasi wydawali na nas pieniądze. Będziemy mimo to zadowoleni, czy rozumiesz mnie, mamo?

Matka chciała coś powiedzieć, ale Sylwia dalej mówiła:

— Nie, mamo, tak musi być. Takie jest nasze postanowienie. I póki ojciec nie będzie znów miał pieniędzy, nie chcemy ani owoców, ani niczego innego. Wystarczy nam zupa na obiad, a rano na śniadanie będziemy jedli sam chleb. W ten sposób wyda się mniej na życie, które nas już teraz za wiele kosztuje i przyrzekamy ci, mamo, że będziesz nas zawsze widziała wesołych i zadowolonych. Czy prawda Henryku?

Odpowiedziałem, że tak.

— Będziemy zawsze jednakowo zodowoleni — powtórzyła Sylwia, zasłaniając mamie usta ręką. — A jeżeli trzeba będzie ponosić jeszcze jakie inne ofiary, w ubraniu w czym innym, uczynimy to chętnie i sprzedamy także nasze podarunki. Oddam ci wszystko, co mam, będę ci sama usługiwała zamiast pokojowej nie damy nic do roboty poza domem, będę pracowała wraz z tobą cały dzień, zrobię wszystko co zechcesz, jestem gotowa na wszystko. Na wszystko! — zawołała raz jeszcze, zarzucając matce ramiona na szyję — aby tylko ojciec i ty, mamo, nie mieliście żadnych nieprzyjemności, abym znów widziała was oboje spokojnych, w dobrym humorze, jak dawniej, obok waszej Sylwii i waszego Henryka, którzy was tak bardzo kochają, którzy oddaliby chętnie za was swoje życie.

Nigdy jeszcze nie widziałem mej matki tak szczęśliwej, jak gdy usłyszała owe słowa; nigdy jeszcze nie całowała nas w czoło tak czule, płacząc i śmiejąc się równocześnie i nie mogąc słowa przemówić. A potem uspokajała nas, że Sylwia źle zrozumiała słowa ojca, że nie jesteśmy wcale w tak krytycznym położeniu, jak sądziła, stokrotnie nam dziękowała i była wesoła cały wieczór, a gdy ojciec wrócił, opowiedziała mu wszystko. Biedny ojciec nic na to nie rzekł. Ale dziś rano, gdy siadłem do stołu... doznałem wielkiej przyjemności i wielkiego smutku zarazem znalazłem pod serwetą szkatułkę z farbami a Sylwia znalazła wachlarz.

POŻAR.*)

11. czwartek.

Dziś rano skończyłem przepisywanie mojej części opowiadania „Od Apeninów do Andów" i szukałem tematu do wolnego wypracowania, jakie nam zadał nauczyciel, gdy wtem usłyszałem na schodach jakiś niezwykły hałas i wkrótce weszli do domu dwaj strażacy ogniowi, którzy prosili ojca, by im pozowolił zbadać piece i kominki, ponieważ wydobywały się płomienie z komina, a nikt nie wiedział skąd to się bierze.

Ojciec rzekł: I owszem, proszę. I jakkolwiek u nas nie było nigdzie ognia, poczęli rozglądać się po wszystkich pokojach i przykładać ucho do ścian, czy nie słychać jakiego szmeru podejrzanego w przewodach kominkowych, wiodących na inne piętra domu.

*) Wypadek ten zdarzył się w nocy 27 stycznia 1880.

A gdy oni tak krążyli po pokojach, ojciec rzekł do mnie:

— Henryku, oto masz wyborny temat do twego wypracowania: strażacy ogniowi. Spróbuj opisać, co ci opowiem. Widziałem ich przy pracy przed dwoma laty, gdy już późną nocą wyszedłem z teatru Balbo. Wchodząc w ulicę Roma, ujrzałem niezwykły blask i tłum biegnących ludzi: dom stał w płomieniach. Ogniste języki i obłoki dymu wydobywały się z jego okien i dachem; mężczyźni i kobiety ukazywali się w oknach i znikali, wydając rozpaczliwe krzyki; przed domem powstało ogromne zamieszanie, tłum krzyczał: Ratunku! Pomocy! Spalę się żywcem! Gdzie są pompierzy? Pompierzy!

W tej właśnie chwili nadjechał wóz, a z niego wyskoczyło czterech strażaków ogniowych, pierwsi, których znaleziono w ratuszu i skoczyli do płonącego domu. Zaledwie tam weszli, zdarzył się okropny wypadek; jakaś kobieta ukazała się, straszliwie krzycząc, w oknie trzeciego piętra, chwyciła się rynny, przerzuciła się na zewnątrz i tak pozostała, jak gdyby zawieszona w próżni, wśród dymu i płomieni, które, wydobywając się z okna, lizały jej już prawie głowę.

Tłum wydał okrzyk zgrozy. Strażacy, których zatrzymali na drugim piętrze przerażeni mieszkańcy, rozbili już ścianę i wpadli do pokoju, gdy wtem odezwały się liczne głosy: — Na trzecie piętro! Na trzecie piętro!

Pośpieszyli tedy na trzecie piętro. Tu oczom ich przedstawiło się istne piekło, belki dachu chwiały się, korytarze były pełne płomieni i duszącego dymu. Aby dostać się do pokoi, gdzie się pozamykali ich mieszkańcy, nie było innej drogi, jak tylko przez dach. Rzucili się tedy natychmiast na strychy, a w minutę później ujrzano jakieś czarne widmo, skaczące wśród dymu. Był to kapral, który przybył pierwszy. Ale aby się dostać od strony dachu do mieszkania, otoczonego płomieniami, trzeba było przejść przez bardzo wąską przestrzeń między okienkiem w dachu a rynną; wszystko inne było w płomieniach, ten zaś mały przechód pokrywał lód i śnieg i nie było się czego chwytać.

— Niemożliwa rzecz przejść tędy! — krzyczał tłum z dołu.

Kapral stanął na samym brzegu dachu, wszystkich przejęła zgroza, z zapartym oddechem spoglądali na ten straszny obraz. Przeszedł jednak, teraz rozległy się donośne okrzyki radości. Dostawszy się do zagrożonego punktu, począł zawzięcie rozbijać toporem belki i krokwie, aby sobie utworzyć otwór do wnętrza. A tymczasem kobieta owa wciąż jeszcze była zawieszona poza oknem, dym otaczał jej głowę, jeszcze chwilę, a byłaby niechybnie spadła na dół. Ale otwór już wybity, kapral spuszcza się do środka; inni pompierzy, którzy właśnie nadeszli, idą za nim.

W tej chwili ustawiono ogromną drabinę, opartą o gzyms domu, przed oknami, skąd się wydobywały płomienie i szalone krzyki. Ale wszyscy sądzili, że to już za późno. — Nikt się już nie będzie mógł ocalić — wołano. — Strażacy popalą się; poduszą. — Wszystko się skończyło. — Zginęli.

A wtem widzą, że ukazuje się w okienku nad rynną czarna postać kaprala, oświetlona cała płomieniami. Kobieta obejmuje go za szyję, on chwyta ją pośpiesznie obydwoma ramionami, wciąga do środka i kładzie w pokoju. Krzyki tłumu zagłuszają huk ognia.

Ale co będzie z innymi? I jak zejdą na dół? Drabina, oparta o dach przed innym oknem, była od tamtego gzymsu dość oddalona. Jak się jej uczepią?

Gdy tak rozważano, jeden z pompierów wysunął się z okna, stanął nogą prawą na gzymsie, a lewą na drabinie i tak stojąc w powietrzu, brał w ramiona jednego po drugim mieszkańców domu, których mu inni strażacy podawali ze środka i podawał ich znów stojącemu na drabinie towarzyszowi, który wszedł tam od ulicy i który przywiązawszy ich do liny, spuszczał ich na dół, przy pomocy innych strażaków, będących na dole.

Pierwsza została uratowana owa kobieta, co wisiała przedtem u rynny, potem mała dziewczynka, inna kobieta, potem jakiś starzec. Wszyscy byli ocaleni. Po owym starcu zeszli pompierzy, którzy byli wewnątrz, ostatni zeszedł ów kapral, który przybył pierwszy. Tłum powitał ich wszystkich gromkimi oklaskami; ale gdy się pojawił ostatni, wśród tej garstki wybawców, ten, który się nie lękał zawrotnej przepaści, który byłby zginął, gdyby jeden z nich musiał zginąć, tłum powitał go radośnie, jak triumfatora, krzycząc i wyciągając ku niemu ramiona z podziwem i wdzięcznością... W krótkim czasie nazwisko jego, dotychczas nikomu nie znane, Giuseppe Robbino, brzmiało na ustach wszystkich.

Czy zrozumiałeś? To jest odwaga, odwaga serca, która nie bawi się w żadne rozumowania, nie waha się, ale wpada jak ślepy piorun tam, gdzie słyszy krzyk ginącego. Zaprowadzę cię pewnego dnia na ćwiczenia strażaków ogniowych i pokażę ci kaprala Robbina, albowiem pragniesz go niezawodnie poznać, wszak prawda?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— Otóż i on — dodał mój ojciec.

Obróciłem się szybko. Dwóch pompierów, skończywszy oglądanie, szło przez pokój ku wyjściu. Ojciec wskazał mi niższego, który miał galon na ramieniu i rzekł:

— Uściśnij rękę kapralowi Robbino.

Kapral zatrzymał się i podał mi rękę z uśmiechem, uścisnąłem mu ją, ukłonił się i wyszedł.

— Zapamiętaj go sobie dobrze — rzekł do mnie ojciec — albowiem z tysięcy rąk, które będziesz w życiu ściskał, może dziesięć nie będzie godnych jego ręki.

OD APENINÓW DO ANDÓW.

(Opowiadanie miesięczne).

Przed wielu laty trzynastoletni chłopiec z Genui, syn robotnika, wybrał się ze swego miasta rodzinnego do Ameryki, sam jeden, aby szukać swej matki.

Matka jego udała się przed dwoma laty do Buenos Aires, głównego miasta Rzeczypospolitej Argentyńskiej, by wstąpić do służby w jakimś domu i zarobić w ten sposób w krótkim czasie tyle, aby poratować rodzinę, która w istocie, wskutek różnych nieszczęść, popadła w ubóstwo i długi.

Nie mało jest kobiet tak odważnych, które odbywają tak daleką podróż w takim celu i które, dzięki hojnej zapłacie, jaką utrzymuje tam służba, wracają po niewielu latach do ojczyzny, z kilku tysiącami lirów w kieszeni.

Biedna matka płakała gorzkimi łzami, gdy się żegnała ze swymi dwoma synami, z których jeden miał lat ośmnaście, drugi jedenaście, odjeżdżała jednak z odwagą i pełna nadziei. Podróż była pomyślna: zaledwie przybyła do Buenos Aires, znalazła natychmiast, za pośrednictwem kupca genueńskiego, kuzyna jej męża, który był tam od dawna osiedlony, dobrą rodzinę argentyńską, która jej płaciła hojnie i dobrze się z nią obchodziła. Przez pewien czas utrzymywała ze swoją rodziną regularną korespondencję. Tak, jak było między nimi umówione, mąż jej adresował listy do kuzyna, który je oddawał owej kobiecie; ona zaś wręczała znów jemu odpowiedzi, a on wysyłał je do Genui, dopisując kilka słów od siebie. Zarabiając osiemdziesiąt lirów miesięcznie i nie wydając nic dla siebie, wysyłała do domu co trzy miesiące dość piękną kwotę, którą mąż jej, człowiek prawy i uczciwy, spłacał zwolna najpilniejsze długi i odzyskiwał w ten sposób

dobrą opinię. On tymczasem także pracował i był zadowolony ze swego położenia, ciesząc się nadzieją, że żona powróci w niedługim czasie, albowiem dom wydawał się bez niej pusty, a młodszy synek zwłaszcza, który matkę bardzo kochał, tęsknił za nią niezmiernie i nie mógł się oswoić z jej nieobecnością.

Ale po upływie roku od czasu jej wyjazdu, po krótkim liście, w którym pisała, że nie jest zupełnie zdrowa, przestały przychodzić od niej wiadomości.

Pisali dwa razy do kuzyna i nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Pisali do rodziny argentyńskiej, u której była w służbie, ale być może, że list nie doszedł, ponieważ przekręcili nazwisko na adresie, dość, że nie otrzymali i stamtąd żadnej odpowiedzi. Obawiając się jakiegoś nieszczęścia, pisał ojciec do konsulatu włoskiego w Buenos Aires, aby zarządzono poszukiwania; po trzech miesiącach nadeszła odpowiedź od konsula, że pomimo ogłoszeń w dziennikach, nikt się nie zjawił i nie udzielił mu żadnych informacyj. Powodem tego było niewątpliwie i to, że biedna kobieta, chcąc ocalić honor rodzinny i uważając służbę za poniżenie, nie podała owej rodzinie argentyńskiej swego prawdziwego nazwiska.

Znów minęło kilka miesięcy i nie było żadnej wiadomości. Ojciec i synowie byli w trwodze, młodszego ogarniał smutek, którego nie mógł przezwyciężyć. Co tu począć? Do kogo się udać? Pierwszą myślą ojca było wyjechać do Ameryki i szukać tam swej żony. Ale musiałby tu porzucić pracę, a kto utrzymywałby przez ten czas jego dzieci? Również nie mógł wyjeżdżać starszy syn, który zaczynał właśnie coś zarabiać i był potrzebny dla rodziny. I tak żyli w tym ciężkim smutku, powtarzając codziennie te same bolesne rozmowy lub spoglądając w milczeniu na siebie. Aż raz pewnego wieczora młodszy Marek wystąpił i rzekł rezolutnie:

— Ja pojadę do Ameryki szukać matki.

Ojciec potrząsł głową ze smutkiem i nic nie powiedział. Była to myśl pochodząca z serca, ale niemożliwa do wykonania. Czyż mógł bowiem chłopiec trzynastoletni odbyć sam podróż do Ameryki, która trwała blisko miesiąc?

Ale chłopak nalegał codziennie, z wytrwałością i spokojem, rozumiejąc jasno i trzeźwo, jak dojrzały mężczyzna.

— Inni już tam jechali — mówił, — jeszcze mniejsi ode mnie. Gdy raz się znajdę na pokładzie okrętu, dojadę tam, jak każdy inny A gdy przybędę na miejsce, mam tylko odnaleźć sklep naszego krewniaka. Jest tam tylu Włochów; którykolwiek z nich wskaże mi ulicę.

Gdy znajdę kuzyna, znajdę także matkę, a gdy jego nie znajdę, udam się do konsula i będę szukał owej rodziny argentyńskiej. Cokolwiekbądź nastąpi, tam jest praca dla wszystkich; znajdę i ja robotę, przynajmniej, aby zarobić na powrót do domu.

I tak zwolna udało mu się nakłonić ojca. Ojciec cenił wysoko jego bystry rozum i odwagę, wiedział, że jest przyzwyczajony do niedostatku i do ofiar, że wszystkie jego dobre zalety nabiorą podwójnej siły w jego sercu, dla którego odnalezienie najdroższej matki było świętym celem. Przypadek zrządził właśnie, że kapitan parowca, przyjaciel jednego znajomego tej rodziny, usłyszawszy o tej sprawie, przyrzekł dać chłopcu bezpłatnie bilet jazdy trzecią klasą do Argentyny. I wtedy po krótkim wahaniu ojciec zgodził się i podróż chłopca została postanowiona. Napełniono małemu Markowi torbę chlebem, włożono mu do kieszeni kilka skudów, adres kuzyna w Buenos Aires i pewnego pięknego wieczora w miesiącu kwietniu chłopiec wszedł na pokład okrętu.

— Synu mój, drogi Marku — mówił ojciec, całując go ze łzami w oczach po raz ostatni na schodach okrętu, gotowego do odjazdu — nie trać dwagi. Jedziesz w świętej sprawie i Bóg cię nie opuści.

Biedny Marek! Miał serce mężne i był przygotowany nawet na najcięższe przejścia w tej podróży, ale gdy ujrzał, jak jego piękna Genua znika na widnokręgu i gdy się znalazł na otwartym morzu, na tym wielkim statku parowym, napełnionym wieśniakami-emigrantami, wśród obcych ludzi, z tą małą torbą, która zawierała w sobie cały jego majątek, ogarnęła go nagle wielka żałość i trwoga. Przez dwa dni siedział na przodzie okrętu skulony, jak pies opuszczony i nic prawie nie jadł, tylko łzy cisnęły mu się ciągle do oczu. Różnego rodzaju smutne myśli chodziły mu po głowie, a najuporczywiej wracała myśl najsmutniejsza, najstraszniejsza: myśl, że matka jego już nie żyje.

W snach przerywanych i niespokojnych widywał zawsze twarz jakiegoś nieznajomego mężczyzny, który spoglądał na niego z współczuciem i mówił mu do ucha: Twoja matka umarła. I wtedy budził się, z przytłumionym krzykiem rozpaczy.

Gdy jednak minęli cieśninę Gibraltarską, na pierwszy widok oceanu Atlantyckiego, nabrał nieco otuchy i nadziei. Ale tylko na krótki czas. To niezmierne morze, zawsze jednostajne, ten wzmagający się upał, smutek tych wszystkich biednych ludzi, którzy go otaczali, to straszne uczucie własnego osamotnienia, to wszystko znów budziło w nim melancholię. Dni, które następowały po sobie puste i jednostajne, mąciły mu się w pamięci, jak ludziom chorym. Zdawało mu

się, że jest już od roku na morzu. A każdego poranku, budząc się, doznawał na nowo zdumienia, że jest tu sam jeden, wśród tych niezmierzonych wód, w drodze do Ameryki.

Te piękne ryby latające, które spadały na pokład okrętu, te cudnie piękne zachody słońca w okolicach zwrotnikowych, z tymi ogromnymi chmurami koloru ognia i krwi, te fosforescencje w nocy, w których ocean cały wygląda jak palące się ogromne morze lawy, to wszystko nie czyniło wrażenia rzeczywistości, ale cudów widzianych w śnie. A potem nastały znów dni niepogody, w czasie których pozostał zawsze zamknięty w sypialni, gdzie wszystko się trzęsło i podskakiwało, a dokoła rozlegał się przerażający chór żalów i narzekań; myślał wtedy, że już wybiła ostatnia jego godzina. A potem były inne dni, w których morze było żółte i spokojne, upał nieznośny, nuda nieskończona; godziny ponure bez końca, w czasie których podróżni wycieńczeni, leżąc na ławkach nieruchomo, wyglądali jak martwi. A podróż ciągnęła się bez końca; morze i niebo, niebo i morze, dziś jak wczoraj, jutro jak dzisiaj — jeszcze — zawsze — wiecznie. A on stał długimi godzinami oparty o balustradę i spoglądał na to morze niezmierne, bez końca, oszołomiony, myśląc niejasno o matce, aż mu się w końcu oczy kleiły i głowa opadała na ręce od senności. Wtedy widywał znów ową nieznaną twarz, która patrzyła nań z wyrazem współczucia i powtarzała mu do ucha: — Twoja matka nie żyje! — Na te słowa budził się nagle, aby znów śnić z otwartymi oczyma i patrzeć na ten widnokręg, ciągle niezmienny.

*
*   *

Podróż trwała dwadzieścia siedm dni. Ale ostatnie były już lepsze. Pogoda była piękna, powietrze świeże. Marek zapoznał się z poczciwym starym Lombardczykiem, który udawał się do Ameryki, aby odwiedzić swego syna, rolnika mieszkającego blisko miasta Rosario. Opowiedział mu wszystko o swej rodzinie, a stary powtarzał co chwila, klepiąc go po ramieniu: — Nie trać odwagi, mój chłopcze, znajdziesz matkę zdrową i szczęśliwą.

Ta znajomość dodawała mu odwagi, przeczucia jego ze smutnych stały się wesołe. Siedząc na przodzie okrętu, obok starego wieśniaka, palącego fajkę, pod pięknym niebem gwiaździstym, w pośród gromadek emigrantów, śpiewających różne pieśni, po sto razy przedstawiał sobie w duchu, jak przybędzie do Buenos Aires, widział się na wskazanej sobie ulicy, znajdował sklep kuzyna i witał go szybkim pyta-

niem: — Jak się ma moja matka Gdzie jest? Chodźmy do niej co prędzej! — Po, czym biegli tam razem, szli po schodach, drzwi się otworzyły i... Tu urywało się jego dumanie, marzenie ustępowało miejsca niewysłowionej tkliwości. Wyciągał z ukrycia mały medalik, który nosił na szyi i całując go, szeptał modlitwy.

*
* *

Dwudziestego siódmego dnia od wyjazdu z Genui przybyli nareszcie do celu podróży. Na niebie błyszczała piękna różana zorza majowa, gdy okręt zarzucił kotwicę w ogromnej rzece La Plata, na której brzegu rozpościera się rozległe miasto Buenos Aires, stolica rzeczypospolitej Argentyńskiej. Ta wspaniała pogoda wydawała mu się dobrą wróżbą. Był prawie nieprzytomny z radości i niecierpliwości. Matka jego była tak blisko niego, za kilka godzin zobaczy ją. I znajdował się w Ameryce, w Nowym Świecie i miał tę odwagę, że sam odbył tę podróż.

A teraz zdawało mu się, że cała ta długa podróż nie była niczym. Przebył tę daleką przestrzeń we śnie lecąc i oto obudził się na tym miejscu. A był tak szczęśliwy, że ani się nie zdziwił, ani nie zmartwił, gdy poszukawszy w kieszeniach, nie znalazł jednego z dwóch węzełków, w których umieścił swój mały zapas pieniędzy, aby być pewniejszy, że nie zgubi wszystkiego. Ktoś mu go ukradł, zostawało mu tylko kilka lirów; ale co zależało mu na tym teraz, gdy był blisko swej matki.

Z torbą w ręku, wsiadł wraz z wielu innymi Włochami do małego statku parowego, który ich zawiózł blisko wybrzeża, przesiadł się ze statku do łodzi, mającej nazwę „Andrzej Doria" i wysiadł w porcie, pożegnawszy się ze swym starym przyjacielem lombardzkim, poczem szybkimi krokami podążył do miasta.

*
* *

Przyszedłszy do zakrętu pierwszej ulicy, zatrzymał się i prosił przechodnia, aby mu wskazał, w jakim kierunku ma iść, aby dostać się na ulicę „Los Artes". Przypadkiem trafił na włoskiego robotnika. Ten spojrzał na niego z ciekawością i zapytał go, czy umie czytać. Chłopak odpowiedział, że tak.

— Otóż — rzekł do niego robotnik, wskazując mu ulicę, z której wyszedł — idź ciągle prosto, czytając nazwy ulic na wszystkich rogach; w końcu znajdziesz i tę, której szukasz.

Chłopak podziękował mu i poszedł we wskazanym kierunku.

Była to ulica prosta i bardzo długa, ale wąska, z obu stron zamykały ją białe niskie domki, podobne do dworków wiejskich; pełno było tu ludzi, powozów i ciężkich wozów, które sprawiały hałas ogłuszający. Tu i ówdzie powiewały ogromne chorągwie różnokolorowe, na których były wypisane dużymi literami doniesienia o odjeździe okrętów do jakichś miast nieznanych.

Idąc tak, widział w pewnych odstępach czasu, z prawej i lewej strony, dwie ulice poprzeczne, które biegły prosto, jak daleko tylko okiem można było sięgnąć, również zamknięte z obu stron domkami niskimi i białymi, pełne ludzi pieszych i wozów, przecięte w głębi prostą linią ogromnej płaszczyzny amerykańskiej, podobnej do widnokręgu morza.

Miasto było, jak gdyby bez końca. Zdawało mu się, że mógłby tak iść całymi dniami i tygodniami, widząc zawsze z obu stron inne ulice, podobne do tej i że cała Ameryka musiała nimi być pokryta. Patrzał z uwagą na nazwy ulic: same nazwy obce, które odczytywał z trudnością. Przy każdej nowej ulicy czuł bicie serca, myśląc, że to może ta, której szukał. Spoglądał na wszystkie kobiety, czy może nie spotka swej matki. Ujrzał jedną przed sobą i krew uderzyła mu do głowy; dobiegł do niej i spojrzał jej w twarz: była to murzynka. I szedł tak wciąż dalej przyśpieszając kroku. Nareszcie, gdy doszedł do pewnej przecznicy, przeczytał jej nazwę i stanął nieruchomy, jak gdyby do miejsca przykuty. Była to ulica „Los Artes".

Skręcił w nią, ujrzał numer 117, sklep zaś jego kuzyna był pod numerem 175. Szedł coraz prędzej, biegnąc prawie; obok numeru 171 musiał stanąć, aby zaczerpnąć oddechu. I mówił do siebie w duchu: — O matko moja, matko moja, czy to możliwe, że cię wkrótce zobaczę?

Biegł dalej i przybył do małego sklepu spożywczego. Był to właśnie sklep, którego szukał. Wszedł do środka i ujrzał przed sobą jakąś starą kobietę z siwymi włosami, w okularach.

— Czego chcesz, chłopcze? zapytała go po hiszpańsku.

— Czy to nie jest tutaj — zapytał Marek, wydobywając z trudnością głos ze ściśnionego gardła — sklep Franciszka Merellego?

— Franciszek Merelli umarł — odpowiedziała kobieta po włosku.

Chłopiec doznał wrażenia, jak gdyby otrzymał cios w piersi.

— Kiedy umarł?

— Przed kilku miesiącami — odrzekła kobieta. — Nie wiodło mu się. Wyprowadził się stąd. Mówią, że udał się do Bakia Blanca,

bardzo daleko stąd. Zaraz potem miał tam umrzeć. Ten sklep należy teraz do mnie.

Chłopiec pobladł straszliwie, potem zaś rzekł szybko:

— Merelli znał moją matkę, moją matkę, która była tu w służbie u pana Mequineza. On jeden mógł mi podać jej adres. Przyjechałem umyślnie do Ameryki szukać swej matki. Merelli posyłał jej nasze listy. Muszę odnaleźć moją matkę!

— Biedny chłopcze — odpowiedziała stara kobieta. — Ja nie wiem. Mogę się spytać dozorcy podwórza. Znał chłopaka, który załatwiał posyłki dla Merellego. Być może, że będzie ci mógł udzielić jakich wiadomości.

Poszła w głąb sklepu i zawołała dozorcę, który przybył natychmiast.

— Powiedz mi — zapytała go — czy pamiętasz, że chłopak Merellego chodził kilka razy z listami do kobiety, służącej u pewnej rodziny tutejszej...

— U pana Mequineza — odrzekł dozorca — tak jest, chodził tam niekiedy. Nieco dalej, w tej samej ulicy.

O, pani, dziękuję — wykrzyknął Marek uradowany. — Proszę mi podać numer domu... Czy nie wiecie go? Niech mnie pani każe tam zaprowadzić... Zaprowadzić mnie tam natychmiast dozorco... Mam jeszcze kilka soldów w kieszeni.

Mówił to tak żarliwie, że dozorca, nie czekając na prośbę kobiety, odpowiedział: — Chodźmy — i wyszedł pierwszy ze sklepu szybkimi krokami.

Prawie biegnąc i nie mówiąc ani słowa, doszli wreszcie w głąb tej bardzo długiej ulicy, weszli w korytarz małego białego domku i zatrzymali się przed piękną żelazną kratą, za którą widać było małe podwórze, z mnóstwem wazonów z kwiatami. Marek pociągnął za dzwonek. Zjawiła się młoda panna.

— Czy tu mieszkają państwo Mequinez? — zapytał chłopak z niepokojem.

— Mieszkali tu — odpowiedziała panna po włosku, z akcentem hiszpańskim. — Teraz my tu mieszkamy, Zeballoz.

— A dokąd się wyprowadzili państwo Mequinez? — zapytał Marek z drżeniem serca.

— Wyjechali do Kordowy.

— Do Kordowy? — wykrzyknął Marek. — Gdzie jest Kordowa? A ta kobieta, która była u nich w służbie? Moja matka? Ta kobieta była moją matką! Czy wzięli z sobą moją matkę?

Panienka spojrzała na niego i odpowiedziała: — Nie wiem. Może mój ojciec będzie o tym wiedział, albowiem znał się z nimi, zanim wyjechali. Proszę poczekać chwilę.

Wyszła i wróciła wkrótce ze swoim ojcem; był to starzec wysoki z siwą brodą. Tenże spojrzał bystro na sympatyczną postać małego marynarza genueńskiego, z jasnymi włosami i orlim nosem i zapytał go lichą włoszczyzną:

— Matka twoja jest z Genui?

— Tak jest — odpowiedział Marek.

— Otóż kobieta, która pozostawała w służbie u tej rodziny i pochodziła z Genui, pojechała z nimi. Wiem o tym z pewnością.

— A dokąd udali się oni?

— Do Kordowy, jest to miasto.

Chłopak westchnął, potem rzekł z rezygnacją: — A zatem udam się także do Kordowy.

— Biedny chłopcze! — wykrzyknął ów pan, spoglądając na niego z politowaniem. — Biedny chłopcze! Kordowa oddalona stąd o setki mil.

Twarz Marka pokryła się śmiertelną bladością i oparł się ręką o kratę żelazną, aby nie upaść.

— Zobaczymy, zobaczymy — rzekł wtedy ów pan, tknięty współczuciem i otworzył drzwi. — Wejdź na chwilę do środka, zobaczymy, czy się co da zrobić dla ciebie.

— Usiadł, kazał mu również usiąść i opowiedzieć rzecz całą, wysłuchał go z wielką uwagą, zamyślił się, a potem rzekł szybko: — Nie masz pieniędzy, wszak prawda?

— Mam jeszcze... trochę — odrzekł Marek.

Ów pan znów się zamyślił, potem siadł przy stoliku, napisał list, zakleił go i podając chłopcu, rzekł: — Słuchaj, ty mały Włoszku. Pójdziesz z tym listem do Roca. Jest to małe miasteczko, napół genueńskie, oddalone stąd o dwie godziny drogi. Każdy potrafi wskazać ci drogę. Tam odszukasz tego pana, do którego ten list jest adresowany i którego wszyscy znają. Oddaj mu ten list. On cię wyprawi jutro do Rosario i polecił cię tam komuś, który ułatwi ci dalszą drogę do Kordowy, gdzie znajdziesz rodzinę Mequinez i twoją matkę. Tymczasem weź to.

I wsunął mu w rękę kilka lirów.

— Idź, mój chłopcze i nie trać odwagi; tu znajdziesz wszędzie ziomków i nie będziesz opuszczony. Adios.

Chłopiec odpowiedział tylko: — Dziękuję. — Nie mógł znaleźć innych słów. Poczem wyszedł ze swoją torbą i pożegnawszy się ze swym przewodnikiem, udał się zwolna w drogę do miasteczka Roca, pełen smutku i zdumienia, idąc poprzez to wielkie i hałaśliwe miasto.

*

* *

Wszystko to, co mu się wydarzyło od owej chwili, aż do wieczora następnego dnia zostało mu później w pamięci niejasne i zamącone, jak majaczenie gorączkowe chorego, tak bardzo był znużony. przygnębiony, pełen rozpaczy. A nazajutrz o zmierzchu, przespawszy noc w małej izdebce w Roca, obok tragarza portowego, spędziwszy prawie cały dzień na stosie belek, jak senny, naprzeciw tysięcy okrętów i łodzi, znalazł się na dużej łodzi żaglowej, naładowanej owocami, która jechała do miasta Rosario, prowadzona przez trzech krzepkich Genueńczyków, opalonych od słońca. Głosy tych marynarzy, ukochany dialekt, którym mówili, dodały nieco otuchy biednemu chłopcu.

Ruszyli tedy w drogę. Podróż trwała trzy dni i cztery nocy, a młody podróżnik doznawał coraz większego zdumienia. Trzy dni i cztery nocy na tej ogromnej rzece Poranie, wobec której nasz wielki Pad jest tylko małym strumykiem i której długość przewyższa długość Włoch, cztery razy wziętą.

Barka posuwała się powoli, płynąc przeciw falom tej ogromnej rzeki. Mijała długie wyspy, niegdyś gniazda wężów i tygrysów, teraz pokryte drzewami pomarańczowymi i wierzbami, podobne do pływających gajów; potem pogrążyła się w wąskich kanałach, tak że zdawało się, że nigdy z nich nie wyjdzie, to znów wypływała na szerokie wodne roztocze, podobne do rozległych cichych jezior. Potem płynęła znów między wyspami, przez kanały przecinane archipelagiem, wśród olbrzymich gąszczów roślinności.

Dokoła panowała cisza głęboka. Te brzegi i te wody samotne i szeroko się ciągnące czyniły wrażenie jakiejś nieznanej rzeki, na którą ta biedna krucha barka zapuszcza się pierwsza od stworzenia świata. Im bardziej się posuwali naprzód, tym bardziej rosła ta potworna rzeka. Marek wyobrażał sobie, że jego matka znajduje się gdzieś aż u jej źródeł i że ta żegluga może potrwać kilka lat. Dwa razy dziennie spożywał kawał chleba i nieco solonego mięsa z wioślarzami, którzy widząc go tak smutnym i zamyślonym, przestali się do niego odzywać. W nocy sypiał na pokładzie, budził się jednak co chwila nagle, zdziwiony jasnym światłem księżyca, który srebrzył te ogromne wody i odległe wybrzeże i wtedy ściskało mu się serce.

— Kordowa! — Wciąż powtarzał tę nazwę. — Kordowa! — Zdawało mu się, że to jest nazwa jednego z owych miast tajemniczych, o których słyszał w baśniach czarodziejskich. Ale potem pomyślał znów: — Matka moja przebyła tę samą drogę, widziała te wyspy i te brzegi. — I wtedy te miejsca, na których spoczywało spojrzenie jego matki, nie wydawały mu się już tak obce i tak samotne...

W nocy jeden z wioślarzy zaśpiewał. Śpiew ten przypominał mu pieśni matki, gdy go dzieckiem kołysała do snu. Ostatniej nocy, gdy usłyszał ów śpiew, zaczął łkać boleśnie. Wioślarz przerwał śpiew, a potem zawołał do niego: — Odwagi, mój chłopcze! Co u diabła! Genueńczyk nie powinien płakać, ponieważ jest daleko od swego domu. Genueńczycy krążą po całym świecie, jako sławni podróżnicy i triumfatorzy.

Słysząc te słowa, chłopiec się wzdrygnął, poczuł w swych żyłach głos krwi genueńskiej i podniósł dumnie czoło, uderzając pięścią o ster łodzi.

— Tak jest — mówił do siebie w duchu — chociażbym miał tułać się po całym świecie, podróżować jeszcze latami, odbywać setki mil pieszo, będę szedł zawsze naprzód, póki nie znajdę mej matki. Choćbym miał przybyć umierający upaść martwy u stóp jej! Byle ją tylko raz jeszcze ujrzeć! Odwagi!

W tym stanie ducha przybył o chłodnym wczesnym brzasku do miasta Rosario, leżącego na wysokim brzegu Parany, gdzie się odbijał w zwierciadle wód setki masztów okrętowych, na których powiewały sztandary wszystkich państw.

*

* *

Wkrótce po wylądowaniu, udał się Marek do miasta, niosąc w ręku swoją torbę, aby szukać swego pana argentyńskiego, do którego opiekun jego z Boca dał mu bilet wizytowy i kilka słów polecających. Gdy wszedł do Rosario, doznał wrażenia, że wchodzi do jakiegoś miasta znanego. Były to owe ulice bez końca, prosto się ciągnące, zamknięte z obu stron dworkami niskimi i białymi, przecięte we wszystkich kierunkach, ponad dachami, ogromną siecią drutów telegraficznych i telefonicznych, które wisiały jak olbrzymia pajęczyna. I znów ten tętent koni, hałas wozów, wrzawa ludzi. Doznawał zawrotu głowy; zdawało mu się, że wrócił do Buenos Aires i że musi ponownie szukać swego krewniaka.

Chodził po mieście może godzinę, to w tym, to w tamtym kierunku i zdawało mu się, że zawsze chodzi po tej samej ulicy; dopytując się, znalazł wkońcu dom swego nowego opiekuna. Zadzwonił. We drzwiach ukazał się jakiś otyły blondyn, z niemiłą twarzą, który wyglądał na rządcę domu i zapytał Marka opryskliwie, cudzoziemską wymową:

— Czego chcesz?

Chłopiec wymienił nazwisko pana domu.

— Pan — odpowiedział rządca — wyjechał wczoraj wieczorem do Buenos Aires z całą swoją rodziną.

Chłopak oniemiał. Potem wybąknął zmieszany:

— Ale ja tu nie znam nikogo... Jestem sam... I podał ów bilet polecający.

Rządca wziął go, przeczytał, potem rzekł niechętnym głosem:

— Nie wiem, co mam z tym zrobić. Oddam go panu za miesiąc, gdy powróci.

— Ależ ja tu jestem sam, potrzebuję pomocy! — zawołał chłopak błagalnym głosem.

— Idź sobie stąd — odpowiedział rządca. — Czy nie dość mamy tu, w Rosario, hołoty z twego kraju? Idź do Włoch żebrać!

I zamknął mu drzwi przed nosem. Chłopiec stał na miejscu, jak skamieniały.

Potem wziął swoją torbę i poszedł powoli, z trwogą i rozpaczą w sercu; głowa mu się kręciła. Co tu począć, gdzie się udać? Kordowa była od Rosaria oddalona o dzień jazdy koleją. Miał jeszcze zaledwie kilka lirów. Gdy potrącił to, co jeszcze będzie musiał wydać tego dnia, nie zostanie mu się prawie nic. Skąd wziąć pieniądze na podróż? Mógł zarobić. Ale gdzie u kogo szukać pracy? Prosić o jałmużnę? O, nie! Być odepchniętym, znieważonym, upokorzonym, jak przed chwilą? Za nic w świecie, raczej umrzeć!

Gdy tak, pogrążony w tych myślach, ujrzał znów przed sobą tę długą ulicę, która się gubiła daleko, na niezmiernej płaszczyźnie bez końca, poczuł, że poraz drugi opuszcza go odwaga, rzucił torbę na chodnik, usiadł na niej, oparty plecami o ścianę domu, ukrył twarz w dłoniach i pozostał tak nieruchomy, nie płacząc, jak obraz rozpaczy.

Przechodnie potrącali go nogami; wozy przejeżdżały ulicą z hałasem; kilku chłopców zatrzymało się koło niego i przypatrywało mu się z ciekawością. On zaś siedział tak ciągle nieruchomy.

Nagle wstrząsnął się słysząc głos jakiś, który do niego przemówił po włosku, w narzeczu lombardzkim:

— Co ci jest, chłopczyno?

Podniósł głowę na te słowa, skoczył i zawołał zdumiony:

— Wy tutaj?

Był to ów stary wieśniak lombardzki, z którym zawarł przyjaźń w czasie podróży na okręcie.

Wieśniak był niemniej od niego zdziwiony. Ale chłopiec nie dał mu czasu na zadawanie pytań, lecz odpowiedział mu szybko wszystkie swoje przygody.

— A teraz — mówił — jestem bez pieniędzy; muszę pracować; może znajdziecie jakie zajęcie, abym mógł uzbierać kilka lirów. Podejmuję się chętnie każdej roboty: mogę nosić pakunki, zamiatać ulice, biegać za posyłkami lub pracować na wsi w polu. Poprzestanę na suchym chlebie, bylebym mógł tylko wyjechać jak najprędzej i znaleźć wreszcie moją matkę. Wyświadczcie mi to dobrodziejstwo, wyszukajcie mi jaką robotę, na miłość boską, bo już nie wytrzymam dłużej.

Tam do kaduka! — zawołał wieśniak, oglądając się dokoła i drapiąc się w brodę. — Co to za dziwna historia!... Robota... łatwo powiedzieć, ale gdzie znaleźć!... Zastanówmy się nieco. Czy nie możnaby zebrać trzystu lirów pomiędzy naszymi ziomkami, których tu jest dość wielu?

Chłopak spojrzał na niego, a w sercu jego obudził się promień nadziei.

— Chodź ze mną — rzekł do niego wieśniak.

— Dokąd? — zapyał Marek biorąc torbę.

— Chodź ze mną.

I ruszył z miejsca, a Marek poszedł za nim. Przeszli razem długi kawał drogi, nic nie mówiąc. Nareszcie wieśniak zatrzymał się przed osterią, która miała jako szyld gwiazdę, a u dołu widniał napis „Jutrzenka Włoch", włożył głowę we drzwi, cofnął ją i zwracając się do chłopca, rzekł z zadowoleniem:

— Przyszliśmy w dobrą chwilę. Chodź ze mną.

Weszli do izby, gdzie stały różne stoły; przy nich siedziało wielu mężczyzn, którzy pili i rozmawiali głośno. Stary Lombardczyk przystąpił do pierwszego stołu, a po sposobie, w jakim się przywitał z sześciu siedzącymi przy nim gośćmi, można było poznać, że do niedawna był, w ich towarzystwie. Wszyscy mieli twarze czerwone i brząkali szklankami, głośno rozmawiając i śmiejąc się.

— Towarzysze— rzekł Lombardczyk bez żadnego wstępu, stojąc

i przedstawiając im Marka — oto biedny chłopiec, nasz rodak, który przybył sam jeden z Genui do Buenos Aires, aby znaleźć swoją matkę. W Buenos Aires powiedziano mu: — Tu jej niema; jest w Kordowie. — Przybył w barce do Rosario, płynął trzy dni i trzy noce, mając z sobą kilka słów polecających. Oddaje bilet, lecz znajduje złe przyjęcie. Nie ma ani jednego centesima, jest tu sam i nie zna nikogo. Chłopak pełen serca w tak rozpaczliwym położeniu. Zastanówmy się nieco. Czy nie możnaby zebrać tyle, aby kupić mu bilet do Kordowy, by mógł tam odnaleźć swą matkę? Czy mamy go tu zostawić opuszczonego, jak psa?

— Nigdy w świecie, na Boga! To rzecz niemożliwa! — wykrzyknęli wszyscy naraz, uderzając pięściami o stół. Nasz rodak! — Chodź tu, chłopcze! — To my, emigranci! — Co to za piękny chłopiec! — Wyciągajcie grosze, towarzysze! — Brawo! Sam tu przybył! — Zuch chłopiec! — Napij się z nami, ziomku! — Wyślemy cię do matki, nie troszcz się, mały!

I jeden szczypnął go w policzek, drugi poklepał go po ramieniu, trzeci wziął mu z ręki torbę; inni emigranci powstali od sąsiednich stołów i przystąpili do niego. Historia biednego chłopca poczęła krążyć po całej osterii, z sąsiedniego pokoju weszło trzech Argentyńczyków i nie upłynęło jeszcze dziesięć minut, a stary wieśniak lombardzki, który zbierał datki do swego kapelusza, miał w nim czterdzieści dwa lirów.

— Widzisz — rzekł wtedy, zwracając się do chłopca — jak to się prędko robi w Ameryce?

— Napij się — zawołał do niego ktoś z gości, podając mu szklankę wina. — Za zdrowie twej matki.

Wszyscy podnieśli w górę szklanki; Marek powtórzył: — Za zdrowie mej... — Nie mógł jednak dokończyć, radosne łkanie ścisnęło mu gardło, postawił szklankę na stole i rzucił się staremu Lombardczykowi na szyję.

Nazajutrz rano, o świcie, wyjechał do Kordowy, szczęśliwy, pełen otuchy i najlepszych przeczuć. Ale niema takiej wesołości, którąby nie ustąpiła pod wrażeniem posępnych widoków natury. Dzień był szary, pochmurny; pociąg, prawie próżny, pędził przez niezmierną równinę, na której nie było śladu mieszkań ludzkich. Siedział sam w długim wagonie, podobnym do tych, które przewożą rannych. Spoglądał na prawo, to znów na lewo, ale wszędzie widział tylko głuchą pustynię bez końca, na której tu i ówdzie rosły karłowate drzewa niekształtne, o pniach i gałęziach potwornych i powykręcanych, jak gdyby z gniewu lub przerażenia przybrały tę postać. Była to roślinność ponura, uboga i smutna, która nadawała całej tej płaszczyźnie wygląd ogromnego cmentarza.

Drzemał pół godziny, potem znów wyjrzał przez okno: zawsze ten sam widok. Stacje kolejowe były samotne, jak domy pustelników, a gdy pociąg przed którą z nich stawał, nie słychać było żadnych głosów ludzkich; zdawało mu się, że jest sam jeden w jakimś pociągu zabłąkanym i opuszczonym wśród bezbrzeżnej pustyni. Miał wrażenie, jak gdyby każda stacja miała już być ostatnia i że potem wjedzie w owe ziemie tajemnicze i straszne, które zamieszkują dzikie plemiona. Mroźny wiatr szczypał go w twarz. Gdy wsiadł na okręt w Genui z końcem kwietnia, ojciec i brat nie myśleli o tym, że w Ameryce zastanie zimę; miał przeto na sobie ubranie letnie. Więc po kilku godzinach jazdy począł cierpieć od zimna, a wraz z zimnem odczuwał także ogromne znużenie po tych dniach, pełnych gwałtownych wzruszeń i po tych nocach, spędzonych bezsennie, wśród trudów.

Zasnął, spał długo i obudził się cały zdrętwiały. Czuł, że mu niedobrze. I wtedy ogarnęła go straszna trwoga, że zachoruje i umrze wśród drogi i że go porzucą wśród tej równiny rozpaczliwie smutnej, gdzie ciało jego byłoby wkrótce poszarpane przez psy i ptaki drapieżne, jak ciała krów, które widział leżące przy drodze i od których odwracał oczy ze wstrętem. Pod wpływem tego niepokoju, wśród tego ponurego milczenia w przyrodzie myśli jego i uczucia stawały się również posępne.

Czy mógł być pewny, że znajdzie matkę w Kordowie? A jeżeli jej tam nie będzie? Czyż ów pan z ulicy Los Artes nie mógł być w błędzie? A gdyby już nie żyła? Wśród tych myśli znów zasnął, śniło mu się, że jest w nocnej porze w Kordowie i że słyszy ze wszystkich drzwi i okien wołanie: — Niema jej tutaj! Niema! Niema!

Zbudził się nagle z przestrachem i ujrzał w głębi wagonu trzech brodaczy, owiniętych szalami różnokolorowymi, którzy na niego spoglądali, szepcąc coś cicho między sobą. Wtedy obudziło się w nim srasznc podejrzenie, że to jacyś zbrodniarze, którzy go chcą zamordować, aby zrabować jego torbę. Do uczucia zimna i znużenia przyłączyła się jeszcze trwoga; wyobraźnia jego, już podniecona, nasuwała mu przerażające obrazy. Ci trzej podróżni wciąż patrzyli na niego, jeden z nich wstał i począł iść ku niemu; wtedy chłopiec stracił głowę i biegnąc naprzeciw niego z wyciągniętymi ramionami, krzyczał:

— Nie mam nic. Jestem biednym chłopcem. Przybywam z Włoch, szukam matki, jestem sam jeden. Proszę mi nic złego nie robić.

Podróżni zrozumieli jego trwogę, mieli litość nad nim, poczęli go głaskać i uspokajać, mówiąc do niego językiem, którego wcale nie rozumiał, a widząc, że z zimna szczęka zębami, owinęli go jednym ze swoich szalów i kazali mu znów usiąść, aby zasnął. Usnął też, gdy zmrok zapadał. Gdy go obudzili, był już w Kordowie.

* * *

Odetchnął głęboko i z pośpiechem wyskoczył z wagonu. Zapytał jednego z urzędników kolejowych, gdzie się znajduje dom inżyniera Mequineza: ten wymienił mu nazwę kościoła, obok którego dom się znajdował. Chłopak wyruszył w drogę. Była noc, gdy wszedł do miasta. I zdawało mu się, że wchodzi ponownie do miasta Rosario; znów widział te ulice proste i długie, zamknięte z obu stron małymi domkami białymi i przecięte innymi ulicami, również prostymi i długimi. Spotykał jednak na nich bardzo mało ludzi, a gdy przy świetle nielicznych latarń spojrzał w twarze przechodniów, wydawały mu się dziwne, o jakimś nieznanym mu kolorze, niby czarnym, niby zielonawym. Podnosząc głowę, od czasu do czasu, widział kościoły o jakiejś dziwnej architekturze, rysujące się olbrzymimi kształtami na widnokręgu. Miasto było ciemne i milczące; po tej ogromnej pustyni jednak, którą przebył, wydawało mu się wesołe.

Spotkawszy księdza, zapytał go o drogę, znalazł wkrótce potem kościół i dom, drżącą ręką przyciągnął za dzwonek a drugą ręką przycisnął do piersi, aby przytłumić gwałtowne bicie serca, które mu omal piersi nie rozsadziło.

Stara kobieta otworzyła mu drzwi, trzymając lampę w ręku.

Chłopak nie mógł zrazu przemówić.

— Kogo szukasz? — zapytała go po hiszpańsku.

Inżyniera Mequineza — odpowiedział Marek.

Stara uczyniła taki ruch, jak gdyby chciała skrzyżować ręce na piersiach, po czym odpowiedziała, potrząsając głową:

— I ty także masz interes do inżyniera Mequineza! Zdaje mi się, że toby się już powinno skończyć. Już od trzech miesięcy ludzie mi dokuczają i naprzykrzają się pytaniami. Nie dość, że ogłoszono w dziennikach, trzebaby wydrukować jeszcze na wszystkich rogach ulic, że pan Mequinez przeniósł się do Tucuman.

Marek uczynił gest rozpaczliwy, po czym porwał go wybuch gniewu.

— A więc jakieś przekleństwo ściga mnie bez litości!... Mam umrzeć na ulicy, wśród drogi, nie znalazłszy mej matki! Oszaleję! Zabiję się! Boże mój! Jak się nazywa ta miejscowość? Gdzie leży? Czy daleko stąd?

— Biedny chłopcze — odpowiedziała staruszka z politowaniem. — Drobnostka! Czterysta lub pięćset mil stąd, biorąc niskie cyfry.

Chłopiec ukrył twarz w dłoniach, po czym zapytał łkając: Cóż mam teraz uczynić?

— Cóż mam ci powiedzieć, mój biedny chłopcze — odpowiedziała kobieta. — Nie wiem.

Ale w tej chwili błysnęła jej jakaś myśl nagła i dodała pośpiesznie:

— Posłuchaj, co mi wpadło na myśl. Spróbuj jeszcze. Idź ulicą na prawo, znajdziesz w trzeciej bramie podwórze, tam mieszka „capataz", to jest kupiec, który jedzie jutro rano do Tucuman ze swoimi wozami i wołami. Spróbuj, może cię zechce wziąć ze sobą i ofiaruj mu swoje usługi. Może ci da miejsce na jednym wozie. Idź co prędzej.

Chłopiec chwycił torbę i podziękowawszy, wybiegł z domu. W kilka chwil później był już na obszernym podwórzu, oświetlonym latarniami, gdzie kilku ludzi ładowało worki zboża na ogromne wozy, podobne do ruchomych domów linoskoczków, mające okrągłe dachy i wysokie koła. Jakiś mężczyzna wysokiego wzrostu, o długich włosach owinięty szerokim płaszczem w białe i czarne kratki, w dużych butach z cholewami, kierował tą pracą. Marek zbliżył się do niego i przedstawił mu nieśmiało swoją prośbę, mówiąc że przybywa z Włoch i że szuka swej matki.

Capataz, który jest tu kierownikiem tych transportów, zmierzył go bystrym spojrzeniem od stóp do głowy i odpowiedział krótko

— Nie ma miejsca.

— Mam piętnaście lirów — rzekł chłopak błagalnie — dam je panu chętnie. W czasie drogi będę pracował. Będę nosił wodę i paszę dla bydła, będę robił wszystko, co pan każe. Nieco chleba wystarczy mi. Niech mi pan pozwoli usiąść na jednym z wozów.

Capataz znów się mu jął przypatrywać i odpowiedział nieco łagodniejszym głosem: — nie ma miejsca... a zresztą... my nie jedziemy do Tucuman, jedziemy do innego miasta, Santiago dell'Estero. W pewnym punkcie drogi musielibyśmy cię zostawić samego i miałbyś jeszcze duży kawał drogi odbyć piechotą.

— Choćby nawet było dwa razy tyle — wykrzyknął Marek — pójdę chętnie piechotą. Dostanę się tam w każdym razie. Na miłość

Boską, daj mi pan choćby najmniejsze miejsce na jednym z wozów. Zlituj się pan nade mną, nie zostawiaj mnie pan tu samego.

— Pomyśl, że to dwadzieścia dni drogi.

— To nic nie szkodzi.

— Podróż bardzo uciążliwa.

— Zniosę wszystko.

— Będziesz musiał iść sam jeden.

— Nie boję się niczego. Bylebym tylko odnalazł matkę. Zmiłuj się pan nade mną.

Capataz zbliżył mu do twarzy latarkę, którą trzymał w ręku i przypatrywał mu się uważnie. Potem rzekł: — dobrze.

Chłopak pocałował go w rękę.

— Tej nocy będziesz spał na wozie — dodał Capataz — jutro rano o czwartej obudzę cię. Buenas noches. Dobranoc.

*

* *

Rano o czwartej, przy świetle gwiazd, długi rząd wozów wyruszył w drogę z wielkim hałasem: każdy wóz ciągnęło sześć wołów, za wozami zaś szła wielka liczba bydląt na zmianę. Marek zbudzony i umieszczony na jednym z wozów, na workach, zasnął wnet znów snem głębokim.

Gdy się obudził, cały konwój wypoczywał na miejscu ustronnym i słonecznym, a wszyscy ludzie, należący do tej wyprawy, zwani „los peones", siedzieli na ziemi, dokoła ćwierci cielęciny, która się piekła pod gołym niebem, nadziana na rodzaj rożna, osadzonego w ziemi, przy dużym ognisku, które wiatr rozdymał.

Wszyscy jedli razem, przespali się, a potem wyruszyli w dalszą drogę; i tak podróż ta odbywała się regularnie, jak pochód żołnierzy. Każdego rana wyruszyli wdrogę o piątej; zatrzymywali się o dziewiątej, podejmowali dalszą podróż o piątej wieczorem, przerywali ją o dziesiątej w nocy. Peonezi jechali na końcach i popędzali woły długimi kijami. Chłopiec rozniecał ogień, dawał jeść bydlętom, czyścił latarki i przynosił wodę do picia.

Kraj, przez który przejeżdżali, wydawał im się niewyraźną wizją: rozległe zarośla małych drzew brunatnych; wioski z niewielu domków rozsypanych, których fasady były czerwono malowane i ząbkowane, ogromne przestrzenie, może starożytne koryta wielkich jezior słonych, bielejące solą, dokąd tylko wzrok sięgał; a ze wszystkich stron, wciąż równina, głucha pustka, milczenie. Bardzo rzadko spotykano dwóch lub trzech podróżnych konno, z uwiązanymi końmi zapasowymi, którzy przyjeżdżali galopem, jak wiatr. Dni były zawsze jednakowe, jak na morzu, pochmurne i bez końca, ale pogoda sprzyjała.

Jednak peonezi stawali się z każdym dniem coraz bardziej wymagającymi, jak gdyby chłopak był ich płatnym służącym; niektórzy obchodzili się z nim brutalnie i odgrażali mu się, wszyscy żądali usług bez żadnego względu, kazali mu dźwigać ogromne ciężary paszy, posyłali go daleko po wodę, a on, wyczerpany tą ciężką pracą, nie mógł jednak sypiać po nocach, potrząsany ustawicznie gwałtownym podskakiwaniem wozu i budzony ze snu skrzypieniem ogłuszającym kół i brzękiem żelaza. A na domiar wszystkiego złego zerwał się wiatr i cienki pył, czerwonawy i tłusty, pokrywał wszystko, wdzierał się do wozu, wchodził mu pod ubranie, napełniał mu oczy i usta, przeszkadzał mu patrzeć, tamował oddech, nieznośny i dokuczliwy.

Wycieńczony ciężkimi trudami i bezsennością, obdarty i brudny, łajany i poniewierany od rana do wieczora, biedny chłopak z każdym dniem bardziej upadał na duchu i byłby stracił wszelką nadzieję i odwagi, gdyby go capataz nie pokrzepiał niekiedy życzliwym słowem. Często siedząc w kącie wozu niewidziany przez nikogo, płakał, oparłszy twarz o swoją torbę, która już zawierała tylko same łachmany. Co rana wstawał bardziej osłabiony i upadły na duchu, a patrząc na okolicę, widząc zawsze tę samą równinę bezbrzeżną, nieubłaganą, jak gdyby ocean ziemi pustej, mówił sobie w duchu. — O, nie doczekam się tego wieczora, nie doczekam się. Dziś umrę w drodze.

A trudy wzrastały, obejście tych ludzi z nim stawało się coraz dokuczliwsze.

Pewnego poranku, ponieważ przyniósł wodę za późno, jeden z peonezów, w nieobecności capataza, uderzył go. I odtąd poczęli to robić regularnie, gdy dawali mu jakiś rozkaz, częstowali go szturchańcem, mówiąc szyderczo: — Weź to do swej torby, włóczęgo! Zanieś to twej matce!

Serce mu pękało z bólu; zachorował. Leżał trzy dni na wozie nakryty kołdrą, szczękając zębami w febrze i nie widując nikogo, oprócz capataza, który przynosił mu pić i badał puls jego. I wtedy uważał się już za zgubionego i wzywał rozpaczliwie swej matki, wołając jej sto razy po imieniu: — O, moja matko, matko moja! Wesprzyj mnie! Przyjdź do mnie, abym mógł umrzeć! Biedna matko moja, której już nigdy nie zobaczę! Biedna matko, która mnie znajdziesz nieżywego na drodze!

I składał ręce na piersiach i modlił się żarliwie.

Wnet jednak, dzięki troskliwości capataza, stan jego polepszył się i wyzdrowiał, ale wraz z wyzdrowieniem nadszedł także dzień najstraszniejszy w jego podróży, dzień, w którym miał zostać sam. Więcej, aniżeli dwa tygodnie byli już w drodze. Gdy przybyli do miejsca, gdzie od drogi do Tucuman, odgałęzia się droga, wiodąca do Santiago dell' Estero, capataz oznajmił mu, że muszą się rozstać. Dał mu kilka wskazówek co do drogi, włożył mu torbę na plecy, aby mu było łatwiej iść i pożegnał się z nim krótko, jak gdyby się obawiał własnego rozczulenia. Marek ledwie miał czas pocałować go w rękę. Także i inni ludzie, którzy się z nim tak źle obchodzli, odczuwali nieco litości, widząc, że zostaje tak sam jeden i opuszczony i oddalając się, pożegnali go przyjaznym ruchem ręki. Chłopiec odpowiedział im na ich pożegnanie, stał długo i patrzył za konwojem, aż mu znikł z oczu, w chmurze czerwonego kurzu, po czym z głębokim smutkiem ruszył w dalszą drogę.

* * *

Jedna rzecz wszakże, zaraz na samym początku, dodawała mu nieco otuchy. Oto po tylu dniach podróży przez ową równinę, zawsze jednostajną i niemającą końca, ujrzał przed sobą łańcuch bardzo wysokich gór niebieskich, z białymi szczytami, które mu przypominały jego Alpy i dawały mu złudzenie, że go zbliżają do rodzinnego kraju. Były to Andy, skalisty grzbiet kontynentu amerykańskiego, olbrzymie pasmo gór, które się ciągnie od ziemi Ognistej, aż do morza lodowatego pod biegunem na przestrzeni stu dziesięciu stopni szerokości geograficznej.

Wzmacniało go także to, że powietrze stawało się coraz cieplejsze, a to dlatego, ponieważ idąc ku północy, znów ku północy, zbliżał się do stron zwrotnikowych. W wielkich odległościach od siebie znajdowały się małe grupy domów z ubogim sklepikiem i kupował tam coś do jedzenia. Spotykał mężczyzn na koniach; widywał często kobiety i dzieci siedzące na ziemi, nieruchome i poważne. Twarze ich, jakich jeszcze nie widział, zwrócone były ku niemu, miały cerę ziemistą, skośne oczy i wystające kości policzków. Ludzie ci patrzyli na niego nieruchomo, odprowadzali go spojrzeniem, obracając głowy powoli, zupełnie, podobni do automatów. Byli to Indianie.

Pierwszego dnia szedł, póki go siły nie opuściły, noc zaś przespał pod drzewem. Drugiego dnia odbył już znacznie mniejszą drogę i mniej miał odwagi. Buty mu się podarły, nogi miał pokaleczone, żołądek osłabiony od złego pożywienia. Gdy nadszedł wieczór, ogarnął go niepokój. Przypomniał sobie, że opowiadano we Włoszech, iż w krajach tych są węże, zdawało mu się, że słyszy jakieś czołganie się, zatrzymywał się, potem szedł znów, a zimne dreszcze przebiegały mu po całym ciele. Niekiedy ogarniała go wielka litość nad sobą samym i idąc, płakał cicho. A potem pomyślał znów w duchu: — O, jak bardzo cierpiałaby moja biedna matka, gdyby wiedziała, że ja się tak boję! — Ta myśl dodawała mu znów odwagi.

Aby tedy odpędzić od siebie strach, myślał wciąż o niej, przypominał sobie jej słowa, którymi go żegnała, gdy wyjeżdżała z Genui, to znów, jak mu poprawiała kołdrę w łóżeczku, gdy był jeszcze dzieckiem, jak często brała go na ręce, mówiąc: — Bądź trochę przy mnie — i tak stała długi czas w zamyśleniu, z głową opartą o jego główkę. Mówił do siebie w duchu: — Czy cię znów kiedy zobaczę, droga matko? Czy dojdę kiedy do końca mej podróży, matko moja?

I szedł ciągle naprzód, wśród nieznanych mu drzew, obok rozległych plantacyj trzciny cukrowej, przez stepy bez końca mając zawsze przed sobą, owe ogromne góry niebieskie, których wysokie szczyty rysowały się na pogodnym niebie. Tak minęło cztery dni, pięć, tydzień. Siły chłopca znikały szybko, nogi mu się krwawiły. Wreszcie pewnego wieczora, gdy zachodziło słońce, spotkany przechodzień powiedział mu: — Tucuman jest oddalony stąd o pięć mil.

Marek wydał okrzyk radości, przyśpieszył kroku, jak gdyby naraz odzyskał całą swoją dawną krzepkość. Ale było to tylko krótkie złudzenie. Siły go znów opuściły i upadł wyczerpany nad brzegiem rowu przydrożnego. Serce jednak biło mu z radości. Niebo, zasiane gęsto promiennymi gwiazdami, nie wydawało mu się nigdy tak piękne, jak teraz. Spoglądał na nie, wyciągnięty na murawie do snu i myślał, że może w tej chwili także i matka jego na nie patrzy. I mówił sobie w duchu: — O matko moja, gdzie jeseś? Co porabiasz w tej chwili? Czy myślisz o twoim synu, o twoim Marku, który jest tak blisko ciebie?

* * *

Biedny Marek, gdyby był mógł widzieć, w jakim stanie się znajdowała jego matka w owym czasie, byłby uczynił nadludzki wysiłek, aby iść dalej i przybyć do niej kilka godzin wcześniej. Była chora, leżała w łóżku, w parterowym pokoju wytwornej willi, gdzie mieszkała cała rodzina inżyniera Mequineza, która miała dla niej wiele życzliwości i otaczała ją staranną opieką.

Biedna kobieta zapadła na zdrowiu już wtedy, gdy inżynier Mequinez musiał wyjechać nagle z Buenos Aires, a dobry klimat w Kordowie nie przywrócił jej sił. Później zaś, gdy nie otrzymywała żadnych odpowiedzi na swoje listy, ani od męża, ani od kuzyna, ustawicznie przeczucie jakiegoś wielkiego nieszczęścia, ciągła obawa, w jakiej żyła, niepewna, czy ma wyjeżdżać, czy zostać, oczekując codziennie jakiejś żałobnej wiadomości, to wszystko pogorszyło jej stan w nadzwyczajny sposób. Wkońcu objawiła się u niej bardzo poważna choroba, niebezpieczne zapalenie kiszek, które ją na piętnaście dni przykuło do łóżka. Była konieczna operacja chirurgiczna, aby ocalić jej życie.

I w tejże samej chwili, w której Marek przywoływał na pamięć jej obraz, stali oboje państwo Mequinez obok jej łoża i starali się ją nakłonić łagodnymi słowami, aby się poddała operacji, ona zaś upierała się z płaczem, że nie chce. Dobry lekarz z Tucuman był już u niej przed tygodniem, ale napróżno.

— Nie, moi drodzy państwo — mówiła — nie liczcie na to. Nie mam dość sił, aby wytrzymać taką operację, umarłabym pod nożem chirurga. Lepiej, abym już tak umarła. Nie zależy mi już teraz na życiu. Wszystko się już dla mnie skończyło. Lepiej, abym umarła, zanim się dowiem, co się wydarzyło w mej rodzinie.

A państwo dalej tłumaczyło jej, że należy mieć odwagę, że gdyby była ostatnie swe listy wysłała wprost do Genui, byłaby z pewnością orzymała odpowiedź, że powinna się poddać operacji już przez wzgląd na swoje dzieci. Ale myśl o dzieciach jeszcze bardziej powiększyła jej trwogę w rozpacz głęboką, która ją traciła od długiego czasu. Na te słowa wybuchła gwałtownym płaczem.

— O, moje dzieci, moje dzieci! — wołała, składając dłonie — może was już niema na świecie. Lepiej, abym ja także umarła. Dziękuję wam, moi dobrzy państwo, dziękuję wam z całego serca. Ale lepiej dla mnie, abym umarła. Jestem pewna, że i po operacji nie wyzdrowiałabym. Dziękuję wam, moi dobrzy państwo, za waszą opiekę i troskliwość. Niech już lekarz nie przyjeżdża tu znów pojutrze. Wolę umrzeć. Moim przeznaczeniem jest, abym tu umarła. Niech więc tak będzie.

Inżynier jednak i jego żona nie ustępowali, lecz dalej ją pocieszali i powtarzali: — Nic, nie mówcie tego. — Brali ją za ręce i prosili, by ich słuchała. Ale chora zamknęła oczy, wyczerpana i popadła w stan odrętwienia, że wydwała się już nieżywa.

Pan i pani zatrzymali się przy niej chwilę i przy słabym świetle

małej lampki przypatrywali się z głębokim współczuciem tej podziwienia godnej matce, która, aby pomóc swej rodzinie, przybyła tutaj umierać o sześć tysięcy mil od swej ojczyzny, umierać po tylu trudach i cierpieniach. Biedna kobieta, taka zacna, taka dobra, a taka nieszczęśliwa.

* * *

Nazajutrz wczesnym rankiem, ze swoją torbą na plecach, zgarbiony i kulejący, ale pełen otuchy, Marek wchodził do miasta Tucuman, jednego z najmłodszych i najbardziej kwitnących miast rzeczypospolitej Argentyńskiej. I zdawało mu się, że znów widzi Kordowę, Rosario, Buenos Aires; były to te same ulice proste i długie i te same domy niskie i białe; ale wszędzie była tu roślinność wspaniała i świeża, powietrze przesycone balsamiczną wonią, światło widowne, niebo jasne i pogodne, jakiego nigdy jeszcze nie widział, nawet w Italii.

Idąc śpiesznie ulicami, odczuwał ten sam niepokój gorączkowy, który go pochwycił w Buenos Aires; spoglądał na okna i drzwi wszystkich domów, patrzył na wszystkie kobiety, które spotykał, z trwożną nadzieją, że ujrzy swą matkę. Chciałby chętnie zapytywać wszystkich, a nie śmiał zatrzymywać nikogo. Przechodnie jednak oglądali się za tym biednym chłopcem obdartym i okrytym kurzem, po którym można było poznać, że przychodzi z daleka. On zaś szukał między ludźmi, których spotykał, twarzy, któraby w nim budziła zaufanie, aby zwrócić się do tej osoby z pytaniem budzącym w nim trwogę, gdy wtem spojrzenie jego padło na szyld sklepu, na którym widniało nazwisko włoskie. W sklepie tym znajdował się jakiś mężczyzna w okularach, a obok niego były dwie kobiety.

Marek zbliżył się powoli do drzwi i zapytał, zdobywszy się na odwagę: — Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mieszka rodzina Mequinez?.

— Rodzina inżyniera Mequineza? — zapytał właściciel sklepu.

— Tak jest, rodzina inżyniera Mequineza, — odpowiedział chłopiec drżącym głosem.

— Rodzina Mequinez — rzekł kupiec — nie mieszka w Tucuman.

Na te słowa wyrwał się z piersi chłopca krzyk bólu i rozpaczy, jakgdyby go kto przebił sztyletem.

Właściciel sklepu i kobiety zerwali się z miejsc swoich, kilku sąsiadów przestraszonych przybiegło.

— Co ci jest, chłopcze? — zapytał właściciel sklepu, ciągnąc go do sklepu i zmuszając, aby usiadł. — Cóż u diabła i niema powodu

do rozpaczy. Państwo Mequinez niema tutaj, są jednak niedaleko stąd, o kilka godzin od Tucuman.

— Gdzie, gdzie? — wykrzyknął Marek, zrywając się z miejsca, jak gdyby obudzony do nowego życia.

— O piętnaście mil stąd — mówił dalej ów kupiec — na wybrzeżu Saladillo, gdzie budują właśnie wielką cukrownię i osadę przy niej. Tam jest też dom pana Mequineza, wszyscy go znają, przybędziesz tam za kilka godzin.

— Byłem tam przed miesiącem — zawołał pewien młodzieniec, który przybiegł na krzyk Marka.

Marek spojrzał nań dużymi oczyma: zapytał go szybko, blednąc: — Czy widział pan służącą pana Mequineza, Włoszkę?

— Genuenkę? Widziałem.

Marek wybuchł konwulsyjnym łkaniem, w którym był śmiech i płacz zarazem. Potem zapytał z wybuchem dzikiej energii: — Którędy tam droga prowadzi? Proszę mi prędko powiedzieć, gdyż muszę tam iść natychmiast. Proszę mi wskazać drogę.

— Ależ to, cały dzień trzeba tam iść — odpowiedzieli mu wszyscy naraz. — Jużeś strudzony, musisz wypocząć, jutro wyruszysz w drogę.

— To rzecz niemożliwa — odrzekł chłopiec. — Proszę mi powiedzieć, którędy mam iść; nie czekam dłużej ani chwili, idę natychmiast, chociażbym miał umrzeć w drodze.

Widząc, że jest tak stanowczo zdecydowany, obecni nie stawiali mu już żadnych przeszkód. — Niech Bóg cię prowadzi — mówili do niego. — Uważaj, jak będziesz szedł przez las. — Szczęśliwej drogi mały Włochu.

Jeden z nich wyprowadził go z miasta, wskazał mu drogę, udzielił mu kilka wskazówek i patrzył za nim, aż chłopiec ruszył w drogę. Po klku minutach, Marek znikł, kulejąc, ze swoją torbą na plecach, za gęstymi drzewami, które rosły z obu stron drogi.

*
*   *

Ta noc była okropna dla biednej chorej. Miała straszne boleści, które jej wydzierały gwałtowne jęki i chwilami odbierały jej przytomność. Kobiety, które się nią opiekowały, traciły głowę. Pani Mequinez przybiegała co chwila przerażona. Wszyscy poczęli się obawiać, że gdyby się nawet zdecydowała poddać operacji, lekarz, który miał przybyć nazajutrz rano, przybyłby za późno.

W chwilach jednak, kiedy odzyskiwała przytomność można było poznać, że najstraszniejszą męczarnią dla niej nie były cierpienia fizyczne, ale myśl o dalekiej rodzinie. Wybladła, wycieńczona, z twarzą zmienioną, rozpaczliwym ruchem zatapiała swe dłonie we włosach i przejmującym głosem wołała: — Boże mój, Boże! Umierać tak daleko, umierać, nie ujrzawszy ich wprzód! Moje wierne dzieci, które pozostaną bez matki, biedne moje robaczki, moje sierotki! Mój Marek, który jest jeszcze taki mały, takie dobre i kochające dziecko! Państwo nie wiecie, co to za chłopiec. O, gdyby pani wiedziała. Kiedy wyjeżdżałam z domu, nie mógł się oderwać od mojej szyi; tak szlochał, że aż litość brała, zdawało się, że przeczuwa, iż już nigdy nie ujrzy swej matki. Biedne moje dziecko! Omal mi serce nie pękło. O, gdybym była wtedy umarła, gdy on się ze mną żegnał? O gdyby we mnie był wtedy piorun uderzył! Biedny mój chłopak; on, który mnie tak kochał, który tak bardzo potrzebował mej opieki, on, Marek, bez matki, w nędzy, będzie musiał pójść na żebry. Mój Marek, który wygłodniały będzie wyciągał rękę po jałmużnę. O, Boże Święty, nie chcę umierać. Proszę natychmiast zawezwać lekarza. Niech przyjdzie, niech mnie kraje i ćwiartuje, niech oszaleję, ale niech mi ocali życie! Chcę wyzdrowieć, chcę żyć, wyjechać stąd, uciec, jutro, natychmiast! Lekarza, pomocy, pomocy!

Kobiety, które ją pielęgnowały, chwytały ją za ręce, głaskały, uspokajały, mówiły o Bogu, w którym należy pokładać nadzieję. A wtedy chora popadała znów w śmiertelne przygnębienie, płakała, szarpała rękoma siwe włosy, jęczała jak dziecko, szepcąc od czasu do czasu: — O, moja Genuo! Moje ty miasto! Mój domie i ty, morze moje!... Mój Marku! Biedny mój Marku! Gdzie jesteś teraz, moje biedne dziecko?

*
*   *

Była północ, a jej biedny Marek, spędziwszy kilka godzin na brzegu rowu, wyczerpany, szedł dalej przez rozległy las olbrzymich drzew, wśród potwornej roślinności, między pniami niezmiernymi, podobnymi do kolumn w kościołach katedralnych, które wznosiły do nieprawdopodobnej wysokości swe korony olbrzymie, posrebrzone poświatą księżyca. W tym półcieniu widział niejasno miriady pni o różnych kształtach, proste, pochylone, wykręcone, pokrzyżowane, w dziwnych postawach, wyrażających jak gdyby groźbę i walkę.

Niektóre leżały na ziemi, jak powalone wieże, pokryte roślinnością bujną i różnorodną, która wydawała się być tłumem walczą-

cym zajadle o każdą ich piędź; inne stały w dużych grupach, prostopadłe i skupione, jak wiązki olbrzymich lanc, których ostrza dotykały się obłoków. Była to dumna wielkość, cudowny nieład olbrzymich form, widowisko pełne majestatu i grozy, jakiego jeszcze nigdy nie spotkał w świecie roślinnym. Chwilami ogarniało go osłupienie, ale natychmiast dusza jego znów porywała się ku matce. Omdlewał ze znużenia i nogi miał pokrwawione. I szedł tak sam jeden przez ten straszny las, gdzie tylko w dalekich odstępach spotykał małe siedziby ludzkie, które u stóp tych niebotycznych drzew były podobne do mrowisk i stada bawole, śpiące wzdłuż drogi. Był wyczerpany, a nie odczuwał znużenia; był sam jeden, a nie doznawał trwogi. Ta majestatyczna wielkość lasu podnosiła mu duszę. Bliskość matki dawała mu siły i odwagę męską; wspomnienie oceanu, przerażeń, przecierpionych i pokonanych boleści, doznanych trudów, poczucie żelaznej wytrwałości, podnosiły mu dumnie czoło. Wszystka jego mężna i szlachetna krew genueńska napłynęła mu do serca gorącą falą odwagi i dumy.

I zaszła w nim jeszcze jedna zmiana niespodziewana: dotychczas obraz matki w duszy jego był zaćmiony i blady wskutek tych dwóch lat rozłączenia się z nią; teraz zaś rozjaśnił się; twarz jej stała mu przed oczyma zupełnie wyraźnie, jak jej już dawno nie widział. Ujrzał ją bliską siebie, wyraźną, mówiącą do niego; widział najdrobniejsze poruszenia jej oczu i ust, każdy jej gest, każdy cień jej myśli. Popychany tymi wspomnieniami, przyśpieszył kroku; nowe uczucie, niewysłowiona tkliwość wzbierała w nim, rosła w jego sercu i po twarzy spływały mu łzy słodkie i ciche. Szedł tedy naprzód wśród ciemności, mówił do niej, przemawiał do niej słowami czułymi, które jej wkrótce będzie szeptał do ucha: — Oto jesem tu, matko moja; nigdy cię już nie opuszczę, powrócimy razem do domu, będę stał ciągle przy tobie na okręcie, blisko ciebie i nikt mnie nigdy nie oderwie od ciebie, nigdy, póki żyć będę.

I nawet nie zwrócił uwagi na to, że tymczasem na wierzchołkach drzew olbrzymich gasła srebrna poświata księżyca i poczęła wschodzić jutrzenka biała.

* *

Owego dnia, o ósmej godzinie rano, lekarz z Tucuman, młody Argentyńczyk, stał już przy łożu chorej, wraz z swym asystentem i próbował po raz ostatni nakłonić ją, by się poddała operacji. Inżynier Mequinez i jego żona przyłączyli się również do tych gorących nalegań. Ale wszystko na próżno. Kobieta, czując się wycieńczona,

nie wierzyła w skuteczność operacji; była pewna, że zginie podczas jej trwania, albo że przeżyje ją zaledwie o kilka godzin i że napróżno będzie znosiła boleści straszniejsze od tych, które ją miały przyprawić o śmierć drogą naturalną.

Lekarz mówił do niej: — Operacja uda się niezawodnie. Odzyskacie zdrowie jak najpewniej, trzeba tylko mieć nieco odwagi. Natomiast, gdy odmówicie, śmierć wasza jest niewątpliwa.

Słowa te były jednak jak gdyby na wiatr rzucone.

— Nie — odpowiedziała słabym głosem — mam jeszcze odwagę, aby umierać, ale nie mam odwagi, aby cierpieć bezużytecznie. Dziękuję panu, panie doktorze, za pańską dobroć. Takie już jest moje przeznaczenie. Proszę mi pozwolić umrzeć spokojnie.

Lekarz zniechęcony przestał nalegać. Nikt już więcej nie mówił. Wtedy chora zwróciła twarz ku pani swej i głosem umierającej wyjawiła jej swoją ostatnią prośbę.

— Droga, dobra pani — mówiła z natężeniem, szlochając. — Proszę wysłać tę trochę pieniędzy i moją biedną odzież mej rodzinie.... za pośrednictwem pana konsula. Spodziewam się, że wszyscy żyją jeszcze. Serce mi to wróży w tych ostatnich chwilach. Proszę im łaskawie napisać, że zawsze o nich myślałam, że zawsze dla nich pracowałam... dla moich drogich dzieci... i że moją jedyną boleścią było, iż nie mogłam ich już więcej widzieć... Umierałam jednak z odwagą i... rezygnacją... błogosławiąc im... że polecam memu mężowi... i memu starszemu synowi... młodszego, mego biednego Marka... że miałam go w sercu aż do ostatniej chwili...

I w nagłym uniesieniu zawołała, składając dłonie: — Mój Marku, moje drogie dziecko, moje życie!...

Ale rzuciwszy dokoła oczyma łez pełnymi, zobaczyła, że pani nie było już w pokoju: ktoś przyszedł nagle i zawołał ją ukradkiem. Szukała wzrokiem pana; znikł także. Były tylko obie pielęgniarki i asystent lekarza. W pokoju przyległym jednak słychać było odgłos przyśpieszonych kroków, szmer cichych rozmów i tłumione okrzyki. Chora utkwiła w drzwiach gasnące oczy i czekała.

Po kilku minutach zjawił się lekarz, a na twarzy jego widniał jakiś dziwny wyraz, później weszli pan i pani, oboje także silnie wzruszeni. Wszyscy troje spoglądali na chorą dziwnym wzrokiem i szeptali coś między sobą półgłosem. Chorej zdawało się, że lekarz powiedział do pani: — Lepiej zaraz.

Chora nie wiedziała, o co idzie.

— Józefo — rzekła do niej pani drżącym głosem — mam dla

was dobrą wiadomość. — Przygotujcie się w sercu na pomyślną nowinę.

Kobieta spoglądała na nią z uwagą.

— Wiadomość ta — mówiła dalej pani z coraz silniejszym wzruszeniem — sprawi wam wielką radość.

Źrenice chorej rozszerzyły się.

— Przygotujcie się na to — mówiła pani Mequinez — że zobaczycie wkrótce kogoś, kto wam jest bardzo drogi.

Chora podniosła głowę silnym ruchem i poczęła patrzeć oczyma płonącymi to na panią to na drzwi.

— Jest to osoba — dodała pani blednąc — która właśnie przybyła tu... niespodziewanie.

— Kto przybył? — wykrzyknęła kobieta głosem dławionym, nie swoim, jak człowiek śmiertelnie przestraszony.

A w chwilę później wydała okrzyk przeraźliwy, siadła na swym łóżku i pozostała tak nieruchoma, z oczyma szeroko rozwartymi, z rękoma przyciśniętymi do skroni, jak wobec nadludzkiego zjawiska. Marek obdarty, pokryty kurzem, stał na progu, podtrzymywany ramieniem lekarza.

Chora wykrzyknęła trzykrotnie: — Boże! Boże! Boże mój!

Marek rzucił się ku niej, wyciągnęła ku niemu wychudłe ramiona i przyciskając go do piersi z siłą tygrysicy, wybuchła spazmatycznym śmiechem, przerywanym gwałtownym łkaniem bez łez, po czym upadła wycieńczona na pościel, jak martwa.

Ale natychmiast znów się podniosła i pokrywając głowę syna pocałunkami, wołała, jak szalona ze szczęścia:

— Skąd ty się tu wziąłeś?... Dlaczego jesteś? Czy to ty na prawdę?... A jak urosłeś! Kto cię tu przywiódł? Czy jesteś sam? Czyś nie chory? Czy to ty, Marku? To nie sen? Boże mój! Przemów do mnie!

Potem zmieniła ton głosu i zawołała: — Nie, nie mów nic! Czekaj!

I zwracając się do lekarza, rzekła gwałtownie: — Prędko, natychmiast, panie doktorze! Chcę być zdrowa! Jestem gotowa. Nie trać pan ani chwili. Wyprowadźcie Marka, aby nie słyszał... Marku, to nic nie jest. Potem opowiesz mi o wszystkim. Jeszcze jeden pocałunek. Idź, moje dziecko. Już.... już, doktorze.

Wyprowadzono Marka. Państwo Mequinez i kobiety wyszli pośpiesznie z pokoju. Pozostali tylko chirurg i asystent, którzy zamknęli drzwi.

Pan Mequinez chciał wziąć z sobą Marka do oddalonego pokoju, ale było to niemożliwe. Chłopiec stał, jak przygwożdżony do posadzki.

— Co to jest? — zapytał. — Co mej matce jest? Co jej tam robią?

A wtedy pan Mequinez, usiłując wciąż odciągnąć chłopca stąd, rzekł mu cichym głosem: — Oto posłuchaj mnie, teraz powiem ci wszystko. Matka twoja jest chora, musi się wykonać na niej małą operację. Wyjaśnię ci to, ale chodź ze mną..

— Nie — odpowiedział chłopak, opierając się. — Zostanę tutaj. Proszę mi tutaj opowiedzieć.

Inżynier począł mu zwolna opowiadać różne rzeczy, ciągnąc go wprost z pokoju; chłopak przeraził się i drżał na całym ciele.

Wtem rozległ się po całym domu krzyk przeraźliwy, jak gdyby krzyk człowieka śmiertelnie zranionego.

Chłopiec odpowiedział nań drugim krzykiem, równie rozpaczliwym: — Matka moja umarła!

Ale lekarz pojawił się we drzwiach i rzekł: — Twoja matka jest ocalona.

Chłopak patrzył na niego chwilę, a potem rzucił się do nóg jego z głośnym łkaniem i wołał: — Dzięki, panie doktorze, dzięki!

Lekarz podniósł go z ziemi i rzekł:

— Powstań... To ty, bohaterskie dziecko, ocaliłeś twoją matkę.

LATO.

24. środa.

Marek z Genui to przedostatni mały bohater, z którym zapoznaliśmy się w tym roku; zostaje nam tylko jeszcze jeden na czerwiec. Mamy jeszcze tylko dwa egzaminy miesięczne, dwadzieścia sześć dni nauki, sześć czwartków i pięć niedziel. Już czuć w powietrzu koniec roku. Drzewa w ogrodzie, kwitnące i pokryte gęstymi liśćmi, rzucają piękny cień na aparaty gimnastyczne. Uczniowie są już ubrani po letniemu. Pięknie wygląda, gdy wychodzą z klas, zupełnie inaczej jak w miesiącach ubiegłych. Znikły także długie włosy sięgające do ramion, wszystkie głowy są ostrzyżone; widać bose nogi i odkryte szyje, słomiane kapelusze różnych form ze wstążkami spadającymi na plecy, koszule i krawatki różnych kolorów. Ci najmniejsi mają zawsze na sobie coś czerwonego albo niebieskiego, jakąś wstążkę, jakieś obszycie, kokardę lub gałganek w żywym kolorze, coś przypiętego przez matkę, coby służyło ku ozdobie, choćby to był najbiedniej-

szy chłopiec. Wielu przychodzi do szkoły bez kapelusza, jak gdyby uciekli z domu. Niektórzy noszą białe ubranie gimnastyczne.

Jest tu jeden chłopak z klasy nauczycielki Delcati, cały ubrany czerwono od stóp do głowy, wygląda jak rak ugotowany. Niektórzy mają ubrania marynarskie. Najpiękniejszy jest jednak murarczyk, który włożył na głowę duży kapelusz słomiany i wygląda jak wypalona do połowy świeca z abażurem. Komicznie wygląda, gdy pod tym kapeluszem robi pyszczek zajęczy.

Coretti również rzucił swoją czapkę z kociej skóry i nosi jakąś starą czapkę podróżną z szarej jedwabnej materii. Votini ma jakieś ubranie szkockie obcisłe. Crossi pokazuje nagie piersi, Precossi chodzi w niebieskiej kapocie kowala. A Garoffi? Teraz, gdy musiał się rozstać z płaszczem, który osłaniał jego handel, widać dobrze wszystkie jego kieszenie, wypchane różnego rodzaju tandeciarskimi gratami i wystają z nich listy loteryjne. Teraz wszyscy pokazują, co noszą z sobą: wachlarze zrobione ze starych dzienników, rurki z trzciny, strzały na ptaki, zioła, chrabąszcze, które wyłażą z kieszeni i chodzą sobie powoli po ubraniu.

Wielu z tych malców przynosi bukieciki kwiatów nauczycielkom. Także i nauczycielki przywdziały letnie suknie w jasnych kolorach, oprócz „zakonnicy", która jest zawsze czarno ubrana. Nauczycielka z czerwonym piórem ma zawsze swoje czerwone pióro, ale na szyi ma teraz różową wstążkę. Wszystko to jednak jest pogięte łapami jej uczniów, z którymi się zawsze śmieje i ugania.

Jest teraz pora wiśni, motyli, muzyk, które grają po ulicach i wycieczek na wieś. Wielu uczniów z czwartej klasy wymyka się, aby kąpać się w Padzie, wszyscy marzą już o wakacjach, codziennie wychodzą ze szkoły z większą niecierpliwością i cieszą się, że znów jeden dzień upłynął. Żal mi tylko widzieć Garrona w żałobie i moją biedną nauczycielkę z pierwszej klasy, która jest coraz szczuplejsza i coraz bledsza i coraz silniej kaszle. Idąc teraz garbi się i uśmiecha się do mnie smutno.

POEZJA.

26. piątek.

Zaczynasz pojmować poezję szkoły, Henryku, ale teraz widzisz szkołę tylko z wewnątrz. Będzie ci się wydawała jednak o wiele piękniejszą i bardziej poetyczną za jakie lat trzydzieści, gdy będziesz tu odprowadzał twoich synów i będziesz na nią patrzył z zewnątrz, tak jak ja ją widzę. Czekając, aż wyjdziesz z klasy, przechadzam się dokoła budynku po tych cichych ulicach i nastawiam ucha ku oknom parterowym, zasłoniętym żaluzjami. Z jednego okna dochodzi mnie głos nauczycielki, która mówi: — Ach, jak napisałeś to? To tak nie uchodzi, mój chłopcze. Coby na to powiedział twój ojciec?

Przez okno sąsiednie słychać znów gruby głos nauczyciela, który dyktuje powoli: — Kupiłem pięćdziesiąt metrów materii, metr po cztery liry i 50 centesimów. Odsprzedałem je po...

To znów nauczycielka z czerwonym piórem czyta na głos: — Wtedy Piotr Micca z zapalonym lontem.... — Z sąsiedniej klasy dolatuje mnie gdyby świergot stu ptasząt, co dowodzi, że nauczyciel wyszedł na chwilę z klasy. Idę dalej i na rogu ulicy słyszę, jak jakiś uczeń płacze i słyszę głos nauczycielki, która go łaje i zarazem pociesza. Z innych okien dochodzą mnie wiersze nazwiska ludzi sławnych i szlachetnych, fragmenty ustępów, które nawołują do cnoty, do miłości ojczyzny, do odwagi. Potem nastają chwile ciszy, tak iż możnaby sądzić, że cały budynek jest pusty i niktby nie przypuszczał, że wewnątrz jest sześciuset chłopców. Wtem wybuchają znów głośne śmiechy, wywołane żartem nauczyciela, który jest w dobrym humorze... A ludzie przechodzący obok zatrzymują się i słuchają i wszyscy spoglądają z sympatią na ten miły budynek, który zawiera w sobie tyle młodości i tyle nadziei.

Później słychać nagle głuchy hałas, szmer zamykanych książek i zeszytów, tupotanie nóg, gwar, który się rozchodzi z klasy do klasy, z dołu do góry, jak gdyby jakaś wesoła wiadomość niespodzianie się rozeszła: to pedel idzie po całym budynku i oznajmia koniec godzin szkolnych. Wtedy tłum kobiet, mężczyzn, dziewcząt i młodzieńców zaczyna się zewsząd cisnąć ku bramie, gdzie oczekują synów, braci, siostrzeńców.

Tymczasem z klas wylatują do sieni najmniejsi chłopcy, aby szukać swoich płaszczyków i kapeluszy, robią z nich bezładną kupę na podłodze, wywracając wszystko dokoła, póki ich pedel jakoś po jednemu nie wysadzi za próg. I w końcu wychodzą długimi rzędami, tupiąc nogami. A wtedy zaczyna się grad pytań u bramy:

— Czy umiałeś lekcję?

— Jaką orzymałeś notę z zadania?

— Co zadane na jutro?

— Kiedy ma się odbyć egzamin miesięczny?

— Nawet i te biedne matki, które nie umieją czytać, otwierają zeszyty swoich synów, patrzą na zadania, pytają o stopnie:

— Tylko ósemka?

— Dziesiątka z pochwałą?

— Za lekcję dziewiątka?

I niepokoją się lub cieszą się, zapytują nauczycieli i rozprawiają o programach i egzaminach. Jakie to wszystko piękne, jakie wzniosłe i jaka w tym kryje się ogromna obietnica dla przyszłości świata!

Twój ojciec.

GŁUCHONIEMA.

28. niedziela.

Nie mogłem lepiej zakończyć miesiąca maja, aniżeli tymi odwiedzinami dziś z rana. Słyszymy, że ktoś dzwoni, biegniemy wszyscy. Otwieramy, a ojciec, mówi zdziwiony: — To wy, Grzegorzu? — Był to Grzegorz, nasz dawny ogrodnik z Chieri, którego rodzina mieszka obecnie w Condove. Przybył właśnie z Genui, gdzie dzień przed tym wysiadł z okrętu, wracając z Grecji, gdzie pracował trzy lata przy kolei żelaznej. Niósł w rękach duże zawiniątko, postarzał się nieco, ale zawsze czerwony na twarzy i wesół.

Ojciec chciał, aby wszedł do pokoju, ale tenże przeprosił, że nie ma czasu i zapytał szybko, przybierając poważny wyraz twarzy: — Jak się ma moja rodzina? Jak się ma Ludwika?

— Przed kilku dniami, gdy ją widziałam, miała się dobrze — odpowiedziała matka.

Grzegorz westchnął z uczuciem ulgi i rzekł: — Bogu dzięki! Nie miałem odwagi iść do zakładu głuchoniemych, zanim się nie dowiem czego o niej u państwa. Zostawiam tu moje zawiniątko i biegnę po nią. Trzy lata nie widziałem mojej biednej córki! Trzy lata nie widziałem nikogo z mej rodziny!

Ojciec rzekł do mnie: — Idź z nim razem.

— Przepraszam bardzo, jeszcze jedno słówko chciałem się spytać — rzekł ogrodnik na schodach.

Ale ojciec przerwał mu, pytając się: — A jak idą interesy?

— Dobrze — odpowiedział — Bogu dzięki. Przywiozłem z sobą nieco grosza. Ale chciałem się spytać, jak tam idzie nauka tej mojej niemej? Zostawiłem tutaj to niebożątko, jak niemą rybę... Nie wierzę bardzo tym naukom. Czy nauczyła porozumiewać się znakami? Żona pisała mi wprawdzie: — Uczy się mówić, robi postępy. — Ale myślałem sobie, co to warte, że ona się uczy mówić w ten lub tamten sposób, jeżeli ja tych znaków nie umiem robić? Jak się będę mógł porozumiewać z tym biedactwem? Te znaki są może dobre między tymi biedakami, aby się mogli z sobą wzajemnie porozumiewać. Jakże się więc ma Ludwisia?

Ojciec uśmiechnął się i odrzekł: — Nic wam nie mogę powiedzieć, zobaczycie sami. Idźcie tam teraz co rychlej, niech się wami jak najprędzej ucieszy.

Wyszliśmy. Zakład głuchoniemych jest w naszym sąsiedztwie. Idąc przez ulicę ogromnymi krokami, ogrodnik mówił do mnie ze smutkiem: — moja biedna Ludwisia! Od urodzenia taka nieszczęśliwa! Gdy pomyślę, że nigdy nie słyszałem z ust jej słowa „ojciec", że ona nigdy nie słyszała, abym do niej powiedział: „Moja córko"! że nigdy w życiu ani nie wymówiła, ani nie słyszała żadnego słowa. I jeszcze trzeba Bogu dziękować, że znalazł się pan taki miłosierny, który ponosi koszta jej pobytu w zakładzie. Ale musiała skończyć osiem lat, aby ją tam przyjęli. Już trzy lata bawi poza domem. Teraz będzie miała jedenaście lat. Proszę mi powiedzieć, czy bardzo wyrosła. Czy jest wesoła?

— Zaraz zobaczycie sami — odpowiedziałem, przyśpieszając kroku.

— Ale gdzież jest ten zakład? — zapytał. — Żona moja ją tu zaprowadziła, gdy ja już wyjechałem. Zdaje mi się, że powinien gdzieś być tu, w tej stronie.

Właśnie przybyliśmy do niego i weszliśmy zaraz do poczekalni. Naprzeciw nas wyszedł odźwierny.

— Jestem ojciec Ludwiki Voggi — rzekł ogrodnik — moja córka niech tu zaraz do mnie przyjdzie.

— Są na pauzie — odpowiedział odźwierny. — idę zawiadomić nauczycielkę. — I wyszedł śpiesznie.

Ogrodnik nie mógł dłużej mówić, ani stać na miejscu. Oglądał obrazy na ścianach, ale można było poznać po nim, że ich nie widzi wcale.

Drzwi się otwarły, weszła nauczycielka w czarnej sukni, prowadząc za rękę dziewczynkę.

Ojciec i córka patrzyli na siebie przez chwilę, a potem padli sobie w objęcia z okrzykiem radości.

Dziewczynka miała na sobie sukienkę w paski białe i różowe i biały fartuszek. Była wyższa ode mnie. Płakała i ściskała ojca za szyję obydwoma ramionami.

Wkońcu ojciec uwolnił się od jej objęć i począł się jej przyglądać od stóp do głowy, a w oczach świeciły mu się duże łzy. Dysząc ciężko, jak gdyby odbył daleką drogę, zawołał: — Ach, jak wyrosłaś!

Jakaś teraz piękna! O ty, moja droga, moja biedna Ludwisiu! Moje biedne, nieme dziecko! Niech pani nauczycielka jej powie z łaski swej, aby mi zrobiła swoje znaki; może ja coś z tego zrozumiem, a reszty będę się uczył zwolna i stopniowo. Proszę jej powiedzieć, aby mi dała coś gestami do zrozumienia.

Nauczycielka uśmiechnęła się i szepnęła półgłosem do dziewczyny: — Kto jest ten pan, który przybył tu widzieć się z tobą?

A dziewczynka wtedy głosem grubym, dziwnym, który tak brzmiał, jak gdyby jakiś dziki człowiek po raz pierwszy przemówił po włosku, ale zupełnie wyraźnie, odpowiedziała z uśmiechem: — To... mój... oj... ciec...

Ogrodnik cofnął się o krok wstecz i począł krzyczeć, jak szalony: — Ależ ona mówi, ona mówi! Czy to możliwe? Mów jeszcze, moje drogie dziecko! Przemów jeszcze do mnie. — I znów ją uścisnął i pocałował w czoło trzy razy.

— A więc nie znakami mówią oni, nie ruchami rąk? A więc, pani nauczycielko, o w ten sposób? Jakże to może być?

— Nie, panie Voggi — odpowiedziała nauczycielka — nie na migi. To była dawna metoda. Tu uczymy nową metodą, metodą ustną. Jakto, nie wiedziałeś pan o tym?

— Ależ nie wiedziałem o niczym — odpowiedział ogrodnik zdumiony. Trzy lata byłem poza domem. Być może, że pisano mi o tym i że tego nie zrozumiałem. Mam już taką tępą głowę. A więc córko moja, rozumiesz mnie teraz? Czy słyszysz mój głos? Odpowiedz, czy słyszysz mnie. Czy słyszysz, co mówię do ciebie?

— Nie, mój dobry człowieku — odpowiedziała mu nauczycielka — głosu nie słyszy, albowiem jest głucha. Poznaje jednak po ruchach waszych ust, co do niej mówicie, tak rzecz się ma; ale nie słyszy waszych słów, ani tego, co sama do was mówi. Wymawia je tak, ponieważ nauczyliśmy ją, litera za literą, jak ma układać usta i poruszać językiem i jak ma wysilić piersi i gardło, aby wydać głos.

Ogrodnik tego nie rozumiał i wciąż stał zdumiony, z otwartymi ustami. Nie dowierzał jeszcze temu, co słyszał.

— Powiedz mi, Ludwisiu — zapytał córkę po chwili, mówiąc jej do ucha. — Czy jesteś zadowolona z tego, że twój ojciec powrócił? — I podniósłszy głowę, czekał na odpowiedź.

Dziewczyna spoglądała na niego w zamyśleniu i nic nie odpowiadała. Stał więc zmieszany. Nauczycielka zaś roześmiała się i rzekła: — Dobry człowieku, nie może wam odpowiedzieć, ponieważ nie widziała poruszenia waszych ust. Mówiliście jej do ucha. Powtórzcie wasze pytanie, trzymając twarz prosto przed jej twarzą.

Ojciec, patrząc córce w twarz, powtórzył: — Czy jesteś zadowolona z tego, że twój ojciec powrócił? że już odtąd pozostanie w domu?

Dziewczyna, która patrzyła mu uważnie na usta, starając się także wejrzeć do wnętrza ust, odpowiedziała swobodnie:

— Tak jest... jestem... zado... wolona, że... ojciec powrócił..: że już... pozostanie... w domu.

Ojciec począł ją gwałtownie ściskać, a potem, aby się lepiej upewnić, pośpiesznie zasypał ją pytaniami.

— Jak się nazywa mama?

— An — to — nia.

— Jak się nazywa twoja mała siostra?

— A — de — lai — da.

— Jak się nazywa ten zakład oto?

— Zakład... dla głucho-niemych.

— Ile jest dwa razy dziesięć?

— Dwadzieścia.

Myśleliśmy, że będzie smiał się z radości, ale począł nagle płakać. Jednak płacz ten był również oznaką radości.

— Odwagi — rzekła do niego nauczycielka — macie raczej powód do wesołości, aniżeli do płaczu. Przez was i córka wasza zasmuca się. A więc bądźcie weseli.

Ogrodnik pochwycił rękę nauczycielki i ucałowawszy ją kilkakrotnie, zawołał: — Dzięki, dzięki! Stokrotnie, tysiąckrotnie dziękuję wam, droga pani nauczycielko. I proszę mi wybaczyć, że nie umiem tego inaczej i lepiej wyrazić.

— Wasza córka — rzekła nauczycielka — nie tylko mówi, ale także umie pisać. Umie rachować, zna nazwy wszystkich przedmiotów, służących do użytku. Umie nieco historii i geografii. Teraz jest w klasie normalnej. Gdy skończy dwie dalsze klasy, będzie dużo umiała, o wiele więcej. Gdy stąd wyjdzie będzie mogła obrać sobie zawód. Mamy już głuchoniemych, którzy są zajęci po sklepach i obsługują gości tak samo dobrze, jak inni.

Ogrodnik stał zrazu zdumiony, zdawało się, że mu się po raz wtóry myśli mącą w głowie. Spoglądał na córkę i drapał się w głowę. Widać było po jego twarzy, że pragnie jeszcze dalszych objaśnień.

Wtedy nauczycielka zawołała do odźwiernego:

— Proszę tu przyprowadzić jedną z dziewczynek z klasy przygotowawczej.

Oddźwierny wrócił wkrótce potem z dziewczynką głuchoniemą, ośmio- lub dziewięcioletnią, która dopiero przed kilku dniami przyjęta została do zakładu.

— Ta dziewczynka — rzekła nauczycielka — jest jedną z tych, które uczymy pierwszych początków. Oto, jak postępujemy. Chcę, aby powiedziała „e". Proszę więc uważać.

Nauczycielka otworzyła usta, tak jak się je otwiera, aby wymówić samogłoskę „e" i dała znak dziewczynce, aby otworzyła usta w ten sam sposób. Dziewczynka usłuchała. Wtedy nauczycielka skinęła jej, aby wydała głos z siebie. Dziewczynka wydała głos, ale zamiast „e" wymówiła „o".

— Nie — rzeka nauczycielka — to nie to! — I ująwszy obie ręce dziewczynki, położyła sobie jedną na gardle, a drugą na piersiach i powtórzyła: — e. — Dziewczynka, czując rękoma ruch gardła i piersi nauczycielki, otworzyła znów usta, jak poprzednio i wymówiła tym razem wybornie: — e. — W ten sam sposób kazała jej nauczycielka wymówić c i d, trzymając zawsze obie rączki na swoich piersiach i na swoim gardle.

— Czyście teraz zrozumieli? — zapytała.

Ojciec zrozumiał, ale wydawał się jeszcze bardziej zdumiony, aniżeli poprzednio, kiedy nie rozumiał.

— I w ten sposób uczą się mówić? — zapytał po chwili namysłu, spoglądając na .nauczycielkę. — Mają cierpliwość uczyć je mówić w ten sposób, powoli i stopniowo, każdego kalekę osobno? Całymi latami? Ależ wy jesteście świętymi, aniołami z raju! Nie ma doprawdy na świecie żadnej nagrody, którąby była dla was odpowiednia. Cóż mam jeszcze powiedzieć?... Proszę mnie teraz zostawić nieco z moją córką samego, chociażby na pięć minut.

I pociągnąwszy swą córkę na stronę, usiadł z nią i począł ją wypytywać, ona zaś odpowiadała mu. Ogrodnik śmiał się, oczy mu błyszczały z radości, uderzał się pięściami o kolana, brał córkę za ręce, spoglądał na nią, nie posiadając się z radości, że słyszy jej głos, jak gdyby to był głos pochodzący z nieba. Potem zapytał nauczycielkę:

— Czy mógłbym podziękować panu dyrektorowi?

Pana dyrektora niema — odpowiedziała nauczycielka. — Ale jest tu inna osoba, której pan powinien podziękować. Tu każda mała dziewczynka zostaje oddana w opiekę towarzyszce starszej, która jej zastępuje matkę lub starszą siostrę. Wasza córeczka jest powierzona

pewnej głuchoniemej siedemnastoletniej dziewczynie, córce piekarza, która jest bardzo dobra i ją bardzo lubi, od dwóch lat codziennie rano pomaga jej ubierać się, czesze ją, uczy ją szyć, naprawia jej sukienki, towarzyszy jej wszędzie. — Ludwisiu, jak się nazywa twoja mama z tutejszego Zakładu?

Dziewczynka uśmiechnęła się i odpowiedziała: — Kata — rzyna Gior — dano. — A potem dodała do swego ojca: — Bar — dzo, bar — dzo dobra.

Odźwierny wyszedł na znak dany przez nauczycielkę, powrócił prawie natychmiast z panienką głuchoniemą o jasnych włosach, silnie zbudowaną, o twarzy wesołej. Miała na sobie również sukienkę w różowe i białe paski i popielaty fartuszek. Zarumieniona stanęła we drzwiach, potem spuściła głowę i roześmiała się. Miała ciało kobiety dorosłej a wydawała się jak dziecko.

Córeczka Grzegorza pobiegła natychmiast ku niej, uczepiła się jej ramienia, jak dziecko matki i przyciągnęła ją do swego ojca, mówiąc swym grubym głosem: — Kata — rzyna Gior — dano.

— O, zacna panienko! — wykrzyknął ogrodnik i wyciągnął rękę, jak gdyby ją chciał pogłaskać, ale cofnął ją natychmiast zmieszany i powtórzył: — O, zacna panienko, niech Bóg ci błogosławi, niech ci da szczęście, tobie i całej twej rodzinie. Taka dobra panienka dla mojej biednej Ludwisi! Jestem ubogim robotnikiem, ojcem rodziny i dziękuję ci, szlachetna panienko, z całego serca.

Panna pogłaskała małą Ludwisię, mając zawsze głowę spuszczoną i uśmiechając się; ogrodnik zaś wciąż patrzył na nią, jak w obraz świętej.

— Dziś możecie wziąć ze sobą waszą córeczkę — rzekła do niego nauczycielka.

— Ależ naturalnie — odpowiedział ogrodnik. — Wezmę ją z sobą do Condove i odwiozę ją jutro rano. — Dziewczynka pobiegła się ubrać. — Od trzech lat nie widziałem jej — mówił dalej ogrodnik. — A teraz umie mówić. Zawiozę ją jak najrychlej do Condove. Ale najpierw chcę się przejść nieco po Turynie z tą moją biedną niemową, aby ją wszyscy mogli widzieć i zaprowadzić ją do moich znajomych, aby ją wszyscy słyszeli mówiącą. O, co to za piękny dzień! Doczekałem się przynajmniej pociechy. Podajże rękę ojcu, Ludwisiu!

Dziewczynka, która wróciła w płaszczyku i w czepeczku, podała mu rękę.

— I dziękuję wszystkim — mówił ojciec już we drzwiach. —

Dziękuję wszystkim z całego serca. Wstąpię tu jeszcze raz, aby ponownie wyrazić mą wdzięczność.

Stał chwilę zamyślony, potem puścił nagle dziewczynkę, wrócił, włożywszy rękę do kieszeni kamizelki i wołał, jak wariat: — Jestem wprawdzie biednym człowiekiem, ale oto daję tu dwadzieścia lirów na zakład, piękną i nowiuteńką monetę złotą.

I uderzywszy silnie pięścią o stół, rzucił nań złotą monetę.

— Nie, nie, poczciwy człowieku — odpowiedziała nauczycielka wzruszona. — Weźcie napowrót wasz pieniądz. Nie mogę przyjąć waszej ofiary. Zabierzcie ją. To do mnie nie należy. Przyjdziecie tu, gdy będzie dyrektor. Ale on jej również nie przyjmie. Możecie być pewni. Natrudziliście się dość, aby zarobić te pieniądze. I bez tego będziemy wam radzi.

— Nie, nie, zostawię je tutaj — upierał się ogrodnik. — Potem... zobaczymy...

Ale nauczycielka włożyła mu napowrót monetę do kieszeni, nie dając mu czasu na odmowę. Musiał tedy ustąpić, potrząsając głową, poczem szybko, przesławszy ręką pocałunek nauczycielce i dużej panience i ująwszy córeczkę za rękę, wybiegł z nią na dwór, wołając:

— Chodź, chodź moje dziecko, ty biedna moja niemowo, mój skarbie!

A dziewczynka zawołała swoim grubym głosem: — O, ja — kie piękne słoń — ce!

CZERWIEC.

GARIBALDI.

3 czerwca. Jutro święto narodowe.

Dziś jest żałoba narodowa. Wczoraj wieczorem umarł Garibaldi. Czy wiesz, kto on był? To on oswobodził dziesięć milionów Włochów z tyranii Burbonów. Umarł, mając lat siedemdziesiąt pięć.

Urodził się w Nizzy, był synem kapitana okrętu. Jako chłopiec ośmioletni, ocalił życie kobiecie. Mając lat trzynaście, uratował barkę z kolegami, której groziło zatonięcie; w dwudziestym siódmym roku życia wyciągnął z wody w Marsylii młodzieńca, który się topił; mając lat czterdzieści jeden wyratował z pożaru okręt na oceanie.

Przez dziesięć lat bił się w Ameryce za wolność obcego narodu, walczył w trzech wojnach przeciw Austriakom za wolność Lombardii i Trentyna, bronił Rzymu przeciw Francuzom w roku 1849, wyswobodził Palermo i Neapol w r. 1860; walczył drugi raz za Rzym w r. 1867; bił się w r. 1870 z Niemcami w obronie Francji. Miał w sobie zapał bohatera i geniusz wojenny. Walczył w czterdziestu bitwach i zwyciężył w trzydziestu siedmiu. Gdy nie wojował, pracował na chleb albo zamykał się na samotnej wyspie, aby uprawiać ziemię. Był nauczycielem, marynarzem, robotnikiem, kupcem, żołnierzem, generałem, dyktatorem. Był to człowiek wielki a dobry i pełen prostoty. Nienawidził wszyskich ciemiężców, kochał ludy wszyskie, stawał w obronie słabych; jedynym jego dążeniem było dobro ludzkości odrzucał zaszczyty, gardził śmiercią, ubóstwiał Włochy.

Gdy rzucał okrzyk wojenny, legiony walecznych biegły ze wszystkich stron pod jego sztandary: panowie opuszczali swe pałace, robotnicy warsztaty, młodzieńcy szkoły, aby iść walczyć w słońcu jego sławy. Na wojnie nosił czerwoną koszulę. Był to mężczyzna silny, dorodny, z jasnymi włosami. Na polu bitwy był jak piorun, w uczuciach jak dziecko, w boleści świętym. Tysiące Włochów ginęło za ojczyznę, szczęśliwi w chwili śmierci, gdy go widzieli zdala.

w jego zwycięskim pochodzie; tysiące dałoby się zabić za niego; miliony błogosławiły go i będą go zawsze błogosławiły.

Umarł. Cały świat opłakuje go. Ty tego jeszcze teraz nie rozumiesz. Ale będziesz czytał o jego czynach; będziesz zawsze słyszał o nim w życiu a gdy będziesz rósł, stopniowo i obraz jego będzie również wzrastał przed twymi oczyma. Gdy będziesz dorosłym mężczyzną, ujrzysz go olbrzymem: a gdy już nie będziesz na świecie, gdy już nie będą żyli synowie twoich synów i ci, którzy się z nich urodzą, pokolenia jeszcze zawsze będą widziały w górze jego promienną głowę wybawcy ludów, uwieńczoną nazwami jego zwycięstw, gdyby koroną gwiazd, a każdy Włoch podniesie z dumą czoło i rozjaśni mu się dusza, gdy będzie wymawiał jego imię.

Twój ojciec.

WOJSKO.

11. Święto narodowe. Opóźnione o siedem dni z powodu śmierci Garibaldiego.

Poszliśmy na plac Castello, by widzieć ćwiczenia żołnierzy, którzy defilowali przed komendantem korpusu, między dwoma wielkimi skrzydłami ludu, przypatrującego się tej paradzie.

Gdy tak przechodzili przy dźwięku trąb i huku bębnów, ojciec wskazywał mi poszczególne oddziały i opowiadał o sławie ich sztandarów. Pierwsi szli uczniowie akademii, którzy będą kiedyś oficerami inżynierii i artylerii, było ich trzystu, w czarnych mundurach, szli z wytworną pewnością siebie, na pół żołnierze, na pół studenci. Za nimi maszerowała piechota: brygada Aosta, która walczyła pod Goito i pod San Martino i brygada Bergamo, która brała udział w bitwie pod Castelfidardo, cztery pułki, jedna kompania za drugą, tysiące czerwonych pomponów, które wydawały się długą girlandą kwiatów koloru krwawego, wyciągniętą za dwa końce i niesioną po przez tłum.

Po piechocie szli żołnierze inżynierii, robotnicy wojny, z czarnymi kitami u hełmów i galonami karmazynowymi; a gdy oni tak jeszcze defilowali, widać było za nimi setki długich piór, sterczących prosto i wysoko ponad głowami widzów; byli to strzelcy alpejscy, obrońcy bram Italii, wszyscy rośli, silni i czerstwi, w kapeluszach kalabryjskich i mundurach pięknego koloru zielonego, przypominającego zieleń, która pokrywa ich góry.

Maszerowali jeszcze strzelcy alpejscy, gdy wtem rozległ się szmer wśród tłumu i ukazali się bersalierzy, dawny batalion dwunasty, którzy pierwsi wkroczyli do Rzymu przez wyłom w Porta Pia. Z ciemnymi twarzami, zwinni, żywi, z pióropuszami, które powiewały z wiatrem, przeszli jak fala czarnego strumienia, wśród ostrych dźwięków trąb, które napełniały plac cały swym radosnym brzmieniem.

Ale dźwięki te zostały przygłuszone głośnym i przerywanym hałasem, który oznajmiał zbliżanie się artylerii polnej. I wtedy ukazali się, siedząc dumnie na wysokich jaszczykach, które ciągnęło trzysta par ognistych rumaków, dzielni żołnierze z żółtymi sznurami i długie działa z bronzu i stali, błyszczące na lekkich lawetach, które podskakiwały z takim łoskotem, że aż ziemia drżała od nich.

Potem przesuwała się znów powolna i ciężka, piękna swym wyglądem spracowanym i szorstkim, ze swymi rosłymi żołnierzami i swymi potężnymi mułami artyleria górska, która niesie śmierć i trwogę na szczyty, dokąd tylko dojść może noga ludzka.

Na koniec przeleciał galopem z hełmami błyszczącymi w słońcu, z wzniesionymi włóczniami, ze sztandarami powiewającymi z wiatrem, napełniając powietrze brzękiem i tętentem, piękny pułk kawalerii genueńskiej, cały iskrzący się złotem i srebrem, który walczył na dziesięciu polach bitew, od Santa Lucia aż do Villafranca.

— Co to za piękny pułk — zawołałem.

Ale ojciec zganił poniekąd to moje wyrażenie, mówiąc: — Wojska nie należy uważać za piękne widowisko. Wszyscy ci młodzieńcy, pełni sił i nadziei, mogą z jednego dnia na drugi być powołani do obrony naszej ojczyzny i za kilka godzin mogą wszyscy zginąć od kul działowych lub karabinów maszynowych. Ile razy usłyszysz podczas jakiejś uroczystości wołanie: Niech żyje wojsko, niech żyją Włochy: — wyobraź sobie za pułkami, które przechodzą pole bitwy zasłane trupami i zbroczone krwią, a wtedy okrzyk: — Niech żyje wojsko! — wyjdzie goręcej z głębi serca twego, a obraz Włoch ukaże ci się większy i bardziej surowy.

WŁOCHY.

14. wtorek.

Pozdrawiaj, synu, ojczyznę tymi słowami w dnie jej uroczyste:

— Włochy, ojczyzno moja, ziemio droga i szlachetna, gdzie mój ojciec i moja matka się urodzili i będą pogrzebani, gdzie ja spodziewam się żyć i umrzeć, gdzie moi synowie wyrosną i umrą; piękna Italio, wielka i sławna od wielu wieków, zjednoczona i wolna od lat

niewielu, ty, która rozsiewałaś po całym świecie tyle świetlanych promieni boskiego geniusza i dla której tylu walecznych ludzi zginęło na polach bitew i tylu bohaterów zawisło na szubienicy; dostojna matko trzechset miast i trzydziestu milionów synów; ja, dziecko, które jeszcze nie jestem zdolne cię poznać i zrozumieć całkowicie, czczę cię i kocham całą moją duszą i szczycę się tym, że urodziłem się z ciebie i że nazywam się synem twoim.

Kocham twoje wspaniałe morza i twoje Alpy wyniosłe, kocham twoje sławne pomniki i nieśmiertelne pamiątki, kocham twoją chwałę i twoją piękność; kocham i czczę ciebie całą, tak samo, jak ową część twoją, gdzie poraz pierwszy ujrzałem słońce i usłyszałem twoje imię. Kocham was, wszystkie miasta, jednakowym uczuciem i jednakową wdzięcznością, Turynie waleczny, dumna Genuo, uczona Bolonio, czarująca Wenecjo, potężny Mediolanie, kocham was tą samą czcią synowską, urocza Florencjo, groźne Palermo, wielki i piękny Neapolu i ty, Rzymie, wieczny i pełen cudów.

Kocham cię, święta moja ojczyzno! I przysięgam ci, że będę kochał wszystkich twoich synów, jak braci; że będę zawsze uwielbiał w sercu twoich wielkich ludzi żywych i tych, co zmarli; że będę obywatelem pracowitym i prawym, że będę wytrwale dążył do tego, by się uszlachetnić i stać się godnym ciebie. Ślubuję ci, że będę moimi maluczkimi siłami przyczyniał się do tego, aby znikły pewnego dnia z twej powierzchni nędza, ciemnota, niesprawiedliwości, występek i abyś mogła żyć i rozwijać się spokojna, w majestacie twego prawa i twej potęgi.

Ślubuję ci, że będę ci służył, jak będę mógł, duszą, ramieniem, sercem, pokornie i z zapałem i że gdy nadejdzie kiedyś dzień, w którym zażądasz ode mnie krwi mej i życia, oddam ci krew moją i zginę, wołając ku niebu twe święte imię i przesyłając ostatni pocałunek twemu świętemu sztandarowi.

32 STOPNI.

16. piątek.

W tych pięciu dniach od święta narodowego przybyło trzy stopnie ciepła. Teraz jesteśmy w pełni lata; zaczynamy wszyscy być znużeni, straciliśmy piękne rumieńce wiosenne; szyje i nogi wyciągają się, głowy pochylają, oczy zamykają.

Biedny Nelli cierpi bardzo od gorąca, twarz jego pożółkła i usypia niekiedy głęboko nad swoim zeszytem, ale Garrone zawsze uważa i stawia przed nim książkę otwartą, aby nauczyciel tego nie spostrzegł. Crossi opiera swoją rudą głowę o ławkę w tak szczególny sposób, że wydaje się, jak gdyby była odłączona od kadłuba i tam położona. Nobis narzeka, że jest nas zanadto dużo w klasie i że mu psujemy powietrze.

Ach, ile wysiłku teraz trzeba często, aby się uczyć! Z okien domu widzę te piękne drzewa, które rzucają tak gęsty cień, jak chętnie poszedłbym tam pobiegać nieco i ogarnia mnie gniew i smutek, że muszę iść zamknąć się między ławkami w klasie. Ale później dodaję sobie odwagi, gdy widzę, jak moja dobra matka patrzy na mnie zawsze z troskliwością, gdy wychodzę ze szkoły, aby widzieć, czy jestem blady i po każdym zadaniu mnie się pyta: — Jak się czujesz? — Co rano zaś, o szóstej godzinie, budząc mnie do szkoły, mówi matka do mnie: — Odwagi! Jeszcze tylko kilka dni, później będziesz swobodny i będziesz mógł wypoczywać w cieniu alei ogrodowych.

Tak jest, ma słuszność, gdy mi przypomina chłopców, którzy pracują w polu, w skwarze słonecznym albo na piasku nad brzegami rzek, którzy swą rozpaloną w białością parzy i oślepia. Albo tych chłopców, którzy są zatrudnieni w fabrykach szkła i stoją cały dzień nieruchomo, z twarzą pochyloną nad płomieniem gazu i wszyscy muszą wstawać wcześniej od nas i nie mają żadnych wakacyj. A więc odwagi!

I w tym względzie jest pierwszy przed wszystkimi Derossi; nie cierpi z powodu upałów, nie zasypia, ale zawsze pełen życia i wesół, ze swymi jasnymi włosami, tak jak w zimie, uczy się bez trudu i wszystkich, którzy go otaczają, podnosi na duchu, jak gdyby głosem swoim odświeżał powietrze.

I jest jeszcze dwóch innych, którzy nie zasypiają i są zawsze bardzo uważni: ten uparty Stardi, który się szczypie w twarz, aby nie zasnąć, a im bardziej jest zmęczony i osłabiony upałem, tym bardziej zaciska zęby i wytrzeszcza oczy, że wygląda jak gdyby chciał pożreć nauczyciela, drugi zaś ten handlarz Garoffi, zajęty wyrobem wachlarzy z czerwonego papieru, ozdobionych obrazkami ze starych pudełek od zapałek, które to wachlarzyki sprzedaje po dwa centesimi sztuka. Najdzielniejszy jednak jest Coretti; biedny Coretti wstaje codziennie o piątej z rana i pomaga ojcu nosić drzewo. O godzinie jedenastej w szkole oczy mu się zamykają i głowa opada na piersi. A mimo to rzeźwi się, jak może, uderza się w kark, prosi o pozwolenie wyjścia na dwór, by sobie obmyć twarz zimną wodą, prosi sąsiadów

w szkolnej ławce, aby go trącali i szczypali. Dziś rano nie mógł jednak dłużej zapanować nad sobą i zasnął głęboko. Nauczyciel zawołał głośno: — Coretti! — Nie słyszał jednak. Nauczyciel rozgniewany zawołał ponownie: — Coretti!

Wtedy syn węglarza, który mieszka w sąsiedztwie Corettiego, wstaje i odzywa się: — Pracował od piątej do siódmej, nosił ojcu wiązki drzewa...

Nauczyciel, słysząc to, nie budził go, lecz prowadził lekcję jeszcze pół godziny. Potem przystąpił do ławki Corettiego i zwolna, dmuchając mu w twarz, obudził go. Chłopiec, widząc przed sobą nauczyciela, cofnął się w tył przerażony. Ale nauczyciel ujął go rękoma za głowę i całując go we włosy, rzekł: — Nie łaję cię, moje dziecko. Sen twój nie pochodzi z lenistwa, jest to sen strudzonego po pracy.

MÓJ OJCIEC.

17. sobota.

Zaiste ani twój kolega Coretti, ani Garrone, nie odpowiedzieliby w ten sposób swemu ojcu, jak ty mi odpowiedziałeś dziś wieczór. Henryku, czy to możliwe? Musisz mi przysiąc, że to się nigdy nie powtórzy, póki żyć będę. Ile razy na naganę, jaką otrzymasz od ojca, będzie ci się cisnęła na usta zła odpowiedź, pomyśl, że kiedyś musi nastąpić niechybnie chwila, kiedy ojciec przywoła cię do swego łoża, by ci powiedzieć: — Henryku, opuszczam cię.

O, synu mój, gdy posłyszysz głos twego ojca po raz ostatni, a także o wiele później, gdy będziesz płakał samotny w jego pokoju opuszczonym, wśród tych książek, których on już nigdy więcej nie otworzy, wtedy, gdy sobie przypomnisz, że mu niekiedy uchybiłeś szacunku, zapytasz sam siebie: — Czy to możliwe? Wtedy zrozumiesz, że on był zawsze twoim najlepszym przyjacielem, że gdy był zmuszony karać ciebie, cierpiał z tego powodu bardziej od ciebie, że gdy wyciskał ci łzy, było to jedynie dla twego dobra.

Wtedy poczujesz żal i z płaczem będziesz całował ten stół, przy którym on tyle pracował, przy którym trudził się przez całe swoje życie dla swych dzieci. Teraz jeszcze tego nie rozumiesz, albowiem on ukrywa ci wszystko o sobie, oprócz swej dobroci i swej miłości. Nie wiesz, że niekiedy jest tak strudzony pracą, iż myśli, że mu już niewiele dni do końca życia zostaje, a w owych chwilach nie mówi, jak tylko o tobie, nie ma innego zmartwienia w sercu, jak tylko to, że cię zostawi biednym i bez opieki. A ile razy, myśląc o tym, wchodzi do twego pokoju, gdy ty śpisz i stoi z świecą w ręku obok twego łóżka, spogląda na ciebie, dobywa reszty sił i pomimo, że jest znużony i smutny, wraca do pracy.

Nie wiesz także, że często szuka ciebie i siedzi przy tobie dlatego, ponieważ ma gorycz w sercu, troski, które nie oszczędzają nikogo na świecie i szuka cię przeto, jak przyjaciela, by nabrać otuchy i zapomnieć, szuka schronienia w twej miłości, aby odzyskać pogodę ducha i odwagę. Pomyśl tedy, jak to musi być dla niego bolesne, gdy, zamiast znaleźć u ciebie miłość, znajduje oziębłość i brak szacunku. Nie plam się więc nigdy taką wstrętną niewdzięcznością! Pomyśl, że gdybyś nawet był taki dobry, jak anioł, nie mógłbyś nigdy wynagrodzić mu tego, co uczynił dla ciebie i co ciągle jeszcze czyni. I pamiętaj także o tym, że w życiu nigdy na nic nie można liczyć. Nieszczęście może cię pozbawić ojca, gdy jeszcze jesteś dzieckiem, za dwa lata, za trzy miesiące, a może nawet i jutro.

O mój biedny Henryczku, jakby się wtedy wszystko zmieniło dokoła ciebie! Jakby ci się wydawał ten dom pusty i smutny, z twoją biedną matką, ubraną w żałobie! Idź, mój synku, idź do twego ojca; on pracuje w swoim pokoju, idź cichutko na palcach, aby cię nie słyszał wchodzącego, połóż czoło na jego kolanach i poproś go, aby ci przebaczył i aby pobłogosławił ciebie.

Twoja matka.

NA WSI.

20. poniedziałek.

Mój dobry ojciec wybaczył mi i tym razem i pozwolił mi wziąć udział w majówce, którą ułożyliśmy w środę z ojcem Corettiego, handlarza drzewa. Pragnęliśmy wszyscy odetchnąć świeżym powietrzem górskim. Było to prawdziwe święto!

Spotkaliśmy się wczoraj o drugiej na placu Konstytucji, Derossi, Garrone, Garoffi, Precossi, Coretti wraz z ojcem i ja. Mieliśmy wszyscy nasze zapasy na drogę, owoce, wędliny i jaja na twardo, tudzież cynowe kubki. Garrone przyniósł z sobą bańkę napełnioną białym winem; Coretti żołnierską manierkę swego ojca z winem czerwonym, a mały Precossi w swej bluzie kowalskiej, niósł pod pachą dwukilowy bochenek chleba.

Jechaliśmy omnibusem aż do Matki Boskiej, a potem wspinaliśmy się po wzgórzach. Dokoła nas zieleń, cień, chłód. Przewracaliśmy się na trawie, zanurzaliśmy twarze w strumykach, skakaliśmy przez płoty. Ojciec Corettiego szedł za nami z daleka, kurtkę zarzucił na

plecy i palił fajkę glinianą, a od czasu do czasu groził nam ręką, abyśmy nie robili dziur w spodniach. Precossi gwizdał; nie słyszałem go jeszcze nigdy gwiżdżącego. Mały Coretti dłubał coś ciągle, wzdłuż drogi; ten człowieczek potrafi coś wszędzie wydłubać swoim nożykiem składanym, długim na palec: koła młyńskie, widelce, sikawki. Koniecznie chciał nam nosić nasze ubrania, był tak obciążony, że pot lał się z niego, a jednak zawsze zwinny, jak młody kozioł.

Derossi stawał co chwila i wymieniał nam nazwy roślin i owadów. Nie rozumiem doprawdy, jak on może tyle rzeczy wiedzieć. Garrone zajadał chleb w milczeniu, ale nie je już tak wesoło i z takim smakiem, odkąd stracił matkę. Biedny Garrone! Zawsze jednak ten sam, dobry dla wszystkich. Gdy który z nas rozpędzał się, aby przeskoczyć przez rów, biegł zaraz na przeciwny brzeg i podawał mu rękę, ponieważ Precossi boi się krów, gdyż go krowa ubodła, gdy był małym dzieckiem, ile razy przechodziliśmy obok krowy, stawał obok Precossiego i zasłaniał go.

Przybyliśmy wreszcie do Santa Margherita, a później puściliśmy się w dół, skacząc, przewracając się, na łeb i na szyję. Precossi, zaplątawszy się w krzaku, podarł na sobie bluzę i bardzo się zawstydził tym swoim wiszącym strzępem, ale Garoffi, który ma zawsze dość szpilek w swej kurtce, spiął mu bluzę, że nie było nic widać; Precossi powtarzał wciąż: — Przepraszam, przepraszam — a potem znów biegał z innymi.

Garoffi nie tracił w drodze czasu, zbierał sałatę, ślimaki, a każdy kamyk, który nieco błyszczał, wkładał do kieszeni, myśląc, że może wewnątrz jest złoto lub srebro.

I tak dalej biegnąc, przewracając się, wspinając się, w cieniu i w słońcu, po wszystkich wzgórzach i zakrętach dróg, przybyliśmy wreszcie, zmęczeni i zziajani, na szczyt wzgórza, gdzie usiedliśmy na trawie, aby spożyć podwieczorek. Widzieliśmy stamtąd rozległą równinę i w dali sine Alpy z białymi szczytam. Mieliśmy wilczy apetyt, zdawało się, że chleb topniał nam w rękach. Ojciec Corettiego rozdzielał między nas kawałki kiełbasy, podając je każdemu na liściach. I wtedy poczęliśmy mówić wszyscy naraz, o nauczycielach, o kolegach, którzy nie mogli tu przyjść z nami i o egzaminach. Precossi wstydził się jeść i Garrone wkładał mu, prawie przemocą, do ust najlepsze swoje kawałki. Coretti siedział obok swego ojca, skrzyżowawszy nogi; gdy się ich tak widziało, jednego obok drugiego, obydwaj zarumienieni i pokazujący w uśmiechu białe zęby, byli raczej podobni do dwóch braci, aniżeli do ojca i syna. Ojciec pił ze smakiem, a wypróżniając szklanki i kubki, które my zostawialiśmy do połowy tylko wypite, mówił: — Wam, co chodzicie jeszcze do szkoły, wino szkodzi, to handlarze drzewa potrzebują wina. — Potem wziął syna za nos i pociągając nim, zawołał: — Chłopcy, kochajcie tego malca, bo to kwiat poczciwości, ja wam to mówię. — Wszyscy śmieli się oprócz Garrona.

On zaś mówił dalej, popijając: — Tak, tak! Teraz jesteście wszyscy razem, dobrzy koledzy, a za kilka lat kto wie, co będzie. Henryk i Derossi będą adwokatami lub profesorami, Bóg wie czym, a wy czterej znów będziecie po sklepach lub warsztatach, licho wie gdzie... I wtedy po całym koleżeństwie!

— Cóż znowu! — zawołał Derossi — dla mnie Garrone będzie zawsze Garronem, Precossi będzie zawsze Precossim, a inni tak samo, choćbym się stał cesarzem rosyjskim. Gdzie oni będą, znajdę ich.

— To bardzo pięknie — wykrzyknął ojciec Coretti, przechylając flaszkę. — Tak należy mówić, do kroćset piorunów! Trąćmy się oto szklankami! Niech żyją zacni koledzy, niech żyje także i szkoła, która was łączy w jedną rodzinę, tych co mają własną rodzinę i tych co rodziny nie mają.

Trąciliśmy się wszyscy szklankami i kieliszkami o jego flaszkę i wypiliśmy wszystko. On zaś krzyknął donośnym głosem: — Niech żyje czwarty batalion 49-go pułku! — zerwał się na nogi i wychylił duszkiem całą zawartość flaszki. Potem zaś dodał: A jeżeli kiedyś i wy, chłopcy, będziecie mieli tworzyć czworoboki, pamiętajcie trzymać się chwacko, tak jak my niegdyś.

Była już późna pora; zeszliśmy na dół, biegnąc i śpiewając; trzymając się pod ręce, przyszliśmy do Padu, który już był pokryty ciemnością, a nad nim połyskiwały liczne światła. Rozeszliśmy się dopiero na placu Konstytucji, umówiwszy się wprzódy, że się zejdziemy znów wszyscy w niedzielę, aby pójść do teatru Wiktora Emanuela i widzieć, jak będą rozdawali nagrody między uczniów szkół wieczornych.

Jak piękny był to dzień! Byłbym tak wesół wrócił do domu, gdybym nie był spotkał mej biednej nauczycielki. Spotkałem ją właśnie, gdy schodziła po schodach naszego domu, prawie w ciemności. Gdy mnie tylko poznała, ujęła mnie obiema rękoma i rzekła mi do ucha: — Bądź zdrów, Henryku i pamiętaj o mnie. — Spostrzegłem, że płacze.

Poszedłem na górę i opowiedziałem o tym mojej matce. — Poszła, by się położyć do łóżka — odpowiedziała matka i zaraz zauważyłem, że ma oczy zaczerwienione.

A potem dodała z wielkim smutkiem, patrząc na mnie bystro: — Twoja biedna nauczycielka... jest bardzo chora.

ROZDZIELANIE NAGRÓD MIĘDZY ROBOTNIKÓW.

25. niedziela.

Tak, jak było umówione, poszliśmy wszyscy razem do teatru Wiktora Emanuela, aby widzieć, jak się rozda nagrody między robotników. Teatr był przyozdobiony, jak na 14-go marca i przepełniony publicznością, były to przeważnie rodziny robotników, parter zaś zajęty był przez uczniów i uczennice szkoły śpiewu chóralnego. Zaśpiewali oni hymn na cześć żołnierzy poległych na Krymie, tak piękny, że gdy przestali śpiewać, wszyscy powstali z miejsc, klaszcząc w dłonie i krzycząc i musieli przeto hymn ten jeszcze raz zaśpiewać.

A zaraz potem poczęli defilować ci, którzy mieli otrzymać nagrody, przed burmistrzem, prefektem i wielu innymi dostojnikami, którzy im dawali książki, książeczki kasy oszczędności, dyplomy i medale. Na jednym rogu parteru ujrzałem murarczyka, siedzącego obok swej matki, na drugim końcu siedział dyrektor, za nim zaś widniała ruda głowa mego nauczyciela z drugiej klasy. Szli najpierw uczniowie szkół wieczornych, rysunkowych, złotnicy, snycerze, litografowie, a także stolarze i murarze; potem uczniowie szkoły handlowej; po nich znów wystąpiła szkoła muzyczna, były tu liczne dziewczęta, robotnice, wszystkie ubrane odświętnie, powitano je hucznymi oklaskami, a one śmiały się wesoło.

Na sam koniec szli uczniowie wieczornych szkół elementarnych i wtedy dopiero przedstawił się nam piękny widok. Byli to ludzie różnego wieku, różnych zawodów, rozmaicie ubrani; mężczyźni o siwych włosach, chłopcy pracujący po fabrykach, robotnicy z długimi czarnymi brodami. Mali chłopcy szli swobodnie, natomiast mężczyźni byli nieco zakłopotani; publiczność oklaskiwała najstarszych i najmłodszych. Ale nikt z widzów nie śmiał się tak, jak to było na naszym popisie; wszystkie twarze miały wyraz powagi i skupienia. Wielu z pomiędzy obdarzonych nagrodą miało w parterze żony i dzieci, a gdy dzieci widziały, że ojciec idzie na scenę, wołały go głośno po imieniu i wskazywały nań ręką śmiejąc się wesoło.

Przechodzili wieśniacy, tragarze; byli to uczniowie ze szkoły Bioncampagniego. Ze szkoły „Cytadeli" przeszedł czyściciel butów, którego ojciec mój zna i prefekt wręczył mu dyplom. Po nim ujrzałem przechodzącego jakiegoś olbrzyma, którego zdawało mi się, że już kiedyś widziałem... Był to ojciec naszego murarczyka, otrzymał drugą nagrodę. Przypomniałem sobie, że go widziałem na poddaszu, przy łóżku chorego syna i szukałem natychmiast wzrokiem syna w parterze. Biedny murarczyk! Spoglądał na swego ojca błyszczącymi się oczyma i aby ukryć wzruszenie, robił pyszczek zajęczy.

Wtem usłyszałem huczne oklaski. Spojrzałem na scenę i był tam mały kominiarczyk z twarzą umytą, ale w swym zwykłym ubraniu do pracy, a burmistrz przemawiał do niego, trzymając go za rękę. Po kominiarzu przyszedł kucharz. Potem odebrał przyznany sobie medal zamiatacz ulic, ze szkoły Raineri.

Czułem wtedy w sercu gdyby wielką miłość i wielki szacunek, gdy myślałem, ile trudów i pracy kosztowały te nagrody wszystkich tych roboników, ojców rodzin, ile pracy musieli dodać do swej pracy zawodowej, ile godzin odejmowali sobie od snu, którego tak bardzo potrzebują, a także jak musieli wysilać myśl swoją, nieprzywykłą do nauki i swe ręce szorstkie i zgrubiałe od pracy.

Przeszedł chłopak z warsztatu, po którym można było poznać, że ojciec pożyczył mu kurtkę na ten dzień, bo mu rękawy wisiały tak, że musiał je zawiązać, aby móc wziąć nagrodę. Wielu zaśmiało się, ale natychmiast oklaski zagłuszyły śmiech. Potem wstąpił na scenę starzec z łysą głową i siwą brodą. Przeszli żołnierze artylerii, z tych, którzy przychodzą do naszej szkoły na wieczorną naukę; potem strażnicy cłowi i strażnicy miejscy, z tych, którzy pilnują szkoły naszej.

Na koniec uczniowie szkoły wieczornej zaśpiewali jeszcze raz hymn na cześć poległych w Krymie, ale tym razem z takim zapałem, z takim uczuciem, płynącym wprost z serca, że ludzie prawie wcale nie klaskali i wszyscy wyszli głęboko wzruszeni, powoli i w milczeniu. W kilka chwil potem cała ulica zaroiła się ludźmi. Przed bramą teatru stał kominiarczyk, trzymając swą książkę czerwono oprawioną, którą mu dano jako nagrodę; dokoła niego zaś panowie, którzy z nim rozmawiali. Wiele osób pozdrawiało się z jednego brzegu ulicy na drugi, robotnicy, chłopcy, strażnicy i nauczyciele. Mój nauczyciel z drugiej klasy szedł między dwoma żołnierzami artylerii. I widać było żony robotników z dziećmi na rękach, które miały w rękach dyplomy swych mężów i pokazywały je z dumą swoim znajomym.

ŚMIERĆ MEJ NAUCZYCIELKI.

27. wtorek.

Podczas gdy my byliśmy w teatrze Wiktora Emanuela, moja biedna nauczycielka umierała. Umarła o godzinie drugiej, w tydzień po owym dniu, w którym odwiedziła moją matkę. Dyrektor przyszedł wczoraj rano do naszej klasy, by nas zawiadomić o tym smutnym wypadku. I mówił tak:

— Ci z was, którzy byli jej uczniami, wiedzą, jaka była dobra i jak kochała dzieci; była dla nich, jak matka. Teraz niema jej już z nami. Straszna choroba trawiła ją od długiego czasu. Gdyby nie była zmuszona pracować na chleb, byłaby mogła leczyć się i może odzyskać zdrowie; byłaby przynajmniej przedłużyła sobie życie o kilka miesięcy, gdyby mogła była jakiś czas wypocząć. Chciała jednak do ostatniego dnia zostać między swymi uczniami.

W sobotę 17-go wieczorem pożegnała się z nimi, mając tę pewność, że ich już więcej nie zobaczy, dawała im jeszcze dobre rady, ucałowała wszystkich i odeszła łkając. Teraz nikt jej już więcej nie zobaczy. Zachowajcie ją, dzieci, w pamięci.

Mały Precossi, który był jej uczniem w pierwszej klasie, w oddziele wyższym, pochylił głowę na ławkę i rozpłakał się rzewnie.

Wczoraj wieczorem, po nauce, poszliśmy wszyscy razem do domu zmarłej, aby ją odprowadzić do kościoła. Na ulicy stał już rydwan żałobny, zaprzężony we dwa konie, dużo ludzi czekało, rozmawiając z sobą po cichu. Był tam nasz dyrektor, wszyscy nauczyciele i nauczycielki z naszej szkoły i także z innych szkół, gdzie uczyła w dawniejszych latach; były prawie wszystkie dzieci z jej klasy, trzymając się swych matek, które niosły świece i bardzo wielu chłopców z innych klas, tudzież około pięćdziesiąt uczennic ze szkoły Barettiego, jedne miały w rękach wieńce, inne bukiety z róż. Wiele kwiatów złożono już na rydwanie, na którym zawieszono duży wieniec z akacyj z napisem: „Drogiej swej nauczycielce, dawne uczennice z czwartej klasy“. Pod tym wielkim zaś wieńcem był przytwierdzony mały, który jej przynieśli malcy.

Wśród tłumu widać było wiele służących ze świecami, przysłanych przez ich panie, a także dwóch lokai w liberii z zapalonymi pochodniami. Pewien bogaty pan, ojciec jednego z uczniów zgasłej nauczycielki, przysłał swoją karetę, obitą niebieskim atłasem.

Wszyscy się ustawili przed drzwiami domu. Niektóre dziewczątka ocierały łzy. Czekaliśmy czas jakiś w milczeniu. Wkońcu wyniesiono trumnę. Widząc, że trumnę wkładają na wóz, niektórzy malcy poczęli na głos płakać, a jeden z nich począł krzyczeć, jak gdyby dopiero teraz zrozumiał, że nauczycielka jego umarła i chwyciło go takie konwulsyjne łkanie, że musieli go zabrać do domu.

Kondukt żałobny ustawił się zwolna w porządku i ruszył w drogę. Szły naprzód dziewczęta z przytułku „Concerżone“, w zielonych sukienkach, później dzieci Marii całe w bieli, z niebieskimi wstążkami; potem kapłani. Za rydwanem żałobnym zaś nauczyciele i nauczycielki, uczniowie z pierwszej klasy oddziału wyższego i wszyscy inni, a nakoniec tłum.

Na ulicach ludzie stawali w oknach i we drzwiach, a widząc wszystkich tych uczniów i wieniec mówili: — To nauczycielka. — Także i niektóre z pań odprowadzających najmniejsze dzieci, płakały. Gdy orszak przybył przed kościół, zdjęto trumnę z wozu i zaniesiono do środka, przed wielki ołtarz; nauczycielki położyły na niej wieńce dzieci, pokryły ją kwiatami, a wszyscy ludzie dokoła, z zapalonymi świecami, poczęli śpiewać modlitwy, w wielkim i mrocznym kościele. Potem nagle, gdy ksiądz wymówił ostatnie: „Amen“, świece zgasły, wszyscy wyszli pośpiesznie i nauczycielka została sama.

Biedna nauczycielka, była taka dobra dla mnie, miała tyle cierpliwości i pracowała tak mozolnie tyle lat. Kilka książek, jakie miała, zostawiła swoim uczniom, jednemu z nich kałamarz, drugiemu obrazek, wszystko, co miała, dwa dni przed śmiercią prosiła dyrektora, aby nie pozwolił iść najmniejszym dzieciom na jej pogrzeb, albowiem nie chciała, aby płakały.

Czyniła dobrze, cierpiała, umarła. Biedna nauczycielka, została sama jedna w ciemnym kościele. Żegnaj mi, żegnaj mi na zawsze, moja dobra przyjaciółko, drogie i smutne wspomnienie moich lat dziecinnych!

PODZIĘKOWANIE.

28. środa.

Chciała koniecznie dokończyć roku szkolnego, moja biedna nauczycielka, odeszła zaledwie o trzy dni przed końcem nauki. Pojutrze pójdziemy jeszcze raz do klasy i posłuchamy, jak się odczyta ostatnie opowiadanie miesięczne „Rozbicie okrętu“, a potem koniec.

W sobotę pierwszego lipca egzaminy. A więc znów minął rok, czwarty. I gdyby nie była umarła moja nauczycielka, byłby przeszedł dobrze. Myślę o tym, co umiałem ubiegłego października i wydaje mi się, że umiem teraz o wiele więcej. Znam tyle nowych rzeczy, potrafię to, co myślę, wyrazić i napisać lepiej, niż wtedy; mógłbym także

robić rachunki dla wielu dorosłych osób, które tego nie umieją i pomagać im w ich interesach. Rozumiem o wiele więcej, rozumiem prawie wszystko to, co czytam. Cieszę się tym...

Ale ileż to osób nakłaniało mnie do nauki i pomagało mi w niej, jeden w ten sposób, drugi w inny, w domu, w szkole, na ulicy, wszędzie, gdzie chodziłem i gdzie coś widziałem. I dziękuję im teraz wszystkim. Najpierw tobie, mój dobry nauczycielu, który okazywałeś mi tyle życzliwości i pobłażliwości dla którego każda wiedza, z której się dziś cieszę i którą się szczycę, była trudem mozolnym.

I tobie dziękuję, Derossi, mój drogi kolego, który tyle razy i tak chętnie wyjaśniałeś mi rzeczy trudne i pomogłeś mi pokonać przeszkody przy egzaminach. I tobie Stardi, poczciwy i odważny, który mi pokazałeś, że żelazną wolą można wszystko osiągnąć; i tobie Garrone, dobry i szlachetny, który czynisz dobrymi i uszlachetniasz wszystkich, co ciebie znają; i wam także, Precossi i Coretti, którzy byliście mi zawsze wzorem odwagi w cierpieniach i wesela przy pracy. Wam dziękuję i wszyskim innym.

Ale przede wszystkim dziękuję tobie, mój ojcze, który byłeś pierwszym moim nauczycielem, moim pierwszym przyjacielem, który mi zawsze udzielałeś tyle dobrych rad i nauk, pracowałeś dla mnie, ukrywałeś przede mną twój smutek i starałeś mi się wszelkimi sposobami ułatwić naukę i upiększyć życie. I tobie, droga matko, mój aniele stróżu, kochany i uwielbiany, która dzieliłaś wszystkie moje radości i cierpienia, która wraz ze mną uczyłaś się, trudziłaś, płakałaś, jedną ręką gładząc mi czoło, a drugą wskazując na niebo.

Zginam kolana przed wami, jak wtedy gdy byłem małym dzieckiem i dziękuję wam, dziękuję, z całą tkliwością, jaką wlaliście w moją duszę przez dwanaście lat waszej miłości i waszych poświęceń.

ROZBICIE OKRĘTU.

(Ostatnie opowiadanie miesięczne).

Przed kilku laty, pewnego poranka w miesiącu grudniu, wypłynął z portu Liverpool wielki parowiec, który wiózł na swym pokładzie przeszło dwieście osób, między nimi siedemdziesięciu ludzi załogi. Kapitan i prawie wszyscy marynarze byli Anglicy. Między podróżnymi znajdowało się nieco Włochów: trzy panie, jeden ksiądz i kilku muzykantów. Okręt miał się udać do wyspy Malty. Niebo było pochmurne.

Między podróżującymi trzecią klasą na przodzie okrętu znajdował się chłopak, mający mniej więcej dwanaście lat, rodem z Włoch, niski na swój wiek,ale silnie zbudowany, miał piękną twarz typu sycylijskiego, odważną i pełną powagi. Siedział sam jeden obok przedniego masztu, na kupie lin okrętowych, a rękę oparł na małej skromnej walizce, która zawierała całe jego mienie. Twarz miał śniadą, a czarne włosy wijące się spadały mu prawie na ramiona. Ubrany był ubogo, miał na plecach podartą kurtkę i przewieszoną starą torbę skórzaną. Spoglądał dokoła w zamyśleniu, na podróżnych, na okręt, na marynarzy, którzy przebiegali obok niego z pośpiechem i na niespokojne morze. Czynił wrażenie chłopca, którego niedawno dotknęło ciężkie nieszczęście w rodzinie: miał twarz dziecka, a wyraz dojrzałego człowieka.

Wkrótce po wypłynięciu okrętu z portu, jeden z marynarzy, Włoch o siwych włosach, pojawił się na przodzie okrętu, prowadząc za rękę małą dziewczynkę. Zatrzymał się przed małym Sycylijczykiem i rzekł do niego: — Oto masz towarzyszkę podróży, Mario.

Po czym się oddalił.

Dziewczynka usiadła na kupie lin okrętowych, obok chłopca.

Spoglądali na siebie oboje.

— Dokąd jedziesz? — zapytał ją Sycylijczyk.

Dziewczynka odpowiedziała: — Do Malty, przez Neapol.

A potem dodała: — Jadę do ojca i matki, którzy na mnie czekają. Nazywam się Giuletta Faggiani.

Chłopiec nic na to nie powiedział.

W kilka minut później wydobył z torby chleb i suszone owoce, dziewczynka miała biszkopty, więc jedli.

— Będzie wesoło — wykrzyknął marynarz włoski, przechodząc szybko obok nich.

— Wnet zacznie się taniec.

Wiatr stawał się coraz silniejszy, a okręt kołysał się gwałtownie. Ale oboje dzieci, nie dotknięte chorobą morską, nie zważały na to. Dziewczynka uśmiechała się swobodnie. Była mniej więcej w tym samym wieku, co jej towarzysz, ale znacznie wyższa: smagława, wątła, ubrana prawie ubogo. Włosy miała kędzierzawe, krótko obcięte, na głowie czerwoną chusteczkę, w uszach srebrne kółka.

Przy jedzeniu, opowiadali sobie swoje losy. Chłopak nie miał już ojca, ani matki. Ojciec jego, robotnik, umarł niedawno, w Liverpoolu, zostawiając go samego na świecie, a konsul włoski wysłał go na powrót do jego miasta rodzinnego, Palermo, gdzie mieszkają dalecy

krewni jego. Dziewczynkę zawieziono przed rokiem do Londynu, do owdowiałej ciotki, która ją bardzo kochała i u której rodzice jej, ubodzy, zostawili ją na pewien czas, licząc na przyrzeczony spadek. Ale w kilka miesięcy później ciotka zginęła, przejechana przez omnibus, nie zostawiwszy jej ani jednego centesima, a zatem i ona udała się o pomoc do konsula, który ją odsyła do Włoch. Polecono ich oboje opiece marynarza włoskiego.

— Tak tedy — zakończyła dzewczynka swoje opowiadanie — ojciec i matka myśleli, że powrócę do domu bogata, a ja natomiast wracam uboga. Ale mimo to kochają mnie tak samo. I moi bracia także. Mam ich czterech, sami mali chłopcy. Ja w domu jestem najstarsza. Ubieram ich: będą się bardzo cieszyli z mego powrotu. Wejdę po cichutku na palcach... Morze jest jakieś niespokojne.

A potem zapytała chłopca: — A ty zostaniesz u twoich krewnych?

— Tak... jeżeli mnie przyjmą do siebie — odpowiedział.

— Czy nie kochają cię?

— Nie wiem.

— Kończę na Boże Narodzenie lat trzynaście — rzekła dziewczynka.

Potem zaczęli rozmawiać o morzu i o ludziach, którzy ich otaczali. Cały dzień siedzieli obok siebie, mówiąc od czasu do czasu kilka słów. Podróżni sądzili, że to brat i siostra. Dziewczyna robiła pończochę, chłopiec pogrążył się w zadumie, a morze stawało się coraz bardziej burzliwe. Wieczorem, gdy się rozstawali, aby się udać na spoczynek, dziewczynka rzekła do Maria: — Śpij spokojnie.

— Nikt nie będzie spał spokojnie tej nocy, biedne dzieci! — wykrzyknął marynarz włoski biegnąc do kapitana, który go wzywał do siebie. Chłopiec chciał właśnie odpowiedzieć swej przyjaciółce: — Dobranoc — gdy w tym niespodziewanie gwałtowny strumień wody uderzył w niego i wywrócił go na ławkę.

— Matko Boska! Krew idzie z niego! — wykrzyknęła dziewczynka, rzucając się ku chłopcu. Ale podróżni, schodzący śpiesznie z pokładu nie zwrócili na to uwagi. Dziewczynka uklękła obok Maria, który leżał ogłuszony uderzeniem, obmyła mu skrwawione czoło i zdjąwszy ze swych włosów czerwoną chusteczkę, obwiązała mu głowę. Gdy jednak przycisnęła głowę jego do piersi, aby lepiej związać końce chustki, na jej żółtej sukience, powyżej paska, powstała plama krwi, Mario ocknął się i podniósł się powoli.

— Czy czujesz się lepiej? — zapytała go dziewczynka.

— Nic mi się nie stało — odpowiedział.

— A więc dobrej nocy, — rzekła Giuletta.

— Dobranoc — odrzekł Mario.

I zeszli oboje, po sąsiednich schodkach, do swoich sypialni.

Marynarz mówił prawdę. Oboje jeszcze nie usnęli, gdy wybuchła straszliwa burza. Gwałtowne bałwany, uderzając wściekle o statek, w kilka chwil powaliły maszt, uniosły jak liście trzy czółna ratunkowe, przyczepione w tyle okrętu i porwały z sobą cztery woły, które znajdowały się na przodzie okrętu.

Między podróżnymi powstało ogromne zamieszanie i trwoga. Słychać było krzyki przerażenia, płacz, modlitwy, które jednak przygłuszała burza, szalejąc całą noc z nieopisaną wściekłością. Nad ranem wzmogła się jeszcze bardziej. Groźne fale, uderzając o statek z ukosa, zalewały pokład i łamały, zmiatały, strącały w morze wszystko, co na nim było.

Platforma, pokrywająca maszynę, została zgnieciona i woda wpadła do środka ze strasznym hałasem, ogień zgasł, maszyniści uciekli, wielke i gwałtowne strumienie wody wtargnęły ze wszystkich stron. Wtem zawołał grzmiący głos: — Do pomp! — Był to głos kapitana. Marynarze rzucili się do pomp. Ale w tejże chwili nagłe uderzenie dzikich fal z tyłu, zgruchotało poręcze i drzwiczki i do kajut poczęła się wlewać woda.

Wszyscy podróżni w śmiertelnej trwodze schronili się do wielkiej sali.

Kapitan ukazał się na progu.

— Kapitanie! Kapitanie! — wykrzyknęli wszyscy naraz. — Co się dzieje? Co z nami będzie? Czy jest jakaś nadzieja ratunku? Ocal pan nas.

Kapitan czekał, aż umilkną, a potem odrzekł chłodno: — Trzeba się poddać losowi z rezygnacją.

Tylko jedna kobieta wykrzyknęła: — Litości. — Nikt zresztą nie mógł przemówić ani słowa. Śmiertelna trwoga zmroziła wszystkim krew w żyłach. Długi czas trwało to grobowe milczenie. Wszyscy spoglądali na siebie z twarzami bladymi, jak trupy. A morze szalało bez przerwy. Okręt począł się pogrążać.

W tej chwili kapitan próbował spuścić na morze łódź ratunkową. Wsiadło do niej pięciu marynarzy, łódź odpłynęła, ale fala przechyliła ją, dwóch marynarzy utonęło, między nimi i ów Włoch, inni z trudnością potrafili uchwycić się sznurów i dostać się na powrót na okręt. Po tej próbie już i marynarze sami stracili wszelką nadzieję.

W dwie godziny później okręt był już zanurzony w wodzie, aż po wysokość osady głównego masztu.

Tymczasem pod pokładem rozgrywały się rozpaczliwe sceny. Matki przyciskały dzieci do łona; przyjaciele padali sobie w objęcia żegnając się; niektórzy schodzili na dół do kajuty, aby umrzeć, nie widząc morza. Jeden z podróżnych strzelił do siebie z pistoletu i z roztrzaskaną czaszką upadł na schody, wiodące do sypialni, gdzie skonał. Ludzie czepiali się kurczowo jedni drugich, kobiety tarzały się w okropnych konwulsjach. Niektórzy klęczeli dokoła kapłana. Słychać było szlochanie, płacz dzieci, głosy dzikie i ostre, tu i ówdzie widziano osoby nieruchome jak posągi, osłupiałe, z szeroko rozwartymi źrenicami, które nic nie widziały, twarze trupio blade lub z wyrazem obłąkania. Oboje dzieci zaś, Mario i Giulietta, trzymając się jednego z masztów, spoglądały w morze nieruchome, jak nieprzytomne.

Morze uspokoiło się nieco, ale okręt zaczął powoli zanurzać się coraz głębiej. Pozostawało ledwie kilka minut czasu.

— Spuścić szalupę na morze! — wykrzyknął kapitan.

Spuszczono na morze ostatnią szalupę, która jeszcze została i wsiadło do niej czternastu marynarzy i trzech podróżnych.

Kapitan został na pokładzie okrętu.

— Proszę siadać z nami — wołano do niego z dołu.

— Ja muszę zginąć na moim posterunku... To mój obowiązek — odrzekł kapitan.

— Spotkamy jakiś okręt — wołali do niego marynarze — ocalimy się. Chodź pan do nas, kapitanie, inaczej jesteś zgubiony.

— Zostanę tutaj.

— Jest jeszcze jedno miejsce w czółnie — wołali wtedy marynarze, zwracając się do innych podróżnych. — Niech wsiądzie kobieta.

Wysunęła się naprzód kobieta, podtrzymywana przez kapitana, ale widząc odległość, w jakiej się znajdowała szalupa, nie odważyła się na skok i upadła na powrót na pokład. Inne kobiety były prawie wszystkie już nieprzytomne i na pół martwe.

— Dawać dziecko! — wołali marynarze.

Na ten krzyk mały Sycylijczyk i jego towarzyszka, którzy stali dotychczas jak skamieniali, ogarnięci straszliwą trwogą, obudzeni nagle gwałtownym instynktem życia, puścili jednocześnie maszt i rzucili się na brzeg okrętu, krzycząc: — Ja... ja... — i odpychając się wzajemnie od zejścia, jak dzikie zwierzęta.

— Mniejsze dziecko! — wołali marynarze — barka jest zanadto obciążona... Mniejsze...

Słysząc te słowa, dziewczyna, jak gdyby piorunem rażona, opuściła ramiona i stała na miejscu nieruchoma, spoglądając na Maria martwymi oczyma.

Mario spojrzał na nią chwilę — ujrzał krwawą plamę na jej sukience — przypomniał sobie — błysk boskiej myśli przemknął przez twarz jego.

— Mniejsze dziecko — wołali chórem marynarze, zdjęci niecierpliwością. — Odjeżdżamy.

A wtedy Mario głosem, który wydawał się jakiś obcy, krzyknął: — Ona jest lżejsza. Idź ty, Giulietto! Ty masz ojca i matkę. Ja jestem sam na świecie. Odstępuję ci to miejsce. Idź prędzej!

— Rzuć ją w morze — wołali marynarze.

Mario pochwycił Giuliettę wpół i rzucił ją w morze.

Dziewczyna wrzasnęła i zanurzyła się w wodę, ale jeden z marynarzy pochwycił ją za ramię i wciągnął do barki.

Chłopiec stał wyprostowany na brzegu pokładu, czołem w górę wzniesionym, z rozwianymi wiatrem włosami, nieruchomy, spokojny, wzniosły.

Barka poruszyła się i miała zaledwie czas oddalić się od niebezpiecznego wiru, jaki się utworzył dokoła tonącego okrętu, który mógł ją także porwać w otchłań morza.

Wtedy dziewczyna, która była dotychczas prawie nieprzytomna, podniosła oczy ku chłopcu i wybuchła gwałtownym płaczem.

— Żegnaj mi, Mario — wołała łkając i wyciągnęła ku niemu ramiona. — Żegnaj! Żegnaj! Żegnaj!

— Bądź zdrowa! odpowiedział chłopak, wznosząc ramiona ku niebu.

Barka oddalała się szybko, na morzu wzburzonym, pod chmurnym niebem. Nikt się już nie odzywał na okręcie. Woda zalewała brzegi pokładu.

Wtedy chłopiec upadł na kolana, złożył ręce do modlitwy i wzniósł oczy ku niebu.

Dziewczyna zasłoniła twarz rękoma.

Gdy znów podniosła głowę, rzuciła spojrzenie na morze; okrętu nie było już widać.

LIPIEC.

OSTATNIA KARTKA MEJ MATKI.

1. sobota.

A więc rok szkolny skończył się, Henryku; pięknie to, że ci zostaje, jako wspomnienie ostatniego dnia, obraz szlachetnego chłopca, który oddał swe życie za swą przyjaciółkę. Teraz masz się rozłączyć z twymi nauczycielami i kolegami i muszę ci oznajmić rzecz smutną. Będzie to rozłączenie nie tylko na trzy miesiące, ale na zawsze. Twój ojciec, z przyczyn związanych z jego zawodem, opuszcza Turyn, a z nim i my wszyscy.

Wyjeżdżamy stąd w jesieni. Będziesz musiał wstąpić do nowej szkoły. To ci sprawia przykrość, wszak prawda? Jestem bowiem pewna, że kochasz twoją starą szkołę, gdzie przez cztery lata, dwa razy dziennie, doznawałeś rozkoszy, jaką sprawia pożyteczna praca. Gdzie widywałeś przez tak długi czas, o tej samej porze, tych samych chłopców, tych samych nauczycieli, tych samych rodziców: twego ojca i matkę, którzy czekali na ciebie z uśmiechem. Kochasz niewątpliwie tę twoją starą szkołę, gdzie ci się dusza otwarła do światła, gdzie znalazłeś tak wielu dobrych kolegów, gdzie każde słowo, jakie słyszałeś, miało na celu twoje dobro i gdzie nie zaznałeś nigdy żadnej przykrości, która nie byłaby dla ciebie pożyteczna. Zachowaj więc, Henryku, to przywiązanie w twoim sercu i pożegnaj się serdecznie z wszystkimi tymi chłopcami.

Niektórzy z nich doznają być może nieszczęścia, stracą wcześnie ojca lub matkę; inni umrą w młodym wieku; inni może przeleją szlachetnie krew swoją na polu bitwy; wielu z nich będzie dzielnymi i zacnymi robotnikami, ojcami rodzin poczciwych i pracowitych, jak oni sami, a kto wie, czy nie znajdzie się między nimi ktoś, co wyświadczy wielkie usługi swej ojczyźnie i wsławi szeroko swe imię.

A więc pożegnaj się z nimi w sposób serdeczny. Niech cząstka twej duszy zostanie w tej wielkiej rodzinie, do której wszedłeś jako

małe dziecko, a z której wychodzisz teraz jako młody chłopak i którą twój ojciec i twoja matka kochają tak bardzo, ponieważ ty tam byłeś tak bardzo kochany.

Szkoła, Henryczku, jest także matką. Ona wzięła cię z mych ramion, kiedy zaledwie mówiłeś, a teraz zwraca mi ciebie wielkiego, silnego, dobrego, pilnego; niech więc będzie błogosławiona i nie zapomnij nigdy o niej, dziecko moje. O nie, to rzecz niemożliwa, abyś o niej zapomniał. Będziesz dojrzałym mężczyzną, pójdziesz w świat, poznasz ogromne miasta i podziwienia godne pomniki i gmachy i o wielu z nich zapomnisz, ale ten skromny biały budynek z tymi zamkniętymi żaluzjami i ten mały ogródek, gdzie zakwitł pierwszy kwiat twej wiedzy, pozostanie ci na zawsze w pamięci, aż do ostatniego dnia życia twego, tak jak ja będę zawsze widziała oczyma duży dom, w którym usłyszałam głos twój po raz pierwszy.

EGZAMINA.

4. wtorek.

Otóż nareszcie jesteśmy przy egzaminach. Po ulicach dokoła szkoły nie mówią o niczym innym, chłopcy, ojcowie, matki, nawet służące. Egzamina, stopnie, tematy, przeciętna nota, spalony, promowany; wszyscy powtarzają te same wyrazy.

Wczoraj rano było wypracowanie pisemne, dziś rano arytmetyka. Było wzruszające widzieć wszystkich tych rodziców, którzy prowadząc swe dzieci do szkoły, dawali im jeszcze na drodze ostatnie rady. Wiele matek odprowadzało swych synów aż do ławek, aby widzieć, czy jest atrament w kałamarzu i wypróbować pióro; we drzwiach odwracały się jeszcze raz i wołały: — Odwagi! Uważaj! Nie zapominaj!

W naszej klasie nauczycielem pomocniczym był Coatti, ten z czarną brodą, który ma głos srogi jak lew, a nigdy nie karze nikogo. Niektórzy chłopcy byli bladzi ze strachu.

Gdy nauczyciel rozpieczętował kopertę przyniesioną z municypium i wyjął z niej temat zadania, nie było słychać tchu w całej klasie. Podyktował głośno temat zadania, spoglądając to na tego, to na tamtego srogim wzrokiem, ale można było po nim poznać, że gdyby mógł nam także podyktować rozwiązanie zadania, aby wszyscy uzyskali promocje, sprawiłoby mu to bardzo wielką przyjemność.

Po godzinie mozolnej pracy, wielu poczęło odczuwać zmęczenie, albowiem zadanie było istotnie trudne. Jeden płakał. Crossi bił się ku-

łakiem w głowę. Wielu biednych chłopców nie ponosiło w tym winy, że nie umieli zadania rozwiązać, albowiem nie mieli dużo czasu do nauki i rodzice odrywali ich od niej.

Ale Opatrzność czuwała. Trzeba było widzieć Derossiego, jak się wysilał, aby im pomóc, jakie miał pomysły, aby podał cyfrę lub podpowiedzieć działanie arytmetyczne i nie dać się przy tym wyłapać. Był tak troskliwy o wszystkich, że wydawało się, jak gdyby to on był nauczycielem naszym. Także Garrone, który jest tęgi w arytmetyce, pomagał, komu mógł i pomógł, także Nobisowi, który zaplątawszy się w rachunkach, stał się bardzo uprzejmy. Stardi siedział nieruchomy dłużej, aniżeli godzinę, oczy miał utkwione w zadaniu, a głowę podparł pięściami, po czym wszystko zrobił w pięciu minutach. Nauczyciel chodził między ławkami, wołając: — Spokój, spokój! Zalecam wam spokój! — A gdy widział, że który jest zniechęcony, aby go rozśmieszyć i aby mu dodać odwagi, otwierał szeroko usta, naśladując lwa, jak gdyby go chciał pożreć.

O godzinie jedenastej, patrząc po przez firanki, widziałem wielu rodziców, którzy chodzili po ulicy tam i na powrót z niecierpliwością; był tam ojciec Precossiego w swojej niebieskiej bluzie, który dopiero teraz wyrwał się ze swej kuźni i miał jeszcze twarz całkiem czarną. Była matka Crossiego, zieleniarka; matka Nellego, czarno ubrana, która nie mogła stać na jednym miejscu. Tuż przed godziną dwunastą przyszedł mój ojciec i zwrócił oczy ku memu oknu. Drogi mój ojciec! O dwunastej wszyscy skończyli zadanie.

Przy wyjściu zaś to dopiero było ciekawe widowisko. Wszyscy przystąpili do chłopców, zapytywali ich, przeglądali zeszyty, porównywali z wypracowaniem kolegów.

— Ile działań? Jaka suma? A odejmowanie? A odpowiedź? A przecinek ułamka dziesiętnego?

Wszyscy nauczyciele chodzili to tu, to tam, wołano ich ze wszystkich stron. Ojciec wziął mi natychmiast z ręki brulion, rzucił okiem i rzekł: — Dobrze.

Obok nas stał kowal Precossi, który także oglądał zadanie swego syna, nieco niespokojny, gdyż nie mógł się zorientować. Zwrócił się tedy do mego ojca.

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jaką sumę otrzymał syn pański?

Ojciec przeczytał cyfry. Kowal spojrzał do zeszytu syna i porównywał.

— Brawo, chłopcze! — wykrzyknął uradowany.

Ojciec mój i on spoglądali chwilę na siebie z uśmiechem, jak dwaj przyjaciele; ojciec podał mu rękę, kowal ścisnął ją serdecznie. I rozstali się. mówiąc: — Do widzenia na egzaminie ustnym. — Tak jest, na ustnym.

Gdyśmy uszli kilka kroków, usłyszeliśmy jakiś falset. Odwróciliśmy się: był to kowal, który śpiewał z wielkiej radości.

OSTATNI EGZAMIN.

7. piątek.

Dziś rano odbywały się egzaminy ustne. O ósmej byliśmy wszyscy w klasie, a o kwandrans na dziewiątą poczęto wywoływać po czterech naraz do sali, gdzie się znajdował duży stół, pokryty zielonym suknem. Za nim siedzieli dyrektor i czterech nauczycieli między którymi i nasz. Mnie wywołano jednego z pierwszych.

Poczciwy nauczyciel! Tego dnia dopiero przekonałem się, jak on nas kocha. Podczas gdy inni nam zadawali pytania, on tylko na nas wciąż patrzył; smucił się, gdyśmy nie wiedzieli, jak odpowiedzieć; rozjaśniał się, gdyśmy dawali dobrą odpowiedź. Słuchał z uwagą i dawał nam różne znaki rękoma i głową, jak gdyby mówił: — Dobrze... Nie tak... Uważaj... Nie tak prędko... Odwagi:

Byłby nam wszystko podpowiadał, gdyby mógł był mówić. Gdyby na jego miejscu siedzieli, jeden po drugim, ojcowie wszystkich uczniów, nie mogliby nam więcej pomagać. Byłbym mu chętnie zawołał dziesięć razy: — Dziękuję, — wobec wszystkich. A gdy inni nauczyciele mi powiedzieli: — Dobrze, bardzo dobrze — błyszczały mu oczy z zadowolenia. Wróciłem natychmiast do klasy, by tam czekać na ojca. Byli tam jeszcze prawie wszyscy koledzy. Siadłem obok Garrona. Nie byłem jednak wesół, gdyż pomyślałem, że to ostatni raz siedzimy tak obok siebie. Nie powiedziałem mu jeszcze tego, że nie będę chodził do czwartej klasy z nim razem, że muszę wyjechać z Turynu wraz z moim ojcem; nie wiedział jeszcze o niczym.

Siedział zgarbiony, z dużą swą głową pochyloną nad ławką i rysował jakieś ornamenty dokoła fotografii swego ojca, w mundurze maszynisty kolejowego. Jest to mężczyzna duży i barczysty, kark ma, jak u wołu, wyraz twarzy poważny i uczciwy, jak nasz Garrone. A gdy tak siedział pochylony, a koszula mu się nieco z przodu rozpięła, zobaczyłem na jego nagich piersiach złoty krzyżyk, który mu

darowała matka Nellego, gdy się dowiedziała, że ujmuje się za jej synem. Ale musiałem mu przecież raz powiedzieć, że się rozstaniemy.

Rzekłem tedy: — Garrone, tej jesieni ojciec mój opuści Turyn na zawsze.

Zapytał mnie, czy ja także z nim wyjadę. Odpowiedziałem, że tak.

— A więc nie będziesz już z nami razem chodził do czwartej?

— Nie — odpowiedziałem.

Chwilę siedział w milczeniu, zajęty swoim rysunkiem. Potem zapytał mnie, nie podnosząc głowy: — A czy będziesz pamiętał o twoich kolegach z trzeciej klasy?

— Tak jest — odpowiedziałem. — O wszystkich, ale o tobie... najwięcej. Któżby mógł o tobie zapomnieć?

Patrzał na mnie bystro i poważnie, spojrzenie jego mówiło mi różne rzeczy; sam jednak nic nie mówił, podał mi tylko lewą rękę, udając, że prawą dalej rysuje, a ja uścisnąłem w obu dłoniach tę rękę silną i zacną. W tej chwili wszedł do klasy śpiesznie nauczyciel z zaczerwienioną twarzą i rzekł prędko uradowany, cichym głosem: — Brawo, dotychczas wszystko idzie wybornie; oby i ci, co zostali, tak samo dobrze się spisali. Brawo chłopcy, śmiało! Jestem z was bardzo zadowolony.

I aby nam pokazać swoje zadowolenie i rozweselić nas, wychodząc śpiesznie z klasy, udawał, że się potknął i chwycił się ściany, aby nie upaść. On, którego nie widzieliśmy nigdy śmiejąc się. Rzecz ta wydawała się nam tak dziwna, że zamiast śmiać się, wszyscy byli zdumieni: wszyscy uśmiechnęli się zlekka, nikt jednak nie śmiał się głośno. Nie wiem dlaczego, ale ogarnęło mnie uczucie przykre, a zarazem rzewne, gdy widziałem ten jego figiel dziecinny. A więc ta chwila radości była całą jego nagrodą, była zapłatą za dziewięć miesięcy dobroci, cierpliwości. A także różnych kłopotów. Więc po to trudził się tyle czasu i przychodził tyle razy na naukę chory, biedny nauczyciel! Tego i niczego więcej nie żądał od nas wzamian za tyle przywiązania i taką troskliwość! I teraz zdaje mi się, że go będę zawsze widział w tej pozycji, gdy go sobie będę przypominał przez wiele lat. I gdy będę dorosłym mężczyzną, a on będzie jeszcze żył i gdy się kiedyś spotkamy, powiem mu to, jak mnie wtedy tym swoim żarcikiem wzruszył do głębi i pocałuję jego siwą głowę.

POŻEGNANIE.

10. poniedziałek.

Punktualnie o dwunastej zeszliśmy się wszyscy po raz ostatni w szkole, aby dowiedzieć się o wynikach egzaminów i otrzymać świadectwa. Na ulicy przed szkołą pełno było rodziców, pełno ich było także w dużej sali, a wielu powchodziło do klas, cisnąc się aż do stolika nauczyciela. W naszej klasie wypełnili całą przestrzeń między ścianą a pierwszymi ławkami. Był tam ojciec Garronea, matka Derossiego, kowal Precossi, Coretti, pani Nelli, zieleniarka, ojciec murarczyka, ojciec Stardiego, wielu innych, których jeszcze nigdy nie widziałem. Zewsząd słychać było gwar i rozmowy, jak na rynku.

Wtem wszedł nauczyciel i nastało głuche milczenie. Miał w ręku katalog i zaczął szybko czytać: — Abatucci, promocja, sześćdziesiąt siedemdziesiątych. Archini, promocja, pięćdziesiątpięć siedemdziesiątych. — Murarczyk promowany, Crossi promowany. Potem czytał głośno: — Derossi Ernest, promowany, siedemdziesiąt siedemdziesiątych, pierwsza nagroda.

Wszyscy rodzice, którzy byli obecni i znali go dobrze, zawołali: — Brawo, brawo, Derosssi! — On zaś potrząsnął w tył swoje jasne włosy i ze swym pięknym swobodnym uśmiechem na ustach, spojrzał na matkę, która mu przysłała ręką pocałunek.

Garoffi, Garrone, Kalabryjczyk zostali promowani. Trzech lub czterech następnych zostało spalonych, jeden z nich rozpłakał się na głos, ponieważ ojciec jego, który stał w progu, pogroził mu ręką. Ale nauczyciel rzekł do ojca: — Nie, panie, przepraszam pana, ale nie zawsze jest tu wina ucznia. Bardzo często nieszczęśliwy przypadek. I to właśnie zachodzi u pańskiego syna. — Potem czytał dalej: — Nelli, promowany, sześćdziesiątdwa siedemdziesiątych. — Matka przysłała mu pocałunek wachlarzem. Stardi promowany, sześćdziesiąt siedem siedemdziesiątych. Ale gdy usłyszał ten piękny wynik, nie uśmiechnął się i nie odjął rąk od skroni. Ostani był Votini, który przybył starannie ubrany i ufryzowany; promowany.

Nauczyciel powstał teraz z miejsca swego i rzekł: — Chłopcy, dziś zeszliśmy się tutaj po raz ostatni. Spędziliśmy razem z sobą cały rok szkolny i teraz rozstajemy się jako dobrzy przyjaciele, wszak prawda? Żal mi, drogie dzieci, że się muszę z wami rozłączyć. — Przerwał, a potem mówił dalej: — Jeżeli kiedy zabrakło mi cierpliwości, jeżeli kiedy, mimo woli, byłem niesprawiedliwy, zanadto surowy, wybaczcie mi. — Nie, nie, — odpowiedzieli rodzice i wielu uczniów, — nie, panie nauczycielu, nigdy.

— Wybaczcie mi — powtórzył nauczyciel — i bądźcie mi życzliwi. Na przyszły rok nie będziemy już razem, ale będę was widywał i pozostaniecie zawsze w moim sercu. Do widzenia. Do widzenia, chłopcy.

To rzekłszy, wszedł pomiędzy nas, a wszyscy wyciągnęli do niego ręce, wleźli na ławki, ciągnęli go za rękawy i za poły surduta, wielu całowało go; pięćdziesiąt głosów naraz wołało: — Do widzenia, panie nauczycielu... Dziękujemy, panie nauczycielu... Niech pan nauczyciel będzie zdrów i nie zapomni o nas.

Gdy wychodził, wydawał się silnie wzruszony. Wyszliśmy wszyscy, cisnąć się w nładzie. Ze wszystkich innych klas również wychodzili uczniowie. Powstało wielkie zamieszanie i gwar chłopców i rodziców, którzy żegnali się z nauczycielem i nauczycielkami i pozdrawiali sę wzajemnie.

Nauczycielka z czerwonym piórem miała dokoła siebie około dwudziestu malców, tak że ledwie oddychać mogła, a „zakonnicy" poszarpano napół kapelusz i wepchano jej bukieciki kwiatów w rękawy sukni i po kieszeniach. Wielu składało życzenie Robettiemu, który właśnie owego dnia po raz pierwszy przyszedł bez szczudeł. Ze wszystkich stron wołano:

— Do zobaczenia w nowym roku szkolnym!

— Do zobaczenia 20-go października!

— Do zobaczenia na Wszystkich Świętych.

My także żegnaliśmy się, O, jak w takiej chwili zapomina się o wszystkich urazach i zatargach. Votini, który zawsze tak zazdrościł Derossiemu, był pierwszy, który mu się rzucił na szyję. Ja żegnałem się z murarczykiem i malowałem go właśnie w tej chwili, gdy mi robił po raz ostatni swój pyszczek zajęczy. Drogi chłopczyna! Żegnałem się z Precossim, z Garoffim, który mi oznajmił, że wygrałem na jego ostatniej loterii i wręczył mi mały przycisk do papierów, majolikowy, na jednym rogu nieco obtłuczony; żegnałem się z wszystkimi innymi.

Był piękny widok, gdy biedny Nelli uczepił się Garrona, także trudno było go od niego oderwać. Wszyscy cisnęli się dokoła Garrona, wołali mu: — Bądź zdrów, do widzenia — dotykali się go, ściskali, całowali, tego szlachetnego, zacnego chłopca, a ojciec jego patrzył ze zdziwieniem i uśmiechał się.

Garrone był ostatni, którego uściskałem na ulicy i przycisnąłem głowę do jego piersi, by przytłumić łkanie; on zaś pocałował mnie w czoło. Potem pobiegłem do ojca i do matki. Ojciec zapytał mnie: — Czy pożegnałeś się już z wszystkimi twoimi kolegami? — Tak jest, odpowiedziałem. — Jeżeli kiedy kogo skrzywdziłeś, idź i proś go, aby ci przebaczył i o tym zapomniał. Czy niema nikogo takiego. — Niema — odpowiedziałem.

— A więc, żegnajcie mi — zawołał mój ojciec wzruszonym głosem, obejmując po raz ostatni spojrzeniem mury szkolne. A matka powtórzyła: — Żegnajcie mi! — Ja zaś nie mogłem słowa wymówić!

KONIEC.

Objaśnienia historyczne:

W „Sercu“ znajdują się liczne wzmianki o wojnach stoczonych przez Włochy w połowie ubiegłego wieku. Autor ma tu na myśli wojny o zjednoczenie Włoch i powstanie królestwa włoskiego w latach 1848—1870.

W roku 1848 podjął król Sardynii i Piemontu Karol Albert, powodowany ruchem wolnościowym, wszczętym przez Józefa Mazziniego, wojnę przeciw Austrii, do której należała wówczas Lombardia i Wenecja, dwa najpiękniejsze kraje włoskie. Wojna ta miała dla Włoch przebieg nieszczęśliwy a pokonany w bitwach pod Custozzą (1848), i Mortarą i Novarą (1849) król Albert zrzekł się korony na rzecz swego syna Wiktora Emanuela II. Król ten, chluba Włoch, nie porzucił planów swego ojca, zwłaszcza od kiedy kierownictwo spraw zagranicznych oddał ministrowi hr. Emilowi Cavour (czyt. Kawur), jednemu z najbystrzejszych i najlepszych ministrów świata, „Bismarckowi Włoch“, któremu przede wszystkim Włochy zawdzięczają swoje zjednoczenie i swój późniejszy wspaniały rozkwit.

By sobie zapewnić pomoc Francji w przyszłej wojnie z Austrią, z której Włochy nie mogły zrezygnować, przystąpiły Włochy do przymierza Anglii, Francji i Turcji przeciw Rosji, którą wspólnie pokonały w wojnie krymskiej (1853—1856). Bezpośredniej korzyści z tego zwycięstwa nie odniosło królestwo sardyńskie wcale, zjednało sobie tylko czynne poparcie Francji w wojnie z Austrią, którą w r. 1859 pokonały w bitwie pod Magentą i Solferinem. Na podstawie pokoju w Villafranca otrzymała Sardynia Lombardię, ale za pomoc francuską musiała drogo zapłacić, odstępując Francji Sabaudię, kolebkę panującej dynastii włoskiej.

Na skutek tego zwycięstwa przyłączono do Sardynii także drobne księstwa włoskie a w r. 1860 wyprawił się bohater narodowy włoski Giuseppe (Józef) Garibaldi na południe, gdzie z garstką ochotników podbił dla królestwa sardyńskiego Sycylię i Neapol, wypędzając stamtąd Burbonów. Odtąd już prawie całe Włochy były zjednoczone, a król sardyński Wiktor Emanuel II przyjął tytuł króla włoskiego.

Brakowała jeszcze Wenecja i państwo papieskie. W r. 1866 wypowiedziały Włochy razem z Prusami wojnę Austrii. Wojna ta wprawdzie nie była szczęśliwą dla Włoch, które poniosły klęskę pod Custozzą a na morzu koło wyspy Lissa, ale losy wojny rozstrzygnęły zwycięstwa Prusaków w Czechach. Włochy otrzymały nareszcie Wenecję a na zdobycie państwa papieskiego, którego od r. 1848 strzegła załoga francuska, musiały czekać aż do r. 1870. W tym roku Francja, ponosząc stałe klęski

w wojnie z Prusami, wycofała swą załogę z Rzymu, a wojska włoskie pokonawszy wojska papieskie, zajęły Rzym, dokąd król Wiktor Emanuel przeniósł swą stolicę z Florencji.

Resztki terytoriów zamieszkanych przez Włochów tj. Triest, Gorycję, południowy Tyrol, Pobrzeże i wyspy dalmatyńskie zdobyły Włochy w r. 1918 na Austrii.

Jedna z najładniejszych książek tego autora.

SPIS RZECZY

